

Kir Bułyczow

Przepaść bez dna

Bez pol puti do obrywa

Przełożył: Eugeniusz Dębski

II tom z serii Policja intergalaktyczna

Kir Bułyczow

Przepaść bez dna

Bez pol puti do obryva  
Przełożył: Eugeniusz Dębski  
II tom z serii Policja intergalaktyczna

# 1

Kora i Weronika znajdowały się w centrum zainteresowania grupy studenckiej. Inne dziewczyny jakoś nie potrafiły się w niej zaadaptować i odpadały, poza Klomdididi, której ciało pokrywał króciutki, szmaragdowego koloru włos, a która była czułą i nieśmiałą przyjaciółką myśliwego Granta. Nikt nie wiedział, dlaczego te dwie przystały do grupy, a sam Grant wyjaśniał to krótko: „Stado”.

Kora i Weronika były podobne do siebie niczym bliźniaczki, tyle że Weronika jest brunetką, a Kora ciemną blondynką, z ciemnymi brwiami. Przyjaciółki miały jednakowo błękitne oczy.

Kora przywiozła ze sobą czarną perukę, a Weronika — blond. Kiedy tylko miały na to ochotę korzystały z nich — albo stawały się nierozpoznawalne, albo zastępowały siebie na jakichś ważnych spotkaniach, albo nawet wymieniały się na zwyczajnych randkach. Wyniki takich działań chwilami były zaskoczeniem nawet dla nich samych.

A lato było wesołe i radosne, i także panowały dookoła humory.

Udało im się pozytywnie zaliczyć sesję, romanse i nerwy zostały w przeszłości, zdrowie i uroda dopisywały im, jak mało komu, losy ludzkości mało je obchodziły w tym momencie. Niech się ludzkość sama zajmuje swoimi sprawami.

Już w maju, kiedy zaliczyły historię sztuki, zdecydowały, że polecą na Krym, do Jałty albo Koktebla i dokładnie przez miesiąc będą się byczyły, w miarę możliwości nie oddalając się od morza.

I nikt im nie będzie potrzebny, ani mężczyzna, ani chłopak, ani jakiś trzydziestoletni staruch. Takie walkirie jak one, potrzebują co jakiś czas ciszy i wolności.

Cisza i spokój, jakimi syciły się przez pierwsze trzy dni, czwartego dnia dopiekły im do żywego. O spokój musiały walczyć rozpaczliwie, a cisza aż huczała w uszach.

Dziewczyny dały sobie spokój z ciszą i wolnością, w zamian otrzymując królewskie przywileje w niewielkim, ale wyjątkowo wyrafinowanym towarzystwie, jakim się otoczyły.

Towarzystwo składało się z dwóch poetów, mieszkających w namiocie pod skałą Dewa, do tego: z barda Miszy Hofmana, inżyniera–lotnika Wsiewołoda i myśliwego Granta, któremu towarzyszyła krucha ukochana Klomdididi, pokryta, jako się rzekło, szmaragdowym futerkiem. Hofman dołączył do nich ostatni, miał pulchne ciało, rude włosy, zielone oczy i problemy w życiu prywatnym.

Członkowie kompanii mieszkali w odległych końcach spokojnego, sennego Simeizu i spotykali się po śniadaniu na wąskiej, pokrytej gładziami, ale przytulnej plaży, zakończonej niczym bryłą cukru skałą Dewa, na którą można się było wspiąć po nie mających końca schodach, wygryzionych w skałę, a gdzieś tam wiszących nad przepaścią.

W zależności od kaprysu długonogich władczyń Simeizu, wylegiwanie się na plaży zastępował spacerek brzegiem morza do Ałupki, albo wyprawa po kumys czy na grzyby, lub — nawet — szkice z natury. Co prawda, na szkicowanie poszli tylko dwa razy, kiedy na morzu szalał sztorm, a dziewczyny chciały pokazać towarzyszom i wielbicielom, że współczesna kobieta to nie tylko skarb

w sensie fizycznym. Obie ślicznotki były nadziejami rosyjskiej architektury i nie zamierzały tego przed nikim ukrywać.

Lipiec tego roku był niestały i kapryśny, czasem pojawiały się chmury, i wtedy przez cały dzień mżył ciepły, leniwy deszczyk, czasem zrywał się bezczelny wicher i zielone, niemal gorące fale wtaczały się na kamienie plaży, potem nagle dominowała anielska wręcz pogoda, kiedy temperatura wzbijała się ku biblijnym wysokościami i nawet w nocy człowiek marzył o tym, by zanurzyć się w źródle, co to pomrukiwało w skałach wiszących nad domem Tamary Iwanownej, damy, która wynajmowała koleżankom domek w wiśniowym sadzie.

Ale tego dnia, kiedy zaczyna się ta opowieść, było umiarkowanie tylko gorąco i umiarkowanie wietrznie. Tak więc można było nawet pograć w dolnym parku w siatkówkę i potem ochłodzić w morzu rozpalone ciała.

Kora namawiała do kąpieli szmaragdową ukochaną myśliwego Granta, ale ta, bardziej lub mniej udanie, wytłumaczyła Korze, że wczoraj widziała w morzu meduzę, która wydała się jej niebywale strasznym i wstrętnym zwierzem. Ukochana myśliwego miała szeroki zadarty nieco nosek, wielkie pulchne usta i żółte oczy. Futerko na twarzy było niesamowicie delikatne, niczym puch, ale na plecach i rękach było gęstsze i dłuższe. Głaskanie jej sprawiało przyjemność przede wszystkim głaszczącemu. Klomdididi zaczynała wtedy mrużyć niczym kot, wyginała się pod dłonią, a myśliwy Grant odzywał się w te słowa:

— Wystarczy już, dość, bo mi ją całkiem rozpieścicie!

Był to wysoki, ale przygarbiony, żyłasty mężczyzna, na twarzy i ramionach którego widniały placki różowawej skóry po niedawnych oparzeniach. Grant tłumaczył, że niedawno trafił w środek pożaru lasu. Może... Ale dziewczyny wołały wyobrazić sobie bardziej dramatyczną przyczynę oparzeń, na przykład, że to są ślady ognistego oddechu smoka.

Inżynier–lotnik Wsiewołod Toj siedział na płaskim kamieniu, z nogami zwieszonymi nad wodę, a kiedy kolejna fala głaskała je swym pienistym czubem uśmiechał się i wyglądał jak zadowolony z życia kot. Może i kot, ale przede wszystkim mocno zbudowany mężczyzna, barczysty, z masywnymi nogami. Twarz kontrastowała z potężnym ciałem — rzadkie brwi wykreśliła natura nieco za wysoko nad oczami, dlatego ciągle wyglądał na zdziwionego. Mimo że był to człowiek pewien siebie i swego.

Inżynier czytał wielką starą księgę, którą wczoraj zamówił dla siebie w jałtańskiej bibliotece.

W Jałcie i innych miastach wybrzeża mieszkało wielu emerytów, którzy zachowali sentymentalne umiłowanie do słowa pisanego. Zdarzało się nawet, że taki emeryt całe życie spędził przy monitorze i czytał tylko z niego, ale kiedy przeniósł się do takiego cichego uroczyska, zaczynał zamawiać w bibliotekach kopie starych ksiąg i spacerował sobie po nadbrzeżu z prawdziwą książką pod pachą.

Podobnie rzecz się miała z inżynierem, który choć nie był jeszcze emerytem, zbliżał się jednak do przełomowego, zdaniem dziewcząt, wieku lat trzydziestu — zamówił on w bibliotece kopię pracy z 1889 roku „Archeologiczne zagadki Krymu”, autorstwa niejakiego pana Sładkowskiego.

— Ach — oznajmiał inżynier, poznawszy kolejną zagadkę — nie macie pojęcia, co za historia!

Okrzyk taki do nikogo w szczególności nie był kierowany, bo też w taką pogodę nikt nie miał głowy do starożytnych zagadek.

Sam Wsiewołod zajmował się wynalazczością i konstruowaniem najłżejszych aparatów latających, takich, co mogły wzbić się w powietrze poruszane tylko siłą mięśni człowieka. Były to rotoptery, ornitoptery i temu podobne kručze, z reguły, konstrukcje przypominające ważki. Inżynier obiecał, że w najbliższych dniach zademonstruje działanie najnowszego swego aparatu, ale na razie czekał aż przesyłka w postaci kompletu elementów przybędzie z Koktebla.

Tak więc na razie siedział nad samym morzem, dotykał palcami stóp ciepłych fal i czytał smutaśną, z punktu widzenia towarzyszy, książkę.

Poeci mieli na imię Karik i Walik. Pewnie kiedyś przez ekrany wędrował film o Kariku i Waliku, albo może modne były wierszyki o nich, ale to źródło uległo zapomnieniu, a analogie w postaci poetów — pozostały. Poeci byli chudzi, krótko ostrzyżeni, nosili długie pasiaste szorty, mówili do siebie per „szanowny panie” i tak mocno zajęci byli własnymi przeżyciami i własną twórczością, że nawet po zmroku nie stanowili zagrożenia dla dam.

Najbardziej niebezpiecznym osobnikiem był kompozytor i piosenkarz Misza Hofman, który nie tylko tworzył nowe piosenki, ale prezentował stare, z jego punktu widzenia, znane i kochane utwory. Był to osobnik niewiarygodnie ruchliwy, gruby, rudy i piegowaty. Miał też krótkie i opalone ręce, a paluszki miał malutkie, ale bardzo sprawne, przez co wydawało się, że ma kilka dziesiątków paluszków, ponieważ wystarczyło strącić z ramienia albo kolanka jedną łapkę, a już na jej miejscu pojawiała się inna pięć, a wszystkie sprawne i chwytliwe. Kompozytor chichotał przy tym piskliwie. Misza był stary, przekroczył nawet trzydziestkę, ale nie usunięto go z towarzystwa, bo był to swój chłop, miał na podorędziu furę wesołych historii, znał wszystkich i mógł wprowadzić do każdej knajpy czy na koncert, nawet jeśli nie było już ani jednego wolnego miejsca.

— Ciekawe — powiedział Wsiewołod, wskazując palcem jakieś miejsce w tekście. — Tu mowa jest o naszej okolicy.

— Przeczytaj na głos — poprosiła Weronika. Inżynier jej się podobał, ponieważ był poważny, skłonny do zamyślenia się i bardzo mądry. Poza tym był ładnie zbudowany i mógł dopłynąć za horyzont. Weronika nie mogła się doczekać chwili, kiedy zacznie w końcu testować swój ornitopter i już miała jego słowo, że pozwoli jej wzbić się na nim w niebo.

— Już jesteś gotowa się w nim zakochać — powiedziała z lekkim wyrzutem Kora ubiegłego wieczora.

— A tobie on się nie podoba?

— Podoba mi się.

— Ale czy tak przesadnie?

— Weroniko, przecież miałyśmy przeżyć miesiąc bez osobistych przeżyć — obruszyła się Kora. — Wiem, czym to się skończy za trzy dni. Okaże się, że on nie jest wystarczająco mocno w tobie zakochany, albo niedostatecznie pogardliwie popatrzył na nudystkę na sąsiedniej plaży, albo czyta, kiedy ty masz ochotę na obściskowanie się, czy też, że jest żonaty i kocha swoje dzieci.

— Jest żonaty? — wystraszyła się Weronika, która z monologu przyjaciółki wychwyciła tylko te słowa.

— Nie jest żonaty, ale to nie zmienia postaci rzeczy, ponieważ wynajdziesz sobie inny powód do cierpienia.

— Dlaczego mam cierpieć, skoro on nie jest żonaty? — zdziwiła się Weronika. Oznaczało to, że już zaczynała się zakochiwać w lotniku i wkrótce spokojne życie się skończy. Bard wyzwie inżyniera na pojedynek, któryś z poetów popełni samobójstwo, myśliwy Grant utopi swoją szmaragdową ukochaną i zaczną się inne kataklizmy.

Niczego nie podejrzewający inżynier, któremu, jak wydawało się Korze, ona sama podobała się znacznie bardziej niż jej przyjaciółka, zaczął czytać głośno, podnosząc głos, kiedy fala docierała do brzegu i, szeleszcząc na żwirze, odpełzała z powrotem.

— ...niegdyś — czytał — skała Dewa miała inny kształt niż ten dzisiejszy, i była zakończeniem kamiennego grzebienia, biorącego początek przy dzisiejszej dolnej drodze. Tam, gdzie grzbiet skały wpijał się w kontynent, ulokowana była przybrzeżna twierdza, zbudowana jeszcze przed

pojawieniem się tu starożytnych Greków przez dzikie plemiona tauryjskie, zamieszkujące wówczas wybrzeże Krymu. Twierdza ta, mimo że wyróżniała się niewielkimi rozmiarami i powinna być nazywana raczej czatownią czy punktem obserwacyjnym, odgrywała niemałą rolę w obronie półwyspu.

Kora uniosła głowę w myślach wytyczając przebieg linii od szczytu skały Dewa do brzegu. Inżynier jakby odgadując jej myśli założył palcem stronicę i oświadczył:

— To niedaleko stąd, musimy koniecznie się tam wybrać, zobaczyć, co z tego pozostało.

Wcale nie wszyscy poddani królestwa Weroniki i Kory byli pokornymi i oddanymi słuchaczami Wsiewołoda. Misza Hofman spacerował na przykład w pewnym oddaleniu, wyszukując w żwirze wyrzucone przez nocny sztorm przezroczyście kamyczki. Poeci, mimo że siedzieli obok, grali w szachy i raczej nie wsłuchiwali się w rewelacje inżyniera, zaś myśliwy Grant stał nad samą wodą i wpatrywał się w horyzont. Pokryta futerkiem Klomdididi siedziała u jego stóp, objąwszy rękami wełniste kolanka i też patrzyła na horyzont. Weronika drzemała u stóp Kory, wystawiwszy plecy na słońce i nakrywszy głowę papierowym kapeluszem. I nie wiadomo było — słucha, czy też w myślach całuje się z lektorem.

— Proszę czytać dalej — łaskawie przyzwoliła Kora, a inżynier posłusznie wykonał polecenie.

— Z tej twierdzy strażnicy widzieli pierwsze greckie statki, wolno płynące na północ, ku tajemniczemu hyperborejom, wpatrywali się w po strzępiony żagiel „Argo”, na pokładzie którego piękna Meduza zabiła swego brata...

Weronika usłyszała ostatnie słowa i zapytała:

— Po co zabiła swego brata?

Inżynier zmieszał się, ale myśliwy Grant nieoczekiwanie odezwał się:

— Żeby tatuś nie dogonił jej drogocennego Jazona.

Wszyscy byli usatysfakcjonowani wyjaśnieniem myśliwego, i inżynier kontynuował wykład:

— Czatownia podupadła w czasach upadku królestwa Bosforu, ale została odbudowana przez Gotów. Z tą twierdzą związana jest mało znana, krymska legenda, biorąca początek już w średniowieczu. Mówi się w niej o tym, że piękna córka miejscowego „królika” przez długie miesiące oczekiwała powrotu swego narzeczonego, co to był się wybrał za morze, by zyskać sławę wojownika. I oto jego statek pojawił się na horyzoncie. Nie mogąc dłużej czekać księżniczka wzięła rozbieg i skoczyła z urwiska do morza, ale nie zginęła, tylko zmieniła się w białą mewę.

Był to koniec legendy, i nie wiadomo było, co się stało dalej.

— Pewnie ten narzeczony — powiedziała siadając Weronika — zginął. Dlatego księżniczka skoczyła.

— Analogia do śmierci króla Egeusza, od imienia którego pochodzi nazwa morza Egejskiego — oświadczył myśliwy.

Wszyscy popatrzyli na niego, oczekując dalszej części wyjaśnień. Milczenie podpowiedziało myśliwemu, czego od niego oczekują, więc kontynuował: — Jego syn, Tezeusz, popłynął na Kretę i zabił tamtejszego Minotaura. Pamiętacie nie Ariadny?

Wszyscy zaczęli kiwać głowami, nawet szmaragdowa Klomdididi, która raczej nie wiedziała nic o nici Ariadny.

— Zawarli taką umowę — powiedział myśliwy — że jeśli operacja się uda, to na statku Tezeusza zostanie podniesiony biały żagiel, a jeśli Minotaur zatłucze Tezeusza, to żagiel ma być czarny! Z radości młodzież, który popłynęła z Tezeuszem, pomyliła żagle, a może nawet zapomniała o umowie — ojciec zobaczył z wysokiego brzegu czarny żagiel i rzucił się z urwiska.

— Myślisz, że ten narzeczony też miał czarny żagiel? — zapytała Weronika.

Myśliwy nie odpowiedział. Ale Weronika dokończyła myśl: — Nie wykluczam, że w słowach Granta jest trochę sensu. No bo po co w innym przypadku młoda dziewczyna rzucałaby się z urwiska?

Weronika była mizerną studentką i nie miała wielkich literackich zapotrzebowań, ale lubiła wyrażać się w sposób wyszukany i uczony.

Inżynier Wsiewołod z leciuteńką ironią patrzył na błękitnooką brunetkę, a ta, przechwyciwszy jego spojrzenie, zarumieniła się. Jej cienka jasna skóra łatwo pokrywała się rumieńcem — może dlatego, że nie pokryła się jeszcze opalenizną, poza tym taki rodzaj cery źle się opala.

— Chce pan coś powiedzieć? — zapytała.

— Nie — krótko odparł inżynier i ponownie pogrążył się w lekturze.

Po obiedzie, zjedzonym wspólnie w barze mlecznym na przystani, wrócili na plażę za skałą Dewa, gdzie miały znajdować się ruiny forpoczty czy może twierdzy, skąd rzuciła się do wody zmieniając w ptaka, nieszczęsna księżniczka. Podejście było łagodne, niemal niezauważalne, upał poskramiał lekki wiaterek, spływający z gór, donosząc jednocześnie przenikliwe pokrzykiwania trenujących na urwiskach alpinistów.

Weronika została z tyłu, pociągając za sobą również Korę. I chociaż mężczyźni zwolnili, żeby poczekać na nie, Weronika pomachała do nich ręką, że niby mają iść dalej, nie są im potrzebni. Kora pomyślała, że bardzo się zmieniły obie od czasu, kiedy mieszkały w sierocińcu dla galaktycznych znajd na Wyspie Dzieci. Teraz Weronika stała się...

Kora nie zdążyła dokończyć myśli, nie sformułowała w głowie, kim się stała Weronika, ponieważ Weronika zaczęła na ten właśnie temat:

— Jak sądzisz — zapytała przyjaciółkę, wpatrując się w jej twarz swymi błękitnymi oczyma — uda ci się wtrącić od niechcienia w rozmowie, że mam pałac w Luksemburgu? Tak od niechcienia...

— Zakochujesz się? — zapytała Kora.

— Chcę, by mi odpowiedział wzajemnością, zanim ty go skusisz — odpowiedziała przyjaciółka. — Obawiam się, że mnie nie traktuje tak poważnie jak ciebie.

— I uznałaś, że jeśli się dowie, że jesteś pierwszym wianem Marsa, to od razu się w tobie zakocha?

— Miłość to uczucie — wyjaśniła Weronika — którego nie sposób kupić. Już to przerabiałam. Ale na pewno można zadziwić mężczyznę bogactwem.

— Zadziw kompozytora Miszę, ten kocha pałace w Luksemburgu — poradziła Kora. — Z Wsiewołodem ten numer nie przejdzie, uwierz w moje życiowe doświadczenie.

— Mamy jednakowe doświadczenie — skontrowała ją Weronika.

Od właściwej drogi odchodziła w bok ścieżka, prowadząca między skałami, porośniętymi dzikimi wiśniami i akacjami, do urwiska nad morzem.

— Nie zbłądziliśmy? — zapytał rudy kompozytor, który nienawidził pieszych wędrówek.

— Powinniśmy już być blisko — odparł poeta Karik, trzymający w ręku mapnik z naklejonym nań schematem drogi wyrwanym z przewodnika.

Pewnie, można poszukać twierdzy za pomocą bardziej cywilizowanych metod, ale jeśli człowiek jest romantykiem, to nie będzie przecież przywoływał latającego oka z jałtańskiego informatorium.

W krzewach brzęczały pszczoły, trzmiel wypadł z nich i jak pocisk pędził na Weronikę, ta rzuciła się na szyję Wsiewołodowi, ale spudłowała. Kora doceniła elegancję uniku inżyniera, który sprawnie wykonał odpowiedni manewr i trzymał teraz dziewczynę na wyciągniętej ręce.

— Jest prymitywny — powiedziała Weronika, przysunąwszy się do przyjaciółki. — Popatrz, jakie ma małe ręce. I nozdrza jak koń. Wydaje mi się, że w nocy musi chrapać.

Ścieżka wyprowadziła ich na urwisko — żadnej forpoczty tu nie było. Były tylko krzaki, które



rozstąpiwszy się ukazały starą metalową ławeczkę, na której siedziała jakaś staruszka i robiła na drutach. Inna sprawa, że widok stąd był oszałamiający: morze dochodziło do poziomu oczu, ale zaczynało się w niewiarygodnej głębini pod stopami. Zmieniało barwę od szarobłękitnego do srebrnego, a na horyzoncie zlewało się z niebem w identycznym odcieniu błękitu. Po tej niemal niewidocznej granicy pełził sobie mały stateczek.

Towarzystwo zaczęło hałaśliwie okazywać rozczarowanie z powodu braku twierdzy. Pretensje kierowano do inżyniera Wsiewołoda, a najgłośniej werbalizowała swoje rozczarowanie Weronika. Kora westchnęła: na podstawie wieloletniego doświadczenia w przyjaźni z Weroniką wiedziała, że takie hałaśliwe i gwałtowne sekowanie mężczyzny oznaczało, że Weronika już się w niego wrąbała po uszy.

— Szukacie Ptasiej Twierdzy? — zapytała babcia w czarnej sukience, oderwawszy wzrok od robótki. — Chodźcie, to ją wam pokażę.

Poderwała się rześko z ławeczki, nikt się nie sprzeciwił, nie zaoponował.

— Jestem miejscowym młynarzem — oświadczyła babunia. — Moi przodkowie żyli w Fieodosii. Teraz jestem na emeryturze i pracuję jako obserwator ptaków. Stąd łatwo jest je obserwować.

Babcia wskazała na pozostawiony na ławce przyrząd.

— Odnotowuję loty członków ptasich rodzin — powiedziała. — Interesują mnie lądowe i drapieżne. Morskimi zajmuje się mój szanowny kolega, kapitan Gromoboj. O-o-o, tam jest.

Wskazała ręką w dół, i wszyscy dojrzeli na powierzchni morza malutką szalupę — pyłek na oku morza.

— Kapitan rejestruje mewy i kormorany.

— A one was znają? — zapytał myśliwy Grant.

Kora zauważyła, jak zacisnęły się jego pięści. Myśliwy nic nie mógł na to poradzić — marzyło mu się strzelanie do ptaków. Nie tak dawno, bo wczoraj, kompozytor Misza plotkował, że myśliwy Grant w ataku namiętności wystrzelał wszystkich krewniaków Klomdididi i, dopiero gdy ta przybiegła ich opłakiwać, domyślił się, że zniszczył całe rozumne plemię. I jego miłość do szmaragdowej dziewczuszki była jednocześnie skruchą i nadzieją, że urodzi całe nowe pokolenie swoich współplemieńców i tym sposobem Grant przynajmniej w małym stopniu odkupi swą ekologiczną zbrodnię.

Babcia poprowadziła wyciszone nagle towarzystwo z powrotem po ścieżce i wskazała wąskie przejście między olbrzymimi krzewami akacji. I kiedy już minęli to przejście, to znaleźli się w wąskim korytarzu, utworzonym przez ściany ułożone z niedbale ociosanych kamiennych bloków — okazało się, że to są wrota do Ptasiej Twierdzy.

Sama twierdza niezbyt twierdzą przypominała — to był tylko zakurzony skalny placyk wielkości trzypokojowego mieszkania, z wstęgami zburzonych kamiennych fundamentów. Od strony zwróconej do morza zachował się róg ściany sięgający wysokością do piersi człowieka, a przed nim niezbyt głęboki dół, z którego ukosem wystawały dwie kamienne płyty. I to, mniej więcej, było wszystko.

Staruszka, jakby czując się winną za mizериę tajemniczej twierdzy, zaczęła szybko opowiadać, że w okolicznych krzewach można odszukać inne płyty, ponieważ twierdza była znacznie większa, i jeszcze na początku dziewiętnastego wieku zachowane było dolne piętro jednej z dwu wież. Ale nikomu się nie chciało penetrować krzaków w poszukiwaniu płyt i wież, wszyscy zgromadzili się w kącie twierdzy, patrzyli na morze i niebo, a babusia ciągle jeszcze usprawiedliwiała twierdzą, komunikując, że wiąże się z nią kilka legend, które co do sztuki opisują nagłe zniknięcia ludzi.

— Wiemy — powiedziała Weronika, nie spuszczać uważnego spojrzenia z oblicza inżyniera.

— Słyszeliśmy o księżnej Jarosławnie na miejskich murach Putiwła, co to czekała na księcia Igora, nie doczekała się, skoczyła w dół i odleciała jako gawron.

— Bardzo to podobne do folkloru — uśmiechnęła się babcia — na dodatek świadczy o waszym odczytaniu.

— A bo co? — nastroszyła się Weronika, która zawsze obawiała się, że jej słaba znajomość literatury rosyjskiej zostanie przez kogoś odkryta i jeszcze publicznie wytknięta.

— Mogę jeszcze przytoczyć dwa czy trzy takie przykłady podobnego typu. Zresztą, są one opisane w książce, którą wasz przyjaciel tak ostrożnie trzyma pod pachą. Zamawiał ją pan w Jałcie?

— Tak — odpowiedział inżynier.

— Bardzo sensowna pozycja. W czasie, kiedy Sładkowski ją pisał, żyło tu mnóstwo plemion i narodów, i każdy miał swoje legendy. Wszystkie one splotły się potem ze sobą, a wiele z nich miało swe korzenie w prawdziwych wydarzeniach. Jak na przykład legenda o kapitanie Pokrewskim.

— A co to za legenda? — zapytała Kora.

— Ta historia przydarzyła się tu późną jesienią 1920 roku, kiedy czerwoni zajęli szturmem umocnienia Pieriekopu i ruszyli ku morzu. Tu, na półwyspie Krym, skupiła się wielka armia białych i mnóstwo cywili... I oto w miarę jak czerwoni posuwali się na południe, sytuacja na Krymie stawała się coraz bardziej rozpaczliwa...

— Należało podpisać pokój — powiedział poeta Walik. — Jak Biała i Czerwona Róża.

— Obie strony tej wojny tak się nienawidziły, że o pokoju nie mogło być mowy, musiała generalnie zwyciężyć jedna albo druga strona.

— I która zwyciężyła? — zapytał Karik.

— Czerwoni, czerwoni — szybko wtrącił się kompozytor Misza. — I rządzili tą krainą przez wiele lat.

— Oczywiście — powiedziała Weronika. — A co się tu stało?

— Oddział pułkownika Machno pędził za szwadronem Pokrewskiego od samego Bachczyseraju. Kapitan dotarł do tej twierdzy i tu, gdzie teraz stoimy, dopadł go pościg. Wtedy ten skierował swego rumaka przez parapet — o tam, i do morza! Koń posłusznie wykonał gigantyczny skok. I skok ten widziało wielu... Kapitan skoczył, ale nie doleciał do morza. Jego koń rozbił się o skały... ale bez jeźdźca.

— Zmienił się w mewę — oświadczyła Weronika. — Jak ta księżniczka.

Weronika usiłowała się roześmiać, ale nikt do niej nie dołączył.

— Idę — powiedziała babusia. — Jeśli nie wierzycie w tę opowieść, to zajrzyjcie do monumentalnej pracy „Realia i legendy Krymu”. Jej autorem jest Muslimow. Znajdziecie ją w każdej bibliotece, tam przytoczona jest legenda o kapitanie Pokrewskim.

— Ale jednak to tylko legenda! — z triumfem w głosie oświadczyła Weronika, jakby zwyciężyła niewidzialnego przeciwnika.

Staruszka wzruszyła ramionami i opuściła towarzystwo: śpieszyła odnotowywać zwyczaje miejscowych orłów i sokołów.

Pozostali przez jakiś czas stali na miejscu byłej twierdzy, a potem zdecydowali o powrocie nad morze. Żeby jeszcze przed kolacją zażyć kąpieli.

I zrealizowali swój plan.

### 3

Kora spotkała staruszkę, obserwatorkę drapieżnych ptaków, tego samego wieczora, obok placyku tanecznego. Do tego miejsca w parku ciągnęły wieczorami tłumy mieszkańców Simeizu, szedł tu każdy i w każdym wieku, niezależnie od tego czy lubił i potrafił tańczyć czy nie, po prostu ciągnęło ludzi do ludzi, kiedy powietrze staje się niebieskie i gęste od pieśni cykad, kiedy horyzont zanika, pożerany przez ciemność, a świat kurczy się do obszaru oświetlonego przez najbliższe latarnie.

Staruszka siedziała na ławeczce przy kręgu tanecznym, rozkoszowała się muzyką lekką i niespiesznie oblizywała ogromną grudę lodów, usiłującą spłynąć po ścianie waflowego stożka.

— Przepraszam — Kora przysiadła na brzegu ławeczki. — Ale może kapitan wpadł w krzaki nad morzem — tam jest osypisko i krzewy...

— Pani trzeźwy umysł nie chce się pogodzić z legendami — roześmiała się staruszka. — Ja też byłam swego czasu sceptycznie do nich nastawiona. Odszukałam wtedy syna jednego z tych, co ścigali kapitana. I legenda ta zyskała nagle nieoczekiwane potwierdzenie w postaci tego starego przygarbionego emeryta; ten tysiąc razy słyszał ją z ust ojca. Okazało się, że kiedy ten kapitan skoczył na swoim rumaku z urwiska, ten szalony czyn widzieli również rybacy, nudzący się w łodziach w zatoce. Nieopodal brzegu przepływał w tym momencie tak zwany awizo — to znaczy pocztowy statek z Sewastopola. Z pokładu tego statku też widziano ów samobójczy czyn białogwardzisty. Nawiasem mówiąc, został opisany w sewastopolskiej gazecie „Głos Taurydy” i w „Sewastopolskich Nowinach”. Wszyscy chóralnie twierdzą, że do morza kapitan nie doleciał i na głazach się nie rozbił. Dziesiątki ludzi widziało, jak dosłownie rozpłynął się w powietrzu. W jednej chwili — leci... W następnej — w powietrzu nie ma nikogo! Wyobrażasz to sobie?

— Nie — przyznała Kora. — Nie wyobrażam.

— Jedyne racjonalne wyjaśnienie — powiedziała babcia z chrzęstem konsumując wafel — to przemiana Pokrewskiego w ptaka. W orła.

Kora zrozumiała, że babcia woli wierzyć w legendę. Cóż, jej sprawa. Należy to uszanować, albo przynajmniej nie wyśmiewać się ze starczych dziwactw.

— Jesteś miłą dziewczyną — powiedziała starucha. — Inna na twoim miejscu nie wytrzymałaby, żeby nie poszydzić sobie ze mnie.

— Ja już się napatrzyłam na różne cuda — powiedziała Kora. — Tylko wyglądam tak młodo. W rzeczywistości jestem wewnątrznie starsza od pani.

— Świetnie powiedziane! — ucieszyła się babcia. — Ileż zatem masz lat, moja staruszczo?

— Niedługo skończę dwadzieścia. A moja przyjaciółka Weronika już dwadzieścia skończyła.

— Jesteście studentkami?

— Tak, pobieramy nauki w Instytucie Surikowa. To był taki starożytny malarz, chociaż jako malarz wcale mi nie imponuje.

— Słyszałam o nim — powiedziała babcia. — To niezły kolorysta.

— Jest kiepskim kolorystą — zaprotestowała Kora — ponieważ podporządkowywał twórcze

zadania społecznym celom, a to jest dla sztuki gilotyna.

— A Weronika uczy się z tobą?

— A gdzieżby jeszcze? — zdziwiła się Kora. — Razem żyłyśmy w domu dziecka i razem się stamtąd wyrwałyśmy...

— Czyżby w naszych czasach istniały jeszcze domy dziecka?

— Dla galaktycznych znajd.

— Ach, przypominam sobie! Gdzieś o tym czytałam. Wydaje mi się, że jedna z wychowanek stała się spadkobierczynią jakiejś bajecznej fortuny.

— Niestety, to nie ja — powiedziała Kora. — Ale na szczęście — Weronika. Jej ojciec był największym filatelistą Układu Słonecznego. Zginął, a Weronika żyje teraz z procentów z jego kolekcji. Ale przecież siedzenie z założonymi rękami jest nudne, dlatego postanowiła, że będzie najzwyczajszą dziewczyną.

— Słusznie — zgodziła się starszuszka. — Ja, na przykład, pochodzę z dynastii Romanowych. Jestem prawnuczką ostatniego pretendenta do tronu. To znaczy, że jestem żywą nosicielką romanowskich genów.

— No to proszę zająć tron! Nikt nie będzie oponował!

— Będą — powiedziała babunia. — Zawistni ludzie zawsze się znajdują. Na dodatek tron stoi w Petersburgu, a mnie bardziej odpowiada klimat Krymu.

Dziarski marynarz, taki z miejscowych, może z sewastopolskiej muzealnej floty, zaprosił Korę do tańca i zaczął niezbyt trzymając się rytmu opowiadać o jej urodzie. Kora poprosiła, by komplementował ją w rytmie muzyki, ale marynarz, niestety, pozbawiony był muzycznego słuchu.

Kiedy wróciła po tańcu na ławkę, następczyni tronu już zniknęła. A Kora, jak się okazało, nie zapytała jej ani o imię, ani o patronimik. A przecież do następczyni tronu należało się zwracać z imienia i imienia ojca.

Potem Kora odszukała inżyniera Wsiewołoda. W świetle latarń jego twarz wyglądała poważniej niż w słonecznym świetle. Oczy kryły się pod stromymi łukami brwiowymi.

— Nie tańczy pan? — zapytała Kora.

Muzyka umilkła, cykady jakby zdwoiły swe wysiłki usiłując wypełnić pauzę. W krzewach zaskrzeczał jakiś ptak.

— Dawno nie tańczyłem — powiedział inżynier. — A tańce tymczasem zmieniły się. Aż śmiać mi się chce. No i ta różnica wieku między nami... W każdym razie — widoczna bardzo z pani strony.

— Może z dziesięć lat — powiedziała Kora. — Już wiem, że to żadna różnica. Puszkina, na przykład, był znacznie starszy od Natalii Nikołajewnej.

— I jak to się skończyło?.. — zauważył inżynier. Miał ładne dłonie z długimi mocnymi palcami, dłonie chirurga albo specja od otwierania sejfów.

I — oczywiście — w tym momencie pojawiła się Weronika. Jakby podsłuchiwała w krzakach.

— Wsiewołod nie będzie tańczył — oświadczyła. — Wybieraliśmy się na spacer nad morze, prawda, Siowa?

Weronika roześmiała się niskim gardłowym śmiechem kusicielki.

Kora zaczęła gardzić inżynierem, który bez oporu dał się uprowadzić w ciemną aleję wiodącą do morza. Ciemne aleje — gdzieś trafił się jej taki tytuł. Pewnie jakiś amerykański horror.

Ciemne aleje. Dlaczego zawsze wtedy, kiedy podoba ci się jakiś mężczyzna, od razu rodzi się jakaś wietrzna Weronika, która przemyka się z roku na rok studiów tylko dlatego, że potrafi miło uśmiechać się do łasych na takie uśmiechy starszusków docentów albo czynić aluzje do swej ogromnej fortuny starszawym paniom wykładowniczym. A sama...

Kora postanowiła przerwać ten strumień trywialnej nienawiści do przyjaciółki. Nie potrzebuje wcale tego inżyniera, który dobrze jeszcze nie oddalił się od goryla. I niech tu nie szpanuje swoją inteligencją — nie bardzo mu to wychodzi. Tak samo nieprzekonująco, jak zapewnienia, że potrafi konstruować rotoptery i ornitoptery — aparaty marzeń dziewczyn...

Ale takie myśli nie przywołują z powrotem inżynierów. Ci pozostają na brzegu w towarzystwie swojej kruczowłosej Weroniki, która, należy to przyznać, pierwsza ogłosiła swoje prawa do inżyniera, pierwsza zaklepała tę działkę pokrytą dziką roślinnością, zawierającą hipotetyczne tylko żyły złota.

Ponownie pojawił się marynarz. Jego oczy płonęły. Był gotów przepłynąć Morze Czarne dla zyskania uczucia takiej dziewczyny, jak Kora. Ale Kora nie chciała by przypadkowi marynarze majtali się nocami po falach Morza Czarnego. Poszła więc do domu.

Weronika zjawiała się późno, kiedy Korze udało się uśpić samą siebie i nawet jej serce już się nie tłukło w zazdrosnej bezsilności. Należy Weronice przyznać, że była na tyle pewna siebie, że nie wymyślała niczego takiego, co nie miało miejsca.

— A ja mu mówię: proszę posłuchać jak mi serce bije — docierało do Kory przez sen. — A on cofa rękę z mojej stromej piersi i gaworzy o tym, o ile ornitopter jest ekonomiczniejszy od szybowca... Ja mu proponuję kąpiel w stanie naturalnym, a ten odpowiada, że nie chce, żebym się krępowała. Ma usunięte do cna poczucie humoru. Cóż, przed nami jeszcze niemal cały miesiąc. Czyżbym miała nie złamać jego oporu i nie położyć go na swej piersi w najlepszych tradycjach zapaśniczych?

Kora nic odpowiedziała, albowiem każda odpowiedź byłaby albo wulgarna, albo nieszczerza.

Weronika poszła do siebie i wkrótce zgasła światło. Kora pomyślała, że kocha przyjaciółkę. Ale bardziej wtedy, kiedy nie wie o jej miłości.

## 4

Rano okazało się, że inżynier zniknął. Wyjechał do Symferopola po swoje latające zabawki. Obiecał, że pojawi się wieczorem, by nazajutrz zaprezentować je przyjaciołom. Zdecydowali, że wypróbują je na rozległym stoku Aj–Petri, gdzie prądy powietrzne są zróżnicowane i niebezpieczne, czyli akurat takie, jakich potrzebuje prawdziwy oblatywacz.

Dzień również zaskoczył nieprzyjemnie: wiał taki wiatr, że pędził po prowadzącej do centrum płaskiej ulicy listowie i gałęzie, a gdzieś wyżej pobierał dźwięk, dzięki czemu huczał niczym harfa Eola. Kora podejrzewała mocno, że huczy jak harfa Eola, chociaż nigdy jej nie słyszała i nawet nie widziała.

Wiatr złościł się, był gorący i wysuszał skórę, jakby przyleciał z nad jakiejś Sahary, która w nosie ma urlopy i urlopowiczów. Na Weronikę taka pogoda zawsze działała fatalnie. A kiedy dotarła na plażę i nie znalazła na niej Wsiewołoda, natychmiast przypomniała sobie, że w domu ma niedokończoną kasetę i musi ją za wszelką cenę obejrzeć do końca. Przywołała aerotaxi z Symferopola, żeby szybciej dolecieć do Moskwy. Misza Hofman zdołał nakłonić ją, by pozwoliła mu sobie towarzyszyć: miał do załatwienia w Moskwie jakieś pilne twórcze sprawy. Czyn Weroniki natychmiast zburzył iluzoryczną izolację krymskiego światka — okazało się, że jest to tylko to, czym było naprawdę — kontynuacją prawdziwego świata, macką rzeczywistości. I dlatego Kora miała Weronice za złe jej działanie — przecież obiecały sobie solennie, że nie będą się miotać do stolicy i z powrotem, bo w przeciwnym wypadku z wypoczynku wyjdą nici.

Nad morzem zrobiło się nieprzytulnie, o kąpieli nie było mowy, szmaragdowa narzeczona Granta z jakiegoś powodu popłakiwała; Kora uznała, że przypomniała sobie krewnych, zabitych omyłkowo przez Granta. Potem myśliwy poszedł odprowadzić Klomdididi do domu. Kora też związała i poszła do góry, do Ptasiej Twierdzy. Bóg wie, co ją tam ciągnęło — może po prostu miała ochotę posiedzieć z babcią, posłuchać jej chropowatego, jakby nadpękniętego głosu wielkiej damy.

Na górze na ławeczce nad urwiskiem nie było nikogo. Ale leżała książka — staranny reprint „Niebezpiecznych związków”. Kora nie wiadomo dlaczego uznała, że zostawić ją mogła tylko staruszka, której imienia nie udało jej się mimo sporych chęci poznać.

Usiadła na ławeczce — niebo było ogromne. Pędziły po nim postrzępione, bezładne obłoki, wyglądające jakby uciekały przed niepogodą.

Pachniało deszczem, ale na deszcz obłoków było za mało. Mogły tylko deszczem straszyć.

— Kora — rozległ się znajomy głos. — Dawno się nie widzieliśmy, moje dziecko.

Obok Kory na ławeczce usiadł sam komisarz Milodar, dowódca ziemskiego oddziału Interpolu, czyli Intergalaktycznej Policji, człowiek, na dźwięk imienia którego mdleli co więksi zbroje i narkobaronowie. Okrutny, ale sprawiedliwy, ostrożny, ale odważny, wszędobylski, ale nieuchwytny, nieubłagany w stosunku do wrogów i nie zawsze sprawiedliwy w stosunku do przyjaciół; Milodar był osobowością zadziwiającą, wynikiem złożoności, osiągnięć i problemów dwudziestego pierwszego wieku.

Kora знаła komisarza, ponieważ dorastała na Wyspie Dzieci, w sierocińcu dla galaktycznych sierotek, dzieci zebranych, albo odnalezionych diabli wiedzą w jakich zakątkach Galaktyki, do których nie wiadomo jakim sposobem się dostały. Dzieci tych obawiano się, ponieważ nie wiadomo było, dlaczego i kto je podrzucił w granice naszej kruchej cywilizacji. I bywały takie przypadki, kiedy niepokój i zagrożenie płynące od tych istot były realne.

Przytułek ów podlegał Interpolowi, dlatego sam Milodar pełnił kuratelę nad wyspą, rozdzielając bodźce i dawkując natchnienie pracującym tam psychologom i genetykom. Trzy lata temu, kiedy dyskutowana była sprawa spadku Weroniki, komisarz potrzebował pomocy ochotnika Kory. Kora w toku operacji niejednokrotnie ryzykowała życie, ale przeszła ten test z honorem. Wypuszczając Korę na wolność po uzyskaniu przez nią pełnoletniości, a nawet spełniwszy obietnicę — ustaliliśmy jej prawdziwe imię i miejsce pobytu babci Nastii na Ziemi, Milodar obiecał, a może zagroził, że ich spotkanie nie jest ostatnim. Z takiego materiału, jak Kora, pozyskuje się właśnie agentów Interpolu. Nadejście taki dzień, twierdził komisarz, że Kora dobrowolnie lub niemal dobrowolnie zostanie współpracownikiem tej instytucji. Ale na razie ten moment jeszcze nie nastąpił...

— A co pan tu robi? — zapytała Kora Milodara. — Też pan tu wypoczywa?

— To by była przesada — przyznał Milodar. — Ale oddałbym miesiąc życia, żeby móc teraz odpocząć ze dwa tygodnie.

— A nie miewa pan urlopów? — zapytała dziewczyna.

Nagle pożałowała, że ich spotkania nie widzi inżynier Wsiewołod. Chociaż niby skąd miał wiedzieć, że ten skromnie wyglądający niewysoki mężczyzna z szopą kędzierzawych, kruczoczarnych z nitkami siwizny włosów, jest tak naprawdę wszechpotężnym komisarzem Milodarem?

— Spokój to nam się tylko śni — odpowiedział komisarz jakimś cytatem.

Kora miała wrażenie, że powietrze lekko drży nad sterczącym kolanem ubranego w szorty i t-shirt komisarza.

— To pan, czy pański hologram? — zapytała.

— Są rzeczy, których się nie roztrząsa nawet z agentem — odparł Milodar.

Na to Kora przestała zajmować się wyglądem komisarza, a zapytała:

— Skoro pan nie wypoczywa, znaczy — pracuje. Kogo więc chwytaamy?

— Nie chwytaamy, a jesteśmy zaniepokojeni.

— Czym?

— Możliwym kontaktem ze światem równoległym — odpowiedział komisarz. — Tego nam tylko jeszcze brakowało!

Nie precyzował problemu, ale uprzedził Korę:

— Możesz być mi potrzebna, dziewczyno.

I natychmiast poderwał się z ławki i ruszył ku krzewom, przez gałęzie których Kora dojrzała znajomą postać ostatniej Romanowej. Staruszka skromnie czekała na komisarza, i ten w biegu zawołał do niej:

— No, gdzie się podziewałaś, Kseniu? Nie mogę przecież marnować dnia z powodu twoich dziwactw...

— To nie dziwactwa, mój chłopcze, a moja praca — odpowiedziała babusia.

Rozmawiając ze sobą oddalili się ścieżką.

Okazuje się, że to znajomi! Jakże mały jest ten świat, i na dodatek nikomu, poza Weroniką, nie można tego opowiedzieć. Zresztą, co za sens mówić jej o tym, kiedy ona po uszy pogrzyżyła się w sprawach sercowych? Nie wiadomo też, czy komisarz ucieszy się, jeśli Kora zacznie rozpowiadać o spotkaniu z nim. Przecież najważniejszą zasadą Interpolu jest trzymać język za zębami. Jeśli dałoby

się to narysować, to zapewne język za zębami stałby się logo tej instytucji.

A z tej staruszki też niezły numer! Obserwatorka się znalazła, ptaków drapieżnych! No?! A sama zupełnie inne drapieżniki ma pod obserwacją! Ale czy nie zażartował sobie Milodar? Jeśli potraktować jego słowa serio, to może się okazać, że między nami są istoty ze świata równoległego? Kto to może być? Jak go można zobaczyć? Jaką rolę w tym odgrywa Ksenia Romanowa?

Kora zerknęła w niebo. W błękicie, tuż pod szybującymi wzdłuż urwiska obłokami, krążyły mewy. Babcia obserwowała drapieżne ptaki... A może te ptaki to właśnie posłańcy z nieznanego świata?

Szeleściły liście, gdzieś ruszyła mała kamienna lawina, odezwał się dzwon w odległej cerkwi. Świat wydawał się taki znajomy i stabilny, a światy równoległe nie istnieją.



Wszyscy uciekinierzy wrócili przed nocą. Jako pierwsza — Weronika; kupiła w Moskwie prawdziwą grecką tunikę, oraz sandały i diadem — w centrum greckiej wytwórczości na Arbacie produkowali je tak sprawnie, że bez ekspertyzy nie dało się ich odróżnić od prawdziwych. Dlaczego Weronika uznała, że właśnie tunika złamie serce poważnego inżyniera? Nie wiadomo. W tunice, co prawda, było jej wybitnie do twarzy, ale Tamara, ich gospodyni, ustosunkowała się do niej krytycznie i zapytała, czy to prawda, że w starożytnej Grecji dziewczęta nie nosiły bielizny? Weronika zaklinała się, że tak właśnie było, co nie przeszkodziło przecież Grekom w stworzeniu wspaniałych rzeźb i filozofii. Tamara przypominała sobie, że greckie rzeźby są w stu procentach nagie, i udała się do kuchni, gdzie wyładowała zdenerwowanie na naczyniach.

Inżynier wrócił już po zmroku, ale zadzwonił do nich ze swojej kwatery, z pensjonatu. Telefon odebrała Kora, Wsiewołod nie krył radości, że słyszy jej głos, i Kora pomyślała, że łatwo jest pomylić mocno ciosane rysy z prymitywnymi. A ona wcale nie zauważyła niczego prymitywnego w twarzy inżyniera.

Słyszając dzwonek telefonu nadbiegła Weronika — widocznie czekała na ten telefon i dlatego nie kładła się spać.

Miała na sobie nową tunikę, prawą pierś odkrytą, włosy zebrane w kok i od przodu ozdobione diademem. Kora musiała z pewnym żalem przyznać, że jej bogata przyjaciółka jest też bajecznie piękna. Odsunęła się od telefonu, a jej humor gwałtownie się pogorszył.

Weronika zawołała:

— Siowa, gdzieś ty się zapodział? Tyle muszę ci opowiedzieć!

Kora poszła do swojego pokoju; nie miała ochoty słuchać jak Weronika mami i kusi inżyniera.

Rozumiejąc z jednej strony, że przesadza w takiej ocenie stopnia rozpusty swojej przyjaciółki, z drugiej — nie chciała zmieniać niczego w tym stwierdzeniu. I gdyby miała pisać wspomnienia z życia w Simeizie, to napisałyby o wydarzeniach tej nocy właśnie tak — mami i kusi.

Kora położyła się. Skądś nadleciał komar o niewiarygodnej złośliwości i przebiegłości. Życie się nie układało, i nic nie stało na przeszkodzie, by zakończyć je wyrafinowanym samobójstwem, rzucając się na przykład z urwiska Ptasiej Twierdzy na oczach wszystkich znajomych. I w połowie drogi w dół zmienić się w mewę. Zresztą, nie, nie w mewę, te są przesadnie krzykliwe i bezczelne. Może lepiej w orła? W orlicę, która godzinami może, niemal nie poruszając skrzydłami, szybować na wstępujących strumieniach powietrza. I jej dom będzie się znajdował wysoko nad przepaścią, tam, gdzie nie dotrze nawet zręczny myśliwy Grant...

I tak sobie zasnęła, nie zdecydowawszy do końca jakim ptakiem będzie, kiedy skończy ze sobą, a rano Weronika obudziła się przed nią i była tak podniecona, radosna i krzątająca, całkiem jak ta mewa, pędząca za statkiem, z którego ciskają jej kawałki chleba. Tunikę znowu włożyła tak, że jedna pierś była widoczna, i Tamara Iwanowna, zobaczywszy to, zapytała:

— Coś się dziś tak poroznegliżowywała?

— Nie znasz się na tym, jak powinno się ją nosić — odpowiedziała Weronika, z rozkoszą wbijając ząbki w kawałek arbuza.

— Pewnie żeby wygodniej było karmić niemowlę — zauważyła gospodyni, wcale nie dowcipkując, ale Weronika poprawiła tunikę i zrezygnowała z pomysłu zaszokowania towarzystwa na plaży, ponieważ nie była gotowa do karmienia niemowlęcia, a wyobraźnię miała dobrze rozwiniętą.

Tamara nie zdołała zepsuć jej humoru, bo zanim mogło się to stać, z dołu rozległ się głos barda Miszy Hofmana:

— Dziewczyny, pobudka! Kur zapiał dawno temu! Za pół godziny Siowa zaczyna oblatywać swój rotopter!

W tym momencie Weronika jakby dostała ostrogę — innego porównania Kora nie potrafiła znaleźć — szybkość jej ruchów zwiększyła się trzykrotnie, ale pożytku z tego było mało, ponieważ tunika przeszkadzała w jednoczesnym malowaniu warg i zawiązywaniu długich sznurówek sandałów. Szpilki mocujące diadem zbiorowo wysypały się pod wannę... Kora nie poczekała na przyjaciółkę, a ta pędziła za nimi pod górę, kuśtykając na jednej bosej nodze, tunika odsłaniała wszystko, czego odsłaniać nie należało, a otulała jedwabistą mgłą wszystkie przyzwoite części ciała.

Kiedy w końcu płonąca oburzeniem wpadła na placyk Ptasiej Twierdzy i wyhamowała, jej diadem spadł z głowy i gdyby nie rozpaczliwy skok ukochanej Granta, która bez namysłu skoczyła za nim z urwiska i — chwyciwszy — zawisła na korzeniu trzymając się go szmaragdową rączką... Babcia Ksenia Romanowa natychmiast podała jej koniec swego szala, za drugi złapał myśliwy, i on właśnie wyciągnął ukochaną na placyk. Ani Klomdididi, ani Grant nie wypowiedzieli podczas tego incydentu ani słowa, tylko potem wzięli się za ręce na znak wzajemnej do siebie sympatii.

— Dziękuję — powiedziała krótko Weronika, która mało co z tego widziała, ponieważ wypatrywała w niebie swojego inżyniera.

A inżynier nadszedł z tyłu, na piechotę. Przywitał się ze wszystkimi i powiedział, że jego orniopter jest montowany na szosie, nieco powyżej twierdzy, i chętni mogą go sobie obejrzyć. Będąc człowiekiem dobrze wychowanym inżynier zapytał babcie Romanową, czy nie przeszkodzi to w jej badaniach, a ta odpowiedziała, że wręcz przeciwnie, bardzo ją to interesuje, i nauka też powinna wiedzieć, jak reagują kanie na loty orniopterów.

Inżynier wrócił na drogę, a pozostali, łącznie z Weroniką, która już doprowadziła siebie do porządku, a i tak była kusząca do absurdu, skierowali się za nim.

Na poboczu, na trawie, leżały części kruchej aparatu, właściwie nawet nie aparatu, a typowego modelu latającego, podobnego do tych, które robi się na zajęciach w szkolnych kółkach i które biorą nawet udział w zawodach. Oczywiście, cokolwiek udało się zmontować z tych listewek człowieka by nie uniosło. Ale widocznie inaczej sądził młody człowiek o wyglądzie jajogłowego, który był, jak się okazało, asystentem Wsiewołoda i akurat w tym momencie otworzył płaską walizeczkę i wyjął z niej pajęczynę, która zmieściła się w jego dłoni. Taki numer od wieków wykonywany przez prestidigitatorów. Potem rozwarł zaciśniętą pięść, a pajęczynka stała się pelerynką, którą można było okleić listewki.

— Marzenie ludzkości — oświadczył Misza Hofman. — Chciałbym rozślawić tę chwilę, w której człowiekowi uda się zmienić w ptaka. Bez tych śmierdzących czy pożerających tlen silników. Niech żyje Ikar!

— Dziękuję — powiedział inżynier. — Porównanie z Ikarem, Michaile Lwowiczu, przyjmuję tylko z szacunku do pańskiej twórczości. W innym przypadku porównanie byłoby mi nieprzyjemne i nawet niebezpieczne z powodu przedwczesnego zgonu Ikara.

— O Boże! — jęknął bard. — Przecież ja w przenośni, w sensie, że tak powiem, wspólnego obrazu heroicznego.

— Na dodatek — kontynuował dysputę Wsiewołod — zawsze na pierwszym miejscu stawiam problemy bezpieczeństwa, ponieważ chce doprowadzić swą pracę do końca, a nie ma nic głupszego, jak zepsuć wynik, nie uwzględnivszy takiego drobiazgu jak punkt topnienia wosku przy zbliżaniu się do Słońca.

Najprawdopodobniej Weronika nie domyśliła się, że wynalazca żartuje, ponieważ rzuciła się jak furia na kompozytora:

— Jak możesz! — krzyknęła. — W takiej życiowo ważnej chwili!

Póki Misza parował jej atak, inżynier z pomocnikiem ostrożnie montowali kruchego ptaka, naciągając pajęczynę, będącą, jak się okazało, mimo wiotkiego wyglądu materiałem nadspodziewanie mocnym. Znalazło się zajęcie i dla widzów, i wszyscy z przyjemnością zaczęli pomagać, wyłączivszy barda, który był leniwą postacią, a i spory brzuch nie pozwalał mu się schylać, oraz Weronikę, która na głos oświadczyła, że nie może zwiększać zagrożenia życia człowieka, którego tak ceni i szanuje, pakując się niedoświadczonymi łapami we wnętrze jego płodu. Tak dokładnie powiedziała; Kora w pierwszej chwili nie rozumiała, dlaczego jej przyjaciółce kojarzy się to z aborcją, ale potem uznała, że Weronikę zawodzi czasem jej powierzchowne wykształcenie, które usiłuje zrekompensować niewielkim doświadczeniem życiowym. Ach, gdyby rzadziej uciekała z chłopakami z lekcji na Wyspie Dzieci!

Gdzieś około dziesiątej ornitopter był gotów, Wsiewołod rozebrał się do kąpielówek, ponieważ w przypadku niepowodzenia mógł się znaleźć w morzu, gdzie każde ubranie jest zbędne. Staruszka pierwsza poszła do twierdzy, z której lepiej można było obserwować test, na ławce czekała na nią kamera wideo, za pomocą której filmowała loty ptaków. Pozostali poczekali aż Wsiewołod Toj przycisnął do siebie jedno skrzydło, a jego pomocnik zrobił to samo z drugim, i, zataczając się pod wpływem podmuchów wiatru, ruszyli wszyscy po zboczach na górę. Tam, za osłoną ogromnej skały, inżynier przymocował skrzydła, a jego pomocnik wyszedł na otwartą przestrzeń i długo czekał aż ucichnie wiatr. W końcu doczekał się pauzy i wrzasnął:

— Dawaj, Siowa, dawaj!

Wsiewołod wybiegł zza skały i od razu wykonał mocny zamach. Skrzydła pochwyciły go, jak dłonie mężczyzny chwytają kotka, i oderwały od ziemi. Inżynier wykonał nogami ruchy jak w wodzie, a skrzydła były środkiem do szybowania. Poruszając nimi lekko zaczął wzbijać się w powietrze; tam, w górze, wiatr wiał inaczej, więc Wsiewołod skierował się w stronę morza. Kora chciała zapytać czy dobrze mu tam w niebie, czy nie boi się. Ale sama rozumiała, że to głupi pomysł, a na dodatek koresponduje z myślami Weroniki, która oświadczyła:

— Chyba tego nie przeżyję. Będzie to niesamowite szczęście, jeśli Siowa wróci żywy. Przecież to szaleństwo, naprawdę to szaleństwo.

— Szaleństwu śmiazków — zakomunikował bard Misza, naszpikowany odpowiednimi cytatami — śpiewamy hymny.

— To robi wrażenie — powiedziała Weronika.

— Te słowa chyba należą do Lermontowa. Chciałem kiedyś napisać do nich muzykę i powstałaby kantata.

— Poczekajże! — syknął nagle długi, blady poeta Karik. — Przeszkadzacie rozkoszować się widokiem!

— Proszę się rozkoszować. Kto panu przeszkadza! — obruszył się kompozytor. — Przecież tylko mówię, a nie macham rękami... jak co poniektórzy.

Kora poszła w kierunku twierdzy, wkrótce Wsiewołod doleci do niej.

W twierdzy była już staruszka z rodziny Romanowych, filmująca lot Wsiewołoda na wideo. Kora od razu zerknęła w dół, przez parapet — na morze. Tam, między białymi barankami, kiwało się na fali ziarno kminku — łódka z obserwatorem.

Kora popatrzyła też na krzewy, przyjrzała się skałom za zburzonym murem — nie, komisarza Milodara nigdzie nie było. Dzisiejsze wydarzenia widocznie go nie interesują.

I nagle ornitopter inżyniera pojawił się zza skały. Kierował się na twierdzę. Widać było, że Wsiewołod widzi stojącą tam Korę i kieruje się właśnie ku niej — Weronika na razie zatrzymała się gdzieś na drodze, czy to sprzecząc się z bardem, czy doprowadzając kolejny raz do porządku swoją toaletę. Oczywiście, inżynier mógł kierować się również do babci, ale oto, podleciawszy bliżej, rytmicznie wymachując skrzydłami, zakrzyknął:

— Cześć, Kora!

Nie pozostawiało to raczej wątpliwości, że widzi właśnie ją.

— Cześć! — Kora wyciągnęła rękę, ucieszona jego sukcesem. — Dobrze ci tam?

— Dobrze! — Wiatr nieco stłumił odpowiedź, a potem gwałtowny jego poryw odpędził Wsiewołoda. Inżynier z trudem utrzymał równowagę, a potem przemknął blisko Kory. Śmiał się i rozkoszował ptasim lotem.

— Jestem gotowa się w nim zakochać! — zawołała babunia z rodziny Romanowych. Ale poza Korą nikt nie usłyszał tych słów.

Placyk twierdzy wypełnił się ludźmi na czele z Weroniką. Wszyscy już tu przybiegli. Ale Wsiewołod wzbił się tak wysoko, wydawał się być orłem czy jastrzębiem, wiszącym nad zboczem góry.

— Niech pan już ląduje! — krzyknęła Weronika. — Zmęczą się panu ręce!

— Proszę się nie niepokoić — odezwał się asystent inżyniera. — Przewidzieliśmy to. Ręce spoczywają na specjalnych wysięgnikach.

Wyczekawszy aż osłabnie wiatr, Wsiewołod postanowił jeszcze raz zbliżyć się do swych przyjaciół. Zaczął zniżać lot po spirali, a lot ten był płynny i nawet uroczysty. W każdym razie tak się wydawało Korze.

Oto człowiek ptak wykonuje kolejne koło, zbliża się do urwiska, do szczytu którego przytuliły się ruiny Ptasiej Twierdzy, oto znowu bierze kurs na morze, a pod nim rozciąga się przepaść o głębokości kilkuset metrów...

I nagle wydarzyło się coś potwornego!

Szkwał czy też może po prostu uderzenie masy powietrza zaskoczyło inżyniera, i ten nie zdążył tak ustawić skrzydeł, by wznieść się na powietrznej fali. Uderzywszy w skrzydło fala wykręciła rękę pilota, i Wsiewołod na sekundę stracił równowagę. Wystarczyło to, by wiatr dopadł człowieka z drugiej strony, i, odwróciwszy go wyłamał część skrzydła, rozwiewając po niebie strzępy pajęczyny, niczym chusteczki do nosa.

W jednej chwili ten ogromny i pewny siebie ptak zmienił się w nie wiadomo dokąd pędzący kłęb listewek, szmatek i ludzkiego ciała... Kłęb ten jeszcze przez kilka chwil poruszał się siłą rozpędu, ale był przecież cięższy od tego, co mógł unieść powietrzny żywioł.

I nowy Ikar najpierw wolno, ale z każdą chwilą nabierając rozpędu, runął w dół, pędząc ku śmierci, w pasmo morza, gdzie fale rozbijały się o kamienie u podnóża skały.

Przez jedną przeciągającą się chwilę — a czym ją można by zmierzyć: ułamkami sekund? — wszyscy stali nieruchomo, oszołomieni widokiem, jakby wbetonowani w kamień, niezdolni do wydania nawet pojedynczego dźwięku... Ale w tym momencie, kiedy ciało inżyniera, oplatanie

reszkami ornitoptera w dążeniu do śmierci, przeleciało obok twierdzy, wszyscy odżyli i z ogólnym, niesłyszalnym dla ich uszu krzykiem, rzucili się do głazów parapetu, oddzielającego ruiny twierdzy od przepaści. I wszyscy widzieli jak, wolno wirując i stale przyspieszając, ciało inżyniera leci w dół...

Ale nie doleciało do wody i nie wzbilo fontanny bryzg.

Nie doleciało do przybrzeżnych głazów i nie rozplaszczyło się na nich jak nieforemna szmacianka.

Znikło, nie doleciawszy, zaledwie kilka metrów od gruntu.

Niektórzy zdołali zauważyć w tym punkcie malutką, ale jasną eksplozję.

Inni twierdzili, że w tym miejscu pojawił się mały mglisty obłoczek — i też błyskawicznie zniknął.

Ale wszyscy byli pewni jednego — że widzieli miejsce i znali tę chwilę, kiedy inżynier zniknął, tak samo jak i resztki ornitoptera, którym oplątane było jego ciało.

## 6

To, co się działo dalej, odbywało się jakby w poszczególnych strumieniach czasu. Kora zapamiętała wszystko w odcinkach — zresztą, tak mniej więcej toczyły się wydarzenia.

Najpierw zaczęła krzyczeć Weronika.

— Nie ustrzeżliśmy! — krzyczała. — Nie ustrzeżliśmy!

Ustrzec mógł tylko niezgrabna asystent, a on akurat pierwszy przesadził resztki muru, najwyraźniej zamierzając skoczyć za szefem i szukać go w powietrzu.

Myśliwy Grant chwycił go za pas i przyciągnął do siebie.

Babcia Romanowa wzywała przez radiostację komisarza Milodara.

Poeci pobiegli ścieżką na brzeg, by tam poszukać ciała lotnika.

Następnie Grant wyciągnął zza pasa cienką nici, przywiązawszy do niej ciężarek, cisnął koniec z urwiska. Szpulka w jego rękę rozwinęła się błyskawicznie, a jego ukochana wyjęła nie wiadomo skąd rękawiczki i, tylko dotykając rękawiczkami nici, pomknęła w dół, na dno urwiska. Kora zobaczyła, że spod jej dłoni ulatuje smużka dymu.

Łódka, w której siedział pomocnik babuni, zbliżyła się do brzegu i teraz miotała się wzdłuż linii przyboju, poszukując jakichkolwiek śladów Wsiewołoda.

Po kilku minutach, może nawet szybciej, pojawił się flyer z komisarzem Milodarem, przemknął nad głowami zgromadzonych w ruinach i stromo zapikował w dół, niemal muskając ścianę urwiska. Potem znieruchomiał na wąskim odcinku, między skałą a morzem, i wszyscy widzieli malusieńką postać komisarza, jak rozmawia o czymś ze szmaragdową Klomdididi, a następnie odwraca się do siedzącego w łodzi obserwatora.

Cała ta akcja, do której przyłączyli się po chwili również ratownicy górscy i morscy, niczego nowego do sprawy nie wniosła. Twierdza była konsekwentna: kolejna jej ofiara zmieniła się w ptaka.

Innego wytłumaczenia nie udało się sformułować.

Chociaż udało się znaleźć pewne ślady Wsiewołoda. Na przykład, drzazga z ornitoptera i strzępy pajęczyny, które zaczepiły się o kamienie i krzewy na urwisku. Ale tylko tyle.

Po dwóch godzinach komisarz Milodar znalazł się w ruinach twierdzy, które pozostawały punktem zbornym wszystkich uczestników tragedii, i oświadczył, że zdaniem policji, która — rzecz jasna — nie ustaje w poszukiwaniach ciała, lotnik Wsiewołod Toj został porwany przez silny poryw wiatru i uniesiony daleko w morze, a widzowie stracili ten moment z oczu, ponieważ w tym momencie prosto w twarz świeciło im słońce, umyślnie w tym celu wyjrzawszy zza chmur.

Nikt nie uwierzył w słowa Milodara, zwłaszcza, że mało kto nie domyślał się, jaką instytucję reprezentuje. Ale wszyscy udali, że wierzą — szczególnie, że nikt nie był w stanie zaproponować innego wytłumaczenia, poza jakimś fantastyczno–mistycznym.

Mistyczne wytłumaczenie wyszło wieczorem od Weroniki.

— Wróci — powiedziała z wiarą w głosie. — Bo został porwany przez duchy gór. Ta legenda,

którą opowiadała starucha, wcale nie jest legendą. Bo to ona jest zwiastunem duchów gór. Widziałaś, jak wczoraj wieczorem go kusiła? To jest zmowa mrocznych mocy, i jestem przekonana, że powinniśmy się udać do Symferopola i poszukać Achmeta Wszechświatnego. On jest władcą sił astralnych, widziałam taką reklamę na dworcu w Symferopolu.

Kora, zmęczona i oszołomiona, niemal nie słuchała Weroniki. Wiedziała, że Wsiewołodowi przydarzyło się coś strasznego, ale na pewno nie związanego ani z siłami astralnymi, ani z Achmetem z Symferopola... Doskonale pamiętała rzucone w przeddzień tragedii przez Milodara słowa o świecie równoległym. Rozumiała, że obserwatorzy w twierdzy i na morzu również szukali wyjaśnienia tych zjawisk, które mogły wiązać się z legendami, ale nie musiały. Ale w tej chwili musiała spotkać się z Milodarem, który odlatując polecił jej milczeć i czekać... Czekać i milczeć. Pewnie, taki szef, to może sobie milczeć, i tak jest zajęty jednocześnie tysiącami spraw... A tu cała druga połowa dnia minęła w przygnębieniu z powodu śmierci inżyniera.

Towarzystwo tego dnia się rozpadło — jakby tak naprawdę czynnikiem cementującym je był Siowa, a nie dwie moskiewskie ślicznotki. Zresztą, kto w takim stanie mógł ocenić, jak to było naprawdę?

Kora czekała na pojawienie się Milodara.

Wydawało się jej, że na pewno zjawi się późnym wieczorem.

Weronika zasnęła wcześniej — wpakowała w siebie niemal śmiertelną dawkę nasennych proszków i teraz pochrapywała za ścianą. Ale Kora nie mogła zasnąć, wyszła więc do ogrodu. W domu, w pokoju Tamary cicho mamrotał telewizor i od czasu do czasu ciskał kolorowym odbłaskiem na czarne liście drzew. Cykady ogłuszająco brzęczały w uszach; z dołu od czasu do czasu dochodził odgłos uderzenia fal o brzeg — wiatr rozhuśtał morze i teraz, mimo bezwietrznej pogody, zwarte wały wody miarowo tłukły w brzeg.

Zamknąwszy oczy Kora znowu zobaczyła, jak błysnąwszy zimną iskrą znika Wsiewołod...

Żebyż ten Milodar już przyszedł...

Obudziło ją delikatne dotknięcie — tak budziła ją mama do karmienia... „Boże, pomyślała Kora budząc się, wynurzając z głębin snu, przecież nie mogę pamiętać, jak mnie budziła mama...”

Dookoła panował mrok. Księżyc oświetlał tylko brzeg szafki nocnej i zegarek. Zielone cyferki sekund, równomiernie pojawiając się na cyferblacie, podkreślały miarowy rytm i spokojny przebieg nocy.

— Koro, wstawaj — szepnęła babcia Romanowa. — Czekamy na ciebie.

Kora zamierzała usiąść energicznie na łóżku, ale babcia Ksenia Michajłowna, przytrzymała ją.

— Ubieraj się cichutko i wyjdź. Nikt nie powinien cię widzieć.

Kora włożyła sukienkę, wsunęła stopy w pantofelki i wyszła na taras przed domkiem. Drzwi do pokoju Weroniki były przymknięte. Weronika niewyraźnie powiedziała coś przez sen.

Wypogodziło się. Chmury przestały pędzić po nieboskłonie, zrobiły się szare i przezroczyste, niczym długie szmaty wlokły się po czarnym niebie, które nad morzem na wschodzie zaczęło już różowieć. Wczorajsza niepogoda przegnała ciepłe powietrze, było chłodno i wilgotno. Cykady zamilkły, widocznie ukrywając się w swoich norkach. Niepewnie zaśpiewał jakiś ptak, ale zaraz przerwał melodie.

Niewielki flyer kiwał się w powietrzu przed domem, niecałe pięć kroków od ściany. Poświata z tablicy przyrządów wyciągała z mroku rysy twarzy pilota, który mrużąc oczy patrzył na Korę — pewnie jej jasna sukienka na ramiączkach była w ciemnościach wyraźnie widoczna.

— Idziemy! Nie zamykaj drzwi. Wrócisz wkrótce.

Kora pomaszerowała za staruszką, rześką nad podziw jak na swoje lata, weszła po drabince na pokład flyera.

— Komisarz oczekuje nas u siebie — oświadczyła staruszka.

We flyerze było dość ciasno. Ale za to był absolutnie bezgłówny i nie można go było ani dobrze zobaczyć, ani zafiksować za pomocą przyrządów — ot, gumowa zabawka.

Kora marzyła o możliwości wyczyszczenia zębów, to była najważniejsza czynność po obudzeniu.

— Wytrzymaj pięć minut — odpowiedziała jej myśli babcia. — Tam wszystko jest.

Flyer miał przezroczystą powłokę, ale w takich ciemnościach nie było z tego pożytku: od czasu do czasu migotały w oddali jakieś światła, czasem całe łańcuszki lamp, coś błyszczało, potem dookoła zwierzał się mrok, coś błysnęło w świetle reflektora, potem zmiana ciśnienia spowodowała, że wszyscy stracili na moment słuch. I zaraz flyer znieruchomiał, wylądowawszy na betonie, i słychać było jak gdzieś z tyłu, głośno furgocząc, zamykają się jakieś wrota. Znaleźli się jaskini Ali Baby.

Drzwi flyera odsunęły się w bok, komisarz Milodar we własnej holograficznej postaci witał je, stojąc na betonowej podłodze wydłubanego w masywie górskim hangaru. Kora przypomniała sobie jakąś powieść Juliusza Verne’a — bohaterowie utworu urządzili się w przestronnej pieczarze, by ukrywać w niej jakiś statek latający czy może bazę łodzi podwodnych.

W głębi jaskini, za murem cyprysów, widniała biała ściana pałacu. Tam skierował się Milodar,



zakładając, że goście podążą za nim.

Zaspokajając ciekawość Kory tłumaczył w marszu:

— Ten dom wypoczynkowy został zbudowany pod koniec dwudziestego wieku na miejscu kapliczki przy uzdrawiającym źródle, odkrytym osobiście przez poetę Puszkina i zapomnianym do lat dwudziestych ubiegłego wieku, kiedy usadowił się tu szef krymskiego Zjednoczonego Państwowego Zarządu Politycznego, który zmienił kapliczkę w miejsce spotkań z niejawnymi agentami. Jednakże został wkrótce awansowany do Samary i nie zdążył nikomu opowiedzieć o swoim sekrecie, ponieważ niedługo potem został na nowym miejscu rozstrzelany. Kapliczkę odkryli ponownie partyzanci w okresie hitlerowskiej okupacji. Partyzanci przekopali z jaskini wyjście do Kerczu, chcąc połączyć się z oddziałami pułkownika Breżniewa, ale zdradził ich miejscowy fotograf. Kolejny raz jaskinia została odkryta przez miłośników krajoznawstwa, odbywających marsz śladami sławy bojowej poszukując żelaznych krzyży i esesmańskich sztyletów. Plotki o jaskini dotarły do Symferopola. Została więc tu zbudowana specwilla dla wypoczynku dowództwa. Przez ostatnie sto lat wykorzystujemy jaskinię jako tajną bazę Policji Intergalaktycznej. Z tego miejsca dowodzę operacją, mogącą wpłynąć na los całej Galaktyki.

Milodar skończył opowiadać akurat w momencie, kiedy minąwszy aleję cyprysową rosnącą w sztucznym świetle weszli w przeszklone drzwi białego pałacu.

Oficer bezpieczeństwa zasalutował i zniknął w korytarzu. Milodar zaprowadził babcię i Korę do salonu, w którym dookoła niskiej ławy, obok niezapalonego kominka, stały wygodne miękkie fotele i kanapy, przeznaczone do towarzysko—oficjalnych rozmów. Obicia foteli były stare, fioletowe róże na brązowym tle. Meble pachniały kurzem i dawno zwietrzałymi ojczystymi perfumami „Czerwona Moskwa”. W fotelach zasiadali dwaj panowie, o tak nie rzucającej się w oczy powierzchowności, że Kora nie poznałaby ich nawet po półgodzinie. Jednocześnie pochylili głowy w powitaniu.

Wskazawszy paniom dwa fotele, Milodar zasiadł w ostatnim wolnym i zapytał:

— Komu kawę, komu herbatę?

Odpowiedział mu niewyraźny pomruk. Poczekawszy aż wszyscy wypowiedzą swoje życzenia, Kora powiedziała:

— Pół królestwa za umywalkę i szczotkę do zębów.

— Prosto korytarzem i drugie drzwi na prawo.

Kiedy wróciła, w kominku płonął już elektroniczny zimny ogień, nie rzucający się w oczy panowie pili kawę, a babunia — herbatę w wielkiej porcelanowej filiżance. Milodar podał również Korze filiżankę. Zadowolony, że tak zręcznie zadowolili wszystkich gości zaczął:

— To, że ludzie potrafią zniknąć, wiadomo od dawna. W każdym świecie, na każdym globie statystyki określają dokładny procent takich zniknięć. Przyczyny są bardzo prozaiczne. Poszukiwaniem zaginionych osób zajmuje się policja i znajduje ich tylu, ilu powinna znaleźć. Pozostali giną, rozpuszczają się w wodzie albo kwasie. Każdy ma to, na co zasłużył.

Nieznaczni panowie pokiwali głowami. Problem ten nie był im obcy.

— Jednakże współczesne służby bezpieczeństwa uważnie obserwują statystykę zniknięć, ponieważ każde zwiększenie liczby zaginionych wzbudza podejrzenia. Teoretycznie dawno już udowodniono istnienie światów równoległych. Jednakże, mimo że problemem tym zajmują się najtęższe umysły, nie udało się nam przedostać do żadnego z nich. Oczywiście, przenikniemy tam, nie ma wątpliwości, potrzebujemy tylko czasu!

Nieznaczni goście zgodnie pokiwali głowami. Wierzyli w siłę nauki.

— Nauka to nauka — ciągnął komisarz. — A życie to życie.

Wypowiedziawszy te dość dziwne słowa, komisarz dopił kawę i odstawił filiżankę na stolik.

Pozostali goście wzięli z niego przykład. Tylko babcia i Kora popijały swoją herbatę, żałując, że na stole nie ma jakichś herbatników, ani konfitur, czy nawet cukru.

— Dysponujemy absolutnie tajnymi danymi z eksperymentu doktora Du Grie, mieszkającego w Centrum Galaktycznym, który dowodzi, że jeden z możliwych światów równoległych znajduje się w styczności z nami i nie wyklucza, że dochodzi między naszymi światami do kontaktu.

— Nie może być! — zakrzyknęła babunia z rodziny Romanowych, ale Korze wydało się, że jest w tym okrzyku element działania teatralnego: babcia chciała zwrócić na siebie uwagę.

— Może — powiedział poważnie Milodar. — I jak pani świetnie wie, Kseniu Michajłowno, jeden z punktów stycznych naszych światów znajduje się w okolicy osady Simeiz, nieco poniżej punktu umownie nazywanego Ptasią Twierdzą. To znaczy, krótko mówiąc, w okolicy urwiska, łączącego twierdzą z powierzchnią Morza Czarnego.

Nikt się tym razem nie zdziwił, jakby problem był już w tym gronie rozpatrywany.

Milodar potwierdził owo podejrzenie Kory kontynuując:

— O świecie równoległym nieraz już dyskutowaliśmy i wykonaliśmy ogromną pracę badawczą. Nawet więcej powiem: wczorajszy epizod jest z naszego punktu widzenia bardzo pożyteczny.

— Jaki epizod? — zapytała Kora.

— Wiesz jaki — odpowiedział komisarz. — Przejście inżyniera Wsiewołoda Toja do świata równoległego.

— To znaczy, że on nie zginął? — ucieszyła się Kora.

— Brak nam podstaw do podejrzenia go o to — odparł Milodar.

— Ale jeśli światy się stykają i on trafił do tego równoległego — powiedziała Kora — to tam też mógł się zabić?

Zapadła cisza, w trakcie której wszyscy przeżuwali hipotezę Kory.

Ta zaś wyobraziła sobie dwa światy — nasz i ten drugi, nieznan. Wyobrażała je sobie jako dwie bańki mydlane, które stykają się, a dzieli je tylko cieniutka mydlana tęczowa błona. I oto ktoś wszechmocny przebija ściankę cieniutką igłą, tak cienką, że bańki nie pękają. Chociaż przy skali Ziemi otwór może być nawet kilkumetrowy. Zresztą, wszystkie porównania w fizyce teoretycznej są naiwne i bezprzedmiotowe, ponieważ otwór może być nie otworem, a diabli wiedzą czym.

— Najprawdopodobniej jednak się nie rozbił — powiedział Milodar jakby do siebie. — Tak, sądzę, że nasz inżynier żyje. Tak samo, jak żyją ci, co wcześniej przedostali się do równoległego świata przez ten sam tunel przejściowy.

— Ta nazwa jest umowna — sprecyzował jeden z nie rzucających się w oczy panów.

— Oczywiście, wszystko jest umowne — zgodził się Milodar. — Niestety, wiemy o tym mało i dlatego jesteśmy niemal bezsilni.

— Wiemy, że istnieje, i że oni nie chcą z nami kontaktu — powiedziała babcia. — A to już jest informacja niepokojąca.

— Dlaczego nie idą na kontakt? Skąd o tym wiecie? — zapytała Kora. Skoro została tu zaproszona, to nie powinni niczego przed nią ukrywać.

— Z wszelkich naszych obliczeń — powiedział Milodar wynika, że mieszkańcy świata równoległego świetnie wiedzą o naszym istnieniu. Więcej: ludzie, którzy tam trafiają, nie są przypadkowi, ponieważ konieczne jest zużycie określonej ilości energii, by człowiek przeniknął ze świata do świata. Więc oni sobie ich wybierają. My jeszcze nie wiemy, jak się do tego zabrać. Ale oni — tak!

— Czy nie za dużo wniosków wyprowadzacie z jednego przypadku? — zapytała Kora, jednocześnie pragnąc, by inżynier żył, niechby nawet i w innym świecie. Ale Kora była dziewczyną

rozsądną i rozumiała, że teoria to jedno, a obojętna rzeczywistość do drugie.

— Dlaczego z jednego przypadku? — zapytał Milodar.

— No, przecież tylko inżynier Toj zniknął, kiedy spadał obok skały.

Teraz zdziwiła się staruszka.

— A co z tą dziewczyną, która rzuciła się ze skały i stała się ptakiem? A co z kapitanem Pokrewskim, który skoczył z twierdzy wraz z koniem? A co z tymi legendami, które związane są ze znikaniem ludzi i ich przemienianiem w ptaki?

— Ależ to są legendy! — zawołała Kora. — I nawet jeśli coś się działo, to tysiąc lat temu. Co nam do tego?

— Poczekaj — powstrzymał szykującą się do odpowiedzi babunię Milodar. — Czasem mówimy o czymś, zakładając, że rozmówca wie tyle samo, co i my. A słuchacz może nie wiedzieć, że dla mieszkańców równoległego świata związki czasowo–przestrzenne działają inaczej niż u nas. To dla nas dziewczyna rzuciła się ze skały dwa tysiące lat temu. A dla nich... — Milodar wskazał oczami jakiś punkt na suficie — ...nasz czas nie istnieje. Dla nich tysiąc lat temu, i dzisiaj — to jedno i to samo.

— Ależ to niemożliwe! — sprzeciwiła się Kora.

— Dlaczego? — zdziwił się Milodar. — Przecież wierzysz w podróże w czasie?

— Każdy ucniak w to wierzy — odpowiedziała Kora.

— Dla świata równoległego zetknięcie się z naszym jest zetknięciem z całą jednoczesną sumą minionego u nas czasu.

— Niezbyt to zrozumiałe dla mnie — powiedziała Kora — ale nie będę się sprzeczać.

— Słusznie. Zaoszczędzisz w ten sposób swój i nasz czas. Wystarczy, byś zrozumiała, że te wszystkie udokumentowane i odzwierciedlone w legendach przypadki znikania ludzi w okolicy Ptasiej Twierdzy najprawdopodobniej są wynikiem świadomej działalności uczonych z paralelnego świata, którzy potrafią przeciągać naszych ludzi do siebie.

— Jest pan tego pewien? — Kora sądziła, że znalazła słaby punkt w argumentacji komisarza.

— Oczywiście, że nie! — odpowiedział za komisarza jeden z mało widocznych ludzi. — Niczego nie jesteśmy pewni. To tylko teoria. Musimy ją potwierdzić eksperymentalnie.

Zamilkł z miną, jakby wygadał się za cały tydzień do przodu.

— Powinniśmy wykonać doświadczenie — podchwycił pałeczkę Milodar. — Powinniśmy dostać się do nich i dowiedzieć się, jak oni to robią, co już potrafią i do czego jest im to potrzebne. Następnie powinniśmy dać obywatelom Galaktycznej Federacji szansę na powrót do domu.

Wygłaszając ten monolog Milodar podniósł się na palcach, wypiął pierś i zaczął naprawdę przypominać jakiegoś trybuna ludowego.

— W przeciwnym wypadku może nam zagrazać niebezpieczeństwo — cicho powiedział drugi z nieznaczących obywateli.

— Nasza niewiedza daje przewagę przeciwnikowi i zagraża nam — wyjaśnił pierwszy pan.

— Naszym obowiązkiem jest wysłać tam człowieka, który wszystkiego się dowie i postara się wrócić żywy.

— Słusznie — zgodził się pierwszy.

— Pomyśleliśmy — powiedział Milodar i Kora nagle poczuła jak tłucze się jej serce: dlaczego on tak na nią patrzy? — Naradziliśmy się i zdecydowaliśmy, że zaproponujemy to zaszczytne zadanie właśnie tobie, Koro Orwat. Ta wyprawa do świata równoległego, będzie jednocześnie zaliczona jako twój test przy przyjmowaniu na etat do Interpolu w charakterze agenta polowego.

— Ja? Do równoległego świata? — tępo powtórzyła Kora. — Niby dlaczego ja?

— Dlatego że jesteś najlepszym kandydatem do tej afery — odparł Milodar. — Jesteś młoda, jeszcze się nie boisz śmierci...

— Boję się śmierci!

— Nie przerywaj! Na razie jeszcze boisz się śmierci nie tak jak ja, jesteś lekkomyślna, co jest charakterystyczne dla młodości. Rzucasz się w każdą awanturę na łeb, na szyję.

— W żadnym wypadku!

— Po drugie, choć to i paradoksalne, ale dysponujesz wystarczająco zimnym umysłem i trzeźwym rozsądkiem, co jest dość dziwne w twoim wieku...

— Proszę przestać mnie analizować! Czy ja jestem jakimś królikiem doświadczalnym?!

— To porównanie jest dość udane — zgodził się komisarz, a nieznacznicy obywatele pokiwali głowami, zgadzając się. Oni też uważali, że komisarz podchodzi do Kory jak do preparowanego królika, ale nie mieli nic przeciwko temu. — Ale wcale przez to nie staje się mniej abstrakcyjne. W nosie mam czym jesteś — królikiem czy hieną, moją troską jest los Ziemi. I pamiętaj, Koro, że mam przeczucie, że w ciągu najbliższych dwudziestu lat los Ziemi niejednokrotnie będzie spoczywał w twoich rękach i nie daj Bóg, byś go choć raz upuściła na podłogę!

Kora z trudem powstrzymała się od uśmiechu, ponieważ tragiczne elementy w ustach komisarza jakoś dziwnie splatały się z farsą i tylko sam komisarz tego nie zauważał.

— Jak mam to zrobić? — zapytała Kora. — Nie mam ornitoptera, nie potrafię latać.

— To drobiazg — machnął ręką komisarz. — Program wabienia rozpracują specjaliści. Ale w zasadzie wszystko już wiadomo.

— Co mianowicie?

— Będziesz musiała skoczyć z urwiska.

— Jak to?

— Skoczysz w przepaść, i — miejmy nadzieję — tamci w równoległym świecie złapią cię i przeciągną do siebie.

— Czy pan rozumie co mówi, komisarzu? — obruszyła się Kora, zdając sobie z przerażeniem sprawę, że nikt w pokoju nie podtrzyma jej na duchu. Nawet babcia Romanowa uważnie wpatrywała się w mokrą plamę na suficie — widocznie strop jaskini gdzieś przeciekał.

— Świetnie rozumiem — oschłym tonem rzucił Milodar. — A ty dopiero zrozumiesz.

— Chcecie, żebym rzuciła się z urwiska, niczym porzucona licealistka, licząc na to, że w innym, być może nieistniejącym świecie, zauważą mnie, uratują i będą hołubić. A jeśli mają przerwę obiadową? Albo nie zdążą? A jeśli, w końcu, oni w ogóle nie istnieją?

— Wszystko to możliwe — odrzekł jeden z nieznaczących gości. — Wszystko możliwe.

I westchnął głęboko, współczując Korze. Ale nic więcej.

— Dlaczego więc nie możecie sięgnąć po ochotnika z szeregów waszej dziarskiej instytucji? Mało macie ochotników?

— A gdzie niby mamy ich mieć? — zainteresował się komisarz.

— A tu! — Kora zatoczyła ręką koło wskazując cały pokój, a nieznacznicy panowie natychmiast zapadli się w fotelach — nawet głowy im gdzieś wsiąkły. Staruszka natomiast dostała ataku tak wyraźnie agonicznego kaszlu że stało się jasne: nie przeżyje tej nocy!

— A ja nie mogę złożyć siebie w ofierze — rzekł komisarz — ponieważ dysponuję taką liczbą tajemnic państwowych, że na noc muszą mnie wkładać do sejfu, żeby mnie ktoś nie ukradł.

A kiedy nikt się nie roześmiał, komisarz wyjaśnił:

— To był żart...

Ale i to nie wywołało śmiechu wśród obecnych.

— A już serio mówiąc — kontynuował Milodar — to zwrócenie się do ciebie o pomoc wywołane zostało przez życiową konieczność. Mamy podstawy sądzić, że mieszkańcy tamtego świata dysponują możliwością obserwowania nas, w każdym razie w granicach przejścia — powiedzmy, na przestrzeni kilometra od punktu styku światów. Jeśli my nie jesteśmy głupcami, to oni tym bardziej durniami nie są. I rozumieją, że pojawienie się babci Kseni Michajłownej z aparaturą do rejestracji ptaszków i jej kuzyna, wykonującego identyczne obserwacje, nie jest przypadkową akcją miłośników przyrody. Mogą podejrzewać, że zostali zdekonspirowani i znajdują się „pod kloszem”. Więcej — widzieli też i mnie ze dwa, trzy razy. Rozmawiałem z obserwatorami, uczestniczyłem w eksperymentach dotyczących kontroli powietrza, wektorów grawitacyjnych, pól magnetycznych tych okolic — przecież nie pierwszy tydzień tu pracujemy. I zniknięcie inżyniera Toja może być przedostatnim punktem w agresywnej działalności świata równoległego.

Nieznacznym panowie, wysunąwszy głowy z przepastnych foteli, zaczęli zgodnie nimi kiwać.

— Ale skoro prowadzimy obserwację działalności świata paralelnego, to najprawdopodobniej ów świat obserwuje nas jeszcze uważniej niż my jego. I możemy za cud uważać fakt, że do tej pory jestem jeszcze z wami, a nie zostałem zlikwidowany przez przeciwnika.

— To znaczy — zlikwidowany twój hologram — zauważył pierwszy z nieznaczących, co spowodowało, że Milodar zająknął się i przerwał na chwilę perorę. Ale potem kontynuował, jak gdyby nigdy nic:

— Musimy posłać tam człowieka, który nie wywoła podejrzeń w świecie równoległym. Dlatego zorganizowaliśmy przyjazd tutaj Kory Orwat, osoby sprawdzonej już w sprawie zabójstwa na Wyspie Dzieci.

— Jak to zorganizowaliście mój przyjazd? — zapytała Kora.

— Wymagało to pewnej zręczności z mojej strony, jak również wiedzy o naturze kobiet.

Ostatnia z Romanowych prychnęła. Widać było, że dobrze się bawi!

— Sama tu przyjechałam i nikt mną nie kierował! — zakrzyknęła Kora.

— A jeśli sobie przypomnisz, jak odbywały się przygotowania do waszego tu przyjazdu, odkryjesz, że decyzje wymuszane były przez twoją lekkomyślną przyjaciółkę, która z właściwą sobie głupotą udawała, że to ty o wszystkim decydujesz w waszym tandemie.

— Czyli ta wyprawa była przygotowana przez was? — Kora była gotowa rozszarpać Weronikę.

— Weronika nawet nie podejrzewa, że znajduje się pod moją kontrolą — skromnie zauważył komisarz. — Była ślepym narzędziem w moich łapach. Nie osądzaj więc jej za surowo.

Kora nie odpowiedziała. Starła się odtworzyć w pamięci jak odbywało się planowanie wyjazdu, jak obgadywały go i decydowały dokąd pojedą, skąd się wzięli Simeiz i, oczywiście, nie przypominała sobie tylu szczegółów, by bez zastrzeżeń uwierzyć komisarzowi. Ale i tak było już za późno.

A komisarz tymczasem ciągnął swój monolog:

— Dla mnie najważniejszą rzeczą było to, by Kora nie domyśliła się, że jedzie tu nie z własnej woli. Powinna była zachowywać się absolutnie normalnie: przez pierwsze dwa czy trzy dni miała tylko spacerować z przyjaciółką po okolicy, udając, że nie zauważają mężczyzn, ani jej, ani Weronice do niczego nie potrzebnych...

— Właśnie! — zawołała Kora, a reakcją pozostałych był śmiech.

— Następnie — kontynuował komisarz — nagle wokół dwóch moskiewskich piękności utworzyło się samcze towarzystwo...

— A myśliwy Grant? — nie zgodziła się z komisarzem Kora, usiłując choćby jakimś jednym detalem zburzyć pewność siebie komisarza. — Przecież on nie pasuje do pańskiej koncepcji.

— Zgadzam się. Muszę powiedzieć jednak, że to wyjątek, potwierdzający ogólną regułę.

— To znaczy, że wszystko było przygotowane?

— Wszystko. Łącznie ze szczegółami waszego zachowania i pierwszej wizyty w twierdzy na skale.

— To oznacza, że w naszym towarzystwie był szpieg!!

— Oczywiście! Ale nie łam sobie nad tym głowy, nie zgadniesz. Najważniejsze, że wasze towarzystwo, z punktu widzenia równoległowców, nie wywołuje żadnych podejrzeń. Tak więc możesz spokojnie skakać do paralelnego świata. Nie skrzywdzą cię. I spokojnie dokonasz bohaterskiego czynu.

— Nie chcę dokonywać czynów!

— Koro, kochanie — odezwała się babunia z Romanowych. — Komisarz tym razem nie żartuje i nawet nie przesadza. Rzeczywiście — jesteś częścią obszernego i poważnego planu ratowania naszego ojczystego globu, a może i całej Galaktycznej Federacji od niemal nieznanego i być może wszechpotężnego agresora. Świat równoległy w nieznanym nam celu utworzył punkty przejściowe i wykorzystuje je aktywnie, porywając ziemskich ludzi. Jak nie dziś, to jutro stamtąd do naszego świata mogą runąć napastnicy, których być może nie będziemy potrafili powstrzymać.

— A może przyświeca im dobry cel?

— Nie przerywaj starszym! — ryknął Milodar, ale babunia Romanowa uniosła rękę i powstrzymała gniew komisarza.

— Zadałaś dobre pytanie, dziewczyno — powiedziała. — Ale według praw kontaktów kosmicznych, cywilizacja, mająca szlachetny cel, zawsze jako pierwsza stara się ustalić kontakt z drugą. Tak było choćby w przypadku kapitana Cooka, który wiozł ze sobą koraliki dla tubylców, a jeśli potrzebujesz przykładów współczesnych takiej dobrej woli, to my, ludzie, notowaliśmy bioprądy mózgow delfinów. Skoro więc cywilizacja coś robi, ale nie dąży do kontaktu, to oznacza, że sprawy mają się kiepsko.

— Kiepsko — potwierdził jeden z nieznaczących.

— A my nie możemy sobie pozwolić na wzbudzenie podejrzeń — kontynuowała staruszka, wcale nie — co już stało się widoczne — szeregową obserwatorką i ornitolog amatorką. W tym momencie Kora jeszcze nie wiedziała, że mając dziewięćdziesiąt lat Ksenia Michajłowna pewną ręką kieruje Galaktyczną Służbą Bezpieczeństwa, której elementem jest rzeczony Interpol. — Musieliśmy rozpracować operację, której celem jest przeniknięcie naszego agenta do obcego świata. Operacja nie została do końca opracowana, ale zniknięcie inżyniera Wsiewołoda Toja zmusza nas do pośpiechu. Obawiam się, że czasu mamy bardzo, ale to bardzo niewiele — możemy oczekiwać niepomysłnych dla nas zdarzeń w każdej chwili. Pani, Koro, musi stać się oczami i uszami Ziemi. Musisz, dziecko, poznać zamiary przeciwnika i pokrzyżować je, albo przynajmniej przekazać te plany nam.

— No, tu już chyba przesadziłaś — odezwał się jeden z nieznaczących panów, będący, o czym Kora nie mogła wiedzieć, wiceprezydentem Galaktycznej Federacji do spraw bezpieczeństwa, szarą eminencją Galaktyki. — Zagalopowałaś się, Ksiusza. Przestraszysz nam agenta.

Prowokacja spełniła swoje zadanie.

— Nie tak łatwo daję się zastraszyć! — oświadczyła Kora.

— Miło mi słyszeć, że wasz agent jest pewny siebie — zauważyła babunia.

— Testowaliśmy Korę w trudnych warunkach — z zadowoleniem oświadczył Milodar. — Postawiła się księciu Wolfgangowi Du Wolfe i jego bandzie na pokładzie „Sanssouci”. Nie każdy dałby radę.

— A nie bała się pani? — zapytał niezauważalny pan. Ten drugi był komisarzem obrony Galaktycznej Federacji, czego Kora nawet się nie domyślała.

— Nawet o tym nie myślałam — przyznała Kora. — Ale tam wszystko było jasne i proste.

— Tu też wszystko jest jasne — zaproponował komisarz przenikniesz do równoległego świata...

— My — przerwała mu Ksenia Michajłowna — chcielibyśmy otrzymać twoją zgodę na niebezpieczny i ryzykowny czyn.

— Ziemia oczekuje na twoją decyzję — podtrzymał babcię komisarz obrony Federacji.

— Ale czy naprawdę nikogo więcej nie macie? — próbowała bronić się Kora. Już, zresztą, powoli się poddając.

— Możemy przygotować i wysłać innego agenta — cierpliwie tłumaczyła babunia. — Ale nigdy nie uda się nam znaleźć takiego wspaniałego kwiatuszka, bezmyślnego i lekkomyślnego.

— Ja jestem bezmyślnym kwiatuszkiem? — z groźbą w głosie zapytała Kora.

— Mamy nadzieję, że wszystkich wokół właśnie o tym przekonałaś. Przecież bardziej bezmyślnego, głupiego i pustego spędzania czasu naprawdę nie można wymyślić — powiedział Milodar. — Kiedy przeglądałem taśmy było mi wstyd, że jesteś moim potencjalnym współpracownikiem.

— A co się tak panu strasznie nie spodobało? — agresywnie zapytała Kora. — Czy nie mam prawa do odpoczynku?

— Koro — jęknęła mądra Ksenia Michajłowna — nie zwracaj uwagi na Milodara. Znam go od trzydziestu lat — bardziej nie wychowanego, gruboskórnego i nieczułego człowieka nie widziałam w życiu. Gdyby nie jego zajadłość, upór i zdolności intryganta, nigdy by nie doszedł do tak wysokiego stanowiska.

Kora całkowicie zgadzała się ze staruszką.

— Dobrze — powiedziała. — Postaram się mu wybaczyć.

— Chciałem tylko powiedzieć — zauważył szary kardynał Galaktyki — że pani, Koro, będzie miała wspaniałą okazję do uratowania świetnego inżyniera i miłego kompana Wsiewołoda Toja. Sądzę, że pani przyjaciółka Weronika pęknie z zazdrości.

Kora uniosła brew — tak dogłębnego przeniknięcia do swojej duszy nie oczekiwała od żadnego mężczyzny. I wcale nie chciała, by mężczyźni do jej duszy przenikali.

— To nie należy do sprawy — rzuciła ostro.

— Słusznie — zgodził się sprytny kardynał.

— Opowiedzcie mi, co mam zrobić — powiedziała Kora. — Przecież zanim się zgodzę muszę przynajmniej wiedzieć, na co się decyduje.

— Na czyn bohaterski — powiedziała zwyczajnie Ksenia Michajłowna.

— Wszystko ci wyjaśni komisarz Milodar — powiedział komisarz obrony.

Następnego ranka Kora obudziła się w swoim pokoju i w żaden sposób nie mogła zrozumieć, jaka część z tego, co pamiętała, miała miejsce w rzeczywistości, a jaka jej się przyśniła. Najpierw przyjęła, że przyśnił się jej tragiczny lot inżyniera Toja na ornitopterze, ale zaraz usłyszała za ścianą głucho szlochanie Weroniki i rozumiała, że to, niestety, nie tak. Nie, uznała Kora, przyśniły mi się wydarzenia z nocy — wizyta Kseni Michajłownej i rozmowa z Milodarem... Ale w miarę, jak się budziła, coraz wyraźniej rozumiała, że nocnej rozmowy z szefami bezpieczeństwa Galaktyki raczej nie można uznać za sen. Czy naprawdę żyje w takim, zwariowanym świecie i zagraża jej inny świat, nie mniej zwariowany? O nie!

Ostatnia myśl przybrała postać okrzyku, i to tak głośnego, że Weronika przestała szlochać i zapomniawszy się ubrać przybiegła do pokoju Kory.

Weronika była nieuczesana, oczy miała zaczerwienione, zaryczane. „Biedna dziewczyna — pomyślała Kora. — Po raz drugi, jak ją znam, traci ukochanego! Jakże trudno to znieść”.

— Co się stało? Przyśniło ci się coś strasznego? — Weronika na dodatek troszczyła się jeszcze o nią!

— Wybacz, jeśli cię obudziłam — powiedziała Kora. — Przyśnił mi się jakiś koszmar.

— O Wsiewołodzie, prawda?

— O Wsiewołodzie.

— Myślisz, że zginął?

— Mam nadzieję, że żyje.

— Zmienił się w mewę? — z goryczą zapytała Weronika.

Kora dała Milodarowi słowo, że nikomu ze znajomych i przyjaciół nie powie o hipotezie Intergpolu. A taką miała ochotę uspokoić Weronikę.

— Zdecydowałam, że wyjeżdżam — powiedziała ta, nie doczekawszy się odpowiedzi Kory.

— Słusznie — zgodziła się Kora.

— Jedziesz ze mną?

— Pojadę do Jałty — powiedziała Kora.

„Dlaczego muszę kłamać? Po co dałam to słowo?”

I od razu przypomniały jej się ostatnie słowa Milodara:

„Będziesz miała ochotę podzielić się z kimś swoją tajemnicą. Najpewniej z Weroniką. Ale zanim otworzysz usta, proszę, pomyśl, że od każdego twego słowa, szczerze to mówię i bez żartów, zależy los Ziemi. Weronika może okazać się nie Weroniką, to raz. Po drugie, może was ktoś podsłuchać... Nie wiem, co jeszcze może się wydarzyć, nie jestem jasnowidzem, nie znam możliwości naszego przeciwnika. Błagam cię więc — po raz pierwszy w życiu — błagam, byś nie zdradziła się ani słowem...”

— A co ty zgubiła w Jałcie? — zdziwiła się Weronika.

— Chcę jeszcze posiedzieć na południu... ale nie tu.



— Może pojedę z tobą?

No masz, tego jeszcze brakowało!

— Idź lepiej pod prysznic — poradziła Kora przyjaciółce.

Weronika przeciągnęła się — w czasie pobytu tu opaliła się pięknie, ślad po majteczkach białą odcinał się od reszty opalonego ciała. Kora przypomniała sobie niemal już zapomnianą scenę: stoi w jasno oświetlonym taksydermicznym muzeum księcia Wolfganga Du Wolfe'a i patrzy na wypchaną piękną akrobatkę Clarence, zamordowaną przez księcia... Miała taką samą figurę jak Weronika.

— Nie złość się — powiedziała wyczuwająca coś Weronika. — Nie pojedę z tobą do Jałty, nie będę się pakowała w twoje życie osobiste... Polecę na Marsa, wiesz, że buduję tam pracownię. I w pracy poszukam ukojenia.

— A jeśli Wsiewołod się odnajdzie, dać mu twój adres na Marsie?

— Tego jeszcze brakowało! — Weronika wyduła zmysłowe wargi. — Nie wybaczam mężczyznom, którzy powodują, że cierpię.

Pobiegła pod prysznic. Szybko znajdzie pociechę w marsjańskich sprawach, zawiruje w otoczeniu admiratorów i adoratorów — w końcu była pierwszą partią Marsa!

W nocy Milodar powiedział, że próba przejścia Kory do paralelnego świata odbędzie się za dwa dni. Ale już z samego rana wydarzenia nabrały tempa.

Śniadanie jadły, jak zwykle, w kawiarni.

Przy sąsiednim stoliku usiadła Ksenia Michajłowna. Wszyscy się z nią witali, ale Ksenia Michajłowna była smutna.

— Byłam przeciwna pośpiechowi — powiedziała do Kory, gdy obie nalewały sobie herbaty ze wspólnego samowara. — Ale przyjdzie ci udać się tam już dzisiaj.

Kora nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała od babuni. Co prawda już wiedziała, że obłuda jest zaletą szpiega. A staruszka była agentką od siedemdziesięciu chyba lat...

Nie doczekawszy się przyjaznej reakcji ze strony królika, babusia szybko szepnęła:

— Zostań z tyłu na głównej alei. Tam będzie ktoś na ciebie czekał. Jasne?

— Jasne — odpowiedziała Kora.

W tym momencie nienawidziła wszystkich tych ludzi i tylko duma i godność osobista nie pozwalały jej odlecieć z Krymu pierwszym samolotem.

Po śniadaniu wszyscy poszli na plażę. Tego ranka nikt nie żartował, nie śmiał się, jak gdyby inżynier mógł usłyszeć to i rozzłościć się.

Kora powiedziała Weronice, że zapomniała w domu książkę, którą chciała dokończyć, i, doczekawszy się, aż wszyscy znikną za zakrętem, zaczęła wolno wracać.

— Koro — szeptem zawołała ją ławeczka. Milodar ukrywał się za nią w zwartym, zmontowanym z twardych listków krzewie. — Usiądź. Udawaj, że się opalasz.

Kora usiadła na ławce. Nie było łatwo udawać, że się opala, ponieważ ławka stała w gęstym cieniu.

— Mam polecenie Galaktycznego Centrum — szeptał Milodar. — Operacja otrzymała status pilnej. Przygotowania zostały skrócone. O trzeciej wykonamy przerzut.

— Jak to? — przestraszyła się Kora. — Nie jestem jeszcze gotowa.

— Nie możemy czekać.

— Ależ ja wcale nie jestem gotowa.

— Zaraz wstaniesz z ławeczki i pójdziesz w prawo po alejce, do posągu Apollina. Obejdiesz posąg i poczekasz. Jasne?

— A może lepiej jutro? — jęknęła Kora, spanikowana z powodu nieodwracalności operacji.

Jakby powiedziano jej, że wizyta u dentysty zostaje przeniesiona z pojutra na dziś.

— Wstań i idź! — polecił Milodar.

Nie pozostało nic innego jak podporządkować się.

Doszła do białej marmurowej rzeźby Apollina. Obeszła ją. Alejka, na szczęście, była pusta. Za plecami Apollina, stojącego pośrodku klombu, znajdowała się pokrywa studzienki kanalizacyjnej. Intuicja zażądała, by Kora stanęła na niej. W tej samej chwili pokrywa runęła w dół, Kora nawet nie zdążyła wyciągnąć rąk, by chwycić się brzegu studzienki.

Pokrywa otworu zrzuciła z siebie pasażera na dnie studzienki i — wbrew prawom grawitacji — runęła w górę by, zajmąwszy swoje stałe miejsce, odciąć Korę od świata. Na szczęście dziewczyna nie potłukła się, ponieważ na dnie studzienki pochwyciły ją silne męskie dłonie.

Zapaliło się światło. Kora stała na betonowej podłodze tunelu.

— Witamy w naszych progach — powiedział pulchniutki, krągłutki bard Misza Hofman.

— A ty co tu robisz? — zdziwiła się Kora. — Przecież byłeś w kawiarence.

— Wybacz, że nie przedstawiłem się od razu. Dopiero przed chwilą komisarz powiedział mi, że pracujesz w naszej firmie — powiedział Misza. — Myślałem, że jesteś cywilem, po prostu wypoczywająca tu laseczką.

— No i pomyliłeś się — wtrącił się Milodar. — A na ludziach powinieneś się znać. Kora jest naszym stałym współpracownikiem. Ma podziękowanie dowództwa za likwidację Karpuszy Du Wolfe'a.

— No to wybacz, koleżanko — powtórzył Misza. A spojrzenie jego, przedtem roztargnione i lekkomyślne, promieniało koleżeńskim ciepłem. Kora, która jeszcze nie tak dawno odrzucała sam pomysł współpracy z policją, nagle odczuła wyraźnie owo ciepło. Zawsze miło jest dobrze wyglądać w obcych oczach, nawet w oczach agenta policji.

— Chłopcy i dziewczęta — przywołał ich do porządku Milodar. — Pilnie udajemy się do ośrodka przygotowania do przerzutów. Mamy do dyspozycji trzy godziny. Potem Kora przemieszcza się do paralelnego świata.

— No nie! — obruszył się Misza. — Tak nie wolno. Mimo pańskich zapewnień, komisarzu, wiem, że Kora nie została przygotowana do operacji polowych.

— Ona jest stworzona do operacji polowych!

— Nie pozwolę ryzykować życia tej wspaniałej dziewczyny!

Kora obdarzyła Miszę ciepłym spojrzeniem. I mimo że bard był znacznie niższy od niej i gruby, Kora pomyślała, że nie wygląd stanowi o mężczyźnie. Przecież i Tamerlan, i Napoleon byli niewysocy. A jakie kobiety wiły się u ich stóp!

Milodar tymczasem szybko przemierzał niski tunel. Korytarz był wykuty w skale, na pewno miał jakąś racjonalną funkcję, będąc kolektorem różnych sieci — ciągnęły się nim najprzeróżniejsze kable i rury — a poza tym służył jako środek komunikacji służb wywiadowczych i tajnych. Szczególnie miał się przydać w operacji „Świat Równoległy”.

Jednakże ośrodek dyspozycyjny operacji mieścił się nie w wąskim i ciasnym tunelu, a nieco dalej, w piwnicy willi „Ksenia”, dokąd dotarli po jakichś dwustu metrach.

Piwnica willi, jak wyjaśnił po drodze Milodar, przez długie lata wykorzystywana była jako magazyn sklepu, zajmującego parter budynku. Teraz, w obliczu zagrożenia ze świata równoległego, magazyn został niezauważalnie przeniesiony na drugie piętro, a w obszernej piwnicy ulokowano aparaturę do podsłuchu i podglądu, która kontrolowała zarówno Ptasia Twierdzę, jak i tę najbliższą urwiska część morza.

Przy komputerach i ekranach siedzieli pracownicy Interpolu, i nikt z nich nawet się nie

odwrócił, kiedy Milodar i jego towarzysze weszli do sali. Tylko wysoki staruch z bródką dokładnie jak u amerykańskiego Wujka Sama, w niebieskim fartuchu, marszowym krokiem zbliżył się do nich, podał komisarzowi wydruk i zakomunikował:

— Tu są ostatnie dane co do napięcia pola i ucieczki masy.

Milodar udał, że uważnie przegląda liczby, następnie odłożył kartkę na najbliższe biurko i zwrócił się do starca:

— Wszystko to wygląda przyjemnie. Rzekłbym nawet — przekonująco. Ale proszę mi lepiej powiedzieć: czy możemy narazić naszego pracownika na śmiertelne niebezpieczeństwo?

Głos Milodara zadrżał, chwycił mocnymi palcami łokieć Kory i przesunął ją tak, by stała przed starcem. Jakby po to, by ten lepiej się przyjrzał cierpięcicy.

Ale Kora już zaczynała przyzwyczajać się do tego, że komunikaty Milodara często są emocjonalnie wzmocnione i nie zawsze odpowiadają tej tragicznej treści, jaką niosą.

— Nie odnotowaliśmy jakichś zasadniczych zmian — odpowiedział starzec. — Ale stale odnotowujemy obecność obcego mocnego pola.

— To znaczy, że oni nie odeszli, zamykając za sobą przejście?

Starzec z kozią bródką, jakby ogarnięty zwątpieniem, odwrócił się do migoczących ekranów i dobre dwie minuty uważnie się im przypatrywał, wolno przesuwając wzdłuż ich szeregu.

— Wszystko w porządku — zapewnił Milodara. — Ciągłe tu są.

— Dla mnie to kamień z serca — rzekł komisarz. — Bo to wiadomo, rzucimy pracownika z urwiska, a tamci zapomną ją chwycić...

— Kogo pan umyślił rzucić, komisarzu? — zapytał starzec.

— Oto ona, moja biedna dziewczynka — odparł Milodar. — To ją będziemy rzucać.

— Może jakoś unikniemy tego okrutnego dość sposobu? — zapytała uśmiechając się krzywo Kora.

— Innego sposobu nie widzimy — odpowiedział Milodar. — Zwróć uwagę na istniejącą prawidłowość — nasi sąsiedzi są w pewnym sensie humanitarni. O ile nam wiadomo, nie ukradli dotychczas ani jednego człowieka, który — powiedzmy — wyszedł po prostu pospacerować sobie po ulicy. W każdym razie my nie znamy takich przypadków. Chwytają natomiast i zabierają do siebie takich osobników, którzy z tego czy innego powodu znajdują się na, lub poza krawędzią śmierci.

— Mamy tylko jeden przykład — inżynier Wsiewołod Toj — powiedziała Kora.

— Bzdury! Zapominasz, czego cię uczono. Niemal na pewno dla tych, co przenoszą naszych rodaków, czas nie stanowi nieprzeniknionej granicy. W oddziaływaniu naszych światów jest im dokładnie wszystko jedno — miało miejsce dane wydarzenie tysiąc lat temu, czy dopiero wczoraj, na przykład. Dla nich ważne jest tylko miejsce zdarzenia. A czas jest obojętny. I to jest wspaniałe odkrycie!

— Nie rozumiem — szczerze przyznała Kora. — Ja, co prawda, powyżej czwórki z fizyki nie wylazłam, ale zapewne moje szkolne sukcesy, czy może ich brak, nie wpływają na zrozumienie tego?

— Oczywiście, że nie — zapewnił ją Wujek Sam. — A przy tym, szczerze mówiąc, nie znoszę prymusów.

— Och, jak ja pana rozumiem! — ucieszyła się Kora.

— No to jak — nagadaliście się? — zapytał Milodar. — Więc chodźmy do medyków. Nie powinniśmy marnować ani minuty.

Medycy zajmowali sąsiednią piwnicę. To tu znajdował się jeszcze nie tak dawno magazyn drogerii, pachniało mydłem i szamponem. Ściany pokrywała błyszcząca biała farba, nie było to specjalnie przyjemne, ponieważ światło lamp odbijało się od nierówności ścian i oślepiało.

Tutaj ponownie pojawił się Misza Hofman. Tym razem był w samych kąpielówkach i leżał na stole operacyjnym, skierowawszy ku sufitowi swój oklapnięty brzusek. Kora nie cierpiała niczego, co było związane z medycyną i od razu poczuła się gorzej.

— Co nam zrobicie? — zapytała słabym głosem.

— Każdemu według zasług — odpowiedział Milodar. — Dobrze mówię?

Chirurg — goryl z przesadnie wielkim podbródkiem i utopionymi w oczodołach ślepiami — w milczeniu skinął głową i zwrócił się do Miszy Hofmana:

— Wytrzymasz, czy dać ci narkozę?

— A będzie bolało? — zapytał Misza.

Kora z pewną ulgą pomyślała, że nie tylko ona straciła ducha walki.

— Idziemy, idziemy — Milodar pociągnął Korę do innego pomieszczenia, gdzie doszło do nieoczekiwanego, ale miłego spotkania.

— Ach! — zawołała na widok Kory istota z ogromnymi fasetowymi, jak u ważki, oczami, istota tak cienka w talii, że wydawało się, iż górna połowa oderwie się od dolnej i zacznie istnieć samodzielnie.

— Vanessa! — I Kora z ulgą uświadomiła sobie, że jej stara przyjaciółka, czarnoskóra mucha Vanessa, nie pozwoli jej skrzywdzić.

Objęły się z Vanessą, ku niezadowoleniu Milodara, który nie znosił marnowania czasu.

— Do roboty! — polecił.

— Naradzaliśmy się z profesorem Pirogowem — powiedziała Vanessa — i zdecydowaliśmy, że obejdziemy się bez implantów dla Kory Orwat.

— Akurat, jeszcze czego! Przecież chodzi o to, żeby przez nią otrzymywać informacje.

— Jeśli oni są wystarczająco rozwinięci, by korzystać z przejścia między równoległymi światami — zahuczał Pirogow, zdobny w ogromniaste bokobrody — to bez wątpienia dokonają badania ciała naszego agenta i wykryją w nim aparaturę. I tu nastąpi koniec funkcjonowania agenta.

— Bez paniki. Póki oni będą badać i analizować — odrzekł Milodar — my będziemy otrzymywać bezcenne dane.

— Ale agent będzie spisany na straty! — zawołała Vanessa.

— Ten agent na razie nie jest czymś cennym — odparł Milodar, a kiedy wszyscy obecni, poza Korą, zaczęli syczeć i krzyżeć, o humanizmie, o zdrowym rozsądku, Milodar machnął ręką i powiedział: — Róbcie jak uważacie! Wszyscy tu są tacy mądrzy, a jak przyjdzie co do czego, to ja będę odpowiadał.

Wyszedł z pokoju. Kora usłyszała jak w pokoju obok ze swego łóżka boleści Misza Hofman pyta go:

— Dlaczego pan wyszedł, komisarzu? Chciałem panu zadać kilka pytań! A pan mi odpowie — tak albo nie!

Ale Milodar nie zatrzymał się, jego kroki ścichły w oddali...

— Jedyne co zrobimy, kochana — zaszeleściła ciemnoskóra mucha Vanessa — to wprowadzimy w twój organizm miniaturowy nadajnik — żebyśmy wiedzieli, że żyjesz, i żeby mieć pojęcie przynajmniej, w jakiej odległości jesteś i w jakim kierunku od nas. Chociaż, rzecz jasna, te dane mogą być niedokładne: nie wiemy przecież czy przestrzeń w ich świetle nie zakrzywia się.

— No właśnie — powiedziała Kora. — To może obejdziemy się bez nadajnika?

— Jest malutki i wykonany z tkanki żubrobizona, więc żadne badania go w twoim organizmie nie wykryją. I może się okazać, że dla ratowania ciebie będziemy musieli znać twoje zamiary.

W tym momencie Kora zaniechała oporu i pozwoliła wykonać egzekucję — dano jej do

połknięcia mała ampulkę, w której ukryty był wykonany z kości nadajnik.

Do pokoju zajrzał Misza Hofman, był blady, ale dziarski.

— Ty też przenikasz do paralelnego? — zapytała go Kora, czując pewne takie ukąszenie zawiści — przecież to ona miała dokonać czynu bohaterskiego i w imię pomyślności Galaktyki.

— Jestem kimś w rodzaju kosmonauty dublera — odpowiedział Misza. — Jeśli coś ci się, nie daj Bóg, przydarzy, to ja walę za tobą. Już nie możemy pozwolić sobie na niekontrolowanie tego obiektu.

Po zakończeniu operacji „Połykanie” Kora została kompleksowo zaszczepiona przeciwko wszystkim znanym bakteriom i wirusom. To tak na wszelki wypadek, gdyby którąś czy któregoś spotkała tam, za zakrętem. Następnie wykonano jeszcze jedną serię iniekcji — a mianowicie: od dziś w przeciągu całego miesiąca zapotrzebowanie Kory na sen, pożywienie i wodę ulegną dziesięciokrotnemu zmniejszeniu w porównaniu do stanu normalnego. Jednocześnie jej aktywność i dobre samopoczucie ulegną zwiększeniu.

Po tych zabiegach Kora zasnęła na pół godziny, a obudził ją dobrze znany miły głos.

— Czas, Koro, czas — powiedziała Ksenia Michajłowna, pochyliwszy się nad leżanką.

Kora poderwała się na równe nogi z twardego legowiska. Czowała się lekko i bezcieleśnie, jakby znowu miała trzy latka, kiedy to mogła skakać cały dzień bez przerwy, nie odczuwając zmęczenia.

— Zapoznam cię ze scenariuszem przejścia, a ty, proszę, sprzeczasz się, kłóć — mamy pół godziny na osiągnięcie porozumienia.

— A komisarz Milodar wróci tu jeszcze? — zapytała Kora.

— Komisarz Milodar odleciał — odpowiedziała babcia. — I sądzę, że dobrze się stało, bo on działa ci na nerwy w sytuacjach stresowych.

Uśmiechnęła się przebiegle, a Kora szczerze powiedziała:

— Dziękuję pani, Kseniu Michajłowno.

I nagle Kora przypomniała sobie, że jest kobietą dorosłą, mądrą, której zaproponowano udział w śmiertelnie niebezpiecznej awanturze, motywując to koniecznością ratowania Ziemi i całej cywilizacji. A tak naprawdę to przyciskano tylko klawisz żądy przygód, który został odkryty w jej duszy.

— Proszę mi wybaczyć — zwróciła się do Kseni Michajłownej. — Przypuśćmy, że zgodziłam się i trafiłam do równoległego świata. To oznacza, że on istnieje naprawdę i nawet wciąga stąd naszych ludzi. No i trafiłam tam. I co dalej?

— Dalej wszystko jest proste, jak w zwyczajnym romansie szpiegowskim — odpowiedziała babunia z rodziny Romanowych. — Musisz wniknąć w ten świat, to znaczy w miarę możliwości zrozumieć, czego oni od nas chcą, w miarę możliwości oszacować zagrażające nam z powodu istnienia tego świata niebezpieczeństwo. Następnie przy pomocy Miszy Hofmana, albo sama, musisz dać nam znać o sobie. I najważniejsze, czego od ciebie wymagamy — wrócić żywa by dać nam możliwość przesłuchania ciebie i zbadania.

— A po co to badanie?

— Z kilku powodów, których sama możesz się domyślić. Po pierwsze, powinniśmy wiedzieć, czy nie stałaś się ofiarą obcych nam wirusów i chorób, czy nie jesteś Biologicznym zagrożeniem dla Ziemi.

Kora wzdrygnęła się. Własny los wydawał jej się teraz znacznie gorszy niż jeszcze godzinę temu.

— Po drugie — ciągnęła babcia żelaznym głosem — musimy się upewnić, czy nie jesteś agentem, być może nieświadomym agentem tego obcego nam świata, czy nie stałaś się psychologicznym niewolnikiem? Przecież to by było niebezpieczne, prawda?

— A jeśli trzeba będzie zlikwidować takiego agenta? — zapytała Kora niemal poważnie.

I otrzymała całkowicie poważną odpowiedź:

— Bardzo byśmy nie chcieli likwidować ciebie. Jesteś świetną dziewczyną.

— Wszystko, jasne — powiedziała Kora. — Jak rozumiem, o moje zdanie już nikt nie pyta!

— Chcielibyśmy, żeby ta decyzja była całkowicie dobrowolną. A na razie, jak gdyby nigdy nic, pójdziesz z całym swoim towarzystwem na obiad.

Kora poszła na obiad razem ze wszystkimi, do tatarskiego baru na dolnej drodze.

Misza Hofman, etatowa dusza towarzystwa, był zasmucony — powiedział, że wzywają go do Moskwy, gdzie jego obecność jest niezbędna na próbie dnia Marynarki Wojennej. Myśliwy przyszedł bez dziewczyny, powiedział, że się przeziębiła. Poeci wymieniali uwagi głośnym szeptem: wymyślili, że pogrąją w *burime* i to pozwoli im — taką mieli nadzieję — stworzyć poemat o współczesnym Ikarze, który stał się ptakiem.

Kiedy wyszli z baru, przy wyjściu natknęli się na grubą kobietę z narzuconym na ramiona kaszmirowym szalem. Kobieta sprzedawała wspaniałe dalie.

— Ach — powiedziała Kora wyuczony tekst ze scenariusza. — Co za piękne kwiaty!

Wszyscy zgodzili się, że kwiaty są naprawdę rewelacyjne.

Zgodziwszy się ruszyli wolno deptakiem, rozważając warianty spaceru — do morza czy w góry. Takie zachowanie było niezgodne ze scenariuszem Kseni Michajłownej, która uważała, że ktoś z towarzystwa na pewno kupi dalie u agentki Melanii Johnson, specjalnie podstawionej z kosztem kwiecica z nikitskiego ogrodu botanicznego.

Ale Ksenia Michajłowna liczyła też na lotność Kory. I nie zawiodła się.

— Jeśli nikt z mężczyzn nie domyślił się, że można kupić nam po kwiatku, to zrobię to sama! — zawołała i wybrała ogromny bukiet, z powodu roztargnienia zapomniawszy nawet udawać, że płaci za dalie.

Uczył to Misza Hofman, który domyślił się już w tym momencie, że zakup wchodzi w generalny plan Intergpolu.

Kilku zawstydzonych mężczyzn zatrzymało się, nie wiedząc — kupić resztę kwiatów, czy zwrócić Miszy pieniądze. Póki zastanawiali się Kora kontynuowała grę:

— Weroniko — oświadczyła. — Czuję, że wiem, co powinniśmy zrobić z tym bukietem!

I nagle Weronika, jakby odgadując myśli Kory, podegrała jej odpowiednią kwestię:

— Ja też wiem! — powiedziała. — Zaniesiemy je do Ptasiej Twierdzy i podarujemy Wsiewołodowi.

— Właśnie! Podarujemy Wsiewołodowi.

Kora poszła przodem, niosąc połowę bukietu. O krok z tyłu — Weronika, niosąca drugą połowę. Za nimi, leniwie rozmawiając o swoich sprawach, szli mężczyźni.

— Gdybym dziś znikła — skomentowała ich zachowanie zadziwiająco wyczulona na takie rzeczy Weronika — To jutro by już o mnie nie pamiętali.

— O nie — postarała się pocieszyć ją Kora. — Zbyt ładna jesteś. Ciebie nie zapomną tak od razu.

Weronika nie odpowiedziała. Nie wiedziała, czy ma być wdzięczna Korze za uznanie jej urody, czy obrazić się za sformułowanie „tak od razu”, oznaczające w sumie, że zapomnienie jest nieuchronne.

Słońce już pozbawiło niebo porannego błękitu — gdy znaleźli się na ścieżce prowadzącej do Ptasiej Twierdzy stało się jasne, że dzień zapowiada się upalnie. Placyk z zachowanymi gdzieniegdzie kamiennymi płytami już się nagrzał, pył, wzbijany stopami ludzi pachniał słodko i gorąco. Daleko w dole, niebieskie w cieniu skały Dewa, znieruchomiało morze.

Kora nie miała odwagi pierwsza podejść do urwiska — to było uczucie znane każdemu początkującemu spadochroniarzowi, który zawsze szuka jakiegoś ciemnego kąta w trzewiach samolotu, mając cichą nadzieję, że nie zauważą go i zapomną o nim.

Ale kątem oka nie mogła nie widzieć Kseni Michajłownej, która dołączyła do towarzystwa, tej staruszki, tak wczoraj miłej i dobrej, a dziś wyglądającej trochę jak kat, trzymający w ręku zwiniętą i czekającą okazji pętlę.

Natomiast Weronika, całkowicie nieświadoma burzy uczuć w duszy Kory, odważnie podeszła do urwiska i położyła bukiet na kamiennej balustradzie, oddzielającej placyk od przepaści.

— Kochany Wsiewołodzie — wyrecytowała Weronika, wpatrując się w bezkresne niebo. — Gdybyś jakimś astralnym sposobem słyszał nas, to wiedz, że nasze uczucia i dźwięki mowy dochodzą do ciebie, do Walhalli.

— Jaka odczytana dziewczuszka — Misza Hofman uznał za konieczne skomentowanie słów Weroniki. On dobrze wiedział, co to jest Walhalla, przerabiał to w studium chóru na zajęciach z literatury muzycznej. A ponieważ w domu również wykładano to na lekcjach dla dzieci z muzycznym słuchem, to i Kora wiedziała czym jest Walhalla, i Weronika.

— Nie przerywaj! — warknęła ta ostatnia. — Tak można zepsuć każdą pieśń.

— Rzeczywiście, ma rację, młody człowieku... — dodała z wyrzutem Ksenia Michajłowna.

Kora wyczuwała, że szefowa wywiadu jest zainteresowana w tym, by naiwna Weronika stworzyła sprzyjającą eksperymentowi atmosferę.

— O, niech leci dar nasz, drogi lotniku, niech odszuka człowieka wśród obłoków i ptaków, niech przyłgnie do bezcielesnego serca...

Weronika chwyciła bukiet, zaczęła wyszarpywać zeń pojedyncze kwiaty i ciskać je w przestrzeń, jakby siała pszenicę.

— Ale czy oni stale dyżurują? — zapytała cicho Kora, choć problem ten był nie raz podnoszony minionej nocy. — A jak nie zauważą?

— Na pewno ktoś obserwuje — szepnęła w odpowiedzi Ksenia Michajłowna. — Przecież wiesz, że dobrze ich pilnowałam!

— Boję się.

— Rozumiem cię, ale tylko ty możesz to zrobić. Naprzód!

Ostatnie słowo pasowałoby bardziej do konia, ale i Kora podporządkowała się mu, jak koń. Być może zaaplikowano jej jakieś środki, które spowodowały okłapnięcie jej ducha.

Teraz miał nastąpić ten przypadek... wesołe towarzystwo podeszło do urwiska, żeby uczcić pamięć zaginionego wczoraj inżyniera, ale nagle stało się coś nieprzewidzianego...

— Naprzód! — powtórzyła Ksenia Michajłowna, nie dbając o to, że ktoś ją usłyszy.

— Stój! — przypomniała sobie Kora wyuczone słowa i działania zaplanowane w scenariuszu. — Pozwól, że i ja rzucę. Ja też chcę!

Wyrwała z rąk Weroniki ostatni kwiatek i zręcznie wskoczyła na kamienny parapet. Cisnęła kwiatek daleko przed siebie, tak by stracić równowagę... ale w ostatniej chwili instynkt samozachowawczy okazał się silniejszy.

Ciało jej, już niemal gotowe do upadku w przepaść, zaczęło konwulsyjnie wyginać się na skraju urwiska, starając się zachować równowagę, i być może nic by z tego skoku do piekła nie wyszło,



gdyby nie niezgraba Misza Hofman, który rzucił się do Kory z krzykiem:

— Uważaj! Spadniesz!

Jednym skokiem znalazł się przy nogach dziewczyny i usiłował chwycić ją, ale tak niezręcznie, że pchnął ją przed siebie — wystarczająco mocno, by Kora ostatecznie straciła równowagę i niczym ptak poleciała w przepaść, wolno obracając się w powietrzu, jakby nie była człowiekiem, a szmacianą laleczką, którą pochwycił poryw wiatru i na chwilę niemal powstrzymał jej opadanie w dół, jakby starał się zwrócić ciało na placyk twierdzy... ale bez powodzenia. I w straszliwej, fatalnej, koszmarnej ciszy, której okropność ogarnęła nie tylko ludzi, ale i ptaki, a nawet owady, Kora zaczęła opadać coraz szybciej, pędząc ku morzu czy kamieniom, odgradzającym skałę od wody.

A kiedy jej ciało zbliżyło się do wody, błysnęło nagle jaskrawym światłem, tak jasnym, że wszyscy, wpatrujący się z przerażeniem w owo spadanie, odruchowo zamknęli oczy. A kiedy je otworzyli — po sekundzie, czy kilku sekundach, po Korze zostało tylko niejasne i niknące w oczach lśnienie, powidok, pamięć o lśnieniu...

Ale morze nie zakołysało się od uderzenia weń ciała, krew nie bryznęła na głazy, i tylko kilka przestraszonych upadkiem dziewczyny mew odleciało dalej w morze, i nie wiadomo było, czy znajduje się wśród nich duch Kory...

Na szczęście dla siebie Kora nie zdążyła dobrze uświadomić sobie, że ginie, ponieważ w jej świadomości wymieszały się: przekonanie o własnym bezpieczeństwie, gwarantowane przez Ksenię Michajłownę, i zwyczajny strach człowieka, który został strącony z olbrzymiej skały.

W miarę jednak spadania, a zajęło to jakieś dziesiąte części sekundy, gdy bezwładne ciało Kory zbliżało się ku śmierci, rozum, nie mogąc pokonać przerażenia i przyciągania ziemskiego, odmówił rejestrowania i rozumienia przebiegu zdarzeń. A włączył się dopiero po tym, jak Kora rozbiła się o skały, utonęła w morzu czy zmieniła się w ptaka — to znaczy po tym, jak stało się Coś...

Kora otworzyła oczy.

Leżała na zboczu wzgórza czy góry, a może po prostu na stoku. Tuż przy otwartych oczach rosła wysychająca, bura trawa, niebo wyglądało zwyczajnie, letnio, może nieco za bardzo szaro niż powinno. Powietrze było gorące... nie, było inne niż u nas na Ziemi, dodano doń jakichś niezbyt miłych zapachów, do czego przyjdzie się przyzwyczaić. Ale generalnie to żadnych specjalnych zmian w otaczającym świecie nie odnotowała — to znaczy, świat równoległy okazał się być światem naprawdę równoległym, a nie przecinającym i nie skośnym, jak można się było tego obawiać.

Następnie Kora zrozumiała, że potłukła się. Mimo wszystko był to upadek — niezbyt silny, niezbyt bolesny, ale miała podrapany łokieć, a łydką uderzyła o kamień.

Usiadła masując łydkę.

Dookoła było pusto. Nikt się jej nie przyglądał, nikt nie krążył nad jej głową, jeśli nie liczyć drapieżnej kani czy jakiegoś podobnego ptaka, szybującej wysoko nad górą podobną do Aj–Petri.

„Dziwne — pomyślała Kora. — Przypuszczałam, że światy równoległe będą identyczne. Byłam przekonana, że znajdę się na Krymie, w Simeizie, tylko nieco innym Simeizie, i nawet spotkam tam swoich przyjaciół, a może nawet samą siebie...”

Kora przyjrzała się słońcu, było jakieś matowe, wyblakłe, jakby gdzieś nieopodal szalała burza piaskowa. Obok jej nogi przebiegła mrówka, zupełnie taka sama jak na Ziemi, włókła igłę sosnową, też identyczną jak ziemską. Te podobieństwa były pocieszające. Chociaż nie wykluczały wcale istnienia potworów.

Przemógłszy ból stłuczonej łydki Kora podniosła się. Z niewiadomego powodu nie odczuwała strachu, może dlatego, że był środek dnia, lato, świeciło słońce i mrówki zajmowały się swoimi sprawami.

Łokieć już prawie nie bolał i nie krwawił, łydka skrzypiała, ale umiarkowanie.

Stojąc, Kora rozejrzała się.

Okolica jakoś przypominała krymską, ale nie pejzaż Simeizu, a bardziej na wschód położone brzegi, gdzie góry przestają być ostre, strome i spływają ku morzu, jak fale z owsianki. Ale morze pozostało morzem również w paralelnym świecie — tak samo leniwie chwyciło na czubki fal osłepiające słoneczne zajęciki.

Ponieważ nikt nie śpieszył z zapraszaniem do rozkoszowania się urodą i osiągnięciami nowego

świata, ale też nikt nie atakował Kory, to nie pozostało jej nic innego, jak ruszyć gdzieś w górę, w głąb łądu.

Im wyżej podchodziła, tym upał stawał się bardziej nieznośny, tym gorliwiej brzęczały dookoła muchy i gzy, i tym mocniejsze było wrażenie, że wszystko, co się teraz z nią dzieje jest jakimś głupim żartem, złośliwym dowcipem, czy to powstałym w jakimś niedobrym celu w trzewiach policji, czy wymyślonym przez kogoś z kolegów z wesołego towarzystwa.

Pierwszą większą istotą, na jaką natrafiła Kora na podejściu, był wyglądający spod kamienia skorpion — w życiu nie widziała na wybrzeżu skorpionów. Skorpion nie był specjalnie wielki, ale wystraszył ją mocno, znacznie mocniej niż skok z urwiska. Dobrze przynajmniej, że została wyposażona w odzież, która — by nie zauważył nikt z otoczenia — przypominała jej stare zwyczajne ubranie, ale różniła się od niego wytrzymałością i była przystosowana do ekstremalnych sytuacji. Pantofelki, na przykład, na oko były takie same, jak te wczorajsze, a w rzeczywistości ich szorstka podeszwa, podobnie jak taśma klejąca, mogła utrzymać Korę na pionowej skale czy ścianie. Podeszwy miały wystarczyć na dziesięć tysięcy kilometrów drogi w najgorszym z możliwych terenie.

Tak więc Kora, ominąwszy skorpiona dużym łukiem i starając się już więcej nie zbliżać do podejrzanych kamieni, pognąła na szczyt wzgórza w nadziei na znalezienie drogi albo jakichś ludzi, którzy wreszcie wszystko jej wyjaśnią.

Dotarła tak do osypiska, szerokiego i jasnego, błyszczącego lekko w słońcu. Nad osypiskiem latały muchy, Kora zdecydowała więc, że ominie to miejsce możliwie ostrożnie, ponieważ jeśli skorpiony, tarantule i żmije gdzieś tu się lokowały, to takie rumowisko musiało być ich wymarzonym domem.

Ale nie odeszła daleko, ponieważ osypisko, a właściwie jego kamienie przyciągnęły jej uwagę. Były wyraźnie obrobione, i to tak interesująco, że — mimo zagrożenia — Kora ostrożnie zbliżyła się do tego miejsca.

Całe osypisko, mające jakieś dwieście metrów długości i niemal tyle samo szerokości, składało się z wyrzeźbionych w marmurze, gipsie i brązie ludzkich głów oraz innych części ciała, należących do tego samego człowieka, chociaż co do tego ostatniego pewności nie było. Wyglądało to najbardziej na odpady z pracowni zwariowanego rzeźbiarza, którego ciągle nie satysfakcjonowała własna praca i, zakończywszy swoje kolejne dzieło, czyli popiersie stałego modelu, wpadał w szal, walił w dzieło młotem, a potem zrzucił z urwiska.

Kora przyjrzała się zachowanej lepiej od innych głowie, ta tylko na nosie i włosach nosiła ślady uderzeń. Należała do człowieka w średnim wieku, z niskim wypukłym czołem, krótkimi jak wełniany berecik włosami, pulchnymi murzyńskimi wargami i wąsami pod bulwiastym nosem. Oczy były małe i głęboko osadzone, kryły się w cieniu krzaczastych brwi.

Nieopodal leżał posąg tego samego człowieka, tym razem rzeźba przedstawiała całą postać. Człowiek ten miał na sobie garnitur typu mundurowego, a może właśnie mundur, i trzymał ręce splecione na brzuchu, brzuch wystawał do przodu, więc ręce znalazły się pod nim, jakby pomagały w utrzymaniu tego balastu, by nie spełzł do kolan.

Ze sterty jednakowych głów sterczała też ręka, wskazująca na niebo. Oczywiście się stało, że w państwie, do którego trafiła Kora, miała miejsce rewolucja i uwolniony od tyranii naród uwolnił się też od pomników tyrana. Takie rzeczy niejednokrotnie miały miejsce na Ziemi; aż do pojawienia się kolejnego zbawiciela czy dyktatora społeczeństwa przemierzały niebezpieczne ścieżki swobód demokratycznych, kiedy monumenty nie były wznoszone. Ale to, co na Ziemi było odległą historią, tu, najwyraźniej, miało miejsce nie tak dawno.

Osypisko posągów i głów przekonało Korę, że nie jest ofiarą jakiegoś żartu, a naprawdę znalazła

się w równoległym świecie.

Kiedy weszła wyżej po zboczu, do miejsca, z którego wylewał się strumień dyktatorskich ciał i głów, odkryła, że znajduje się na drodze, zapuszczonej, co prawda, gdzieś zasypanej kamieniami i porośniętej trawą, ale jednak prawdziwej, asfaltowej, która dokądś prowadziła.

Kora skierowała się drogą na wschód, w kierunku ziemskiej Jałty. Kilka minut szła sobie spokojnie, bez żadnych przygód, ale kiedy droga ominęła wystającą ze zbocza skałę, zobaczyła, ku swojemu zdziwieniu, kolejne osypisko z kamiennych głów i ciał, ale — jak zaraz odkryła — wszystkie popiersia i posągi należały do zupełnie innego człowieka — o wąskim czole i cienkich wargach. I co najważniejsze — drugie zwałowisko powstało znacznie wcześniej niż pierwsze, głowy pozarastały cierniste krzewy i chwasty, przysypała je ziemia i kurz. Wyglądało, że od dobrych kilku lat słońce, wiatr i inne żywioły zajmują się przetwarzaniem tego składowiska w kamienne rumowisko. Ten proces był jeszcze bardziej widoczny w trzecim rumowisku, na które Kora natrafiła po kolejnych pięciu minutach. Głowy brodatego starca z szopą kędzierzawych włosów, tworzące ogromne wzgórze obok drogi, skąd turlały się tysiącami do samego morza, przeleżały tam pewnie dobre dziesięciolecia, i żeby przyrzeć się dokładniej rysom twarzy dawnego dyktatora, Kora musiała przykucnąć i zdrapywać wyschniętą ziemię i odrywać z rzeźb darń.

Zaczynało to wszystko wyglądać na jakiś narodowy obyczaj, Kora uznała, że po kilkudziesięciu krokach zobaczy jeszcze jedno osypisko i tym sposobem, stopniowo pograżając się w otchłani wieków, pozna z twarzy wszystkich władców tego kraju.

Jednakże na trzecim się skończyło — droga wyprowadziła dziewczynę w dolinę, góry rozstąpiły się, nad Korą pojawił się śmigłowiec, wyraźnie zamierzający lądować, a po drodze, wzbijając kurz, pędził zielony samochód, podobny do terenowego gazika, i jednocześnie niepodobny do niego.

Świat równoległy szykował się do powitania gościa, a Kora mogła mieć tylko nadzieję, że spotkanie będzie miało przyjazny charakter. A nie zanosilo się na to. Czegoś w tym powitaniu brakowało — powiedzmy, orkiestry i powolności, która zawsze towarzyszy procesjom o charakterze radosnego święta.

Niestety, przypuszczenia Kory były słuszne — w świecie paralelnym obowiązywały dość surowe prawa: wzbijając kurz śmigłowiec opadł na przydrożny płaskowyż, a z wnętrza zaczęli wysypywać się żołnierze w maskujących mundurach, podobni do nich żołnierze wyskakiwali na drodze z gazika, a wszyscy oni pędzili w stronę Kory, ale kiedy brakowało do niej kilkanaście metrów, zwalili się na ziemię, rozłożyli nogi i skierowali na nią lufy automatów.

— Ręce! — ryknął ktoś przez chrypiący megafon. — Ręce do góry, bo będziemy strzelać!

Kora obejrzała się, ale nikogo poza nią na drodze nie było, zrozumiała, że rozkaz odnosi się do niej. Podniosła więc ręce, czując się jak skończona idiotka — stoi sobie człowiek na południowym brzegu Krymu, ubrany niespecjalnie odpowiednio, nie uzbrojony, nawet bez mikrofonu, nie mówiąc już o pistolecie gazowym, a atakuje go kompania desantowa.

Jako pierwszy odważył się podejść do niej oficer — miał na głowie czapkę z daszkiem i wspaniałym herbem, poza tym złote paski na ramionach, guziki z herbami i błyszczące buty oficerki. Wyposażony był też w obwisłe wąsy i czerwony nos, co znamionowało wiek i doświadczenie życiowe, czego nie mieli szeregowcy.

— Ręce wyciągnąć przed siebie! — polecił.

Kora domyśliła się już, że wlaźła między obce wrony ze swoim krakaniem, a to nie mogło do niczego dobrego doprowadzić, podporządkowała się więc rozkazowi, wyciągnęła przed siebie ręce, nawet nie zadając sakramentalnych pytań, jakich — chyba — od niej oczekiwano: „Gdzie ja jestem? Co się dzieje? Jak pan śmie?” Bez zbędnych pytań i oporu oficer nałóżył na przeguby Kory stalowe

kajdanki i, trąciwszy w ramię, wskazał kierunek poruszania — do gazika.

Tam znalazło się dla niej miejsce między dwoma spoconymi żołnierzami w dawno nie pranych kurtkach i spodniach. Oficer usiadł obok kierowcy, śmigłowiec wzbił się w powietrze, a jeep pognął za nim.

Samochód był wyposażony w prymitywne koła, jak w jakimś filmie historycznym, dlatego podskakiwał na wszystkich nierównościach drogi, żołnierze klęli, i niektóre słowa były dla Kory zrozumiałe i znane jeszcze z czasów sierocińskich, ale inne były całkowicie zagadkowe. Ale tak czy siak, pierwszy i ostateczny wniosek Kory był taki: świat równoległy jest całkowicie nie taki, jaki miał być i kompletnie niezgodny z przewidywaniami pracowników policji i wywiadu, tak przestraszonych z powodu fenomenu ewentualnych nieproszonych gości.

Nawet niedoświadczone oko Kory wychwytywało szczegóły, które świadczyły, że świat ten bardzo jest cofnięty względem naszego w dziedzinie technologii, dodawało to całej historii tajemniczości, którą właśnie Kora musiała rozwiązać, ponieważ jej pomocnik, a może nawet szef, Misza Hofman, dopiero szkolił się w willi „Ksenia”.

Na szczęście, o ile nie była to jakaś diabelska gra przeciwnika, rozmowa toczyła się w języku rosyjskim, i mimo że język ten upstrzony był wieloma obcymi, przestarzałymi, albo po prostu niezrozumiałymi słowami, to generalnie jednak był to język zrozumiały, a to oznaczało (zaciekle na ten temat dyskutowano na Ziemi przed wysłaniem Kory do akcji), że paralelny świat, do którego porywa się ludzi, swoimi losami, swoją historią i zasadami ogólnymi musi przypominać Ziemię. W każdym razie to by bardzo ułatwiło pracę naszych agentów pośród tamtej społeczności.

Tak rozmyślała Kora, nie zwracając specjalnej uwagi na niewygody podróży, nieznanne zapachy, kurz, wulgarne żarty żołnierzy i nawet ich usiłowania wykorzystania ciasnoty tylnego siedzenia do swoich celów. A kiedy jeden z nich za bardzo się rozzuchwiał, Korze udało się taka wolta, w wyniku której ów żołdat huknął czołem w czoło siedzącego po drugiej stronie jeńca kolegi. Oficer zauważył, że za jego plecami odbywa się wojna o charakterze lokalnym, wyrzucił więc żołnierzy z gazika i kazał biec za nim. Tak więc resztę podróży Kora spędziła wygodnie rozwalona na miękkim siedzeniu. Żołnierze truchtali obok wozu i zapoznawali ją ze szczegółami życia seksualnego jej matki, słońce prażyło, kurz zatykał płuca, w końcu przed nimi pojawił się płot z drutu kolczastego, w którym znajdowała się brama, przegrodzona szlabanem. Jeep minął wjazd i zwolnił przed długim parterowym betonowym barakiem, za którym wznosił się ponury trzypiętrowy budynek z maleńkimi oknami, przesłoniętymi na parterze żelaznymi kratami.

Właśnie ku temu budynkowi skierował się jeep.

Wystarczyło by wóz zahamował, gdy przez szklane drzwi wybiegła dziwna istota w długiej sukni, chusteczce z kokardą na głowie i w rzeźnickim fartuchu, spod którego sterczały czubki żołnierskich butów.

— Przywieźliście? — zawołała istota.

— Schwytałyśmy — odpowiedział oficer, wyskakując na asfalt, pokrywający grunt między barakiem i trzypiętrowym budynkiem.

— Kto to? — zapytała Kora żołnierza, który zasapał się, ale dogonił w końcu samochód.

— Pielęgniarka — odpowiedział zapytany. — Nie zbliżaj się, bo cię ugryzie.

Pozostali zaczęli rechotać.

— To kobieta czy mężczyzna? — zapytała Kora.

— Co komu wypadnie — odpowiedział żołnierz. — A ty wysiadaj, skoro ci mówią.

Kora posłusznie wysiadła z jeepa.

Pielęgniarka mocno popchnęła ją w stronę drzwi.

— Może nie tak ostro — uprzedziła ją Kora. — Przecież mogę upaść.

— Upaść? — zapytała pielęgniarka. — Mogę ci pomóc.

Mocno pchnięta w plecy Kora poleciała do przodu, przez szklane drzwi, otwarte przez przewidującego portiera, i, przemknąwszy przez pusty westybul, ozdobiony tylko niebieskimi falistymi wzorami pod sufitem i portretami zadowolonego z siebie mężczyzny z wąskim czołem i wypomadowanym kokiem i bródką, nazywaną chyba kiedyś hiszpanką, wyrznęła w ścianę.

— Hej, nadeszły posiłki! — krzyknęła pielęgniarka.

Ogluszona lekko zderzeniem ze ścianą Kora patrzyła w prowadzący z holu korytarz, pomalowany na błękitny sierociński kolor. Drzwi znajdujące się na jego długości były niegdyś pomalowane białą farbą, między drzwiami stały krzesła, a nad nimi na ścianach znajdowały się plakaty, opowiadające o wymaganym podczas pożaru lub alarmu atomowego zachowaniu. Plakaty były kiepsko namalowane, prymitywnie, ale przekonująco.

Na krzesłach, przy prawych drzwiach, siedziało kilka osób w niebieskich fartuchach, jakby w kolejce do dentysty. Kora musiała siłą powstrzymać się od pytania, kto tu jest ostatni, choć pytanie byłoby idiotyczne.

Jednakże Misza Hofman, siedzący na krześle z brzegu, sam powiedział:

— Ja jestem ostatni, obywatelko. Pani będzie za mną. Kompozytor i piosenkarz Misza Hofman, który nie miał prawa tu być, ponieważ był jeszcze w naszym świecie i nawet pomagał Korze w spadaniu do tego świata, był odziany w niebieski szpitalny szlafrok, spod którego wystawały kalessony z rozwiązanymi troczkami, zwisające jak wąsy suma, na kaptcie.

— Misza? — zapytała Kora. — To pan?

Wydawało jej się, że tu nie ma co bawić się w konspirację.

— Tak — odpowiedział Misza patrząc w podłogę. — Czy my się znamy?

— Tak, spotykaliśmy się — powiedziała Kora i usiadła na wolnym krześle. Naprzeciwko niej znalazła się piękna na pierwszy rzut oka smągła brunetka. W jej splecionych kędzierzawych włosach płonął mały diadem, a spod szpitalnego pikowanego szlafroka, za dużego o jakieś pięć numerów, co zmusiło jego posiadaczkę do zawinięcia rękawów, wystawała szczupła delikatna stopka w haftowanym koralikami pantofelku.

— Dzień dobry — przywitała się Kora.

Dziewczyna zamrugała oczami i odpowiedziała w nieznanym Korze języku.

Potem zaczęła bezgłośnie płakać, ale pozostali nie zwracali na nią uwagi.

Kora przechwyciła uważne i czujne spojrzenie sąsiada — młodego, chudego, krótko ostrzyżonego; jego policzek przecinała szpecąca blizna, odciągająca w dół kącik ust. Specyfika jego ubioru polegała na tym, że spod fartucha wystawały mu niedbale wyczyszczone buty z ostrogami, co zbliżało go do pielęgniarki.

— A dlaczego my tu siedzimy? — zapytała Kora nie doczekawszy się jakiegokolwiek reakcji na swoje przybycie.

— Na miłość boską, niech pani milczy! — zawołał Misza Hofman. — Proszę nie zwracać na siebie uwagi.

— Ileż razy mam wam powtarzać! — z rozdrażnieniem w głosie odezwał się niemłody już mężczyzna z mocnymi niemodnymi okularami na nosie, co powodowało, że jego oczy przypominały dwie jasne studnie. — To nie ma znaczenia. Najważniejsza rzecz — to nie zwracać na siebie uwagi. Ignorować!

— Dobrze panu ignorować! — obruszył się mały, szeroki w biodrach i ramionach obywatel z tępą nieruchomą twarzą. — Wyście z nimi nie rozmawiali.

— Ach, niech pan przestanie! — machnął ręką okularnik. Okularnik był łysy, przysadzisty, miał ładne pulchne wargi i łagodnie zaokrąglony podbródek.

Drzwi obok Hofmana otworzyły się i wyrżał zza nich wysuszony bladolicy mężczyzna w białym fartuchu nałożonym na niebieski szlafrok.

— Hofman! — polecił mężczyzna. — Proszę wchodzić.

Następnie obrzucił wzrokiem pozostałych i powiedział:

— Pozostali będą przyjęci po obiedzie.

Ale nagle jego spojrzenie trafiło na Korę i bladolicy zdziwił się niezmiernie.

— A pani co tu robi? — zapytał.

— Przywieziono mnie — przyznała się Kora.

— Kto przywiózł?

— Żołnierze — powiedziała Kora, udając pierwszą naiwną. — Szłam po drodze, a oni mnie znaleźli i przywieźli tu samochodem.

— Więc pani jest miejscowa? — zapytał bladolicy.

— Nie, jestem z Moskwy, na urlopie.

— Boże, o jakiej Moskwie mowa! Co za bzdury? Proszę mi powiedzieć, czy pani jest włączona do kontyngentu, czy z personelu obsługującego?

Całkowicie oszołomiona Kora patrzyła na Misze Hofmana.

— Taki właśnie burdel tu mają — oświadczył Misza. Pod okiem miał soczyste limo. — Sami nie wiedzą, czego chcą. Ale nad ludźmi się wyzwierzczać, to proszę bardzo.

— Proszę milczeć, Hofman. Jestem bardzo zaniepokojony waszym losem — oświadczył bladolicy lekarz. — Nie dałbym za niego nawet dwóch rezanów.

— Ja milczę, ale wcale mi to nie pomaga — odpowiedział Misza. — Natrafiłem na atmosferę wszechogólnej podejrzliwości i terroru.

— Nie mogę panu zaproponować innej atmosfery — oświadczył bladolicy. — Bo po prostu nie mamy innej. Tak więc poza Hofmanem i nową, wszyscy jesteście wolni.

Nie wiadomo dlaczego pogroził Korze palcem i dodał:

— Ale żeby tam naprzeciwno nawet pani noga nie powstała, ni—ni! Jasne?

Kora czuła się bezbronna, jak zawsze bezbronny czuje się człowiek w szpitalu, gdzie nie ma znajomego lekarza czy przynajmniej pielęgniarki, do której mógłby zwrócić się po imieniu i jakby przywołać do obrony przeciwko duchowi chorób.

— Proszę się nie denerwować, dziewczyno — powiedział okularnik z pulchnymi wargami. — W danej chwili naprawdę nie pragną niczego więcej poza powierzchowną znajomością z panią.

Uśmiechnął się delikatnie i nawet nieśmiało, napawając Korę otuchą.

Wszyscy pacjenci tej „przychodni” wstali i pomaszzerowali posłusznie do wyjścia. Kora została na korytarzu sama. Nie mogła usiedzieć na miejscu, wstała i podeszła do drzwi, do których nie pozwalał zbliżać się bladolicy doktor. Skoro zabraniał, to znaczy, że za tymi drzwiami kryje się coś ciekawego, a może nawet coś ważnego dla wywiadowcy Kory Orwat. Tak więc Kora wsłuchiwała się, ale niczego, prócz cichego warkotu nie usłyszała.

Wtedy ostrożnie otworzyła drzwi.

Przy stole siedział inny lekarz. Tęgi mężczyzna z zaczesanymi za uszy długimi siwymi włosami, w trudnym do określenia wieku, a miał tak ogromny miękki obwisły nos, że upodabniał lekarza do słonia morskiego.

— Proszę wejść — mruknął doktor. — Proszę się rozebrać.

Podniósł głowę. Zobaczył Korę i zdziwił się.

— Nie znam pani — powiedział.

— Ja pana też — zgodziła się z nim Kora. — Ale lekarz z naprzeciwka zabronił mi tu wchodzić.

Dlaczego?

Najważniejsze — uznała, to wyjść na czarujące głupiątko.

— Dlaczego? — Słoń morski szybko się rozjuszył. Jego ciężka tusza zawisała nad stołem. — A dlatego, że te zmilitaryzowane konowały nie mogą pojąć, po co tu siedzą, i sądzą, że będą mi rozkazywać! A Garbuj ich zmiażdży jak pchły!

I z tym okrzykiem na ustach, omal nie stratowawszy Kory, słoń morski wypadł na korytarz, przeciął go i wpadł do gabinetu swojego bladolicego kolegi.

Na środku niewielkiego pomieszczenia stał całkowicie goły, siny z zimna czy strachu Misza Hofman, wyciągnawszy ręce przed siebie, ze złączonymi stopami. Miał zamknięte oczy. Bladolicy, nie zwracając uwagi na przybyłych wydawał polecenia:

— Podnieść prawą rękę, nie otwierając oczu dotknąć palcem koniuszek nosa. No i proszę, pudło! Ile razy można! A teraz lewą ręką... i niech pan tylko spróbuje spudłować, od razu zapiszę pana do grupy personelu obsługującego i pozbawię zwiększonych porcji żywnieniowych... No tak, nie oczekiwałem od pana niczego sensownego. Gdzie ma pan nos? Przecież to nie nos, to ucho!

— Doktorze Krelij! — przerwał monolog słoń morski. — Zdąży jeszcze pan rozeznac się z tym neurastenikiem. A mnie interesuje, jakie ma pan prawo do przechwytywania przybyszy, którzy jeszcze nie zostali przeze mnie zbadani? Czy pan rozumie, że wasze armijne intrygi w tym przypadku nie mają znaczenia?

— Zrobiłem to, co uznałem za stosowne. Dziewczynę znaleźli nasi ludzie. Wyście ją kompletnie przegapili. Gdzie był ten pański Garbuj? Znowu zajmował się polityką? Znowu jakieś ćmoje-boje z prezydentem?

— Nie panu o tym sądzić!

— Właśnie, że mnie. Przyszłość jest nasza. A was wyrzucimy na śmietnik historii.

— Zanim nas wyrzucicie, sami przeniesiecie się na cmentarz! — oświadczył słoń morski i ryknawszy straszliwie rzucił się na bladolicego.

Ale ten był przygotowany na atak. Odrzuciwszy na bok małego Miszę Hofmana, chwycił metalowe krzesło i runął na słońa morskiego, który wychwycił z górnej kieszeni rzeźnickiego fartucha wspaniale zaostrzoną pincetę i zaczął gwałtownie nią wymachiwać, usiłując wydłubać oczy przeciwnikowi.

Kora i Misza zwiali z gabinetu i znaleźli się na korytarzu. Za nimi słyhać było ryki i wrzaski lekarzy.

Nie udało im się odejść daleko, nawet nie wymienili komentarzy do incydentu, ponieważ drzwi od ulicy otworzyły się i hol przychodni wypełniły tupot, brzęk i głośnie sapanie żołnierzy w mundurach polowych, kamizelkach kuloodpornych i z karabinami w ręku. Otoczony nimi kroczył po korytarzu wysoki mężczyzna z małą głową, hardo uniesioną do góry, jakby jej właściciel dopiero co odsunął się od źródła fetoru, czy niebezpiecznego owada. Natura dała mu wąskie ramiona, pod którymi tułów płynnie przechodził w brzuch i biodra, tworzące dolną część stożka, a nogi — wyjątkowo krótkie, jakby wręcz obcięte.

W odróżnieniu od żołnierzy nie miał broni, poza szpadą, zwisającą na złotym bandolecie, przecinającym po skosie ciemnopomarańczowy mundur, haftowany srebrnymi dębowymi gałązkami. Na głowie oficer miał na bakier nałożoną czerwoną furażerkę, ozdobioną plumażem z pawich piór, który ciągle zahaczał albo o futrynę, albo o kinkiet, albo i o sufit.

Natknawszy się w progę na Korę i Hofmana, wąsaty oficer na sekundę zamyślił się, potem



oświadczył:

— Ciebie znam. Ty jesteś Hofman, agent ziemskich wywiadów, wielka kanalia. Zaduszę cię własnymi rękami. Ale tej dziewoi nie miałem zaszczytu... Nie miałem zaszczytu, czy miałem może?

— Nie znamy się — powiedziała Kora.

— No właśnie. Wyprowadzam z tego wniosek, że jesteś właśnie tym nowym naszym nabytkiem, który głupole Garbuja przegapili, a moje sokoły odnalazły i przywiozły. Przywieźli cię żołnierze, prawda?

— Żołnierze.

Oficer miał zachrypnięty głos, wyrzucał z siebie słowa dynamicznie, energicznie.

— No to się poznajmy — zaproponował. — Pułkownik Raj–Raji, kawaler stopnia nieoczekiwanej napaści.

— Kora — powiedziała dziewczyna. — Kora Orwat, studentka surikowskiego instytutu.

— Masz stopień?

— Stopnia nie mam i nie wiem, co pan ma na myśli.

— No bo u was jak jest jakiś instytut, to od razu doktorzy albo profesorzy. Aż mdli od słuchania.

Niby rozmawiali po rosyjsku, ale rozmówcy nie bardzo się rozumieli.

— Nie chciałem — ciągnął pułkownik Raj–Raji — żebyś najpierw trafiła w łapy zuchów Garbuja. Oni z ciebie wyciągną wszystko, co im potrzebne, a z nami mogą się nie podzielić... Rozumiesz?

Pułkownik wskazał drzwi, zza których dochodziły ryki i odgłosy tłuczenia jakichś przedmiotów — pojedynk doktorów trwał.

— Te barany nawet szpiega nie potrafią wykryć — o mało ten — wskazał Miszę Hofmana, który zadrzał — nie zostałby na wolności. I nawet nie wiemy, gdzie są jego wspólnicy.

— To jakieś tragiczne nieporozumienie — rzekł Hofman.

— Wyciągnę z ciebie dobrowolne przyznanie się — zagroził pułkownik Raj–Raji i, trąciwszy drzwi buciorem, wszedł do gabinetu, gdzie tłukli się lekarze.

Ci nawet nie zauważyli, że pojawiła się grupa widzów — ustawivszy się w przeciwległych kątach pomieszczenia ciskali w siebie ostrymi i ciężkimi przedmiotami. Po twarzach doktorów ciekła krew, na czołach i głowach puchły guzy.

— Dość mi tego! — ryknął pułkownik Raj–Raji.

Pierwszy opamiętał się bladolicy.

— Wasza stałość! — zakrzyknął. — Ja nie mogę dłużej pracować z tymi ludźmi. Stawiają interesy swojej nauki ponad interesy obrony narodowej. Oni są potencjalnymi zdrajcami.

— Wykonuje rozkazy rządu! — zahuczał słoń morski. — Oraz osobiste pana prezydenta.

Z tymi słowy słoń morski wykonał obszerny taneczny ruch płetwą i Kora zobaczyła, że w kącie, mało widoczne z powodu bieli ściany, stoi wykonane z białego marmuru popiersie łysego człowieka z kaczym nosem i opaską na prawym oku.

Słyszac ostatnie słowa lekarza wszyscy obecni, poza Korą i Miszą, trzasnęli obcasami i walnęli się prawą pięścią w lewy bark.

— No, dość! — ryknął pułkownik. — Zaczynamy przesłuchanie, póki nie przyniosło tu tego Garbuja.

— Uważam za swój obowiązek, pułkowniku Raj–Raji — zagroził słoń morski — powiadomić Przewodniczącego Wysokiej Komisji do Spraw Przybyszy, pana Garbuja, że kolejne doświadczenie zostało zakończone wybitnie pomyślnie i otrzymaliśmy do dyspozycji żywy okaz — wskazał Korę.

— Odsuńcie no mi go! — wrzasnął pułkownik, i żołnierze odepchnęli słonia morskiego za

rozbitą podczas lekarskiego boju szklaną szafę z lekami.

— Kora Orwat, wystąp krok do przodu! — polecił pułkownik.

Ale w tym momencie zauważył Hofmana i rozkazał:

— A tego, zdekonspirowanego, wsadźcie do celi.

Pułkownik patrzył na Korę, jak mu się wydawało, przenikliwym wzrokiem.

— No, opowiadaj — rzucił. — Jak żyłaś, po co do nas przeniknęłaś. Kto ci kazał?

— Nie rozumiem pana — powiedziała Kora. — Nigdzie nie przenikałam. Spacerowałam, chciałam rzucić z urwiska kwiaty na cześć inżyniera Toja, ale nie utrzymałam równowagi i spadłam...

— Zgadza się? — Pułkownik gwałtownie odwrócił się do bladolicego.

— Mamy podobną interpretację incydentu — padła odpowiedź. — Stali tam, cały tłumek, na punkcie przerzutu. Najbliżej znajdował się Hofman. Na taśmie filmowej widać, jak ją popchnął.

— Niemożliwe! To taki miły wujek! — zakrzyknęła Kora. — Poza tym, proszę mi wyjaśnić, dlaczego ja byłam tam, a on już tu, dlaczego on tam był, a ja tu i on tu?

— No właśnie — poruszył wąsami pułkownik. — Jak to wytłumaczyć?

— Wytłumaczenie ma charakter matematyczny — powiedział słoń morski. — Można się o nie zwrócić do profesora Garbuja.

— No, doigrasz ty się u mnie! — obruszył się pułkownik. — Żaden Garbuj i nawet prezydent cię nie uratują. Tu ja rozkazuję!

— Ale i pan ma przełożonych — upierał się słoń morski, pułkownik musiał odczekać minutę albo i dwie, zanim odzyskał dar mowy i mógł wznowić przesłuchanie Kory.

— Znaczy — jesteś niewinnym kwiatuszkiem, niczego nie wiesz, nic nie widzisz... — Pułkownik wypowiedział te słowa tak, jakby miał nadzieję, że Kora z oburzeniem zacznie zaprzeczać. Ale ta nie zaprzeczała. I pomyślała, że kiedyś, przygotowując się do zaliczenia z historii sztuki, przeglądała album obrazów z dwudziestego wieku. I jej młodą wyobraźnię wstrząsnął obraz pod tytułem „Przesłuchanie partyzantki”. Tak heroicznie stała tamta dziewczyna, tak bezsilni byli faszyci, otaczający ją! Widać było zupełnie jasno, że niczego z niej nie wyciągną. I oto teraz nade szła jej kolej...

Ale przesłuchanie zakończyło się jakimś zwyczajnym i nudnym akcentem.

— Cóż — powiedział pułkownik. — Może i nie tak znowuż dobra i czuła duszyczka do nas trafiła, ale my od żadnej się nie odmawiamy. Nie wiadomo jeszcze na co można będzie cię puścić. Wszystko się przyda w naszym obojętności. Możesz uważać, że miałaś szczęście: trafiłaś do naszego świata, jasnego, wesołego, sprawiedliwego. Będiesz przypisana do naszego przodującego ustroju. Dane fizyczne zapowiadają zainteresowanie twoją osobą naszej płci męskiej.

W tym momencie pułkownik pozwolił sobie na pewne rozluźnienie — odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się niedbale, a stojący pod ścianami żołnierze roześmiali się również, ale bardziej wulgarnie niż oficer. Bladolicy doktor Kreluj ograniczył się do uśmiechu. Słoń morski skrzywił się.

— A teraz siadaj, gołąbeczko, przy tym białym stoliku, weź papier i ołówek i napisz nam swój życiorys: gdzie się urodziłaś, kim są rodzice — odpowiesz po prostu na wszystkie pytania ankiety. Doktorze, ma pan ankietę?

— Jest, wasza stałość.

— I opisz nam też siebie od strony medycznej: na co chorowałaś, jakie wirusy nosisz w sobie, na co jesteś odporna. Nie chcielibyśmy fundować sobie epidemii z powodu jakichś brudnych przybyszów. I nie oponuj mi. Przecież właśnie dlatego trzymamy was tu, w izolatorium!

Kora nie oponowała. W końcu informacje, dotyczące jej życia na Ziemi, raczej do niczego nie

przydadzą się temu pułkownikowi.

Wkrótce pułkownik, wymieniwszy szeptem kilka uwag z doktorem Krelijem, wyszedł. Ankieta miała dziesięć stron, połowa pytań była głupia, a druga — bardzo głupia. Na dodatek miała ta ankieta sygnaturę „Ściśle tajne. Rozpowszechnianie grozi karą”.

Czego udało jej się dowiedzieć w ciągu pierwszych godzin pobytu w równoległym świecie? To, że okresowo wymieniani są tu idole, i, sądząc z popiersia prezydenta, gapiącego się na nią z kąta pokoju, tymi idolami byli prezydenci lub dyktatorzy. A to znaczy, mój kochany, nieznany przyjacielu, że i ty wkrótce trafisz na wysypisko historii. Co jeszcze? Tak, istnieją tu wewnętrzne i to dość mocne sprzeczności między nieznanym jej Garbujem, który korzysta z poparcia prezydenta i któremu podporządkowany jest lekarz podobny do słonia morskiego, i wojskowymi w osobie pułkownika z wiernym mu bladolicym doktorem. Nie za wiele tych danych... Poza, może, smutną nowiną: Misza Hofman, nie wiadomo jakim cudem już tu będący, jest w niebezpieczeństwie. Został zdemaskowany jako ziemski szpieg i mogą go w jakiś sposób skrzywdzić. Ale jak mógł się wsypać?

— Przybyszu Orwat — powiedział doktor Krelij. — Proszę się pośpieszyć z ankietą. Nie będziemy tu siedzieli do końca świata, bawili się w ciuciubabkę, gdy tymczasem w stołówce wszystko zeżrą.

— A pan tu nie mieszka? — zapytała sprytna wywiadowczyni Kora.

— Mieszkam na północy — udzielił mglistej odpowiedzi lekarz. — Jestem tu w delegacji z waszego powodu. Zwaliło się na nas szczęście! — zakończył sarkastycznie.

— My się nie zwalamy — nie zgodziła się z nim Kora, wiedząc jednak, że doktor ma rację: ona, cokolwiek by mówić, zwała się do tego świata.

— Zwalacie, i teraz musimy się w tym grzebać, a Garbuj rzuca kłody pod nogi z tą swoją cholerną nauką. Już dawno byśmy podjęli kroki, jakby nie ten jego sabotaż.

— Kim jest ten Garbuj? — zapytała Kora.

— Zapytaj Kalnina — tajemniczo odpowiedział doktor Krelij. — Eduarda Oskarowicza.

Kora bez najmniejszych przeszkód opuściła trzypiętrowy budynek, w którym poznała lekarzy i pułkownika Raj–Raji, i wyszła na zalany słońcem plac, oddzielający wielki gmach i długi parterowy pobielony barak. W cieniu tego ostatniego, na ciągnącym się wzdłuż budynku trawniku, leżeli w swobodnych pozach, widocznie w oczekiwaniu na kolację, przybysze z Ziemi. Słowo „przybysze” utkwilo w pamięci Kory — ktoś już tu go użył. Dwu z nich Kora знаła. Z Ziemi. Oto siedzi w kucki wychudły, jakby nie widziany od miesiąca, szary na twarzy Misza Hofman, wczorajszy żartowniś, bajerant i etatowy wesolek. A obok wyciągnął się na całą długość na trawie i drzemie, z przymkniętymi powiekami, inżynier Toj. Obok nich — jeszcze kilka innych osób.

Wszystkich ich łączy, jakby jednocy w grupę to, że mają na sobie niebieskie pikowane szpitalne szlafroki, spod których wystaje prymitywna służbowa bielizna. Jakby wszyscy byli pacjentami archaicznego domu wariatów.

Kora zatrzymała się, przyjrzała pacjentom. Pacjenci przyglądali się jej.

— Po co oni to wszystko robią? — zapytała Kora. Ponieważ nie zwracała się do nikogo konkretnie, minęło dobre pół minuty, zanim odpowiedziała jej głosem kucharki przysadzista, jędrna i piersiasta kobieta z grubymi łydkami, wystającymi spod przykrótkiego szlafroka. Kobieta ta była kiedyś blondynką, ale od chwili jej ostatniej wizyty u fryzjera minęło sporo czasu, i jej włosy, nierówno odrastające, były dwubarwne: blisko skóry głowy były bure, na końcach — jasne. Od przodu włosy zachowały resztki trwałości, a z boku już nie, i rosły proste, jak źdźbła słomy.

— Badają wszystko — powiedziała kobieta. — A potem, albo dadzą zameldowanie, albo nie. Sprawdzają.

— Gadanie fajne, Ninela — powiedział Misza Hofman — ale mało wiarygodne. Potrzebni im jesteśmy do jakiegoś złowieszczonego celu. Ale ciągle nie potrafię ich rozgryźć.

— Słusznie. Nie wolno im wierzyć — zgodził się młody człowiek z brzydką blizną. — Nie ma ucieczki przed tymi bydlakami.

— Radziłbym zachować swoje uwagi dla siebie, panie kapitanie — oświadczył z groźbą w głosie niemłody już mężczyzna, ten waciany w ramionach, szerokobiodry na dole. Jego szlafrok uporczywie rozchyłał się na brzuchu, ukazując nieświeże kalessony.

Kora przyjrzała się im — oto oni, dumni mieszkańcy dumnej Ziemi!

— Najbardziej przypominacie mi stado krów, czekające na swoją kolej pod rzeźnią — oświadczyła.

— Krów nikt nie przesłuchuje — odezwał się nie otwierając oczu inżynier Toj — a my jesteśmy ciągle przesłuchiwanie.

— Powinniście działać!

— Jak? — zainteresował się Misza Hofman. — Może nam podpowiesz?

— Najpierw musimy założyć jakąś organizację — powiedziała Kora — a potem podejmować wspólne decyzje.

— Wszyscy już to przerabialiśmy — powiedział Hofman. — Ale wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane.

— To dlatego, że spasowaliście!

— Koro — odezwał się leniwie inżynier Toj — nie powinnaś niedoceniać i upraszczać. Jesteś tu pół godziny, a ja już blisko miesiąc.

— Bzdury! — oburzyła się Kora. — Trafiłeś tu dzień przede mną. Ja tylko powtórzyłam twój mały heroiczny czyn.

— Nie było żadnego czynu. Było uderzenie wiatru, szkwał, przypadek, i, chwała Bogu, złapali mnie. I stało się to, może miesiąc temu, a może i tysiąc lat wstecz.

— Inżynier ma rację — powiedział mężczyzna z blizną. Jego buty wystawały spod szpitalnego szlafroka. — Niemal wszyscy zwaliliśmy się tu miesiąc temu. Ja robię nacięcia — jeden dzień, jedno nacięcie.

— To niemożliwe — zdecydowanym tonem oświadczyła Kora. — To burzy wszystkie prawa fizyki.

— O nie, obywatelko — odparła zdecydowanie kobieta o imieniu Ninela. — Nie znasz w ogóle praw fizyki. Nie myśmy je wymyślili, nie my je będziemy zmieniać. Ale jesteśmy zobowiązani wykorzystać je w interesach budownictwa socjalizmu i walki z międzynarodową reakcją. Rozumiecie, obywatelko?

— Dobra — powiedziała Kora spacerując wzdłuż szeregu siedzących pod ścianą pacjentów. — W takim razie chcę poznać was wszystkich. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko. Przecież, jak mówicie, jesteście tu od dawna i znacie się. A ja was nie znam.

— My — różnie — cicho powiedział Misza Hofman.

— No to zaraz zobaczymy — z powagą dwudziestoletniej bogini sprawiedliwości oświadczyła Kora.

— Wspaniale, towarzyszeko! — nagle ucieszyła się farbowana Ninela. — Ja rąbnęłam doktorowi Krelji kartkę papieru. A ołówek wzięłam od Żurby. Tak więc ty ich przesłuchuj, a ja będę robiła notatki. Od dawna czekałam, że przyślą nam tu jakąś osobę kierowniczą.

— Może nie nazywajmy tego przesłuchaniem — zmieszła się Kora. — Chciałam porozmawiać.

— Zuch — powiedział mężczyzna z blizną. — Nie nazywajmy, oczywiście. Ale nazwiemy, czy nie, i tak będzie to przesłuchanie, prawda?

Kora nie odpowiedziała mu, a podeszła do końca szeregu wypoczywających ludzi, gdzie leżał wotowany w ramionach i szerokobiodry mężczyzna z tępą tłustą twarzą, wyhodowaną na dziesiątkach lat narad i bankietów, podłych manewrów i donosów.

Nie wiadomo dlaczego Korze wydawało się, że ten człowiek odmówi rozmowy z nią, ale ten przychylnie odniósł się do jej pomysłu, nawet oparł się na łokciach, a jego szlafrok całkowicie się rozjechał.

Tak właśnie zagaił:

— A ja, obywatele, popieram pani inicjatywę. We wszystkim potrzebny jest porządek. Bez listy nie możemy stworzyć społeczności i zorganizować oporu przeciwko wrogom ojczyzny, którzy pozbawili nas wolności.

— No to proszę mówić, a ta... obywatelka będzie notować.

— Jestem gotowa — rzuciła czupurna Ninela.

Kora odwróciła się do szerokiego mężczyzny z tępym obliczem, ale ten nie był tak tępy, jak się zdawało.

— A ja — powiedział wpijając spojrzenie małych oczek w Korę — chciałbym wiedzieć, kto

mnie przesłuchuje. O tobie, Ninelo, też bym chciał więcej wiedzieć. Bo inaczej, to będzie bałagan. Ja nie mam nic przeciwko spisowi, ale w każdej szlachetnej inicjatywie musi być zaprowadzony porządek.

— Proszę o wybaczenie — powiedziała Kora, rozumiejąc, że watowany urzędas ma rację — skoro człowiek chce, żeby inni opowiedzieli o sobie, musi otworzyć się sam. — Ja się nazywam Kora Orwat. Jestem studentką...

— Zaczekaj! — przerwał mężczyzna. — Co to za nazwisko takie? W naszym powiecie był taki jeden Węgier, ale on się nazywał Horwat.

— Podobno mam polskie pochodzenie — potulnie powiedziała Kora. — Ale tak w ogóle to jestem Rosjanką, mam babcię pod Wołogdą, mieszka na wsi.

— A, znaczy z rolników? A ojciec co robi? — zapytał urzędnik.

— Tego jeszcze brakowało! — oburzył się mężczyzna z blizną. — To nie są wybory radnych, a pan nie jest policmajstrem.

— Musi byś porządek — mruknął urzędas, ale nie upierał się przy szczegółowym zeznaniu Kory.

— Jestem studentką — powtórzyła ta — studiuję w Instytucie imienia Surikowa.

— A co to znowu za instytut? — zapytał młodzieniec z blizną.

— Instytut Sztuk Pięknych — wyjaśnił inżynier Toj.

— A jak tu trafiłaś? — zadał pytanie urzędnik.

— Jestem tu na wakacjach. Wypoczywam ze swoją przyjaciółką w Simeizie. Niechcący spadłam z Ptasiej Twierdzy.

— Niechcący?

— Mogę potwierdzić — włączył się Misza Hofman. — Byłem przy tym obecny.

— To znaczy, że tak jak i wszyscy — zauważył młody mężczyzna ze szramą.

— Notuję? — zapytała pomocnica Kory.

— Zaraz, poczekajcie — wtrącił się do rozmowy starszawy mężczyzna w grubych okularach, powiększających bardzo mocno jego źrenice. — Nie mogłaby pani, Koro, powiedzieć nam, kiedy miał miejsce... ten incydent z panią?

— Wczoraj — odpowiedziała Kora. — Wczoraj, 27 lipca 2094 roku.

— Dziękuję — odpowiedział okularnik.

Kora odnotowała, że miał piękne wyraziste wargi.

— Bzdura — rzucił urzędnik. — Wychodzi, że trafiliśmy tu w tym samym czasie, a u siebie żyjemy w różnych czasach. To dla mnie zagadka, nierozwiązywalna zagadka.

— No to co, przechodzimy do przesłuchania? — zapytała pomocnica Ninela.

— Nie-e-e! — zaśpiewał urzędnik. — Na to się nie zgadzam. Ja chcę wiedzieć o tobie, bo ty jesteś osobą mglistą. I śpieszysz się z przesłuchaniem mnie, żeby o tobie zapomniano.

Nagle wszyscy odwrócili się i zaczęli przyglądać pomocnicy Kory, jakby ją widzieli po raz pierwszy w życiu. A Ninela wcale nie zmieszała się powszechnym zainteresowaniem; wręcz przeciwnie — wyprostowała się, by i tak strome piersi mocniej naprężyły tkaninę szlafroka.

— Trafiłam tu z odległych czasów wojny — oświadczyła. — Z danych z dowodu wynika, że jestem Ninela Josifowna Kostianikina. Przyjaciele mówią do mnie Ninela. Rosjanka. Członek partii od 1939 roku.

— Jakiej znowu partii? — zapytał urzędas. — Partii mamy mnóstwo, co jedna to gorsza.

— Brawo! — zawołał człowiek z blizną. — Bardzo słuszna obserwacja.

— Partię mamy jedną! — nagle rozeźliła się Ninela. — Tak było i tak będzie zawsze. Z innymi, chwała Bogu, rozprawiliśmy się.

— No i proszę — poskarżył się urzędnik Korze — nawet wyjaśniają, a dla mnie i tak wszystko to niemożliwe złamanie podstaw.

— Minęły twoje czasy, urzędasie — warknęła Ninela.

— Przepraszam — znowu odezwał się mężczyzna w okularach. — W jakim roku przeniosła się pani do tego świata?

Z niewiadomego powodu to proste pytanie oburzyło Ninelę. Aż tupnęła grubą, osadzoną na mocnej łydce stopą i zacisnęła dłoń w pięść.

— Jak to — przeszłam? — zapytała. — Do czego ta aluzja, co?

— Do niczego. Poza datą kalendarzową.

— A ja ci nie odpowiem! Nie zdradziłam swojego obowiązku. Gdyby nie okoliczności, to z takimi, jak ty, rozmawiałabym inaczej.

— Powiedz nam, powiedz — nagle wtrącił się do dialogu urzędnik. — Obowiązek sobie zostaw. Ale rozumiem, że Eduard Oskarowicz chce dokładnie się dowiedzieć szczegółów, więc mu nie przeszkadzaj.

— Dobra, dobra — wpatrując się w przestrzeń żółtymi guzikami oczu burknęła Ninela. Z jakiegoś nieznanego powodu nie chciała dzielić się informacją kiedy i w jakich okolicznościach opuściła Ziemię. — Zrzucono mnie na spadochronie bym pomogła partyzantom. Ale zostałam zdradzona. Niemcy stracili mnie z urwiska. Latem czterdziestego trzeciego. No więc tu jestem.

— Jacy Niemcy? — zapytał urzędnik.

— Trzeba było uczyć się historii!

— Jak mógł się uczyć — sprzeciwiła się Kora — skoro, być może, żył tam wcześniej.

— Torturowali mnie — powiedziała Ninela — ale nie pamiętam dokładnej daty.

— Nie chcę więcej — powiedział Eduard Oskarowicz. — Tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci rok. Duży rozrzut.

— Czy to wszystko? — poważnie zapytała Ninela.

Kora nie mogła pozbyć się wrażenia, że jej uczesanie i cienko wykreślone łuki brwi widziała w jakimś filmie historycznym.

— Wszystko — zgodził się urzędnik. — Wszystko prowadzi do wariactwa. Czy naprawdę Rosji jest to wszystko sądzone?

— Pana kolej — powiedziała Ninela — rozmawiajmy o panu, obywatelu Żurba.

— To słowo mi się nie podoba. Ninelo, nie podoba. Powiem szczerze.

— A jakie się podoba? — zapytała Ninela.

— Należy z szacunkiem, albowiem posiadam status radcy stanu.

— Mamut! — powiedziała Ninela, zwracając się do Kory po wsparcie. — On żył przed rewolucją.

— A czy wyście o tym wcześniej nie rozmawiali? — zdziwiła się Kora. — Przecież żyjecie tu razem od dwu tygodni.

Zamiast Nineli, która jakoś nie śpieszyła się z odpowiedzią, odpowiedział mężczyzna w grubych okularach.

— Po pierwsze, przybyliśmy tu w różnym czasie, w różnych okolicznościach. Muszę powiedzieć, że niektórzy z nas znajdowali się w niezbyt normalnym stanie — mimo wszystko trauma była zbyt mocna.

— Stary ma rację — powiedział młodzieniec z blizną.

— Byłem przekonany, że znajduję się na tamym świecie. Słowo honoru.

— Racja. Oczywiście, że ja też myślałem, że trafiłem do piekła. Albo do raju, jak wolicie —

powiedział urzędnik. — Tym bardziej, że przez cały tydzień trzymali mnie w pojedynczym pokoju czy celi — jak kto woli. Nikogo nie widziałem, poza tymi rzeźnikami.

Kora zrozumiała, że ma na myśli pielęgniarki.

— Dopiero w ostatnim czasie zostaliśmy połączeni — wyjaśnił inżynier Toj.

— Dlaczego? — zapytała Kora, nie oczekując odpowiedzi.

Ale mężczyzna w okularach odpowiedział:

— Oni sami nie wiedzą, co mają robić. Przecież nie wierzyli Garbujowi, do końca mu nie wierzyli, że istnieje kontakt z Ziemią. A teraz są w położeniu chłopczyka, który wgrzył się w zbyt duży kawałek ciasta. Nie można się cofnąć, a iść do przodu się nie da. I póki oni sami nie wyjaśnią swoich własnych stosunków i układów, nasz los też się nie wyjaśni.

Wtedy Kora, ogarnięta wątpliwościami, zapytała:

— A czy wszyscy tu rozumieją, gdzie trafili?

— Staralem się wyjaśnić. Ale nie jestem pewien, czy wszyscy mnie rozumieją.

Ninela trąciła Korę w bok.

— W ten sposób, to my tu będziemy mędzili do kolacji. Trochę szybciej, majorze.

— Co?

— No dobra, żartuję. Ale ja swoich zawsze wyczuwam.

— A pani miała jakiś stopień? — zapytała Kora.

— Sierżant bezpieczeństwa państwowego — odpowiedziała Ninela. — Nie myśl sobie, że to drobiazg.

— Nie myślę.

— No to prowadź to przesłuchanie, skoro oddałam ci inicjatywę.

Kora odwróciła się do urzędnika. Ten odpowiedział od razu:

— Całej tej abrakadabry o światach równoległych, rzecz jasna, nie przyjmuję do wiadomości, to są jakieś judaszowe żarty. Ale znajduję się w kłopotcie, z tego więc powodu dążę do uporządkowania. W chwili obecnej jestem przekonany, że trafiłem do niewoli któregoś z naszych sąsiadów. Może do Niemców albo Turków. Dokładnie nie wiem.

— A kiedy się pan urodził? — zapytała Kora.

Urzędnik zajął się uszczelnianiem szlafroka na brzuchu. Potem dokończył:

— Miałem honor urodzić się dnia jasnego uwolnienia wieśniaków w państwie rosyjskim, a mianowicie 10 lutego 1861 od narodzenia Chrystusa.

Urzędnik obrzucił wszystkich spojrzeniem, w którym Kora nieoczekiwanie dojrzała dumę: urzędnik ten przez całe życie uważał siebie za namaszczonego palcem bożym.

— Dalej.

— Ochrzczono mnie Własem. Własem Fotjewiczem, i w ostatnim czasie przed nieszczęściem, co to odbyło się dwudziestego trzeciego czerwca 1907 roku, pracowałem na niwie zarządzania, państwem, ciesząc się szacunkiem współobywateli miasta Babiłowicze, w guberni mohylewskiej, gdzie byłem policjantem.

— I co się stało? — dodała mu głosem otuchy Kora, widząc, że urzędnik zasmucił się.

— A stało się, stało. Stało się, że wypoczywając w Jałcie, w pensjonacie „Marina”, zdecydowaliśmy o wizycie w Bajdarskich Wrotach, gdzie mieliśmy powitać wschód słońca z libacją i wesołością. Wzięliśmy ze sobą damy, wynajęli powozy... Panie, czy naprawdę było to dopiero co, wczoraj?

— Kiedy więc to było? — zapytała Kora.

Ninela szybko notowała. Zręcznie, drobnym pismem, podłożywszy pod kartkę kwadrat ze sklejki



leżącej na stercie pod ścianą — pewnie przed pojawieniem się przybyszy planowany był tu jakiś remont.

— Kiedy? — zapytał Włas Fotjewicz Ninelę, która była mu w jakiś sposób bliska.

— Dwa dni po mnie, liczyliśmy to, Fotjewicz. To było dwa tygodnie temu.

— A ja tego nie rozumiem — upierał się Żurba. — Pamiętam jak z Bajdarskich Wrót jechaliśmy sobie, ktoś powiedział, że pokaże nam twierdzę — poszliśmy do niej, a ja na murze nad urwiskiem zacząłem po pijanemu płaszać. Bo ja to jak wypiję, to bawię się na całego... I poleciałem jak ptak po niebie czystym... — W głosie Żurby pojawiły się łzy.

Oczywiście, bardziej odległą od ptasiego rodu istotę niż Włas Fotjewicz Żurba trudno było sobie wyobrazić. Ale nie to było ważne — ciekawszy był dziwny ludzki a nawet rosyjski fenomen: wszyscy tu obecni — niezależnie od tego, w jakim stopniu mogli przyswoić sobie wiedzę, o tym, co się z nimi stało — z faktem przemieszczenia ze świata do świata się pogodzili bez trudu. Dla jednych była to wola boska, dla innych — kaprys losu, dla jeszcze innych — fenomen fizyczny, ale nikt nie zamierzał z tym walczyć, buntować się, powstawać i walczyć z Bogiem, losem, fenomenem... Czekali. Czekali aż Tam zdecydują, jak należy postępować dalej.

Kiedy Żurba otarł łzę, zrodzoną wspomnieniem lotu, chociaż lot był pijacki i paskudny, Kora, zanim zwróciła się do kolejnej osoby, zapytała:

— A w pociągu, znaczy w karecie, w powozie... był pan sam?

— Ale skąd, na Boga! — odezwał się policjant. — Innokentij Iłłarionowicz z jałtańskiej rady miejskiej...

Przerwał, a w jego oczach pojawił się strach przystający licealiście, który niechcący wygadał się przed nauczycielem.

— Nie trać czasu, Koro — powiedziała Ninela. — Walimy dalej, bo do kolacji się nie wyrobimy.

Kora podeszła do dziewczyny, siedzącej w kucki, co zdradzało, z punktu widzenia Nineli, jej wschodnie pochodzenie. Dlatego powiedziała z przekonaniem:

— Musi Tatarka. Ale ci... jak z nią rozmawiają, to nazywają ją Parra. Bo tak w ogóle to ona nie zna języka.

— Parra? — zapytała Kora.

Dziewczyna podniosła się z gracją i stanęła przed Korą. Najbardziej pasowało do niej słowo czarniawa — miała tłuste, od dawna nie czesane włosy z wetkniętym w nie kościanym grzebieniem. Smagła cera i drobne rysy twarzy, opuszczone oczy jakoś nie pozwalały przyjrzeć się twarzy, maskowała ją szopa włosów. Ręce dziewczyny — była bardzo młoda — były szczupłe, słabe, z kruchymi palcami, bezsilnie zwisały z boków ciała. Na małym palcu prawej ręki miała cieniutką skręconą złotą obrączkę. I Kora nagle zrozumiała, że dziewczyna nie jest jej współczesną, że przybyła z odległej przeszłości. Może właśnie to jest ta historyczna księżniczka, która jako pierwsza zmieniła się w ptaka?

— Rozumiesz mnie? — zapytała Kora po grecku — kiedyś uczyła się tego języka, zafascynowana mitami Hellady, jeszcze podczas pobytu na Wyspie Dzieci.

Parra uniosła wzrok. Oczy miała brązowe, a jej oblicze natychmiast rozświetlił błysk prawdziwej ukrytej wcześniej urody. Ale zaraz rzęsy opadły. Parra nie odpowiedziała.

— Ona jest gocką księżniczką — powiedział Eduard Oskarowicz, który nie tylko wiedział wiele, ale nawet to, czego wiedzieć niby nie powinien. — Krymscy Goci to był lud, o którym mało wiadomo. Wspomina o nich autor „Słowa o pułku Igora”.

Kora westchnęła. Pamiętała tytuł tego poematu, ale o czym jest i kto go napisał — nie miała

pojęcia; albo chorowała tego dnia, albo związała z odpowiedniej lekcji.

— Czy ona też trafiła tu niedawno? — zapytała Kora.

— Nie mogła trafić tu dawno, już mówiłem — odpowiedział mężczyzna w grubaśnych okularach.

— Oni wszyscy trafili tu wtedy, kiedy zaktywizowało się urządzenie Garbujaja. Zaczęło przeciągać tu każdego, kto umierał albo ginął bez śladu w punkcie zetknięcia naszych światów.

— Czyli ile lat ma ta dziewczyna?

— Ponad pięćset pewnie.

Zrozumiawszy, że rozmawiają o niej, Parra wypowiedziała do Kory kilka słów. Język brzmiał ładnie, dźwięcznie, ale Kora nic nie rozumiała.

— Zapiszemy więc właśnie tak — gocka księżniczka.

— Już zapisałam — odpowiedziała Ninela. — I muszę powiadomić, że ta obywatelka ma stosunki z Pokrewskim.

— A co nam do tego? — zapytała Kora.

Nie wiedziała jeszcze, którą osobą z obecnych jest Pokrewski; pozostał jej, co prawda, tylko młody mężczyzna ze straszliwą blizną na twarzy.

— Wszystko dla nas powinno być ważne — powiedziała Ninela. — Jesteśmy komitetem do spraw zarządzania rodakami za granicą. Poziom moralny naszych obywateli powinien znajdować się na wysokim pułapie. Wszak nie na pustyni siedzimy, tylko pod okiem obcej społeczności. A jak wrócimy do domu, to zapytają nas: a jak się tam prowadziliście, nie straciliście aby godności człowieka radzieckiego?

Kora otworzyła usta, chcąc udzielić ufarbowanej piękności godnej odpowiedzi, ale powstrzymała się. Jej zadanie to obserwacja, zapamiętywanie i rozumienie tego, co się tu dzieje. A kto z kim się kłóci, kto kogo obserwuje — to nie jej sprawa.

— Pan Pokrewski? — zapytała Kora uśmiechając się i stając tym sposobem po stronie Pokrewskiego, posiadającego prawo do przyjaźni z dowolną gocką księżniczką.

— Tak — odparł młodzieniec ze szramą. Nadal leżał na ziemi, z zamkniętymi oczami, rozrzuciwszy nogi w wysokich butach.

— Nie podoba mi się on — poinformowała Korę Ninela. — Bydlę niedobite.

— Pani, *mademoiselle*, też mi się nie podoba — odparł młodzian. — Dlatego, że jest pani szmatą.

— No, widzisz!

— Proszę opowiedzieć nam o sobie — poprosiła Kora. — To, co pan sam uzna za właściwe.

— Nic nie uznaję za właściwe — odpowiedział Pokrewski, a kiedy Ninela na to rozdarła się, a o to właśnie młodzianowi chodziło, to otworzył on prawe oko. — Tylko nie próbuj mnie dotknąć, bo odpowiem czynem.

— Można, zajmę się nim? — zapytała Ninela Nie była pewna co do swoich aktualnych pełnomocnictw — uznawszy zwierzchnictwo Kory i znajdując się w centrum wydarzeń, jednocześnie wolała udawać podwładną.

— Milczeć! — ryknęła Kora i nie poznała swego głosu.

— Tak jest — milczeć — natychmiast podporządkowała się Ninela. W jej oczkach zapłonęła dziwna przyjaźń do Kory, w której ziścił się ideał pani. Można taką kochać, i można się jej podporządkować. Ale Ninela tak naprawdę przypominała tresowaną panterę: posłuszna, póki widzi pejcz. I nie daj Bóg, by treser odwrócił się na sekundę!

— Proszę opowiedzieć o sobie — powtórzyła prośbę Kora.

— Znajduję się we śnie, z którego nie potrafię wyleźć — odparł Pokrewski. — Nie wiem, jak

inni, ale dla mnie to, co się wydarzyło — śmierć i to, co następuje po śmierci — jest straszne. Nawet myślę, że tu, w czyścicu, mieszają się dusze różne — zebrano wszak nas razem — i ofiary, i kaci. I wczorajsi, i jutrzejsi. Gdybym był głęboko wierzącym człowiekiem, to wbiłbym się w jakiś kąt i modlił, błagał o wybaczenie za grzechy, i prosił o prawo odejścia stąd, od tych potworów — i Pokrewski ruchem ręki wskazał obecnych.

— Dobrze — zgodziła się Kora, powiedziała to nieco głośniejszym głosem, chcąc zagłuszyć zgrzyt zębów rozeźlonej ateistki Nineli. — Nie sprzeczejmy się teraz, chcemy przecież wszyscy zrozumieć dobrze naszą sytuację.

— Niezależnie od tego, czy jest to czyściec, czy już piekło — wtrącił się Eduard Oskarowicz.

— Moje życia opisanie — powiedział Pokrewski — mieści się w dwu wersach: służyłem w piętnastym grenaderskim tyfliskim, byłem dwukrotnie ranny, w stopniu porucznika przeszedłem na służbę do generała Kornułowa, dokonałem z nim 999 Lodowego Przejścia, a po śmierci generała przyłączyłem się do drozdowców. Kariery nie zrobiłem — ponownie zostałem ranny... — Pokrewski dotknął blizny. — Potem zachorowałem na tyfus... Skończyłem wojnę w stopniu rotmistrza, jako dowódca szwadronu. Kiedy bolszewicy weszli na Krym, trafiłem w zasadzkę, ratowałem się jak umiałem, skoczyłem z urwiska... trafiłem tutaj. Konia mi szkoda. Koń mnie tyle razy ratował z opresji... A co się tyczy tej dziewczyny, nieszczęsnej i szczególnie osamotnionej, to proszę brudnymi łapskami w jej duszę się nie pakować.

— Uwzględnimy twoje życzenie — powiedziała Ninela, wkładając w trzy słowa tyle jadu, że powietrze zaczęło gorzko smakować.

— To znaczy, że to miało miejsce w dwudziestym roku? Jesienią? — zapytał Kałnin.

— W listopadzie — sprecyzował rotmistrz.

— Zapisłaś? — zapytała Kora.

— Zapisalam.

Następny siedział inżynier Toj, wyciągnąwszy przed siebie długie nogi.

— Wiesz wszystko — powiedział do Kory.

— Proszę — poprosiła dziewczyna. — Opowiedz, jak wszyscy. Żeby wszyscy wiedzieli.

— Dobrze. Wsiewołod Nikołajewicz Toj. Inżynier. Trafiłem tu w 2094 roku w czasie nieudanego oblatywania ornitoptera. Jeszcze nie wszystko rozumiem...

— W którym, przepraszam, roku? — To był głos Kałnina. — Już słyszeliśmy tę datę.

— Ma pan rację — powiedziała Kora. — Ja tu trafiłam następnego dnia po nim.

— No, tego to być nie może! — rozdarła się nagle bojowa Ninela. — Inżynier jest tu już drugi tydzień. Przybył zaraz po mnie.

— Nic w tym dziwnego — odezwał się mężczyzna w grubych szklach. — Na przejściu między światami działają zupełnie inne prawa kontinuum czasoprzestrzennego. I nie tyle ważne jest, kto i po co tu trafił. Trafiacie zaczęliście tu od chwili, kiedy zaczęło pracować urządzenie. A ono wyciąga ludzi z punktu przestrzeni, a nie z punktu czasowego. Dlaczego tak was zastanawia pojawienie się inżyniera o dzień wcześniej czy później, a zupełnie nie dziwi to, że księżniczka Parra opuściła Ziemię, jak się wydaje, pięć wieków temu, a przybyła tu razem z nami? A szanowny Włas Fotjewicz wyleciał z punktu „a” do punktu „b” pół wieku przede mną?

Kora poczekała aż Kałnin przestanie mówić, i od razu zwróciła się doń ze standardową prośbą:

— Proszę teraz opowiedzieć o sobie. Kiedy pan tu trafił, i kim pan jest?

— Nazywam się Eduard Oskarowicz — odpowiedział zapytany. — Jestem fizykiem teoretykiem. We wrześniu 1949 roku byłem tu na urlopie, z którego już nie wróciłem. Niezupełnie z tego samego powodu, co pani, ale dość podobnego.

— Eduard Oskarowicz, a nazwisko? — zażądała nagle bojowa koleżanka Kory. Coś jej się nie podobało w imieniu fizyka.

— Nazwisko — Kałnin — spokojnie odpowiedział okularnik. — Ale pani nic to nie powie.

— Mnie wszystko i zawsze mówi — odparowała bojowa koleżanka. — I interesuje mnie, czy nie jesteście w stosunkach rodzinnych z dowódcą dywizji Oskarem Kałninem, który był sądzony w sprawie wojennych szkodników w przemyśle zbrojeniowym na procesie pięćdziesięciu sześciu w październiku 1938 roku?

— A pani skąd to wie?

— Ja tu zadaję pytania — odpowiedziała bojowniczką, a Kora nagle przestraszyła się, czy nie za szybko Ninela przejmuje władzę, dlatego postanowiła trochę przykrócić cugli.

— Daj no, sprawdzę, co tam naskrobałaś — powiedziała.

— Mam niewyraźne pismo.

— Dawaj, dawaj, jak ci mówią — wtrącił się z pomocą policmajster Żurba. — Musi być jakaś kontrola.

Jak można było domniemywać, gramatyka i ortografia nie były mocną stroną wywiadowczym Nineli. Wersy uciekały w dół, widocznie zawstydzone ciężarem licznych błędów.

— Potem to przepiszę — powiedziała Ninela. Milczenie Kory odebrała jako zarzut. — Nie denerwuj się, wszystko będzie jak należy, protokół, wystąpienia, ankiety.

— No to uważaj — surowym tonem skwitowała przegląd Kora i przechwyciła uśmiech Eduarda Oskarowicza. Jakby wszystko rozumiał. A może i rozumiał. Miał pewnie pięćdziesiątkę na karku — staruszek. A także doświadczenie życiowe. Rewolucję przeżył i wojnę ojczyźnianą. Tylko jakoś przy okazji trzeba będzie zapytać z jaką stroną trzymał — z białymi, czy z czerwonymi? A może już nie pamięta?

Dziwne albo nie, ale nikt nie zakwestionował uprawnień Kory do zadawania pytań. Zresztą Kora rozumiała jedną z przyczyn tego stanu: wszyscy ci ludzie przybyli tu z różnych epok i dlatego jeszcze nie uświadomili sobie ruchu czasu i przepaści ich dzielącej. Z wyjątkiem Parry wszyscy mówili w tym samym języku, a gdy tylko przebrano ich w jednakowe szmaty, stali się pasażerami arki, na której zepsuł się zegar. Trudno w takim położeniu jeszcze odgrywać zucha i wymachiwać zatopioną przeszłością.

— Proszę opowiedzieć kim pan jest — zwróciła się Kora do Miszy Hofmana.

Misza potrząsnął głową, jakby chciał wytrząsnąć wodę z ucha.

— Oni go ukarali — powiedziała Ninela. — Podejrzewali, że jest szpiegiem i odpowiednio potraktowali...

Kora poczuła, że cała sympatia Nineli jest po stronie sił porządku, tych, co potrafią potraktować.

— Nie wolno panu mówić? — zapytała Kora podsuwając Miszy wyjście.

— Jeszcze czego! — oburzyła się Ninela. — Inni to mogą, a ten bryka na boki? Nie ma tak, kudłata jego mać.

Twarz Nineli, z wystającymi kośćmi policzkowymi, wąskimi oczami, ugrzyjska, wyglądałaby kompletnie z małym zadartym nosem, ale natura sprezentowała jej nos duży, zwisający nad górną wargę. Włosy w postaci wałka zwisające nad stromym czołem, nie pamiętały grzebienia, a reszta, jak dwukolorowe sopte wisiły za uszami.

— Nie sprzeciwiam się — pośpieszył z odpowiedzią Misza. — Odpowiem. Im też odpowiedziałem. Jestem bardem. Rozumiecie, czy nie? Ja tylko tworzę piosenki i nie znam żadnych waszych wrogów!

— Misza — podskoczyła do niego Kora. — Nie denerwuj się. Przecież rozumiem. Nikt nie czyni

panu wyrzutów.

— Koro, kochanie — odezwał się inżynier Wsiewołod Toj — wyrzuty czynią mu miejscowe władze. Jak rozumiem, mają możliwość obserwacji nas w miejscu kontaktu naszych światów. Misze widzieli, i ciebie, i mnie... Ale Miszę zaczęli podejrzewać, że nie jest tylko tą osobą, którą demonstruje...

— Piszę piosenki! — wrzasnął Misza. — Chcecie, to napiszę dla was piosenkę? Wesołą, radosną...

— Nie trzeba — powiedział Wsiewołod. — Przez dwa tygodnie już byśmy coś zauważyli.

— No to tak — powiedziała Kora, wyciągając dłoń, w którą domyślna Ninela włożyła kartkę z notatkami — podsumujmy widoczne gołym okiem wyniki. Oto kto tu się znalazł. Ja, Kora Orwat, trafiłam tu z końca dwudziestego pierwszego wieku. Z tego samego okresu są tu jeszcze dwie osoby — Wsiewołod Toj i Misza Hofman.

Eduard Oskarowicz przybył z połowy dwudziestego wieku. Nieco wcześniej opuściła Ziemię Ninela.

— O sześć lat — sprecyzowała Ninela, jakby to miało jakieś szczególne znaczenie.

— Na początku wieku pożegnali Ziemię Pokrewski i Włas Fotjewicz. I, w końcu, kiedyś dawno temu — księżniczka Parra. W sumie jest tu osiem osób. Zgadza się?

— Tak — powiedział Eduard Oskarowicz. — Osiem osób.

— I chcemy wrócić do domu — powiedziała Kora.

— Nie wiem — odpowiedział Pokrewski.

— Jak to? — zdziwiła się Kora.

— Jak tylko wrócę do domu — powiedział rotmistrz — czerwoni żołnierze bandyty Machny dogonią mnie, zarąbią szablami, co nie udało im się zrobić dwa tygodnie temu. Ale tym razem nie będę miał swego wierzchowca...

— Tak ogólnie, to on ma rację — poparła rotmistrza Ninela. — Mnie też dogonią. A przecież lepiej już umrzeć, niż poddać się torturom.

— A ja chcę do domu — powiedział dziecinnym głosem Misza. — Oni mi robili takie rzeczy, tak bolało...

Zapadła niezręczna cisza. Okazało się nagle, że powrót do domu, taki pożądany, jak się Korze wydawało, podzielił ludzi niczym przepaść.

— Ja już lepiej zostanę tutaj — powiedział Pokrewski. — Parra też nie ma tam nic do roboty.

Parra uniosła głowę na dźwięk swego imienia, nieśmiało uśmiechnęła się do rotmistrza, i Kora zrozumiała, że plotki Nineli nie były pozbawione podstaw.

Kora odwróciła się do Eduarda Oskarowicza:

— Nic nie rozumiem — powiedziała. — Ale może pan, jako fizyk, wyjaśni nam, czy możemy wrócić do domu. A jeśli nawet wrócimy, to dokąd?

— Nikt jeszcze nie wracał — powiedział profesor Kałnin. — Mam na myśli ludzi...

— Nie wykonano jeszcze żadnych testów? Z ptakami, owadami, czy czymś takim?

— Istnieje taka hipoteza — powiedział wolno Kałnin. — Musicie wyobrazić sobie czas. Czas jako fizyczną realność...

Ale tym razem nie dane było profesorowi rozwinąć swojej idei. Przez zalany wieczornym ciepłym światłem plac przemierzała trawnik w ich kierunku pielęgniarka.

— Kto tu się nazywa Kora Orwat? — zapytała.

— Ja.

— Do doktora Krelija na badanie — poleciała pielęgniarka.

Kora odruchowo zwróciła się o poparcie do pozostałych. Ale nikt nie ruszył palcem w jej obronie.

— Nie robią tam nic złego — powiedział inżynier Wsiewołod. — Wszyscy byliśmy badani. Taki tu porządek.

— Taki porządek... — zawtórowała Ninela. — Zostawi mi pani listę?

— Nie. Będzie mi potrzebna.

Pielęgniarka zaprowadziła Korę do budynku administracyjnego, do gabinetu bladoliciego Krelija.

Doktor był nastawiony przychylnie i wydawało się, że rzeczywiście zamierzał Korę zbadać. Ale i tak dziewczynę zdziwiło jego zachowanie: zamiast tego, by włączyć kompleks diagnostyczny, którego zadaniem byłoby badanie Kory i dokonanie odpowiednich wniosków, zajął się badaniem sam, jakby był jakimś ukrytym rozpusztnikiem, który pod pretekstem badania korzysta z okazji, by dotykać, podszczypywać i obracać pacjentkę. Będąc dziewczyną szczerą, Kora zapytała lekarza:

— Czy wszystkie kobiety tak są przez pana badane, czy tylko młode?

— Nie rozumiem — obruszył się doktor. — Co panią tak oburza? Przecież prowadzę badanie według standardowego programu. Gdyby na pani miejscu był jakiś staruszek, zachowywałbym się tak samo.

W tym momencie Kora zrozumiała, że medycyna w świecie równoległym była bardzo zacofana w stosunku do ziemskiej: zobaczyła w ręku doktora niewielki trójkątny lancet.

— Co pan chce zrobić? — zapytała drżącym głosem. Wychowana na humanistycznych tradycjach medycyny dwudziestego pierwszego wieku, której naczelną zasadą jest „nie tnij”, Kora stanęła twarzą w twarz z medycyną zacofanego paralelnego świata, przedstawiciel którego zamierzał ją ciąć.

— Proszę dać palec i nie urządzać tu hysterii. Nawet dzieci w żłobku się tego nie boją! — huknął na Korę doktor. Kora w panice podporządkowała się poleceniu i wyciągnęła doń rękę. Krelij mocno chwycił mały palec, a Kora przeżyła jedno z okropniejszych życiowych doświadczeń: doktor chlasnął lancetem przez palec, i kropla jej drogocennej krwi pojawiła się na skórze.

— Po co ta tortura? — zapytała Kora.

— Po to — odparł doktor — by wykonać analizę krwi.

— Ale czy w tym celu należy ciąć ludzi?

— Jeszcze pani nie pociąłem — oświadczył bladolicy Krelij. Zaczął ugniatać zraniony palec, wyciskając z niego sok — kroplę po kropli krwi swojej pacjentki.

Trudno i strasznie jest opisać męki, jakie przeszła agentka Interpolu Kora Orwat w tej celi tortur. Dość powiedzieć, że nie nasyciwszy się torturowaniem palca Kory, doktor wetknął jej w zgięcie łokcia potworną igłę, tłumacząc, że musi pobrać krew z tętnicy. Dokładnie tak! Następnie... Następnie Kora zobaczyła to narzędzie tortur, które tu nazywano „strzykawką”.

— W okolicy mamy cholereę — oświadczył lekarz. — Szczepimy wszystkich.

Kora zniosła heroicznie również i to. Czytała w książkach, widziała na filmach, jak herosi i tajni agenci poddawani byli torturom i egzekucjom. Teraz nadeszła jej kolej.

— No i to by było na razie wszystko — powiedział doktor, nasyciwszy się torturami. — Jutro ciąg dalszy.

— Tylko nie to! — odezwała się Kora. Zrozumiała wreszcie, jak straszliwa przepaść dzieli nasz cywilizowany, dobrze wychowany świat od dzikiego, agresywnego świata równoległego, do którego trafiła.

Inna sprawa, że kiedy wróciła do baraku i zaczęła przy kolacji opowiadać Nineli, jakim torturom była poddana, to najpierw Ninela, potem i inni sąsiedzi — Pokrewski, Eduard Oskarowicz a nawet policmajster Żurba wyśmiali ją, twierdząc, że i na Ziemi nie tak znowu dawno ciało ludzkie nie było otoczone takim, szacunkiem i było klute, cięte, szlachtowane w celach medycznych. Chociaż, rzecz jasna, nijak to nie ratowało ludzi przed strasliwymi chorobami i przedwczesną śmiercią.

Co za szczęście, myślała Kora, że urodziłam się we współczesnym świecie! Przecież mogłam przyjść na świat w dwudziestym wieku i męczyłabym się przez całe swoje krótkie osiemdziesięcioletnie życie.

— A co potem będzie się działo? — zapytała Kora, kiedy ucichł ból.

— Pożyje pani sobie u nas, odpocznie, dojdzie do siebie — wymruczał Krelij. — Potem znajdziemy dla pani odpowiednie zajęcie.

— A teraz jestem wolna?

— W żadnym wypadku! — sprzeciwił się Krelij. — Na razie jest pani na kwarantannie, będąc źródłem bardzo niebezpiecznych bakterii.

— I długo tak będę się męczyła w tym więzieniu?

— Aj! — obruszył się doktor. — Czy to więzienie? Znajduje się pani w towarzystwie swoich przyjaciół. Tu jest bardzo ciekawie.

— Rozmawia pan ze mną, jak z jakąś idiotką!

— Nikt do nas nie żywi pretensji — nie dawał za wygraną Krelij.

I pochylił się nad stołem, na którym leżały notatki z badania Kory. Zagłębił się w nich, jakby pozując do jakiegoś historycznego płótna, na którym strateg, po chylony nad mapą, decyduje, w jakim miejscu zada decydujące uderzenie.

Na sygnał, na pewno wysłany przez doktora, choć Kora nie zauważyła jak to zrobił, pojawiły się w pokoju dwie pielęgniarki w rzeźnickich ceratowych fartuchach.

— Do obróbki — rzucił Krelij nie unosząc głowy. — I odprowadzić do pokoju numer osiem.

Siostry zręcznie chwyciły Korę pod ręce, jakby oczekiwały oporu i wyniosły z pokoju. W korytarzu pchnęły ją w kierunku uchylonych drzwi, za którymi znajdowało się wąskie pomieszczenie z ginącym w mroku końcem, przegrodzone biurkiem. Siedział przy nim jakiś sługa medycyny w znanym już ceratowym fartuchu, a wzdłuż ścian ciągnęły się półki zastawione pudełkami, skrzynkami, butelkami i innymi przedmiotami.

Człowiek ten oczekiwał Kory, wstał na jej widok zza biurka, i stojąc — krzywy i przygarbiony — mętnie przyjrzał się dziewczynie jedynym okiem, po czym krzyknął:

— A gdzie ja dla niej mundur zdobędę, co? Rozmiar czterdzieści cztery, a wzrost sześć stóp?

I natychmiast zniknął w przejściu i zaczął wywalać na podłogę pudła, szperać w nich i stamtąd, z oddali doszło do Kory pytanie:

— Jaki numer obuwia?

— Mam swoje — odpowiedziała Kora. — Nie potrzebuję obuwia.

— Taki regulamin — zauważyła jedna z pielęgniarek.

Magazynier już pędził ku nim korytarzem, cisnął na biurko niebieski fartuch, stertę aresztanckiej bielizny, pończochy nawinięte na kartonik i zażądał:

— Orwat, podpiszcie się tu. Tu. I tu.

Wszystkie te jej aresztanckie manele wrzucił do szarego worka z jakimiś fioletowymi pieczętkami na tkaninie, podał worek Korze i natychmiast ukrył zeszytek z jej podpisami do szuflady biurka. A pielęgniarki ponownie chwyciły Korę za ręce i powlokły wzdłuż korytarza.

— Przecież sama pójde! — rozeźliło Korę takie traktowanie.



— Nie wolno. Nie zezwala się — odpowiedziała siostra. — Jesteście tu na prawach chorego. Na leczeniu.

— Od czego? — zapytała Kora.

Nie udzielono jej odpowiedzi. Cała trójka sturlała się po schodach, znowu pobiegli po korytarzu. Tu okna znajdowały się pod sufitem. Okna, przesłonięte kratami. Po drugiej stronie były drzwi. Oto i numer osiem.

— Gdzie klucz? — zapytała siostra.

— Gdzie klucz? — jeszcze głośniej zakrzyknęła druga.

Klucz znajdował się w drzwiach, Kora na wszelki wypadek przekręciła go i wyjąwszy z zamka, ukryła w garści. Mógł się jej przydać.

— Nie chowaj — powiedziała pielęgniarka, trącąc drzwi. — Gdzie chcesz uciekać? Dookoła są pogranicznicy.

Pokój, należący od tej chwili do Kory, nie był duży — trzy metry długości, dwa szerokości. Akurat tyle, by zmieściła się w nim prycza zasłana kocem, z wizerunkiem tygrysa z rogami. Być może taki egzotyczny zwierz tu żył. Poza tym w pokoju była muszla klozetowa i umywalka. Pozostała przestrzeń była pewnie przeznaczona na spacer.

— A ten tygrys? — zapytała Kora. — Macie tu takie zwierzę, czy zostało już wytrzebione?

— To jest wybris — odparła siostra. — Jeszcze zachował się w trudno dostępnych okolicach, ale daleko stąd. Możesz się go nie bać.

— To mnie ucieszyło — powiedziała Kora. — Bo bałam się wychodzić na spacer.

Pielęgniarki odwróciły się i po chwili przepychanki w drzwiach wypadły na zewnątrz. Paralelny świat zadziwił Korę. Oczekiwała po nim czegoś innego. Może przynajmniej czegoś bardziej wiarygodnego w dziedzinie technologii, trochę bardziej postępowego. A tymczasem, sądząc z tego, co tu zobaczyła, ten świat odstawał od Ziemi o jakieś sto lat z hakiem. No to po co zasysali tu ludzi, a nie na odwrót?

Ciekawe czy naprawdę zdemaskowali Miszę Hofmana? A ona, agentka, musi milczeć i udawać, że nic się nie stało. Nieźle trafiło się towarzystwo!

Drzwi otworzyły się na całą szerokość, stanął w nich olbrzym z malutkimi wąsami na drobnej twarzyczce. Pułkownik Raj–Raji przypominał Korze Piotra Pierwszego w nabzdyczonej i głupiej wersji.

— Przebieraj się — rzucił od progu — bo muszę cię przesłuchać, a ty jesteś w cywilnych szmatach.

— Mnie się nie podobają wasze szlafroki — odpowiedziała Kora. — Zalatuje od nich kiepskim mydłem.

— Mnie też się wiele rzeczy nie podoba — oświadczył pułkownik. — Ale jestem komendantem obozu dla szczególnie niebezpiecznych przybyszy i odpowiadam za ich bezpieczeństwo oraz zdrowie — pułkownik rozłożył długie ręce, zakończone tak małymi i kształtnymi palcami, że powinny być należeć do jakiejś eleganckiej damy, bo tu wyglądały jak przyszyte do pułkownikowych dłoni operacyjnie. Paluszki zdobiły liczne pierścienie i obrączki.

— Proszę wyjść za drzwi i poczekać tam — powiedziała Kora.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nie lubię przebierać się przy obcych mężczyznach, szczególnie jeśli to przebieranie się jest mi wstrętne.

— Jesteś głupia i naiwną dziewczyną — powiedział pułkownik. — Tobie się wydaje, że twoje ciało może mnie w jakimś stopniu interesować. Bzdura! Mam kochankę, jestem z nim szczęśliwy, i

nie wykluczam, że ożenię się z nim, jeśli jego ciotka nie będzie czyniła mi wstrętów. — W tym momencie pułkownika ogarnął straszliwy gniew, widocznie skierowany na ciotkę tegoż kochanka. Pułkownik Raj–Raji wyszarpnął z pochwy szablę, ale nie odciął Korze głowy, tylko ze straszliwym trzaskiem złamał szablę o kolano.

— Nie martw się, to proteza — oświadczył z poczuciem własnej godności i usiadł na brzegu łóżka. — Dawaj, Koro, dawaj. Mam jeszcze masę spraw do załatwienia, a muszę sprawdzić szwy na twoim ubraniu.

— Jakie znowu szwy?

— Bo może ta babunia, co to udaje, że obserwuje morze z Ptasiej Twierdzy, wszyła ci w szwy pisemne instrukcje.

„Oni tu sporo wiedzą — pomyślała Kora — oj, jak sporo!”

— Pod jednym warunkiem — powiedziała. — Zostawiam na sobie bieliznę. Nie mogę chodzić w takich służbowych manelach.

— Bzdury — powiedział pułkownik. — Ile czasu będziesz tu chodziła w swoich figach? Będziesz musiała je prać przed snem i suszyć w celi. A w tym czasie będziesz całkowicie bezbronna przed gwałcicielami.

A niech go diabli! Kora zaczęła się rozbierać, przekonując samą siebie, że cela jest pusta. Pułkownik natychmiast zabrał się do dzieła. Chwycił rzeczy Kory i zaczął je ugniatać, obwąchiwać, drapać, głaskać, potem odkładał złożone na skraju pryczy i czekał na następny detal.

Gdy już została w samych figach, Kora westchnęła z ulgą, ponieważ zrozumiała, że pułkownik ani razu na nią nie zerknął — całą jego uwagę przykuwało ubranie. Pułkownik był człowiekiem nader obowiązkowym.

— Wszystko — powiedział. — Daj mi wszystkie rzeczy.

Kora podporządkowała się i natychmiast wskoczyła w długie różowe służbowe majtki — pantalonki akurat do gry w piłkę nożną; potem naciągnęła koszulę — skąd oni biorą takie niewygodne i tak fatalnie wyprasowane rzeczy?

Przekonawszy się, że wszystkie elementy odzieży Kory znajdują się w jego rękach, pułkownik rzucił:

— Koniec. Idę do laboratorium. Będziemy to badać!

Po co to badanie bielizny — nie powiedział.

Drzwi zamknęły się za nim. Kora podeszła do kawałka lustra przybitego do ściany. Widok w nim nie był pocieszający. Szlafrok był za duży, ale strasznie krótki, spod niego sterczała niedbale uszyta bżowego koloru koszulina, zamiast kołnierzyka miała tasiemkę. „Boże, w naszym sierocińcu na Wyspie Dzieci — pomyślała Kora — za takie ubranie wyrzuciliby z pracy wszystkie kasztelanki i sama dyrektorka domu dziecka pani Aaltonen szłyby od nowa te wstrętne szmaty”.

Nie pukając do drzwi wszedł do celi doktor Błaj, ten przypominający słonia morskiego.

— Przebrana? — zapytał.

Zajmował swoim cielskiem cały prześwit drzwi. W słabym oświetleniu sutereny jego cera była szara i pokryta guzami.

— Przebrana — zgodziła się Kora.

— No to poproszę pani ubranie i bieliznę — szybko, muszę iść do laboratorium zbadać je.

— Przepraszam, ale wszystko zabrał już wasz pułkownik, ten z wąsikami.

— Raj–Raji?

— Tak się chyba nazywa.

— Tak właśnie myślałem!

Lekarz nie krył swego rozczarowania.

— Nie kłamie pani? — zapytał z nadzieją w głosie.

— Nie. Gdzie mogłabym je tu ukryć? — powiedziała Kora.

— Nie ma gdzie — zgodził się z nią Błaj.

Lekarz wyszedł, a Kora skierowała się do drzwi, żeby je zamknąć.

Ale w drzwiach już stała pielęgniarka w białym ceratowym fartuchu.

— Po moje ubranie? — zapytała Kora.

— Mam zanieść je do laboratorium.

— Proszę posłuchać, moją odzież zabrał pułkownik Raj–Raji, potem przybiegł doktor Błaj, teraz pani. Co w moim ubraniu jest takiego szczególnego? Skąd taka gorliwość?

— Głupstwa pani gada — odpowiedziała pielęgniarka. — Każdy chce coś mieć dla siebie od przybyszy. Czy z naszych wypląt można sobie pozwolić na coś z importu?

— Chce pani powiedzieć, że pułkownik zabrał moje ubranie dla siebie? — szczerze zdziwiła się Kora.

— A jak! Pani bielizna kosztuje majątek.

W tym momencie rozległ się nieprzyjemny dźwięk czegoś, co przypominało źle nasmarowany budzik.

— Kolacja — rzuciła pielęgniarka. — Proszę iść.

Pokazała Korze drogę do jadalni na parterze. Miała jednak zboląłą minę, nie kryła swego rozczarowania z powodu nieudanego szabru.

— Trzeba było mnie uprzedzić — powiedziała Kora już przy drzwiach jadalni.

— A skąd miałam wiedzieć, że oni się tak wycwanią!

W stołówce, pomalowanej szarą farbą, taką smętną, że żadne, nawet najbardziej wyszukane jedzenie nie mogło tu smakować, pod portretem jednookiego prezydenta zebrali się już jeńcy z Ziemi.

Osiem osób.

Oto oni: od prawej siedzi posepny, zapatrzony w przestrzeń Eduard Oskarowicz Kałnin, nawet nie zauważył, że Kora przysła odziana w szpitalny uniform. Obok siedzi przygarbiony, masujący swoją bliznę Pokrewski. Zobaczył Korę i skinął jej głową. Obok położył potężne pięści na stole były policmajster Żurba. Ninela szepce mu coś do ucha. Inżynier na migi usiłuje rozbawić smutną księżniczkę. Ale księżniczka nie poddaje się jego namowom. Misza Hofman zgina i prostuje aluminiowy widelec, wydaje się być pochłonięty tym zajęciem.

Kora podeszła do swojego miejsca — wskazała je Ninela, obok siebie.

— Przesłuchiwali? — zapytała.

— Nie, tylko lekarz mnie zbadał. Nie masz pojęcia, jak mnie torturował!

— A widziałaś Garbuję?

— Kogo?

— No to znaczy, że Garbuję nie widziałaś.

Pielęgniarka wtoczyła stolik na kółkach, na nim, niebezpiecznie przechylone, stały sterty misek. Przechodząc obok stołów siostra zręcznie ciskała miskami, te jechały po niedbale przetartych drewnianych powierzchniach stołów i nieruchomiały przed jedzącym. Druga pielęgniarka szła za nią i rzucała przed ludzi łyżki. Wszystko to wyglądało na cyrkowy numer. Kora miała ochotę nagrodzić je oklaskami, ale nie zdobyła się na to, ponieważ wszyscy zachowywali się poważnie, wszyscy koncentrowali się na zbliżającym się posiłku — tylko Kora nie miała apetytu. Po pierwsze, pojawiła się tu niedawno, po drugie — miała na głowie inne problemy.

Zupa była grochowa, niedosolona i niesmaczna. Żurba zawołał:

— Gdzie sól, taka wasza mać! Ile razy trzeba o to samo prosić!

Nikt mu nie odpowiedział. Nikt też nie przyniósł mu soli, a kiedy po jakichś pięciu czy dziesięciu minutach pojawiły się ponownie pielęgniarki, to niosły obie wielki garnek. Siostra postawiła gar na brzegu stołu, a druga zaczęła zaczerpywać chochlą gęstą kaszę i wkładać ją do pustych już misek.

Kiedy ta operacja zakończyła się, siostra wydobyła spod fartucha wielką otwartą puszkę po konserwach, do połowy wypełnioną żółtawą grubą solą.

Wszyscy zabrali się za kaszę, niektórzy obficie ją solili. A ponieważ pierwszy głód, rządzący tą małą kolonią, został zaspokojony, to ludziom nieco poprawiły się humory, zaczęli rozmawiać.

— Co będzie działo się dalej? — zapytała Kora Ninelę.

— Pewnie kolejne badania. Oni nas przez cały czas badają, usiłują się wywiedzieć, co my potrafimy. Wczoraj ganiałiśmy po labiryncie. A może będą przesłuchiwać, rozmawiać. — Nagle zmieniła temat: — Nie będziesz kaszy jadła?

— Nie, nie mam ochoty.

— No to dawaj, ja zjem — powiedziała Ninela. — Co ma się marnować?

— Jasne, bierz.

Ninela chwyciła miskę Kory, jedną, niemal pełną łyżkę odstąpiła swojemu sąsiadowi Żurbie, który patrzył na kaszę Kory łakomie, resztę zjadła sama.

Drzwi otworzyły się, ale zamiast oczekiwanych pielęgniarek w rzeźniczych fartuchach wszedł dziwnie wyglądający mężczyzna, widocznie i nieprzyjemnie kobiecy.

Miał kędzierzawy włosy, jak jakiś gruby chłopczyk, którego babcia prowadzi na zajęcia ze skrzypiec do drogiego wykładowcy. Miał też wiele z zachowania takiego chłopczyka w ruchach. Tyle że zamiast babci maszerował za nim pułkownik Raj–Raji i inny, nieznany dotąd Korze, wojskowy. Nowy gość był ubrany dość lekkomyślnie, w przepoconą białą koszulkę, długie szorty, białe getry, na stopach miał białe płócienne pantofle.

Kiwając się w biodrach mężczyzna skierował się na koniec stołu, gdzie usiadł na usłudnie podstawionym przez inną pielęgniarkę krzesło.

— Cóż — powiedział ciekawym głosem chłopczyk, wpatrując się w stół. — Możemy sobie pogratulować?

— Tak, towarzyszu Garbuj — głośno powiedziała Ninela. — Nadeszły posiłki.

— No, może nie posiłki, ale jednoosobowe wsparcie. Ale możemy pani wybaczyć, Ninelo, nie ma pani doświadczenia wojskowego.

Garbuj pstryknął grubymi paluchami, a pułkownik Raj–Raji natychmiast położył przed nim historię choroby Kory. Poznała ją na odległość. Garbuj zaczął wertować zeszynek, poruszając wilgotnymi wargami.

— Wszystko jasne — powiedział w końcu. — Poza Hofmanem i Tojem, jest pani najbardziej przesunięta w czasie. Będziemy musieli ze sobą porozmawiać. I to szczerze. Zgoda?

— Zgoda — powiedziała Kora.

— No to świetnie. Bo obywatel Hofman, Michaił Borisowicz, zaczął łąć i nawet przeczyć sam sobie. A nam jest potrzebna rzetelna informacja, na bazie której będą podjęte odpowiednie decyzje. Rozumiemy się? — Garbuj zwrócił się z pytaniem do Kory.

Misza Hofman w milczeniu gmerał łyżką w misce, zgarniając resztki kaszy.

— Niepotrzebnie go oszczędziłem — powiedział z nienawiścią w głosie pułkownik Raj–Raji.

— Och, kierował się pan humanizmem, pułkowniku, rozumiem pana — świętoszkowatym tonem wymamrotał Garbuj.

„Zaraz wpadnie tu jego mama, w okularach, włoży mu do rąk skrzypeczki, i będziemy musieli

słuchać, jak wygrywa gamy” — pomyślała Kora.

— Teraz do rzeczy. — Garbuj zmienił ton na przywódczy. Lubił ten rodzaj głosu. Kora nawet pomyślała, że wcześniej nie dane mu było dowodzić, ani w domu, ani w szkole — zawsze w okolicy znajdował się jakiś inny, lepszy dowódca. — Dzisiaj, towarzysze, mamy trudny, obfity w wydarzenia, dzień. Badania odbędą się w następującym trybie. Obywatelka Orwat, jako nowa, idzie do labiryntu. Inżynier Toj zostaje ze mną. Odbędzie się przyjacielskie przesłuchanie na temat stanu wiedzy w małym lotnictwie. Pozostali kontynuują kurs pozytywnie psychologicznych badań.

— Protestuję — odezwał się Włas Fotjewicz Żurba. — To oznacza, że znowu będziecie nas męczyć, a my już nie jesteśmy tacy młodzi i nie mamy za dużo sił.

— Bez tego nauka nie posunie się do przodu — protekcyjnie rzucił Garbuj. — Bez tego nie znaleźlibyście się w tym obozie, i tym bardziej bez tego nie będziecie mogli powrócić do swoich przyjaciół i bliskich.

— Słodkie gadanie — szepnął Eduard Oskarowicz, i nikt, poza Korą, nie usłyszał tego. Zresztą, gruby chłopczyk Garbuj tak przeginał w odgrywaniu swojej roli troskliwego mentora, że chyba, z niewielkimi wyjątkami, wszyscy widzieli oczywiste zakłamanie w jego słowach i obietnicach.

W drzwiach, przez które zaczęli wychodzić pomrukujący jeńcy, na Korę i dwóch jej towarzyszy czekali żołnierze, których przyprowadził Garbuj.

Zapadał już zmierzch. Cienie wydłużyły się, ucichł wiatr, powietrze przetarło się i pojaśniało i stały się widoczne zwisające nad brzegiem górskie szczyty, gdzieniegdzie pokryte żółknącymi lasami. Odwróciwszy się, Kora obrzuciła spojrzeniem niedbale pobielone ściany baraku i posępnego trzypiętrowego sześcianu, w którym mieszkali i pracowali lekarze i naczelnicy, którzy zarządzali kontaktami tego świata z Ziemią.

Te i, zapewne, inne budynki gospodarcze rozmieszczone zostały na obszernym placu, przeważnie wyasfaltowanym, gdzieniegdzie porośniętym rzadką trawą. Dookoła wszystko otoczone było metalową siatką, a przy jedynej bramie stała budka wartownicza.

— Jak się nazywa ten świat? — zapytała Kora żołnierza.

Ten odpowiedział:

— Ziemia, a jak inaczej? — Potem pomyślał chwilę i uzupełnił: — Zresztą, nie musicie tego wiedzieć.

Kora zgodziła się z żołnierzem, tym bardziej, że jej uwagę przykuł już labirynt, przed którym się zatrzymali. Dziewczyna w pierwszej chwili nie uświadomiła sobie, że widzi prawdziwy labirynt, ponieważ dotychczas był to dla niej tylko termin literacki — coś na kształt olbrzymiego wzgórza, wewnątrz którego mógł się czaić Minotaur.

Tu natomiast labirynt był nie mającą końca szarą betonową ścianą bez otworów, wysoką na jakieś trzy metry. Ciągnęła się chyba na pół kilometra, a widać było w niej tylko jedna lukę, akurat ku niej kierowała się Kora z żołnierzem. Obok prawego rogu labiryntu wznosiła się wysoka ażurowa wieża, podobna do triangulacyjnej. Na szczycie znajdował się niewielki balkon, otoczony balustradą. Na krzesłach siedzieli dwaj żołnierze. Między nimi i barierką ulokowany został karabin maszynowy i wielki teleskop.

Na widok procesji żołnierze zaczęli machać rękami i krzyczeć coś na powitanie. Towarzysz Kory odpowiedział jakimś krótkim okrzykiem i oświadczył nowicjusze:

— Oni prowadzą obserwację. Stamtąd widać wszystko, co się dzieje w labiryncie. Jeśli zobaczą coś, co jest niedozwolone, to mogą nawet strzelać.

— Co pan ma na myśli? — czujnie zapytała Kora.

— Kto za dużo wie, ten się szybko starzeje — odpowiedział żołnierz.

— A skąd ona ma wiedzieć — rzucił drugi mundurowy.

— Po co ja mam tam wchodzić? — zapytała Kora.

— Przecież jesteście badani! — odpowiedział pierwszy. — Zbadają was i do kotła!

Żołnierze roześmiali się.

Zatrzymali się przed luką w szarej betonowej ścianie, na której zachowały się ślady drewnianego szalunku.

— Ty, dziewczyno — wyjaśnił żołnierz — masz przeniknąć do środka labiryntu, wziąć posłanie i wynieść na zewnątrz. Całe przejście jest utrwalane przez kamery i obserwowane przez

wartowników. Niewykonanie zadania jest karane.

— A co was obchodzi, czy przeszłam labirynt, czy nie? — zapytała Kora.

— Mam powiedzieć prawdę?

— Tak.

— Przygotowują was do roli dywersantów. Będą was wysyłać na Ziemię — szczerze wyznał żołnierz.

Podszedł do okrągłego zegara, umocowanego do ściany, i nadusił czerwony przycisk. Zegar zaczął brzęczeć, sekundowa wskazówka ruszyła w drogę.

— Jedna godzina — powiedział żołnierz — sześćdziesiąt punktów. Każda dodatkowa minuta — jeden punkt...

— Jazda! — rozkazał drugi. — Czas — start!

Popchnął Korę w kierunku labiryntu niezbyt mocno, ale zdecydowanie.

Kora wykonała kilka kroków we wnętrzu labiryntu i zatrzymała się.

Miała przed sobą korytarz, dokładnie takie same korytarze odchodziły w prawo i lewo. Ściany były betonowe, posadzka również, sufitu labirynt nie miał. Byłby to najnudniejszy labirynt w świecie, gdyby nie niebo, błękitniejące nad głową i pokazujące stadko bardzo ładnych cumulusów, podążających w stronę morza.

Labirynt składał się z betonowych segmentów i bardzo przypominał te labirynty, jakie rysuje się w dzieciennych czasopismach, umieszczając w środku labiryntu kawałek sera, a na zewnątrz głodną myszkę, która ma na ten kawałek sera ochotę. Zdarzały się też i inne wersje — w środku siedział kotek i czekał na myszkę.

— Hej! — krzyknęła Kora mając nadzieję, że żołnierz nie usłyszy. — A jak się tu sprawy mają z Minotaurem? Nie czeka na mnie?

Żołnierz nie odpowiedział, Kora uznała więc, że tu taki mit nie funkcjonuje. Pewnie zamiast tego powstał inny, nie o labiryncie, a o skalnej jaskini.

Westchnawszy skierowała się w prawy korytarz, trzymając prawą rękę na prawej ścianie. Wkrótce korytarz skręcił do środka, a po kolejnych dwudziestu krokach skończył się ślepym korytarzem. „Jeśli nie ma tu Ariadny z kłębkim nici — pomyślała Kora — to daj mi przynajmniej, Boże, kawałek ołówka albo węgla. Pół królestwa za ołówek, żeby zaznaczać własną drogę”.

Kora uniosła głowę, nad nią, z boku, jakby płynąc po niebie, pod prąd ławicy obłoków, zawisła wieża, z której obserwowali myszkę dwaj żołnierze. Jeden patrzył przykładając dłoń do czoła, drugi przez lunetę.

Kora zrobiła krok ku ścianie — wieża znikła, no — przynajmniej nie wszystko widzą.

Ale zaraz przekonała się, że nie ma racji — w jej oczy uderzył słoneczny zajaczek — gdzieś nad labiryntem istniał system luster. Dobra, powiedziała do siebie Kora, niech się gapią. W końcu taki labirynt nie może być trudny do pokonania, tylko nie wiadomo po co im to badanie? Przecież nie jestem królikiem doświadczalnym!

W odpowiedzi na to zza węgla pojawił się doktor Błaj i uprzejmie zahuczał:

— Nie ma pani nic przeciwko, żebym szedł obok? Interesują mnie pani działania.

— Proszę bardzo — zgodziła się Kora. — Właśnie sobie myślałam: komu i do czego jest potrzebny ten test? Czy naprawdę pan i pańscy koledzy uważacie, że bardziej przypominamy myszy niż ludzi?

— Szczerze mówiąc — odparł doktor — ten test, to skutek braku jednomyślności co do dalszego z wami postępowania. Tak nieoczekiwanie i zdecydowanie zwaliliście się nam na głowę, że niektórzy z nas woleliby, żeby w ogóle was tu nie było. Inni chcą wykorzystać was do swoich

egoistycznych celów. A my chcemy zrozumieć, w jaki sposób da się osiągnąć wzajemną korzyść.

— Kto tu jest „my”?

— My — ludzie rozumni, nie ogarnięci manią wielkości. Knowania generała Leja mogą doprowadzić do zguby nasz własny kraj. W prawo, bardzo proszę.

— Słucham?

— W prawo, bo znowu wejdziemy w ślepią uliczkę — powiedział doktor.

— Czy to znaczy, że nie jest pan osamotniony?

— Jaki tam, do licha, osamotniony! Miesiąc temu nie miałem pojęcia o waszym świecie, o paralelnej Ziemi i nawet o tym, że istnieje doktor Garbuj. Byłem szefem katedry psychologii na uniwersytecie. Nagle zadzwonił do mnie kolega po fachu, nie zna go pani, i powiadomił mnie o zadziwiającym odkryciu profesora Garbuj — i o tym, że istnieje paralelny świat i że nawet istnieje możliwość kontaktu z nim! Jasne, że rzuciłem wszystko, żeby tylko móc uczestniczyć w tym projekcie. Ach, jakie to było święto wiedzy — doktor przymknął oczy i poruszył zwisającym organem powonienia, jakby wdychając bajeczny aromat. — To był niewyobrażalny skok w nauce. Jak radzi byliśmy, gdy przyrządy zaczęły działać, pozwalając obserwować punkt kontaktu między nami i waszą, drugą Ziemią!

— Moja Ziemia jest druga? — zapytała Kora.

— Oczywiście — odpowiedział słoń morski. — Potem zaczęliśmy prace nad bezpieczną przejściówką między naszymi światami.

— W obie strony? — czujnie zapytała Kora.

— Jasne! Co prawda ludzie jeszcze nie przetestowali tej drogi. Ale wysyłaliśmy na drugą Ziemię owady, ptaki i nawet drobne zwierzęta. Wszystkie przeszły do was bez szkody dla siebie. Wszystko było przygotowane do wielkich wydarzeń, ale dwa tygodnie temu doświadczenia zostały wstrzymane.

— Dlaczego?

— Dlatego, że zaczął pracę pierwszy ekran obserwacyjny, pojawili się pierwsi przybysze i wszystko popsuli.

— Przybysze — to my? — zapytała dziewczyna.

— Oczywiście. Tak was określają nawet w oficjalnych dokumentach.

Kora ostrożnie zerknęła na górę — żołnierze obserwowali ich z góry. Od soczewki lunety odbił się słoneczny zajaczek.

— Czy to nie szkodzi, że oni nas obserwują? — zapytała Kora.

— Z tej odległości nic nie usłyszą. A skoro widzą nas, to nie mają powodu do niepokoju: doktor przesłuchuje pacjentkę. To się tu zdarza. A labirynt to najpewniejsze miejsce, żeby trochę pokonspirować.

— Ale co się stało?

— Pracowaliśmy w willi „Raduga”. Nie była tam pani?

— Kiedy? Jak? Przecież jestem tu pierwszy dzień.

— To nieopodal. Tam znajdował się nasz ośrodek dyspozycyjny. Pan prezydent odwiedza nas co najmniej raz na tydzień. Z projektem „Ziemia-2” łączą się jego bardzo poważne plany.

— Jakież to?

Doktor zerknął na wieżę. Żołnierze ciągle wytrzeszczali na nich oczy. Doktor ściszył głos.

— Bardzo ryzykuję — oświadczył. — Ale sytuacja robi się dramatyczna. Tragiczna. Niebezpieczna nie tylko dla was, ale i dla naszej Ziemi. Dlatego muszę zwrócić się do pani o pomoc, Koro.

— Ale dlaczego do mnie? Są tu ludzie mądrzejsi ode mnie, starsi.



— Człowiek, któremu ufam, powiedział, że mogę się przed panią całkowicie odstąpić.

— Co to za człowiek?

— Wkrótce go pani zobaczy.

— No to chodźmy do niego.

— Zaraz. Najpierw wprowadzę panią w całość sytuacji. Myśmy nie wszystko wiedzieli, bo nie o wszystkim nam mówiono... Ale w trakcie pierwszych doświadczeń i dostrajania łączności byliśmy przekonani, że wszystkie światy są we wszystkim do siebie podobne. W rozwoju również. To znaczy, sądziliśmy, że wasza Ziemia znajduje się... no, jakby w połowie dwudziestego wieku według naszego kalendarza. Nie wiedzieliśmy, nie podejrzewaliśmy istnienia paradoksu czasu, że podczas przejścia czas zanika...

— A jakie to miało dla was znaczenie?

— Dla mnie, dla innych uczonych — żadnego. Ale dla prezydenta — ogromne.

— Dlaczego?

— Dlatego, że wasza Ziemia okazała się głównym argumentem w walce o władzę. Pan Garbuj zapewnił prezydenta, że Ziemia-2 niczym nie różni się od Ziemi-1. Że można z nią handlować, komunikować się, że można ją podbić...

— Podbić? Nas?

— Gdybyśmy się dobrze przygotowali, gdybyśmy wiedzieli wszystko naprzód, gdybyśmy wykorzystali czynnik zaskoczenia — to dlaczego nie miałby się stać władcą dwu planet?

— I wyście to potraktowali serio?

— Do czasu, póki nie zaczęły pracować urządzenia i póki nie pojawili się pierwsi przybysze. Bo doszło do tragedii... Okazało się, że przybysze są z różnych epok. Najstarsi z was żyją w świecie, który wyprzedza nas o półtorej setki lat, który opanował podróże do gwiazd i taką wojenną technologię, że naszym dzielnym generałom nawet się nie śniła. I kiedy już ustabilizowaliśmy obserwację waszej Ziemi, to nasze obawy się potwierdziły — zobaczyliśmy świat, w którym żyjecie dziś... Paradoks braku czasu zgubił nas. I zburzył wszystkie nasze plany.

— No, nic się strasznego nie stało — postarała się uspokoić wzburzonego rozmówcę Kora. — Jeszcze nie wszystko stracone. Jeśli wasz świat udowodni, że nie ma wrogich zamiarów w stosunku do naszego, to z przyjemnością będziemy z wami współpracowali — i to z obopólną korzyścią.

— Po pierwsze, to się nie spodoba naszym wojskowym — nie zgodził się doktor. — Oni już przygotowali się do podboju Ziemi-2 i zyskania sławy wieczystej. Nie będzie łatwo przekonać ich do zmiany planów. Raczej już wystrzelają wszystkich pacyfistów. Po drugie, to jest niebezpieczne dla naszego prezydenta i profesora Garbuję. Prezydent już się pośpieszył i nadał sobie tytuł „Władca dwóch planet”. Garbuję uczynił swoim pierwszym ministrem do spraw nauki. A teraz co? Przyznać się, że nasz świat wcale nie jest najbardziej postępowy i przodujący we Wszechświecie? Przyznać, że ktoś może nas zmiażdżyć jednym palcem? I jeszcze jedno — prezydent woli dociągnąć do wyborów, wywalczyć drugą kadencję, a dopiero potem decydować, co począć z Ziemią-2. A na razie — cisza... Ale raczej to mu się nie uda. Nie udało się zachować całkowitej tajemnicy. Generał Lej wie, co się stało, i nie zamierza rezygnować ze swoich planów — on już ma zmobilizowaną armię, która ma zająć Ziemię-2. A jeśli nie Ziemię-2, to przynajmniej własny glob. Jak to mówi lud: „Nadszedł czas, by prezydenta z góry zrzucić”.

Kora przypomniała sobie gruzowiska jednakowych popiersi i monumentów wzdłuż górskiej drogi. Nawet nie musiała pytać: jasne już było, że to właśnie tam zwożono pomniki byłych prezydentów.

— Nie lubią u was byłych prezydentów? — zapytała Kora.

— A niby za co mają lubić poprzednika, skoro znacznie wygodniej jest zwalić na niego wszystkie grzechy i wpadki, a także ekonomiczne problemy, rosnącą przestępczość, śmiertelność wśród dzieci, korupcję, machinacje urzędników, niesprzyjający klimat i obfitość karaluchów — wszystkiemu winien jest poprzednik! Precz z jego popiersiami!

— Bez wyjątku?

— Powiadają, że sto lat temu mieliśmy jednego naprawdę bez grzechu, ale ten miał władzę tylko przez pół roku, a i to nie wstawał z łoża.

— To znaczy, że wasz prezydent, jako człowiek niegłupi...

— Niegłupi to nie jest właściwe określenie!

— Ale wojskowi się nie zgadzają?

— Oczywiście, że generałowie się nie zgadzają. Przecież kiedy toczą się walki, giną nie generałowie a żołnierze. Dla generała zawsze znajdzie się schron z ciepłym kiblem.

— To znaczy, że wszystkie testy i labirynty są wymyślone...

— To są elementy programu Garbujaja. To znaczy — prezydenta.

— Teraz mniej więcej wszystko rozumiem. Ale kto polecał mnie jako godną zaufania osobę? Z kim chce mnie pan skontaktować?

— Idziemy — powiedział doktor. — To pani przyjaciel. Rozmowa z nim przekonała mnie, że jesteśmy na złej drodze.

Doktor prowadził Korę po korytarzu, skręcili w jakąś odnogę, gdzie pod ścianą, kryjąc się przed czujnym wzrokiem żołnierzy siedział Misza Hofman.

Co było do przewidzenia.

— Przyszłaś — powiedział bard. — Dziękuję panu, doktorze.

Doktor dyskretnie wycofał się na kilka kroków.

— Koro — szepnął kompozytor i pieśniarz. — Na mnie więcej nie licz. Wpakowali we mnie tyle środków psychotropowych, że łeb mi pracuje na trzy procenty. Nawet nie zagram wlaź kotek jednym palcem...

— Musisz wracać.

— Nigdzie nie muszę. Zrozum, że przekazuję ci wszystkie pełnomocnictwa — teraz ty tu reprezentujesz rząd Federacji Galaktycznej. Ale o tym wie tylko doktor...

— Uwaga! — rozległ się głos z wysoka i z daleka.

— Odnotowano skupienie elementu w rejonie środka labiryntu. Żądam natychmiastowego podniesienia rąk i wyjścia na otwartą przestrzeń.

— No to koniec — powiedział doktor. — Przeceniliśmy swoje umiejętności konspiracji.

— Raczej niedoceniaлиście możliwości pułkownika — odpowiedział Misza.

— Rozchodzimy się w różnych kierunkach — powiedział lekarz. — Oni najpierw strzelają, a dopiero potem sprawdzają, kto miał rację, a kto jest winny. Żegnajcie. Być może oni wykorzystają okazję, by się mnie pozbyć. A ja nie mam na to ochoty.

I doktor szybko pomaszerował korytarzem.

Ale nie zdołał dojść daleko.

Wznecając pył po korytarzu wbiegli żołnierze z pułkownikiem Raj—Rają na czele. Pułkownik był tak wysoki, że poziomo padające promienie słońca, oświetlające tylko górne brzegi ścian, złociły jego rzadkie, rozczochrane w biegu włosy. On pierwszy oddał strzał do słonia morskiego. Doktor chwycił się za pierś i zachwiał.

Hofman szarpnął Korę za rękę i oboje upadli na betonowe podłoże.

— To nic — mamrotał Misza. — To gumowe pociski. Oczywiście, że gumowe...

Krew płynęła między palcami doktora, po jego piersi. Pułkownik wystrzelił jeszcze raz. Doktor posłusznie i spokojnie ułożył się u jego nóg.

— No! — krzyknął pułkownik, odrzucając do tyłu kształtną małą główkę i strosząc wąsiki jak kotek. — Naprzód! Po labiryncie do celu — naprzód!

Kora i Misza podnieśli się i pomaszerowali po korytarzu.

Doktor nie poruszył się więcej.

Kora szła wąskim korytarzem między szarymi, betonowymi ściankami, za nią szurał podeszwami Misza Hofman. Gdzieś za nimi leżał martwy doktor Błaj, dlatego wszystko inne wydawało się nieważne. Nawet to, że znajdowali się w niewoli cywilizacji, która z kolei tak ustępowała galaktycznej, że nie mogła zagrozić Ziemi. O tym należało powiadomić Milodara i Ksenię Michajłowną, ale, z drugiej strony, nie należało się przesadnie śpieszyć, bo zasób wiedzy o świecie równoległym był zbyt skąpy. Nie wysunęła przecież nawet czubka nosa poza granice obozu dla przybyszów.

Truchtali z Miszą korytarzem, a za nimi tupał pułkownik Raj–Raji ze swoimi zuchami. Niewykluczone, że jak dogonią, to zastrzelą również Miszę i Korę.

— Stój! — ostrzegł ją nagle Misza. Może i był chory i osłabiony, ale pierwszy zauważył podejrzaną pasmo przed nimi.

Kora zatrzymała się tuż przed pasem innego podłoża i dotknęła go czubkiem pantofla. Pantofel posłusznie zagłębił się w czymś, co imitowało beton.

— Bokiem! — rozkazał Misza.

Rzucili się w boczną odnogę i zdążyli zobaczyć, że ścigający ich pognali głównym korytarzem, a potem dał się słyszeć hałas, pluśnięcie, krzyki, od których zadrżały ściany labiryntu. Można było sądzić, że za zakrętem kilka osób walczy o życie, krusząc ten cud miejscowej architektury. W tym momencie czułe serce Kory nie wytrzymało — dziewczyna pobiegła w kierunku, skąd dobiegały krzyki. Na szczęście nie musiała biec daleko.

Wysoki pułkownik był zasysany przez beton o metr od tej krechy, która zaniepokoiła Miszę. Pułkownik młócił w betonowym cieście wytwornymi, upierścienionymi palcami, walił po głowach swoich tonących żołnierzy, usiłując oprzeć się na nich, ale żołnierze uchylali się przed jego ciosami i starali się sami wypełznąć na twardej grunt, coraz mocniej pograżając się w grząskim „betonie”.

Kora rzuciła się na ziemię i wyciągnęła rękę do przodu — pułkownik natychmiast wczepił się w nią. Na szczęście zdążył z pomocą Misza — gdyby nie on, pułkownik natychmiast wciągnąłby dziewczynę w grzęzawisko.

Żołnierze trzymali się pułkownika i po chwili rozpaczliwej walki grzęzawisko, głośno mlasnąwszy, wypuściło ich wszystkich.

Pułkownik wypełzł na suchy ląd, następnie, pomagając sobie wzajemnie, wyleźli z ciasta żołnierze. Przeklinali na czym świat stoi, pułkownik też klął i obiecywał, że wyjaśni, co za idiota narobił tu pułapek. Ludzie są potrzebni nie po to, by tonęli w bagnach, a do walki. Z góry, z wieży, musieli obserwować ten incydent. Widocznie w pułapkach labiryntu miały ginąć myszki, a nie koty, i to w stopniu pułkownika. Tupiąc buciorami pognęła korytarzem pomoc, żołnierze wpadali do ślepych odnóg, walili czołami i łokciami w przegrody. Do czasu, kiedy dopadli kolegów, z góry, z metalowego talerza, już spłynął na spadochronie niski zwarty mężczyzna w maskującym kombinezonie. Miał krótko ostrzyżone włosy, na czoło opadała mu krótka grzywka, oczy miał

szalone, bezczelne, usta szerokie, pozbawione warg, kości policzkowe mocno wystające.

— Co tu robiliście? — zapytał pułkownika.

Pułkownik nie mógł odpowiedzieć, ponieważ beton, z którego przed chwilą wylał, szybko stwardniał i skuł jego członki, jak również zamknął usta. Tylko przez nozdrza mógł oddychać, i jeszcze odrobinę uchylił powiek. Jego żołnierze nie byli wcale w lepszym położeniu — również w oczach zmieniali się w posągi poległych żołnierzy.

— Przesadziliście, co? — zapytał mężczyzna z grzywką Korę.

— Nie wiem — odpowiedziała zapytana. — Przecież to było przeznaczone dla nas. A na nas wszystkie środki są dobre.

— Tylko ludzi tracimy — rozżościł się mężczyzna z grzywką. Rozkazał żołnierzom, którzy przybiegli z wieży i stali na baczność, żeby wyprowadzili z labiryntu poszkodowanych, w tym polecił zburzyć część ścian.

Ściany pękały nad podziw łatwo, w powietrze wzbily się tumany pyłu, człowiek z grzywką gdzieś zniknął.

Kora i Misza Hofman zostali sami. Misza ukrył się w jakiejś odnodze i tam zapadł w drzemkę, siedząc w kucki pod ścianą, a Kora ostrożnie poszła w kierunku środka labiryntu — ciekawa była, co to za nagroda czeka na tego, kto pomyślnie wykona test.

Do celu było już blisko, i droga prowadziła na wprost, chociaż Kora patrzyła już teraz pod nogi, żeby nie wpaść w kolejną pułapkę, nie wiadomo po co zbudowaną — nawet pan pułkownik uważał to za głupstwo, do czasu, oczywiście, póki nie wpadł do niej, sam.

W centrum labiryntu znajdowało się małe kwadratowe pomieszczenie, na jego środku stał kamienny ołtarz czy może stół — co kto woli. Na nim znajdowało się popiersie prezydenta, a przed nim stała zatkana plastikowym korkiem, do połowy wypełniona butelka, na jej etykietce widniał dużymi literami wykonany napis: „Wino różowe z winogron”. Obok stała szklanka. I przywalona kawałkiem cegły karteczka: „Gratulujemy wykonania zadania. Mamy nadzieję, że wrócicie szczęśliwie. Dowództwo”.

Kora stała chwilę, patrzyła na nagrodę, nie wypila wina, ale notatkę zabrała i ukryła w kieszeni swojego niebieskiego pikowanego szlafroka. Przyda się, gdy będzie składać sprawozdanie komisarzowi.

Poszła z powrotem, ciągle patrząc pod nogi. I to niemal spowodowało katastrofę — jakieś dziesięć metrów od środka labiryntu zwałił się na nią kawał ściany — źle umocowany betonowy panel.

Kora, na szczęście, zdołała odskoczyć, ale jej złość na miejscowe władze jeszcze się spotęgowała.

Wyszła z labiryntu przez wywalone przed chwilą przejście. Na placu, oddzielającym labirynt od budynków mieszkalnych, nie było już nikogo. Słońce zaszło i dookoła niemal pachniał różowy cichy zachód słońca, powietrze było parne i nieruchome, ale z gór już nasuwał się, wypełniał sobą niebo, wieczorny chłód. Ptaki milkły, nie było też słychać cykad.

Kora zeszła schodami kondygnację niżej i korytarzem dotarła do mieszczącej się w suterenie celi numer 8.

Drzwi były otwarte. Kora położyła się na pryczy.

W budynku panowała cisza, tylko gdzieś daleko, na granicy słyszalności, ktoś grał na fortepianie.

Może pójść do salonu?

Nie, nie miała ochoty nikogo widzieć. I z tą myślą zasnęła.

Do pokoju ktoś wszedł. Kora przez sen poczuła ruch w celi.

— Koro — ochryply szept głucho zabrzmiał w pomieszczeniu. Kora uświadomiła sobie, że śpi na kocu, nawet nie zrzuciwszy ubrania. Okno pod sufitem nie dawało światła — widać w nim było tylko granatowe niebo.

— Kto tu jest? — zapytała Kora.

— Ciszej, to ja, Ninela, chcę trochę poszukać, masz coś przeciwko?

— Chodź tu — Kora poczuła ulgę, że to Ninela a nie jakiś gwałciciel.

Prycza zaskrzypiała. Ninela była kobietą obfitą, nie tłąstą, ale dobrze umięśnioną.

— Czemu się położyłaś spać? — zapytała Ninela. — Źle się czujesz?

— Nie, zmęczona jestem.

— Nie jesteś ranna? Słyszałam, że wpadliście z Miską w kabałę?

— Tak.

— Doktora Błaja zabiło?

— Sądzę, że zginął.

— Szkoda. Ten był taki ludzki, nie czepiał się.

— Pułkownik Raj–Raji go zabił.

— Pułkownik to dzikus, jak nie wiem co. Należy się go bać. Uczepił się mnie, a ja się go boję strasznie. Nie, nie myśl sobie, to mężczyzna postawny i w innej sytuacji to by mi wystarczyło. Ale tu się go boję. I najważniejsze — boję się zamętu.

— Oni wszystko o nas wiedzą, wszystko widzą — szepnęła Kora.

— Jesteśmy jak króliki... albo myszki.

— Masz na myśli labirynt?

— Labirynt też. Dlaczego pułkownik zabił doktora?

— Sama chciałabym wiedzieć. Ja tu jestem dopiero jeden dzień i niewiele rozumiem.

Kora nie mówiła tego do końca szczerze: doktor był współpracownikiem Garbuja. Najprawdopodobniej więc wojskowi korzystali z każdej okazji, żeby pozbyć się obcych.

— Jeden dzień, a już ustawiłaś się ponad wszystkimi — powiedziała Ninela. — Czy to prawda, że mieszkasz w przyszłości?

— Przecież mówiłam.

— Może, ale i tak ci nie wierzę — szeptała Ninela. — Niby dlaczego mam ci ufać, skoro specjalnie do nas przyjechałaś z zadaniem prowokacyjnym, ale ty mi się, słowo honoru, podobasz — nie będę ci ufała, nie obraź się, że nie będę ci ufała, ale powiedz mi jednak, jak tam u was jest?

— Trudno mi opowiedzieć wszystko, ponieważ między nami jest wiele lat różnicy.

— Ale powiedz mi o najważniejszym, nie rozumiesz, o co cię pytam?

— O co?

— O zwycięstwo komunizmu! Czy nie rozumiesz, że o nie pytam?

O Boże! — niemal zawołała Kora, uświadomiwszy sobie w końcu, jaka olbrzymia przepaść leży między nimi. Przecież Ninela i Eduard Oskarowicz przybyli tu z innego świata, niemal literackiego z powodu stopnia wydumania. Z tego źródła, które jeszcze przez dziesięciolecia po swojej śmierci podsycalo wrogość i wojny nie tylko w różnych krajach, zarazonych mocniej lub słabiej tą chorobą, ale także na innych planetach, niby bezpośrednio nie mających związku z ziemską historią, ale jakby dążących do tego, by wpaść w sidła tej samej łatwowierności, prowadzącej przecież do ucisku.

— Komunizmu nie udało się zbudować — powiedziała Kora bez szyderstwa czy kpiny, odpowiedziała tak, jak odpowiedziałyby Aleksandrowi Macedońskiemu na pytanie czy uda mu się podbić Chiny, odpowiedziałyby, że Chiny mu się nie podporządkują.

— Wiedziałam, że tak powiesz — westchnęła Ninela. — Ja ci, oczywiście, nie wierzę, ale i tak powiedz mi, co się wydarzy.

— To się wydarzy, kiedy będziesz już starą kobietą.

— Ale na razie żyję! Żyję, a wszystko już się stało!

— Nie wiemy, jaki w tej chwili mamy naprawdę rok na Ziemi — zauważyła Kora. — Przecież jesteśmy z różnych czasów i wieków, a przybyliśmy tu niemal jednocześnie.

— Mówisz tak, jakby lepiej było nam nie wracać do siebie — powiedziała Ninela.

— Do domu zawsze warto wrócić.

— A może ty nie chcesz wracać do swoich czasów? — zapytała Ninela. — Może chcesz do nas, w epokę heroicznej budowy socjalizmu?

— Nie, nie mam ochoty na heroiczną epokę — powiedziała Kora. — Drogo zapłaciliście za heroizm.

— Bo nie ma taniego heroizmu — odparła Ninela.

— Nie powiedziałam ci prawdy, dlaczego tu trafiłam. Tak naprawdę, to skoczyłam w przepaść z powodu nieszczęśliwej miłości do jednego czekisty. To długa historia, a ty mnie nie wysyp.

— Nie powiem nikomu.

— I nie będziesz mną gardzić?

— Raczej powinno ci się współczuć.

— Ale ja nie chcę współczucia! — Ninela opanowała się. — Litość poniża człowieka. Tak nas uczył Gorki.

— Dlaczego tak głupio was uczył?

— Milcz, Koro, bo źle skończysz. I jasną przyszłość naświetlasz problematycznie, i wielkiego pisarza Gorkiego nie pamiętasz. Może w tej waszej przyszłości nie chodziłaś do szkoły?

— Jakoś tam chodziłam — potwierdziła Kora. — Komputer mnie uczył, a ja go oszukiwałam. A co jeszcze ten twój pisarz Gorki powiedział?

— Powiedział to, co się do ciebie odnosi: jeśli wróg się nie poddaje, to należy go zniszczyć.

— Tobie to powiedział? Czy Eduardowi Oskarowiczowi?

— Całemu światu powiedział!

— No to powinien był głośniej mówić — odpowiedziała Kora — bo do nas nie dotarło.

— Wiesz co? Więcej nie będę z tobą o polityce rozmawiała. I nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Rozumiesz?

— Rozumiem — uśmiechnęła się Kora.

— Najpierw myślałam, że jesteś nasza, pomagałam ci. A ty jesteś elementem wrogim.

— Nie jestem dla nikogo elementem wrogim. I nie musisz mnie niszczyć.

— No to śpij sobie — powiedziała Ninela. — Miałaś trudny dzień. Zapytałabym cię jeszcze o wiele rzeczy, ale się boję.

Zagładanie w przyszłość wywoływało zdziwienie i strach. Nie wiadomo było, czy wierzyć w to, że przyszłość stanie się obca, czy może zachować swoją wiarę w czystości.

Ninela wstała z pryczy. Prycza jęknęła głośno.

Granat za oknem nieco pojaśniał, a może tylko się tak Korze wydawało.

Niepewnie odezwał się jakiś ptaszek, przerwał pieśń, jakby zdziwiony własną odwagą czy gorliwością.

„Jeśli jeszcze ktoś przyjdzie — pomyślała Kora — zabiję”.

Ale nikt nie przyszedł.

Aż do rana.

— Pobudka, pobudka, wstać! — Ktoś szedł po korytarzu i wrzeszczał.

A na zewnątrz wyła syrena.

Upiorny hałas, jakby nie można było obudzić po ludzku.

Szczególnie przykre było to, że akurat śnił jej się miły sen, w którym inżynier Toj woził ją na ornitopterze, a dla bezpieczeństwa musiał ją mocno objąć. Kora trochę się bała, ale było jej równocześnie bardzo przyjemnie — w dole, daleko od nich przesuwały się miasteczka i pojedyncze budynki nieznanego pięknego kraju. Malutkie ludziki machały maluškimi rączkami, poznając Korę. Kora wiedziała, że lot na ornitopterze skończy się tam na tej zielonej łączce, gdzie im nikt nie będzie przeszkadzał...

Przeszkadzili! Za pomocą syreny!

Kora opuściła bose stopy na chłodną podłogę.

Na korytarzu rozległ się tupot butów, plaskały bose stopy.

Drzwi do celi Kory otworzyły się, wsunął się pysk pielęgniarki nieznanego płci i pysk ten ryknął:

— A dla ciebie co — oddzielne zaproszenie?!

Kora włożyła pantofle — dobrze, że je zachowała! Umywalki i toalety były dość daleko, na końcu korytarza. Jeden węzeł sanitarny dla wszystkich mieszkańców tego korytarza. Przy umywalce pod portretem prezydenta krzątał się powolny i pewny siebie Włas Fotjewicz. Wtykał palec do pudełka z kredą i potem palcem tarł zęby.

Odwrócił się do Kory — usta całe białe — i ryknął:

— Nie ma proszku do zębów!

— I papieru toaletowego — dodał ktoś zza drzwi toalety.

Potem przyszła księżniczka, ale zobaczywszy mężczyznę od razu uciekła.

— Głupia — powiedział Włas Fotjewicz. — Myślisz, że będzie się męczyła? Guzik tam, zaraz za róg polecą. Oni, Tatarzy, wszyscy tacy. Och, długo jeszcze będziemy przyzwyczajając ich do cywilizacji.

Z kabiny wyszedł Misza Hofman, przywitał się z Korą i powiedział:

— Przepraszam, że cię przetrzymałem.

Włas Fotjewicz zaczął płukać usta. Spluwał, bulgotał, i przy tym nie przestawał mówić:

— Jak na dziś przewidziano tortury? Och, nie sądziłem, że u schyłku żywota dostanie mi się taki krzyż.

— Labirynt, jeśli o to chodzi, przestał istnieć — pocieszyła go Kora.

— No to będą testy — powiedział Włas. — Doktor Krelij już w ubiegłym tygodniu odgrażał się, że będą testy. Wiesz, co to za cholerstwo, te testy?

— To nic strasznego — powiedział Hofman, odsuwając od umywalki pana Żurbę. — Będą pytali.

Hofman był taki sam przymulony i zwiędły jak poprzedniego dnia.



— Po co?

— Żeby się dowiedzieć, kto jest mądry, a kto głupi.

— To wiadomo i bez pytań — roześmiał się Żurba i skierował do poprzeczki, na której wisiał jeden wspólny ręcznik. Zaczął szukać na nim miejsca możliwie suchego i czystego.

Wszedł białogwardzista Pokrewski. Był blady, a z powodu tej bladości straszliwa blizna na twarzy była jeszcze bardziej czerwona i widoczna.

— Już kolejka? — zapytał ze złością. — Podstawowa cecha naszego reżimu, wszędzie kolejki.

— Jak wiadomo nam ze szkół — przypomniał sobie szkolny podręcznik Misza Hofman — carski rząd upadł właśnie z powodu kolejek po chleb w lutym 1917 roku.

— Skąd mam wiedzieć? — zawołał rotmistrz i skierował się do kabiny, ale w tym momencie Kora uświadomiła sobie, że w ten sposób stojąc i gadając przepuści wszystkie kolejki, i rzuciła się do kabiny pierwsza.

Podłoga wewnątrz była obficie wysypana jakimś białym proszkiem, cuchnącym mocno chlorem, prymitywny środek dezynfekujący.

Trzasnęły drzwi. Kora domyśliła się, że to wyszedł Misza Hofman.

— Nie podoba mi się ten Hofman — powiedział Pokrewski.

— Ciszej, panie rotmistrzu — odezwał się policmajster. — To mogą być wspólnicy. Chodźmy, pogadamy na zewnątrz.

Kiedy Kora wyszła z kabiny, przy kranie nie było nikogo. Zdecydowała, że skorzysta z pudełka z kredą, wyczyściła zęby palcem, dziwiąc się zdolności ludzi z wszystkich epok do adaptacji do niewiarygodnych nawet warunków.

— Dzień dobry — przywitał się Eduard Oskarowicz, wchodząc do umywalni.

Kora przekazała mu kredę, a Eduard Oskarowicz zdjął okulary i zaczął kredą je przecierać.

— Wie pani, że to ciekawe — powiedział odsuwając okulary na długość ręki i sprawdzając, czy dobrze je wyczyścił — gdyby potrzymano nas tu z pół roku, to powstałoby wspaniałe wspólne, czyli komunalne mieszkanie! Wie pani, co to jest?

— Nie, a co?

— Boże, jak to się stało! — zakrzyknął Kałnin. — Jesteśmy jednakowi, a nie mamy ze sobą nic wspólnego.

W tym momencie Kora zobaczyła, że drzwi jakby leciutko się uchyliły — ktoś ich podsłuchiwał! Podniosła palec do ust, ostrzegając Kałnina.

— Milczę! Chociaż, szczerze mówiąc, nie rozumiem, komu są tu potrzebne donosy.

— To ten straszny Garbuj chce wiedzieć wszystko o nas i przygotować najazd na Ziemię.

— Proszę nie przeceniać Garbuja — machnął ręką profesor — to pionek w cudzej grze.

— Zna go pan?

— Oczywiście. On, podobnie jak ja, postawił na złą kartę. Historii nie da się przewidzieć. Odgadnąć przyszłość to to samo, co wygrać na loterii milion rubli czy samochód pobieda, rozumie pani? Gdybym mógł w swoim czasie uwolnić się od hipnotycznej pewności o nieśmiertelności wodza, gdybym choć raz zatrzymał się i popatrzył trzeźwo na to, co Stalin — ten starzec, który przez całe życie katował swój, i tak niezbyt mocny, organizm wódką, winem i rozpustą, gdybym choć raz uświadomił sobie, że jak nie dziś to jutro kopnie w kalendarz, to wszystkie swoje działania modelowałbym inaczej. Ale byłem tak samo zahipnotyzowany, jak cała moja ojczyzna.

— Chce pan powiedzieć, że Stalin miał być wiecznie żywy, ale umarł?

— Tak.

— A co pan zrobił?

— Jak to co? Trafiłem tutaj! Emigrowałem! Ukryłem się.

— Ojej! — Kora przeżyła wstrząs. — Czy to znaczy, że już sto pięćdziesiąt lat temu żył człowiek, który domyślił się, że istnieje świat równoległy i przeskoczył tu?

— Może pani tak uważać do pewnego stopnia.

Z kabiny wyszedł rotmistrz Pokrewski i zabrał się do mycia. Nie słuchał rozmowy Kory z Eduardem Oskarowiczem, a jeśli nawet się przysłuchiwał, to w niczym się z tym nie zdradził.

— A jaka jest pańska specjalizacja? — zapytała Kora Kałnina.

— Jestem fizykiem. Moja domena to fizyka doświadczalna. Czy to pani coś mówi, moja droga praprawnuczko?

— Oczywiście — powiedziała Kora. — To wy zrobiliście bombę atomową.

Znowu odezwał się dzwon, do niego dołączyła ze swoim ohydny wyciem syrena.

— Wołają na śniadanie — powiedział Eduard Oskarowicz.

— Nie jest pan taki młody... — ostrożnie odezwała się Kora.

— Byłem profesorem — powiedział Eduard Oskarowicz. — I nawet miałem zostać Członkiem Korespondentem Akademii Nauk. Ale nie zdążyłem.

— Dlatego, że przeszedł pan tu?

Profesor nie odpowiedział. Patrzył na plecy rotmistrza, który czekał aż cienki strumyczek wody wypełni jego złożone dłonie, i zanurzał w wodzie twarz.

Poszli na śniadanie.

Przy śniadaniu Kora znalazła się obok Pokrewskiego.

— Nie mam apetytu — powiedziała Kora, kiedy pielęgniarka cisnęła jej miskę z kaszą, na kopczyku której, nieco z boku, sieroco, leżał mielony kotlecik.

— Ja też — odpowiedział Pokrewski.

Ale wziął talerz i podał go siedzącej obok czarniawej księżniczce.

— Najgorzej mają nie mogące mówić zwierzątka — powiedział.

Ptaszek powiedział coś do Pokrewskiego.

— Pan ją rozumie? — zapytała Kora.

— A dlaczego nie — leniwie rzucił Pokrewski. — Ona mówi, że nie chce jeść tego świństwa, ale z szacunku dla mnie wtrząchnie kotlecik.

Siostra postawiła przed Korą kubek z herbatą. Herbata była dziwnie mocna. Ale nie słodzona.

— Oszczędzają na nas — powiedziała Kora.

— Kradną. Wszystko wynoszą do domów.

Pokrewski pstryknął palcami. Pielęgniarka przyniosła cukierniczkę.

— Słuchają pana?

— Boją się mnie. Przeszedłem ten pieprzony labirynt od pierwszego podejścia i załatwiłem ichniego żołnierza, który udawał smoka, czy jakieś tam inne draństwo.

Ponieważ Kora nie odpowiedziała i nie okazała ani zachwyty, ani niedowierzania, rotmistrz zapytał agresywnym tonem:

— Nie wierzy mi pani? Oczywiście, że nie! A ja wiem dlaczego — jesteście selenitami. Słyszała pani o pisarzu — Herbercie Wellsie?

— Lubiłam go, kiedy była dzieckiem — powiedziała Kora. — Mieliśmy w bibliotece kasetę. „Wojna światów”.

— A ja cytuję książkę „Pierwsi ludzie na Księżycu”. Niedawno została opublikowana.

— Albo i bardzo dawno... z mojego punktu widzenia.

Księżniczka przykryła małą dłońią rękę rotmistrza.

— Jedz — powiedział do niej. — Diabli wiedzą, ile jeszcze uda nam się rozkoszować urokami spokojnego życia. Czy pani jest moskwiczanką, Koro?

— Nie, jestem znajdą — powiedziała Kora. — Z sierocińca. Ale moja babcia mieszka pod Wołogdą.

— Coś dziwnie nie śpieszą się dziś z tym naszym skąpym śniadaniem — powiedział siedzący naprzeciwko Kory Żurba. Stół był jednak tak szeroki, że dzielił raczej niż łączył współbiedniaków.

— O świcie przyleciały trzy śmigłowce — powiedział inżynier.

Wyglądał świeżo, był ogolony, ostrzyżony, wydawało się nawet, że dolatuje od niego zapach perfum. Pokrewski wychwycił spojrzenie Kory i powiedział:

— On ma tu szczególne względy. Jako konsultant z dziedziny maszyn latających. A jak pani sądzi

— latające aparaty cięższe od powietrza naprawdę podbijają przestrzeń powietrzną?

Kora popatrzyła na niego nie rozumiejąc — żartuje sobie z niej czy nie. Przecież ma nad nią przewagę kilkudniowego tu pobytu. Ale spojrzenie rotmistrza było jasne i szczere.

— Tak — odpowiedziała więc. — Będziemy też potrafili latać do gwiazd, tak jak to opisywał pański ukochany Wells.

— Bzdura — powiedział Pokrewski.

Księżniczka zaczęła szarpać go za ramię, coś szybko mówiła; rotmistrz pochylił się ku niej, jakby usiłował wychwycić w jej szczebiocie jakiś sens. Twarz miał białą, blizna przybrała ciemnoczerwoną barwę, oczy pojaśniały i stały się dzikie. Kosmyk włosów opadał na wysokie czoło, a rotmistrz nerwowo odsuwał go.

Sennie wpęzła do sali spóźniona Ninela.

Pielęgniarka jakby czekała na nią — cisnęła miskę i kubek, gdy tylko ta usiadła na swoim miejscu.

— Ostrożniej może! — warknęła Ninela. — Nie lubię takich numerów.

No nie, naprawdę bardziej przypomina wywiadowcę, niż ofiarę miłości.

— O, Korciu, gdybyś ty wiedziała, co się działo! — zaszepotała Korze na ucho.

— A co?

— Jak poszłam do ciebie w nocy, czekał na mnie. Straszny... taki chłop, nie spałam ani sekundy, nikt mnie jeszcze tak nie... bawił.

— O kim mówisz?

— No przecież wiesz! Pułkownik Raj–Raji! Nasz pułkownik.

— Na pewno nie nasz.

— Do północy, jak się okazało, skuwali z niego beton. Opowiedział mi. Ledwie uszedł z życiem, jak nic — usiłowanie przekształcenia specjalisty wojskowego w posąg.

Ninela roześmiała się zaraźliwie. I tak głośno, że wszyscy przy stole odwrócili się do niej.

A Ninela skosztowała herbaty i krzyknęła do sterczącej w progu pielęgniarki:

— Tego jeszcze brakowało! Mam chleptać zimną herbatę? Sama sobie pij te pomyje.

A ponieważ siostra nie ruszyła się z miejsca, Ninela strąciła ze stołu kubek. Kubek huknął o podłogę i rozbił się, wielka ciemna kałuża z herbaty rozlała się za krzesłami.

Wszyscy znieruchomieli. Mimo wszystko każdy z nich czuł się jeńcem.

Pielęgniarka podeszła do Nineli i zatrzymała się. Potem zaczęła unosić rękę, zamierzając chyba uderzyć Ninelę, a ta, czując, że przesadziła, zaczęła się uchylać, wykonywać unik. Wszystko to działo się w zwolnionym tempie, jak w trickowym filmie.

— No—no — odezwał się życzliwie pułkownik Raj–Raji, wchodząc do jadalni i samym wejściem gasząc dojrzewający konflikt. — Ninelo, ileż razy prosiłem cię, żebyś nie śpieszyła się z wnioskami. Jak to się mówi — bliskość ludzi, to jeszcze nie powód do znajomości.

I pułkownik roześmiał się, jakby zapraszając pozostałych, by przyłączyli się do jego wesołości.

Następnie zajął swoje miejsce na szczycie stołu i powiedział:

— Począwszy od dnia dzisiejszego będziemy trenowali powrót na pozycje wyjściowe. Dość już tej gościny i wyjadania naszego chlebusia.

Nikt nie zrozumiał o co mu chodzi. Nastąpiło wyjaśnienie:

— Wielki eksperyment, przeprowadzany przez moje państwo, zbliża, się ku końcowi. Zatem — dziękujemy zagranicznym uczestnikom eksperymentu i przygotowujemy ich do powrotu do domu.

— Jak to — do domu! — nieoczekiwanie poderwał się kapitan Pokrewski. — Uciekłem stamtąd, wybierając śmierć. Tak, śmierć. A wy mnie chcecie tam zwrócić! Człowiek może skończyć ze sobą

tylko raz, człowiek tylko jedną śmierć posiada. A ja już jestem martwy.

— Ten problem jest jeszcze dyskutowany — oświadczył pułkownik. — Dzisiaj odbędzie się narada na najwyższym szczeblu. Zajmujemy się panem i pański los nie jest nam obojętny. Ale wy, przyjaciele moi, też musicie nas zrozumieć: mamy swoje problemy, nie jesteśmy waszymi niańkami. Niech każdy sam zarabia na swój chleb.

Dopiwszy herbatę pułkownik defiladowym krokiem opuścił salę. Ninela nawet pobiegła za nim, unosząc do góry głowę, jakby spodziewała się, że ją pogłaszce albo pieszczotliwie potarłosi za włosy. Nie udało się. A Kora, mimo że pułkownik wywoływał w niej obrzydzenie, ucieszyła się z poniżenia Nineli — ta istota była gorsza od pułkownika, bo ten miał przynajmniej jakieś poglądy, a Ninela — tylko oddanie. Którym, na dodatek, gotowa była kupczyć jak kartoflami.

— Dziwne — powiedział Eduard Oskarowicz. Wstał od stołu, trzymając w ręku kubek z herbatą, i podszedł do okna. Najwyraźniej głośno myślał, a Kora była bardzo zainteresowana jego myślami. — Dziwne — powtórzył profesor. Zauważył, że Kora podeszła do niego, ale nie miał nic przeciwko temu. — Wydawało mi się, że górę weźmie Garbuj. W końcu uznają w nim szefa projektu. Z punktu widzenia zdrowego rozsądku, każde ich działanie skierowane przeciwko Ziemi dwudziestego pierwszego wieku jest skazane na niepowodzenie.

— A jeśli naprawdę postanowili zrezygnować ze swoich planów? — zapytała Kora.

— To bardzo ciekawy pomysł — kapitan Pokrewski stanął obok nich trzymając za rękę księżniczkę. Wyglądał dość głupio, bo kto to widział nosić wysokie buty z ostrogami do niebieskiego pikowanego szlafroka, przemałego na dodatek o dwa numery. I do tego księżniczka, wyglądająca na jego udręczoną córkę.

— Obawiam się, że to jest praktycznie niemożliwe — powiedział profesor. — Chciałbym wiedzieć, czy o tym pomysle wie coś sam Garbuj.

— No, a jeśli wrócimy — zadał nurtujące wszystkich pytanie Pokrewski — to w jakie czasy?

— Pierwszy wariant — powiedział Eduard Oskarowicz — wszyscy pojawiają się na Ziemi w tej samej chwili, kiedy zniknęli.

— Ale przecież na Ziemi oni już zginęli, albo niemal zginęli! — zawołała Kora. — Wsiewołod rozbił się na kamieniach ze swoim ornitopterem. Pokrewski i księżniczka skoczyli ze skały...

— To oznacza, że nie pozostało im nic innego, jak zakończyć to, co rozpoczęli — powiedział profesor. — Powinni dolecieć do kamieni i rozbić się na miazgę.

— Zwariował pan! — ryknął Żurba. — A ja niby za co? Ja jechałem powozikiem z towarzysztwem. Ani mi w głowie było ginąć.

— Nie ja wymyśliłem ten wariant, ale z punktu widzenia harmonii i ładu przyrody jest on najprawdopodobniejszy. Przywraca *status quo*.

— Nic nie rozumiem! — powiedziała Kora.

— Panuje tu zwyczajny burdel dwudziestego wieku — powiedział Eduard Oskarowicz, ze złością błysnąwszy szklami okularów. — A my możemy stać się ofiarami tego bałaganu, o ile sprytny łebski Garbuj nie wpadnie na kolejny pomysł.

I natychmiast, jakby w odpowiedzi na słowa profesora, na szczycie stołu zamiast pułkownika zasiadł pan Garbuj — dobry pulchny chłopczyk, który skończył swoje ćwiczenia na skrzypeczkach, zjadł talerzyk płatków owsianych z konfiturami i oto został przez babunię wypuszczony na podwórko, żeby się pobawił z ulicznymi chłopcami i dziewczynkami.

— Jesteśmy kolegami — oświadczył Garbuj. — My, uczeni, zebrani w tej peryferyjnej okolicy w celu zrozumienia jak funkcjonuje wszechświat. Wielkie zadanie, postawione przed nami przez los, wymaga adekwatnego stosunku. Jeśli ktoś chce kawy, proszę unieść rękę, zostanie zaserwowana.

Niemal wszyscy unieśli ręce. Garbuj krzyknął do pielęgniarek, obserwujących tę scenę od drzwi do kuchni:

— Kawę proszę, dla wszystkich gorącej słodkiej kawy!

Siostry nie poruszyły się nawet.

— Słyszycie mnie? — krzyknął Garbuj.

— Nie ma kawy — odezwała się jedna z pielęgniarek, wycierając silne męskie dłonie o rzeźnicki fartuch. Czepek miała nasunięty aż na brwi, wystawały spod niego nierówne pasma włosów. Kora ponownie zwątpiła czy te pielęgniarki są kobietami.

— Skończyła się? — z nadzieją w głosie zapytał Garbuj. — No to zaparście świeżej.

— Nie skończyła się, a nie ma — odpowiedziała druga siostrzyczka.

Wszyscy zaczęli się gapić na Garbuj.

A ten gotów już był dać spokój. I pewnie lepiej by było, gdyby tak zrobił. Ale osiem par oczu, wpatrzonych weń, spowodowało, że poderwał się gwałtownie wywracając krzesło i drobnymi kroczkami pobiegł do kuchni. Garbuj pędził do drzwi niczym ciężka bilardowa bila, mocno uderzona kijem.

W progu zderzył się z pielęgniarkami, które chwilę wcześniej jakoś tak nieznacznie zwały szeregi, zamykając dostęp do kuchni, ale Garbuj uderzył w nie jak siekiera w pień, roztrącił je łokciami i ramionami, i zniknął w kuchni, skąd niemal natychmiast rozległy się protestujące głosy i brzęk naczyń.

Wszyscy czekali w milczeniu.

Po sekundzie czy dwóch — i tak nikt się nie poruszył — Garbuj wytoczył się z kuchni z wielkim miedzianym czajnikiem w ręku. Czajnik był ciężki, Garbuj ledwo go dźwigał.

Podszedł do stołu i, lewą ręką odsunawszy księżniczkę, zaczął nalewać jej kawy do kubka, ale ręka mu drżała, struga przeleciała obok kubka, księżniczka pisnęła, rzuciła się w bok, upadła na rotmistrza, a Garbuj odskoczył, pokrywka czajnika brzęknęła turlając się po betonowej podłodze — gorąca kawa chlusnęła i rozlała się w ogromną kałużę, tak wielką, że wszyscy siedzący przy stole zmuszeni byli unieść nogi.

— Nic z tego, panie radco Garbuj — powiedział od drzwi nieznany Korze generał, który właśnie wszedł w towarzystwie pułkownika Raj-Raji.

— Co pan tu robi? — całkowicie stracił panowanie nad sobą Garbuj. — Dlaczego nie mogę w jakiś kulturalny sposób porozmawiać z przybyszami?

— To zbędne — rzucił nowy generał. — Pan tylko wprowadza zamęt w nasze plany.

Generał miał tak wąską twarz, że jednej czarnej brwi wystarczyłoby dla obu oczu, wewnętrzne kąciaki których niemal stykały się ze sobą, ponieważ nos wyglądał jak wycięty z kartonu. Za to usteczka miał generał okrągłe, karminowe, bardzo wygodne przy zasysaniu robaków.

— Najpierw ja przeprowadzę rozmowy z mieszkańcami Ziemi — uroczyście oświadczył Garbuj. — Mam na to pozwolenie samego pana prezydenta.

— Nic nam o tym nie wiadomo — odparł pułkownik. — Właśnie dlatego generał dywizji Graj postanowił osobiście wziąć udział w takiej rozmowie.

— W takim razie muszę was uprzedzić! — krzyknął Garbuj. — Nie wiercie w ani jedno słowo tych generałów. Oni chcą wciągnąć was, nas i cały kraj w dziką i krwawą awanturę.

— Odpowie pan za to, Garbuj! — rozdarł się generał.

„Gruby i chudy” — to chyba Czechow napisał opowiadanie pod takim tytułem — pomyślała Kora. Ale tak naprawdę, to była bardzo zaniepokojona: konflikt między różnymi siłami na tej Ziemi chyba sięgnął punktu krytycznego i mógł zakończyć się otwartym konfliktem zbrojnym. A takim

przypadku ucierpią przede wszystkim bezbronni.

— Nie będziemy o tym tu rozmawiali! Natychmiast powiadomię pana prezydenta o pańskiej samowoli! — Garbuj szybko wyturlał się z sali, wściekle zatrzęsawszy za sobą drzwi. Z sufitu odpadł kawałek tynku i o mało co nie trafił w głowę Ninelę, która pisnęła tak, że wąskolicy generał Graj zatkał uszy palcami.

— Taaak... — Po chwili generał podszedł do stołu i wolno zmierzył wzrokiem stojących wokół niego jeńców. — Nadchodzi decydująca chwila. W takim momencie nie chcemy, by pod nogami plątali się nam różnego rodzaju awanturnicy.

Przemawiał miękkim, spiskowym głosem, i Ninela, zawsze uważnie wsłuchująca się w ton wypowiedzi przełożonych, odezwała się z ufnością:

— Słusznie! Jakże słusznie!

— Nie przerywać! — huknął na nią pułkownik.

— Dobrze, kotku — szepnęła Ninela.

Pułkownik skrzywił się, inżynier nieoczekiwanie zachichotał.

Ale generał Graj nie słuchał przybyszów, mając do wyłuszczenia swoją humanistyczną koncepcję.

— Nasza opinia — zaczął — to osąd nie tylko ministerstwa wojny i pokoju, ale również szeregowych ludzi naszego kraju, którzy z powodu kwarantanny nie znają was osobiście, a z zainteresowaniem i współczuciem obserwują każdy wasz krok. Tak, powiem uczciwie — różne mieliśmy zdania. Na przykład, znany wam profesor drugiego stopnia Garbuj, który, niestety, cieszy się jeszcze pewnym wpływem na ukochanego naszego prezydenta, zamierzał na wieki zamknąć was w tym baraku. Tak, właśnie tak! — I generał uniósł kościstą łapkę, wyciszając szmer oburzenia.

— Ale zwycięża zdrowy rozsądek. Muszę wam powiedzieć — żyjmy w pokoju, żyjmy w przyjaźni! Wracajcie do domów. Zanieście słowo przyjaźni i pokoju do rządów i przyjaciół. Jakież wspaniałe perspektywy otwierają się przed nami.

„Ciekawe — pomyślała Kora. — Po co tak naprawdę przyszedł tu generał?”

Jakby odpowiadając na jej myśli, generał Graj kontynuował:

— Zapytacie, po co przyszedłem do was? Czy tych samych słów nie mogliście wysłuchać z ust naszego ulubionego pułkownika Raj–Raji? Oczywiście, ale podejrzewam, że pułkownik Raj–Raji jest już wam zbyt bliski, by cieszyć się prawdziwym autorytetem.

— Nie, dlaczego — odezwał się policmajster Żurba. — Jest autorytetem. Jakby co, to czemu nie.

— Ach, ale ja przecież nie o tym — obruszył się generał. — Ja mówię o humanizmie!

— No właśnie — powiedział Żurba, który w swoim czasie nie poznał takich słów.

— Najważniejsze — zakrzyknął generał Graj — żebyście zrozumieli: wkrótce nastąpi świetlisty czas waszego powrotu. Udało nam się znaleźć w końcu naukowe wytłumaczenie waszego pojawienia się u nas i odkryć sposób, jak was wszystkich, bez szkody dla zdrowia zwrócić do domu. I dlatego zwracam się do was z prośbą: nie przeszkadzajcie naszym medykom i specjalistom w przygotowaniu przejścia do domu, w dokonaniu ostatnich badań; testy i zastrzyki są potrzebne dla waszego własnego dobra. Bardzo obawiamy się, żebyście nie przenieśli do ojczyzny jakichś niebezpiecznych bakterii. Tak więc będziemy was zwracać w absolutnie sterylnym stanie. Mamy nadzieję, że będziecie z nami współpracować.

Generał odkaszlnął, orlim wzrokiem obrzucił audytorium i zapytał:

— Są pytania?

— Są — natychmiast odpowiedział Pokrewski. Jego najważniejsze pytanie nie dawało mu spokoju od kilku dni. — Dokąd nas zwrócić?

— Jak to dokąd? Na Ziemię-2 — odparł generał, zadziwiony z powodu tępoty przybysza z blizną.

— Nie o to chodzi, nie o to! — rozwrzeszczała się Ninela. — Proszę nam powiedzieć do jakich czasów trafimy! Przecież każdy z nas jest z innego czasu, czy trudno to zrozumieć?

— Oczywiście! — Wyglądało, że pytanie zaskoczyło generała.

— No to gdzie trafimy? — powtórzył pytanie rotmistrz.

— Ja tak rozumiem, że do dzisiaj — odpowiedział generał bez przekonania.

— Ja do tego nie dopuszczę! — surowym tonem oświadczył policmajster Żurba. — Bo rozumiem, że między nami są też tacy — wskazał żalostną czarniawą kudłatą istotę w niedopasowanym szlafroku — gocką księżniczkę. — Dokąd ją zwrócić?

— Hm... Co pan o tym myśli, pułkowniku? — zapytał Graj swego kolegę.

— Są różne opinie — odparł zapytany. — Z jednej strony, przejściowa rama Garbujja jest nastrojona na nasz dzień.

— A z drugiej strony? — zapytał poważnie generał.

— Z drugiej strony — diabli ich wszystkich wiedzą.

— Co to, poza Garbujem nie mamy dobrych fizyków? — rozzłościł się generał. — Ja już dziś podniosę ten problem! Bo to proszę, przeprowadzają operację na skalę globalną, a — okazuje się — nie mają wiedzy o najprostszyc rzeczach! Mianowicie gdzie będzie przerzucany materiał ludzki!

Ostatnie słowa przygłupiego, ale wojowniczego generała nie za bardzo się Korze spodobały. Upewniły ją natomiast, że humanizm miejscowych wojskowych ma jakąś podłą podbudowę. Zerknęła na Misze Hofmana. Ten wpatrywał się w przestrzeń przed sobą i jakby nie słyszał o czym się mówi. Wtedy Kora odwróciła się do Eduarda Oskarowicza. A ten natychmiast się odezwał, jakby czytał w myślach Kory:

— Widzę, że naprawdę nie przywiązuje się wagi do tego problemu. A szkoda...

— Żądam, by zwrócono mnie do domu! — wrzeszczał tymczasem policmajster.

— Do diabła, nie mam zamiaru ginąć dwa razy! Dość mam tego jednego! — wtórował mu Pokrewski.

To były dwa najmocniej zaznaczone bieguny opinii. Pozostali w większym czy mniejszym stopniu przyłączali się do jednej lub drugiej z tych partii.

— A tak przy okazji, ja tam mogę tu zostać — powiedział Pokrewski. — Dajcie mi pracę, ja się żadnej pracy nie boję. Będziemy tu żyli z Parra, nikomu nie będziemy przeszkadzać.

— Nie, nie i jeszcze raz nie! — Generał Graj wstał i skierował się do wyjścia.

Pułkownik pośpiesznie pokłusował za nim.

— Dlaczego mi nie zameldowano, że tu panuje taki burdel? — w marszu zapytał go generał.

— A ja, proszę o wybaczenie, mam na barkach szkołę piechoty, a nie uniwersytet — odgryzł się pułkownik.

Wojskowi, przybijając każdy krok, opuścili salę. Nastąpiła cisza. Przede wszystkim z powodu zaskoczenia i oszołomienia — każdy przymierzał do siebie nieznaną, niezrozumiałą przyszłość.

— Dlaczego oni tak nagle zaczęli się śpieszyć, by się od nas uwolnić? — zadał pytanie Eduard Oskarowicz.

On pierwszy wyszedł na zewnątrz, na plac. Inżynier Toj wyszedł za nim.

— A ja się cieszę, że chcą się od nas uwolnić. Niezależnie od ich zamiarów ja wrócę do swojej pracy. Nudzę się tu.

— A jest pan pewien, że uda się to panu? — zapytał Eduard Oskarowicz.

— Mam taką nadzieję. — Inżynier popatrzył na niebo, jakby miał nadzieję zobaczyć tam swój



ornitopter.

— Jak pan sądzi — nieśmiało zapytała Kora — do jakiego czasu trafimy?

— Z tego, co wiem — odpowiedział Eduard Oskarowicz — Garbuj dokonywał już doświadczeń — żywe istoty, wysyłane przez niego na Ziemię, trafiały na tę chwilę, którą osiągała Ziemia w chwili obecnej.

— Czy to znaczy, że policmajster Żurba i księżniczka nie mają szans zobaczyć swoich rodzin?

— Niemal żadnych. Jeśli przyroda nie wykręci nam jakiegoś niedobrego numeru.

— A pan, przepraszam, zapomniałem — zapytał Wsiewołod Toj — z jakiego czasu?

— Z połowy dwudziestego wieku — przypomniał Kałnin.

— Nie za bardzo chciałbym huknąć w wasze czasy — westchnął inżynier. — Dziki czas. Ani materiałów nie było, ani technologii. Typowe średniowiecze.

— Mnie się wydaje, że średniowiecze minęło jednak trochę wcześniej.

— Mówię w przenośni. Wstyd by było z taką technologią pakować się w przestrzeń kosmiczną.

— Średniowiecze ma inne przejawy.

— Rozumiem. Pan ma na myśli stosunki społeczne — zgodził się Wsiewołod. — Ale kiedy zmarł wasz Stalin, od razu wyszliście w kosmos.

— W którym roku został wystrzelony pierwszy sputnik? — zapytał Kałnin.

Odpowiedzi inżyniera Kora nie usłyszała, a sama, niestety, zapomniała — w szkole się o tym mówiło, ale zapomniała. Pamiętała tylko, że mówiło się również o jakimś kosmonaucie, który potem zginął w samolocie...

Pozostali powoli wychodzili z baraku, ale nikt nie oddalał się od budynku.

— Proszę mi powiedzieć — zwróciła się Kora do inżyniera — co tu się działo w... w poprzednich dniach?

— Z czynnych i ważnych osób kontaktował się z nami tylko Garbuj — powiedział Wsiewołod.

— Pułkownik pojawił się później. Z całą ochroną... A mieszkaliśmy nawet nie tu, a nad samym morzem, w willi „Raduga”. I było nas mniej — ja i porucznik.

— Rotmistrz — Pokrewski poważnie traktował swój stopień.

„Gdyby mógł — pomyślała Kora — powiesiłby krzyż Jerzego na niebieskim szlafroku”.

Pogłaskał księżniczkę po ramieniu, a ta przyłgnęła do niego, odrzuciła do tyłu głowę, pokazując smagłą twarz i ciemne oczy za długimi rzęsami. Czy można powiedzieć, że jest piękna, czy nie? Czy piękności żyją w przytułkach?

— A na końcu dołączyła pani i Eduard Oskarowicz — podsumował inżynier. — Oto całe towarzystwo. Ciekawe, kto będzie następny?

— Sądzę, że więcej nikogo nie będzie — z przekonaniem powiedziała Kora.

Obłoki płynęły nisko i wolno, emanowała od nich ciepła, duszna, łonowa wilgoć. Mewy fruwały nad śmietnikiem w kącie podwórka i wyłapywały kawałki pożywienia i papiery, jak byczki z wody.

— Najpierw wzbudzaliśmy powszechne zdumienie — powiedział inżynier. — A my dziwiliśmy się im. Wzajemne odgadywanie siebie. Jak psy — znacie to: jeszcze się nie znają, boją się, chodzą po okręgu i zezują na siebie.

Pokrewski roześmiał się. Księżniczka, zerknąwszy nań uśmiechnęła się również.

— Kilka dni temu byłem zawoszonym i zrozpaczonym oficerem pokonanej armii — powiedział Pokrewski, jakby usprawiedliwiając się przed Korą. — Dotarłem do śmiertelnej granicy. A teraz mam obok siebie kobietę—dziecko, mojego ptaszka... Nie możemy się dogadać, ale wszystko rozumiemy. Śmieszne, prawda?

— Śmieszne tylko o tyle, że ona ma pięćset lat więcej niż pan — powiedział inżynier.

— Dlatego tak się wystraszyłem dziś, kiedy dowiedziałem się, że powrót może okazać się rozłąką. Bez cienia nadziei — powiedział Pokrewski.

Nad placem przeleciał śmigłowiec. Po nim drugi. Lądowały za płotem z drutu kolczastego.

Kora zbliżyła się do labiryntu. Nikt nie kiwnął przy nim palcem, rozwalone ścianki wyglądały, jakby przebiło się przez nie stado słoni. Komu były potrzebne te testy?

Eduard Oskarowicz, stojąc w cieniu ściany i osłaniając oczy dłonią, przyglądający się lądującym maszynom, wyczuł zbliżanie się Kory.

— Dziś się wszystko zdecyduje — powiedział. — Wsadziliśmy kij w mrowisko, i wszystkie mrówki pędzą, by pożreć gąsienicę.

— Mówi pan zagadkami — powiedziała Kora. — Dookoła same zagadki. Labirynt też zagadka. Po co te wszystkie podchody?

— Widziała pani kiedyś w muzeum szaty sybirskiego szamana? Tak? A pamięta pani, ile niepotrzebnych bransoletek ją zdobi? Te ozdobniki i te wszystkie podchody to wielka nauka.

Kałnin był podenerwowany i wsłuchiwał się w dźwięki, niejasne dla Kory. Szlafrok miał mocno owinięty wokół ciała — dostał mu się bardzo obszerny egzemplarz — i opasany sznurem, Kałnin wyglądał w tym jak katolicki mnich żebraczy. Nisko wiszące słońce odbijało się w soczewkach mocnych grubych szkieł.

— Widocznie ktoś, kto posiada informację o naszym istnieniu, nie jest zainteresowany przekazaniem tych danych do powszechnej wiadomości, i nawet obawia się tego. Na dodatek, jeśli pojawiło się niebezpieczeństwo, że jeśli mogą dowiedzieć się o nas rywale, to ten ktoś straci przewagę...

— Czy my mamy być tą przewagą w walce o władzę?

— A widzi pani, nie zdążyłem powiedzieć, że to chodzi o władzę, a już pani sama się tego domyśliła. Że możemy być bronią w walce o nią.

— Dlaczego?

— Nie my sami, o nie. Ale sama wiadomość o istnieniu Ziemi, istnieniu naszego świata. Przypuśćmy, że ktoś chce zagrać na lęku przed naszą Ziemią.

— Na lęku?

— Najpewniej partia prezydenta, czyli Garbuja. Inni, to znaczy wojskowi, zamierzają gryźć, przymknąwszy powieki.

Jeszcze jeden helikopter zatoczył koło nad obozem przybyszy i wylądował za płotem.

Obłoki stopniowo parowały i przepuszczały do ziemi coraz więcej bezpośredniego słonecznego żaru. Już zrodziły się cienie, i trzeba było mrużyć oczy patrząc w niebo.

Profesor patrzył obok Kory. Tam, gdzie z obłoku pyłu wyłonił się pierwszy śmigłowiec z jasnymi znakami identyfikacyjnymi na boku.

— Myślę sobie — powiedział profesor — że lepiej będzie jak się tam przejdę i porozmawiam z Garbujem. Trochę jestem tym wszystkim zaniepokojony...

— No to ja z panem — oświadczyła Kora.

— Tego jeszcze brakowało! Naprawdę sądzi pani, że wezmę sobie na kark dziewczynę, którą może złamać powiew wiatru?

— Przepraszam — powiedziała Kora — ale zapewniam pana, że na Ziemi dwudziestego wieku byłam jedną z lepszych specjalistek od karate. Dziewczyna musi umieć bronić swej czci.

— Chodzi nie tylko o pani umiejętności?

— Właśnie. Chcę wiedzieć kim jest Garbuj.

Profesor popatrzył przez Korę i powiedział:

— W końcu pani decyduje o swojej głowie. Ale nie będę mógł pani pomóc.

— Dziękuję za szczere ostrzeżenie — skwitowała jego słowa Kora. — Przynajmniej wiem, na co mogę liczyć.

Eduard Oskarowicz niespiesznie penetrował wzrokiem okolice. Jeńcy tłoczyli się w cieniu pod ścianą labiryntu, nikt nie patrzył w stronę Kory i profesora. Ochrona także nie zwracała na nich uwagi: posterunek na wieży nad labiryntem został zlikwidowany, pielęgniarki płci nieidentyfikowalnej znikły w trzewiach kuchni i, jak sądziła Kora, pocieszały siebie wzajemnie, dopijając kawę.

— Czy ja wiem — odezwał się Kałnin — może nawet będzie lepiej, jeśli przespaceruję się po okolicy w pani towarzystwie. Pozwoli pani?

Wziął Korę pod rękę.

Profesor nieco ustępował Korze we wzroście, ale był dobrze umięśniony, twardy i miał pewne ruchy, tak więc wcale nie wyglądał na słabego czy niskiego.

— Oburza mnie, że zmuszają nas do noszenia tych aresztancko–szpitalnych chlamid — powiedział. — Ale to jest działanie świadome. To bardzo interesujący psychologiczny fenomen. Otrzymując standardowe odzienie, najlepiej niewygodne i szpecące, człowiek od razu obsuwa się w społecznej hierarchii. Jednolitość ubrania — symbol niewolnictwa. Nawet jeśli ta odzież przypomina granatowy kitel wodza.

Tak perorując Kałnin skierował się pewnym krokiem do zarośli akacji w odległym kącie placu. Płot za krzewami stał przekrzywiony, ziały w nim tak ogromne dziury, jakby nigdy i nikomu nie przychodziło do głowy sprawdzenie płotu.

Bez przeszkód wyszli na lesiste zbocze wzgórza. Prowadziła na nie wydeptana ścieżyna, więc nie byli tu pierwsi. Ścieżka prowadziła zakolami, przecinała polany, na których panował już upał. Eduard Oskarowicz coraz częściej zatrzymywał się, by odsapnąć i otrzeć pot z czoła, wielką czystą chusteczką, której samo istnienie było tu jakieś nienaturalne.

— Prowadzę panią taką niewygodną trasą — powiedział w pewnej chwili przerywając milczenie — żeby dojść do willi „Raduga” od góry i mieć możliwość spokojnie przyjrzeć się temu, co się tam dzieje.

Wielkie muchy bezczelnie brzęczały nad głowami, usiłując wczepić się w ręce, pikowany szlafrok był ciężki i sztywny, o tym, że było w nim potwornie gorąco nawet nie trzeba mówić. Ale profesor Kałnin uparcie — wdrapywał się coraz wyżej i wyżej, niczym kozica.

W końcu wyszli na otwarty ze wszystkich stron placyk, zwisający nad stromym zboczem, porośniętym kłującymi krzewami, nad którymi krążyły złe osy, które od razu zaczęły ostrzegawczo bzyzczeć nad intruzami. Ale Eduard Oskarowicz potrafił odseparować się od zewnętrznych negatywnych bodźców.

— No i mamy — powiedział — wszystko jak na dłoni.

Widok, dostępny oczom Kory był bardzo interesujący.

Willa „Raduga” zbudowana została na płaskowyżu, którego do morza prowadziły szerokie schody. Wybudowano ją w nieznanym Korze stylu, zresztą — jak miał być znany? Najbardziej willa

przypominała zamek rycerski, wymyślony przez ucznia cukiernika. Były tu i wieżyczki, i balkony, i odcinki murów z blankami, i okrągłe okna, i wąskie okna łukowe, i okna kwadratowe, a także tarasy i schody wielu typów. Wszystko to zostało pomalowane w różne kremowe kolory — to znaczy ten upór, z jakim uczeń ciastkarza chciał upodobnić budynek do tortu był tak wielki, że nawet teraz, po kilku latach od remontu, przelatujące obok ptaki naiwnie rzucały się na willę, w nadziei, że capną dla siebie kawałek. Ślady tych usiłowań widoczne były na ścianach budynku, podziobanych aż do gołego betonu.

Przed willą stał niezgrabny kolorowy posąg „Młody prezydent zwycięża lwa”.

— Nikogo tam nie widać — poinformowała Kora profesora.

— No właśnie — zgodził się ten. — Siedzą w sali konferencyjnej. To i lepiej. Miejmy nadzieję, że się nam uda.

Z tymi słowy profesor wyjął z kieszeni niebieskiego szlafroka niewielkie lusterko i zaczął się nim bawić — puszczać słoneczne zajączki, starając się trafić w jedno z okien piętra. Nie od razu mu się to udało, ale w końcu trafił w cel i triumfalnie zakrzyknął:

— Górą nasi!

Póki zajmował się tą zabawą, Kora przyglądała się otoczeniu willi. Od frontu rozciągało się równe zielone pole — trawnik wielkości boiska piłkarskiego i tak samo zagospodarowane — z bieżnią dookoła, białymi liniami i nawet z bramkami. Ale Kora była przekonana, że to oszustwo. Ludzie, zamieszkujący willę, potrzebowali nie boiska, ale lądowiska dla śmigłowców.

Na boisku stały cztery wojskowe helikoptery wymalowane w maskujące plamy i jeden śmigłowiec cywilny, srebrzysty.

Obok maszyn leniwie krążyli mechanicy i ochroniarze, starając się nie wychodzić na słońce i pozostawać w cieniu.

— Patrz! — ucieszył się profesor.

W tej samej chwili Kora musiała zmrużyć oczy, ponieważ w źrenice uderzył ją słoneczny zajączek.

Ktoś odpowiedział takim samym sygnałem z willi. Profesor miał tam przyjaciół.

— W porządku — powiedział profesor. — Idziemy na dół. Tylko proszę o zachowanie maksymalnej ostrożności. Nie chciałbym byśmy z pani powodu zginęli o dwa kroki od celu.

Kora miała ochotę zapytać, na czym polega ich cel, ale wystraszyła się, że profesor uzna ją za osobę nietaktowną.

Ścieżynka stała się jeszcze węższa, krzewy zwarty szeregi tak, że musieli chwilami przedzierać się przez nie, zostawiając na kolcach strzępy odzieży i własnej skóry. Upał w zaroślach spotęgował się, pachniało tu zgnilizną.

Wyszli na tyły willi w miejscu, gdzie znajdował się śmietnik. Brama, przez którą wjeżdżały i wyjeżdżały śmieciarki, była otwarta. Strażników, czy to z powodu obrzydliwych miazmatów, dominujących w niecce, czy dlatego, że byli zajęci w innym miejscu — nie było.

— Mógłbym udzielić im kilku pożytecznych lekcji w dziedzinie bezpieczeństwa i zabezpieczeń — oświadczył profesor. — To niedopuszczalne zachowywać się tak lekkomyślnie w mojej obecności.

— Dlaczego, czy pan jest wywiadowcą? — zapytała Kora z nadzieją w głosie. Bardzo chciała mieć w swoim otoczeniu możliwie najwięcej pracowników tej samej organizacji.

— Nie, ja się trzymam z daleka od tego świństwa — nieoczekiwanie ostro zareagował Kałnin. — Ale mam głowę na karku, a to jest co nieco warte.

Przy tym profesor patrzył ponuro, a głos brzmiał zrzędlawie, jakby opisywał nieświeży gulasz,

podany w restauracji.

Zaczęli iść dróżką, która zakończyła się przy drzwiach do kuchni.

Profesor bez wahania pchnął drzwi i znaleźli się w mrocznej spiżarni. Znajomy głos zapytał:

— Nie przywlekliście za sobą ogona?

— A kto będzie łąził po górach w takim dniu? — zapytał w odpowiedzi Kałnin.

— No to poczekajcie tu ze trzy minuty, dajcie mi uciec. Nikt nie powinien nas widzieć razem.

— Wiem — mruknął Kałnin. — Nie trzeba mnie pouczać.

Rozległy się szybkie kroki. Niewyraźny cień pojawił się w drzwiach, ciężkie kroki oddaliły się po korytarzu.

— Teraz nasza kolej — powiedział Kałnin. — Wiem, dokąd należy pójść. Już tu byłem. Tylko błagam: niczemu się nie dziw, nie odzywaj się... Jesteś, oczywiście, przeziębiona?

— Raczej nie.

— To tylko tak się wydaje, że nie, a w decydującej chwili zaczniesz kichać.

— To mam tu na pana poczekać? — zdenerwowała się Kora.

— To jeszcze gorzej — syknął profesor. — Żeby cię zauważył przypadkowy lokaj czy ochroniarz i zaczął wypytywać skąd się tu wzięłaś, a ty rzecz jasna, wszystko im opowiesz? I w tym momencie kiwnie na nas kostucha.

— Jak w bajce?

— Jak w bajce, tylko bardziej boleśnie — poprawił ją Kałnin.

Poprowadził ją ciemnymi wąskimi schodami na piętro, potem korytarzem, gdzie stały puste skrzynie.

— Wiesz, co to jest? — zapytał.

— Pojęcia bladego nie mam.

— To skrzynie po żywności, przeznaczonej dla naszego towarzystwa. Na wszelki wypadek wydano polecenie karmienia nas wysokokalorycznie i niczego nam nie odmawiać. Miejscowe dowództwo otrzymuje więc taką żywność, z rarytasami na czele, jakich nawet w stolicy nie ma, dla sześćdziesięciu osób. Przez co w pewnych oficjalnych kręgach uważa się, że jest nas tu prawie kompania i wyróżniamy się straszliwym apetytem.

— A dowództwo zjada to wszystko, własnoręcznie, że tak powiem?

— Zjada samo, i czeladź jego i kochanki.

— A jeśli to wyjdzie na jaw? Może przecież przyjechać komisja jakaś...

— Tu właśnie znajduje się najwyższa komisja, ta, co ponownie decyduje, co z nami począć. Może w końcu dzisiaj postanowią coś ostatecznie.

Zatrzymali się na galerii, opasującej tonącą w mroku salę. W przeciwległym końcu tego balkonu znajdowała się — jak domyśliła się Kora — budka operatora filmowego; kiedyś i gdzieś widziała, jak kręcono i demonstrowano filmy sto lat temu. Do tej właśnie budki prowadził Korę profesor.

W jej wnętrzu było ciemno, pachniało kurzem, ale nie docierał tu upał.

Kałnin pierwszy zbliżył się do jednego z dwu kwadratowych otworów w przedniej ścianie budki i wyrzwał na zewnątrz.

— Jeszcze się nie zebrali. Jedzą obiad — poinformował Korę.

Usiadł na wysokim obrotowym krześle operatora, stamtąd mógł wygodnie patrzeć w dół. Kora podeszła do sąsiedniego otworu i zobaczyła, że budka umieszczona jest pod sufitem sali, niewielkiej, ale obszernej i wysokiej.

Na dole stał wielki owalny stół, dookoła którego rozstawiono wygodne szerokie fotele.

Kiedy Kora przyglądała się sali, zapaliło się w niej światło i weszły dwie kobiety w poważnych

czarnych kostiumach. Popychały przed sobą wózki, na których stały pojemniki z napojami i puchary, pięć sztuk, tyle, ilu było uczestników spotkania. Kobiety zaczęły ustawiać puchary na stole. Potem przyszła jeszcze jedna kobieta, ta przyniosła kosz owoców.

Potem nastąpiła pauza.

Profesor wyjrzał przez okienko. Sala była pusta.

— Mieszkaliśmy w tej willi. Miałem pokój w zachodnim skrzydle.

— Myślałam, że jest pan tu od dwóch tygodni, jak wszyscy?

— Nigdy nie wyróżniała mnie pani z reszty — uśmiechnął się Kałnin. — Nawet wtedy, gdy powodowana młodzieńczą dumą, postanowiła ustalić listę mieszkańców naszego irrealnego świata, starając się wprowadzić porządek do reguł piekła.

— Źle znoszę beczynność — przyznała Kora.

— Chociaż nie wykluczam — zauważył profesor — że wykonuje pani określone zadanie służb bezpieczeństwa. Nie wiem, jak się to wszystko będzie nazywało sto pięćdziesiąt lat po mojej śmierci, ale безпеca zostanie. Mogą zniknąć uniwersytety i konserwatoria, ale służba bezpieczeństwa zostanie. Zgadza się pani ze mną?

— Tak — odpowiedziała Kora. — Przecież bez bezpieczki się nie da.

— No bo kto by aresztował, przesłuchiwał, torturował i rozstrzeliwał, prawda?

— Nie to chciałam powiedzieć! — zawołała Kora.

— A czym się będzie zajmować wywiad w pani czasach?

— A pan żył... przepraszam, zapisywałam, ale zapomniałam — to było tak dawno!

Profesor poprawił się na twardym obrotowym taborecie, wyjrzał na zewnątrz, ale nie zobaczył nikogo i dopiero wtedy odpowiedział Korze:

— Przybyłem tu w sierpniu 1949 roku, ale to nic pani nie powie.

— A dlaczego miałoby mówić?

— Dlatego, że w tych czasach świat znajdował się na progu atomowej zagłady. I nawet jeśli nie wiedziałem jak powstrzymać to szaleństwo, to wiedziałem, jak od niego uciec.

— Jak?

— Uciec tutaj — odpowiedział Eduard Oskarowicz.

— A więc wiedział pan, że można przejść do świata, równoległego?

— Dziecko moje — szczerze zdziwił się profesor, badawczo przypatrując się Korze. — Nie wydaje się pani, że dziwnie dużo wie, jak na swój młodzieńczy wiek?

— A pan — odparowała Kora — dziwnie dużo wie, jak na pana starożytne i zacofane czasy.

— Może z pani młodzieńczego punktu widzenia ma pani rację — powiedział profesor. — Ale bardzo proszę uwzględnić i to: tysiąc lat temu ludzie nie byli wcale głupszy od nas, a sto pięćdziesiąt lat temu, kiedy ja żyłem na Ziemi, ludzie byli dokładnie tacy jak i wy, tyle że bardziej zastraszeni.

— Dlaczego?

— Widocznie wagarowała pani na lekcjach, podczas których opowiadano wam o życiu kraju o nazwie Związek Radziecki. Istniał od 1918 roku.

— Aż do końca dwudziestego wieku — powiedziała Kora. — Byłam zdrową dziewczynką i nie chorowałam. Zdarzało mi się, co prawda, wagarować, ale to niczego nie zmieniało — po wagarach wieczorem włączał się komputer i zmuszał do przejścia programu opuszczonego dnia.

— Jak to zmuszał? Gwałtem? Pod groźbą lania? — zaniepokoił się profesor.

— Nie, sama wiedziałam, że muszę — wyjaśniła Kora.

— Dobrze, jeszcze mi pani o tym opowie — rzekł profesor. — Ale teraz będziemy musieli posłuchać władców naszego losu.

Kora skoczyła do okienka w ścianie.

— Tylko proszę o całkowitą ciszę — nie możemy się narażać! — szepnął Kałnin.

Przez otwór w ścianie Kora widziała, jak bez pośpiechu do sali wkraczają osoby, na oko po obfitym śniadaniu i pewne siebie. Ludzie ci zbliżali się do foteli i zajmowali w nich miejsca. Promieniowało od nich poczucie własnej wartości i równości wobec siebie. Z wyjątkiem jednego — Garbuj. Kora od razu wyczuła napięcie, bijące od jego postaci. Garbuj zajął najdalszy od Kory fotel i wczepił się w jego podłokietniki z taką siłą, że palce zatoneły w miękkim obiciu.

Z piątki ludzi, zebranych wokół owalnego stołu, troje miało na sobie olśniewające mundury, dwaj — skromne cywilne ubrania.

W sali pojawili się lokaje, rozwozili na wózekkach kawę i filiżanki. Póki rozlewali kawę w sali panowała cisza.

Trwała również po wyjściu lokajów. Jakby nikt nie chciał porywać się na start. Tak zdarza się w wyścigach torowych, kiedy rywale szarpia sobie nerwy, nie ruszając się z miejsca. Kto pierwszy nie wytrzyma i runie do przodu, zazwyczaj przegrywa. Ale jeszcze częściej przegrywa ten, kto przegapi zryw rywala.

Pierwszy zakłócił ciszę siwowłosy otyły generał o niskim głosie:

— Generale Graj — powiedział, raczej rozkazując, niż prosząc. — Dopiero co był pan w obozie przybyszy. Jakie są pana wrażenia?

— Nie wiem, co panu odpowiedzieć, wasza stałość — odpowiedział wąskolicy generał Graj. — Ogólne wrażenie jest żałosne, co się zowie. Mimo że są tam wybrane egzemplarze z różnych okresów i różnych warunków społecznych. Tak więc na pierwszy rzut oka — to nie przeciwnik. Nie, to nie jest przeciwnik.

Generał Graj aż westchnął i uniósł do góry długie i szczupłe jak u gibbona ręce, okazywał tym, że nijak nie jest winien temu, że trafili się tacy żałośni przybysze.

„To dziwne — pomyślała Kora — słyszeć, że nazywają cię przybyszem, siebie uważając za aborygenów”.

— To znaczy, że popiera pan plan, wysunięty przez Sztab Generalny i Zarząd Kompleksu Militarno-Przemysłowego? — zapytał siwowłosy.

— Tak jest, wasza stałość — zgodził się generał. — Ale powstał tam pewien problem, na który z niewiadomych powodów nie zwrócił naszej uwagi pan Garbuj. I bardzo mnie interesuje odpowiedź — dlaczego nie zwrócił na to naszej uwagi?

— Pardon? — Garbuj wychylił się do przodu.

Zachowywał się jak grzeczny chłopczyk, który znalazł się w gościnie u surowej ciotki.

— Otworzył mi na to oczy pułkownik Raj-Raji. Okazuje się, że nie ma żadnej gwarancji, że trzymane tu egzemplarze ludzi ze świata paralelnego podczas powrotu trafią na ten odcinek czasu, który odpowiada prawdziwemu czasowi na Ziemi-2.

— Nigdy nie wolno ufać cywilom! — odezwał się siwowłosy generał, który musiał szeroko rozłożyć łydki, żeby brzuszysko mogło osunąć się między nie i nie zasłaniać mu widoku. — Dość czekania! Dość bycia odszczepieńcem we własnym kraju ojczystym. Historia nie wybaczy nam zwłoki! To jak, panie prezydencie? Zdecydował pan i w krzaki?

— Ach, proszę poczekać, marszałku Samsunij — machnął ręką jednooki prezydent, posągi i popiersia którego obficie zdobiły okolicę. W swoim czarnym kaftanie i spodniach z białymi lampasami wyglądał na pisklę gawrona, które trafiło do świata papug. — Historia zawsze i wszystko wybaczy mądrym. Historia wszystko wybaczy zwycięzcy. Ale nie ma w niej miejsca dla tego, kto się śpieszy i zagraża, gigantycznym planom narodu i ukochanego przezeń rządu.



— Masz rację, Gurij—uj, masz rację, prezydencie nasz — zahuczał marszałek Samsunij. — Nieudaną wojnę zawsze możemy sobie zafundować z Federacją. A potrzebujemy godnej, wygodnej i zwycięskiej operacji, która rozwiąże wszystkie nasze problemy za jednym zamachem.

— Oto właśnie w świetle tego — ponownie odezwał się wąskolicy Graj — wydaje mi się szczególnie niebezpieczną informacją, otrzymana od pułkownika. Przecież nie wziął jej z sufitu.

Wszyscy odwrócili się do Garbuj. Grzeczny chłopczyk przekładał papiery, jakby stawiał pasjans, od którego zależy czy uda mu się wygłosić wspaniałą mowę. Ale pasjans ciągle nie wychodził.

Profesor Kałnin z oburzeniem szepnął do Kory: „Na co on czeka!”. Widocznie od zachowania i pozycji Garbuj wiele zależało. Ale Kora na razie nie wiedziała — co.

W końcu Garbuj, nie mogąc znaleźć najpotrzebniejszego papierka, odsunął całą stertę na bok, odkasznął i zaczął cienkim głosem:

— Problem, jak wiadomo...

Tu głos mu się załamał i musiał zacząć jeszcze raz o ton niżej.

— Stojący przed nami problem nie jest prosty — powiedział.

Trzeci generał, znany już Korze z labiryntu, mocny żołdak Lej, z grzywką na niskim czole, głośno prychnął.

— Ty, profesor, nie graj na czas — rzucił.

— Bo znajdziemy na ciebie sposób — marszałek Samsunij uniósł ciężkie powieki. — U nas, w armii, cierpliwość ma swoje granice.

— Problem to nie wy, nie wasze ambicje i wasze dążenie do władzy — oświadczył Garbuj. Powiedział to z zaskakującą energią i złością. — Z jakiegoś powodu jesteście przekonani, że — co zdarzało się i tysiące lat przed wami — wystarczy rozpędzić parowóz, by zmiotł wszystko ze swej drogi. Ale parowóz jedzie po szynach i nie może z nich zbiec. A kiedy przed nim zapala, się czerwone światło, maszynista powinien wiedzieć, że trzeba go zatrzymać. Bo przed nim może być ślepy tor z urwiskiem na końcu. Rozumie mnie pan, marszałku?

— Rozumiem to, co dyktuje mi głowa — odpowiedział feldmarszałek, ciężko sapiąc i dysząc. — I nie strasz mnie semaforami. Od tego są czołgi, żeby skosiły te semafony.

— Róbcie co chcecie — powiedział Garbuj. — Ale ja odchodzę i kombinujcie sobie sami. Kiedy przybędą tu oddziały odwetowe z Ziemi, dla każdego z was znajdzie się sznur.

— A tego właśnie nie będzie — rzucił żołdak Lej. — I twoje groźby nie mają pokrycia. Ja w ogóle nie rozumiem, dlaczego prezydent trzyma obok siebie tę histeryczkę.

— To nie histeria! — krzyknął Garbuj. — To próba powstrzymania was od samobójstwa!

— Nie takie przepaście przekraczali nasi ukochani gwardziści! — uznał za stosowne wtrącić generał Graj.

— Dość — rozległ się głos jednookiego prezydenta.

I wszyscy zamilkli.

— Jeśli ktoś przybył tu, by kolejny raz przedstawić nam swoją stałą i starą opinię — powiedział wysokim głosem wyrostka prezydent — to może sobie wyjść na korytarz, tam czekają adiutanci i referenci. Oni z przyjemnością wysłuchają takiej perory. Ale my zebraliśmy się tu, by podjąć decyzje. Dlatego poproszę najpierw o przedstawienie swoich punktów widzenia przedstawicieli dwóch podstawowych opcji w naszym rządzie. Najpierw proponuję wysłuchać pana profesora Garbuj — szefa projektu „Dublet”. Następnie wysłuchamy tego, co nam powie generał Lej. Zgoda?

— Nie! — zakrzyknął marszałek. — Tak nie można. Nie potrzebujemy referatu, my i tak wszystko wiemy!

— Jesteśmy tu równi sobie — odparł prezydent, wyraźnie powstrzymując wybuch. — Gdyby nie profesor Garbuj, to w ogóle byśmy tu nie siedzieli. Na szczęście, generałowie nadają się tylko na wykonawców.

— Niezupełnie tak, wasza stałość — sprzeciwił się generał Lej. Mówił ochryplym i zduszonym czy to z gniewu czy ze zdenerwowania głosem. — Marszałek ma rację o tyle, że nie można stawiać na jednym poziomie nas i jakiegoś tam Garbuj. My płacimy mu, by myślał. A jak będzie myślał niewłaściwie, to zmienimy go na innego.

— A mamy innego? — zapytał prezydent.

Generał Lej wymruczał coś pod nosem.

— Proszę mówić — zwrócił się prezydent do Garbuj.

Po krótkiej pauzie Garbuj zaczął mówić, już bez pomocy papierów, wypowiedzi i planu — opanował swoje uczucia czy może strach.

— Nie będę zagłębiał się w historię — powiedział, a tęgi marszałek już otworzył usta, by jakimś szyderstwem zareagować na te słowa, ale prezydent zdążył unieść rękę i jakby wtłoczył te słowa z powrotem w usta grubasa. Ten zakrztusił się, ale zmilczał. — Ale pozwolę sobie przypomnieć, że właśnie mnie udało się udowodnić, a następnie zrealizować przejście między dwoma równoległymi światami, to znaczy otworzyć okno z naszego świata do świata zwanego Ziemia-2. Nie oczekiwałem i nie oczekuję wdzięczności za swoje odkrycie, chociaż sądzę, że na Ziemi-2 zostałyby ocenione bardzo wysoko.

— Na Ziemi-2 dawno by cię powiesili — rzucił generał Lej.

— Proszę mnie nie tykać, generale — odparł tłusty chłopczyk. — Każdy generał najpierw jest kapralem, potem majorem, potem generałem i wreszcie trupem, albo nikomu niepotrzebnym spoczynkowym na działce.

— Gardło ci przegryzę! — ryknął generał Lej.

— Proszę kontynuować, szanowny Garbuj — powiedział prezydent, jakby wcale nie słyszał wrzasku generała. — Proszę mówić, słuchamy uważnie.

Garbuj odkaslnął, wyjął z kieszeni grzebyk, doprowadził do ładu swoje rzadkie kędziorki. Kora pomyślała, że biedak przez całe życie usiłuje wyglądać na starszego niż jest naprawdę, ale i tak do samej śmierci będzie wyglądał jak chłopczyk. Nawet broda do pasa mu nie pomoże.

— W wyniku naszej działalności — kontynuował Garbuj — przejęliśmy przez przejście kilku przybyszy. Ale rozumiem, że to dopiero początek drogi. Wszystkich aspektów i perspektyw tego sukcesu prymitywny umysł nie ogarnie. W chwili obecnej istnieją dwie planety, sprzężone ze sobą, jak sklezione dwie bańki mydlane. Tylko my wiemy o tym fenomenie, i tylko my możemy go wykorzystać.

— No to czemu zwlekamy? — wrzasnął marszałek. — Każda sekunda zwłoki to śmierć!

— Bez przesady, marszałku Samsunij — odparł Garbuj. — Nie pierwszy raz dyskutujemy o tym. Niech będzie — zbierze pan oddział uderzeniowy, dobra — przejdziecie przez przejście i w końcu doczekacie się kontruderzenia.

— Świetnie pan rozumie — wtrącił się generał Lej — że musimy się śpieszyć nie z powodu tej parszywej Ziemi-2, a z tego powodu, że z każdym dniem rośnie zagrożenie tu, na naszym globie. Potrzebujemy ekspedycji na Ziemię-2 nie dla podboju, a po to, by podebrać tam współczesną broń, której nie mają jeszcze nasi wrogowie. Potrzebujemy broni odwetu, by wywalczyć sobie panowanie na naszym globie.

— Proszę nie krzyczeć, Lej — powiedział prezydent.

— Garbuj jeszcze nie skończył.

— Lepiej niechby w ogóle nie kończył — mruknął generał.

Do jego spoconego czoła przykleiła się cała krzywa grzywka.

— Cel mamy wspólny — kontynuował Garbuj. — Wykorzystanie naszej wiedzy do osiągnięcia korzyści. Póki sądziliśmy, że poziom rozwoju naszych globów jest równy, mogliśmy dyskutować o wojennej ekspedycji. Kiedy jednak okazało się, że oni mają nad nami przewagę stu pięćdziesięciu lat, to każda wyprawa jest samobójstwem. Droga, do której przekonują nas nasi generałowie — droga agresji, podboju, grabieży, awantury — ta droga mnie nie urządza. Bo doprowadzi ona do naszej zguby. Czy wy myślicie, że oni poddadzą się bez walki? Mamy tylko jedną drogę — ostrożnego przenikania, wywiadu, wprowadzenia własnej agentury. Cierpliwość i jeszcze raz cierpliwość!

— To sabotaż — skwitował jego słowa marszałek.

— To patriotyzm — zaproponował prezydent. — Nie zamierzam ryzykować losu całego kraju w celu zaspokojenia generalskiej buty.

— Bzdury. Sprawdzaliśmy jeńców — zahuczał Lej.

— Nie posiadają przodującej ideologii. Stracili ją. Mimo maszyn i zabawek. To wyrodki i zera. Powinniśmy ich zgnieść, jak muchy. W historii nie raz bywało tak, że barbarzyńcy podbijali wydelikacanych miastowych.

— My też przygotowujemy się do tego, by wykorzystać Ziemię. Ale mądrze. Z korzyścią dla sprawy — nie zgodził się z przedmówcą Garbuj.

— Do licha z tym! Armia nie ma zamiaru dłużej czekać! — ryknął marszałek.

— Właśnie widzę. — Garbuj już opanował całkowicie nerwy i przeszedł nawet do kontrataku: — Za poduszczeniem generała Graja pułkownik Raj–Raji zabił dziś jednego z większych specjalistów, mojego pomocnika, doktora Błaja.

— Niemożliwe! — Prezydent odwrócił się do generała Graja.

— To oszczerstwo — odpowiedział ten, wpatrując się w wyczyszczony do lustrzanego blasku czubek buta, w którym odbijała się jego zdeformowana wąska facjata.

— Doktor Błaj żyje, czy nie? — cicho zapytał prezydent.

— To był nieszczęśliwy wypadek.

— Jeszcze jeden taki nieszczęśliwy wypadek i zostaną całkowicie bez pomocników — odpowiedział Garbuj. — W takich warunkach nie da się pracować. Ponieważ wkrótce przyjdzie i na mnie kolej.

— Nie wykluczam — rzucił Lej. — Obejdziemy się bez wątpiących sabotażystów.

— Obejdziecie się? — Tym razem prezydent wstał i ruszył w powolny spacer dookoła stołu. Mówił w marszu, jakby do swoich myśli. — Oni się obejdą. Oni myślą, że przed nimi otwarty został luk do obcego bunkra, skąd mogą sobie gwizdnąć wiązkę granatów. Oto, na jakim poziomie pracują umysły wojskowych szefów kraju.

Generałowie zasepili się, ale wytrzymali tę drwinę.

— Czy nie rozumiecie nadal, że na miejsce każdego z was znajdę setkę takich samych, a może i lepszych? A gdzie znajdę innego Garbuję?

— No to proszę szukać na nasze miejsce — obraził się marszałek i zaczął wygrzebywać się z fotela.

Prezydent nie zatrzymywał go. Z zainteresowaniem przyglądał się jego wysiłkom.

— Odchodzi pan? — zainteresował się, kiedy marszałek w końcu uwolnił się od fotela i zawisł nad nim. — W takim razie proszę nie zwracać się o emeryturę. Proszę uważać, że został pan oddany pod sąd za dezercję w chwili przełomowej dla swojej ojczyzny, idącej drogą trzech cnót i sześciu

godności.

Marszałek runął z powrotem w fotel, który na szczęście wytrzymał to jakoś i nie rozpadł się.

— Ale wiecie też — zaczął generał Lej, który, jak wyczuwała Kora, był inicjatorem generalskiego buntu — że opracowaliśmy swój wariant planu.

— No to dlaczego nic nie wiem o jakimś szczególnym planie wojskowych? — zapytał Garbuj.

— Dlatego, że istnieje coś takiego, jak tajemnica wojskowa! — wrzasnął Lej. — Ani jedna normalna armia nie dopuści do swoich tajemnic brudnego awanturnika.

— A jak pan sądzi? — zapytał Garbuj.

— A pan o kim myśli? — zapytał generał rozciągając wargi w szyderczym uśmiešku, a ten przeciął twarz na dwie połowy.

— Może już dość, co? — krzyknął prezydent. — Zanim poprzegryzacie sobie gardła, chciałbym wysłuchać pana Garbuję w pewnej poważnej sprawie. Jak zameldowano mi dzisiaj, okazuje się, że nie wiadomo, w jaki czas trafia człowiek, wysłany na Ziemię-2.

— Pracuję w warunkach stałego niedoboru wykształconych fizyków i matematyków — powiedział Garbuj. — Niektóre problemy stosunków czasoprzestrzennych pozostają dla nas tajemnicą.

— Przepuszczacie tylko pieniądze — mruknął marszałek.

— Ale sądząc z naszych obliczeń, niezależnie od tego, kiedy wędrowiec opuścił Ziemię-2, wróci on tam dzisiaj... Ale gwarancji nie mamy.

— A kiedy będziemy mieli? — zapytał Lej.

— Nie wcześniej niż za miesiąc.

— Za późno — powiedział Graj.

Garbuj zasępił się. Odpowiedź Grają nie spodobała mu się. Tak samo jak nie spodobała się Korze.

— Do czasu, kiedy nie wyślemy na Ziemię-2 dwóch-trzech osób — powiedział Garbuj — nie będziemy wiedzieli na pewno, do jakiego czasu trafią.

— A my potrzebujemy, żeby to było tak zwane „dzisiaj”! — przerwał mu Lej.

— Do tego potrzebne są eksperymenty. Do tego potrzebny jest czas i ludzie. A nie armaty z wąsami! — zawył rozwścieczony Garbuj. A ponieważ wąsy miał tylko generał Lej, to właśnie on walnął pięścią w stół, oświadczył, że armia zastrzega sobie prawo do decyzji, i wyszedł z sali, tupiąc obcasami.

Obaj jego koledzy po fachu wyszli za nim. Feldmarszałek — jak tylko udało mu się wydłubać z fotela, a generał Graj — nieco później, ponieważ znalazł w sobie dość godności, by uścisnąć dłonie swoim cywilnym rozmówcom.

Kiedy ucichły odgłosy kroków generałów i nastąpiła cisza, z gatunku tych, co następuje na wielkim brukowanym placu po przejściu wojskowych kolumn, Garbuj zapytał:

— Co oni zamyślają?

— W tej chwili wiem to tylko w ogólnych zarysach — powiedział prezydent. — Jak tylko poznam szczegóły obiecuje zapoznać z nimi również pana.

— A czy nie będzie za późno?

— Mam nadzieję, że nie.

— Panie prezydencie — powiedział tonem wyznania Garbuj. — Stajemy się w tej chwili podobni do stada małąp, które gmerają w rakiemie dalekiego zasięgu. Jeśli rakietę huknie, to nie zostanie małąpka, która opowiedziałaby, której śrubki nie wolno odkręcać.

— Postaram się zapamiętać pańskie słowa i przy najbliższej okazji spowodować, by dotarły do

świadomości wojskowych — odpowiedział prezydent.

— Nie jest pan ze mną szczery.

— A niby dlaczego mam się przed panem zwierzać? — zdziwił się prezydent. — Nie wykluczam, na przykład, że jesteśmy w tej chwili podsłuchiwani. Przez ludzi generała Graja. Ja trzymam się stołka tak długo, jak długo udaje mi się tworzyć nienawidzące się wzajemnie koterie. Nie pozwalam wam dogadywać się poza moimi plecami. Ale pokusa grabieży bogatej Ziemi może okazać się zbyt mocną dla kraju, w którym naród nie kielbasą się odżywia, a przodującą ideologią.

— Mieszkańcy naszego kraju, panie prezydencie — odpowiedział na to Garbuj — nie otrzymają pożądaną kielbasę. A przyjdzie im natomiast ginąć, bo generałowie, mam nadzieję, mają porządne schrony?

— Nawet lepsze niżli ja — powiedział prezydent. — Nawet przy daczach, nawet pod kiblami.

— No to proszę mi powiedzieć, dlaczego generalicja jest taka pewna siebie?

— Nie mogę. Słowo honoru, że nie mogę — zapewnił go prezydent. — Moja przewaga nad wami i nad generałami polega tylko na tym, że wiem więcej, niż każdy z was z osobna. Tak więc w interesie narodu i naszej przodującej ideologii trzech cnót i sześciu godności, muszę dochowywać własnych i cudzych tajemnic. Jest pan wolny, profesorze Garbuj.

— No to co ja mam robić? — krzyknął Garbuj w stronę wychodzącego prezydenta. — Nie mam ludzi, moje życie jest w niebezpieczeństwie! Nie jestem wcale pewien, czy pozwolą mi prowadzić dalej badania.

— Proszę próbować — odpowiedział od drzwi prezydent. — Niewiele mogę panu pomóc. Ale nasza siła polega na tym, że oni też nie są pewni, co i czy w ogóle mogą coś zrobić bez pana. Tak więc o pańskie życie jestem spokojny... Na razie.

Prezydent opuścił salę, a gruby brodaty chłopczyk usiadł w fotelu, opuszczonym przez feldmarszałka, i oparł głowę na rękach. Ni to zaczął płakać, ni to zasnął...

— Idziemy? — zapytała Kora.

— Oczywiście — zgodził się Eduard Oskarowicz. — Nie mamy tu już nic do roboty.

Większą część drogi do obozu Kora i Eduard Oskarowicz przebyli w milczeniu.

Panował wściekły upał, nie poruszał się ani jeden listek, brzęczały gzy, a końskie muchy całymi eskadrami krążyły nad wędrowcami.

Z boiska obok willi jeden po drugim startowały śmigłowce.

Dopiero kiedy ścieżka stała się szersza i poprowadziła w dół, Kora zapytała:

— To spotkanie do niczego nie doprowadziło, prawda?

— Miałaś nadzieję, że poznasz wszystkie sekrety pałacu w Madrycie?

— Na nic nie miałam nadziei, dlatego cieszę się z tego, czego się dowiedziałam. A przy okazji — co to za przodująca ideologia?

— W historii ludzkości było wiele przodujących, najlepszych na świecie, jedynych, niepowtarzalnych ideologii. Najczęściej wykładane były w małych książeczkach skierowanych do szeregowego idioty. Tu mają coś podobnego. Przodująca ideologia pozwala rządowi na stosowanie najokrutniejszych środków przeciwko własnemu narodowi, nazywając każdy przejaw niezadowolenia atakiem na podstawowe pryncypia ustrojowe, a to pachnie stosem.

Eduard Oskarowicz był zaniepokojony, zdenerwowany.

Sam wyjaśnił przyczyny zdenerwowania:

— Nie wiem, co się może wydarzyć jutro. Obawiam się, że prezydent ciśnie Garbuja jak kość swoim psom, jeśli tylko poczuje zapach przypalanej własnej sierści.

— A czy oni mogą coś zrobić bez niego?

— Coś tam mogą. Przecież nie pracował przez te pół roku sam i był otoczony pomocnikami. Nauka jest tu mniej więcej na tym poziomie co i nasza, a najtęższe umysły, jak i u nas, idą do kompleksu militarnego.

Eduard Oskarowicz przerwał, poruszał jednak wargami. Coś w duchu obliczał.

— Ale w sumie to on ma rację: jego zadanie na dziś, to nie dopuścić generałów do maszyny przejścia.

— Czy taka istnieje?

— Tak, istnieje, i jest to dość proste urządzenie — powiedział Kałnin. — Przejście między światami istnieje obiektywnie. Zadaniem urzędnika jest tylko śledzenie punktu kontaktu w przestrzeni, aby w przypadku, jeśli ktoś spadnie ze skały, zdążyć z przechwyceniem go i przeniesieniem do nas.

— A może przenieść człowieka z powrotem?

— Pozbądź się nadziei, że możesz to zrobić sama — uśmiechnął się Eduard Oskarowicz. — Potrzebowałabyś pomocników. Jeśli zamierzasz uciekać, to koniecznie mnie uprzedź. Albo przekonam cię do zrezygnowania z pomysłu, albo będziesz miała towarzystwo.

— No to po co odkładać to na przyszłość?

— Bo ja nie śpieszę się uciekać stąd — odparł profesor. — I muszę ci powiedzieć, że — tak

podpowiada mi moje życiowe doświadczenie — ty też się nie śpieszysz. Przecież poproszono cię, byś była tu możliwie długo.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Dlatego, że od dawna przyglądam się ludziom i zauważam, kiedy zachowują się naturalnie, a kiedy udają.

— A ja?

— Ty niezbyt udanie udajesz.

— Dopiero się uczę — próbowała obrócić wszystko w żart Kora.

— To niebezpieczna nauka — powiedział Eduard Oskarowicz. — Nie chciałbym, byś straciła przy tym głowę.

— Bardzo pan ponury — powiedziała Kora.

— Niestety, mam ku temu podstawy.

Wyszli na zbocze, pod którym znajdowały się baraki ich obozu. Krzewy rozstąpiły się, w twarz powiał przyjemny świeży, morski wiaterek. Morze było blisko, a nad nim odbywał się wolny, ale nieustanny ruch powietrza, a ten zaniepokoił i rozpedził gzy oraz muchy, a przy okazji — jak wtedy, gdy nagle przestaje boleć ząb i nagle zmieniają się myśli — przyszła nadzieja, że wszystko to skończy się dobrze.

— Oczywiście — współczująco odezwała się Kora — trafił pan tutaj w okresie, kiedy w Rosji były trudne czasy. Nawet moje wykształcenie pozwala mi to stwierdzić.

— Co, mianowicie, pani wie? — zapytał profesor. Usiadł na wielkim kamieniu, wdychając świeżość morskiego powietrza, a Kora była mu wdzięczna za tę odsapkę. Obóz wyglądał na cichy i bezлюдny — po placu wolno przemaszerowała pielęgniarka, przyciskając do brzucha miedziany kocioł, a przy bramie żołnierz wrzasnął na bezdomnego psa.

— To, czego uczono mnie w szkole — powiedziała Kora. — A potem kiedyś przyszło mi podróżować po Półwyspie Kolskim. Tam jest specjalna kolej dla turystów, wszystko wygląda jak za Stalina.

— Właśnie na kolei? — zdziwił się Eduard Oskarowicz.

— Mamy specjalne historyczne drogi, hotele, trasy turystyczne i nawet kurorty. Wszyscy mają hopla na punkcie historii. Moja najlepsza przyjaciółka Weronika w ubiegłym roku uczestniczyła w szturmie na Jeruzalem.

— Z Arabami? — zapytał Eduard Oskarowicz.

— Arabami? A co tam mają do szturmowania Arabowie? Nie, z krzyżowcami. Odniosła nawet kontuzję. Dali im wszystkim kolczugi i hełmy, i suchy prowiant — wyobraża pan sobie? A potem trzeba było włązić do swojego hotelu po drabinie. Tyle, że jakiś głąb tę drabinę odepchnął.

— Pewnie jakiś Saracen — podzielił się przypuszczeniem profesor.

— Pewnie tak — zgodziła się Kora, ponieważ nie wiedziała kim byli Saraceni.

— No więc co takiego zobaczyłaś, Koro, na Półwyspie Kolskim? — zapytał profesor.

— Jest tam wielka trasa. Zamiast hoteli — obozy, zamiast sypialnych wagonów „ciepłuszki” i zamiast obsługi — Wszechrosyjska Służba Ochrony. Wie pan, co to takiego ten WSO?

— Wiem dobrze, co to jest WSO — powiedział profesor. — I takie podróże są interesujące?

— Strasznie interesujące, dostaje się tam spirytus i solone ogórki. Ale mnie tam było nie do rozrywek. Chwytałyśmy pewnego przestępcę. Dlatego nie bawiliśmy się w tę grę.

— Dziwne — powiedział profesor drażniąc się słomką z tarantulą, wyglądającą ze szczeliny między kamieniami — jak historia kpi sobie z naszych tragedii. Koszmar, który zabił tyłu, dla was, naszych potomków, staje się tylko cyrkiem.

— No, niezupełnie ma pan rację — nie zgodziła się Kora. — Nikt sobie z tego nie kpi. Ludzie chcą pamiętać i zrozumieć, jak nasi przodkowie żyli na tym świecie. Przecież przywykliśmy już, że nie ma obiadu bez kompociku i lodów. Trzeba więc czasem zobaczyć, że to nie jest odwieczne prawo.

— Jak w zoo... — Eduard Oskarowicz nie słuchał Kory.

— No to dlaczego nie przejmuję się pan tymi, co szturmowali Jeruzalem? — zapytała Kora. — Przecież oni też ginęli?

— Dlaczego niby mam się nimi przejmować?

— W potwornym upale, bez wody, głodni, obdarci, pokryci wrzodami, włązili na mury i potem, jeśli nie zginęli w straszliwych męczarniach, zaczęli zabijać i grabić tych, co mieszkali w mieście. Czy to nie straszne?

— Skąd to wiesz? Wynaleźliście maszynę czasu?

— Machina czasu jest... w instytucie. Trudno tam się dopchać. A zresztą działa tylko w przedziale kilku lat.

— Można wybrać się w przyszłość albo przeszłość?

— W przeszłość, oczywiście. Przecież przyszłości jeszcze nie ma!

— A jeśli coś uszkodzisz w przeszłości?

— Dlatego właśnie są takie problemy z tymi podróżami... Nie wiem wszystkiego, ale uczono nas, że jeśli wtrącis się do strumienia czasu, to po prostu znikasz... Jakby cię w ogóle nie było. W przeciwnym przypadku zniknęliby wszyscy inni.

Tarantula w końcu wyszarpnęła słomkę z palców profesora i zaciągnęła do norki, by ją męczyć, dręczyć i zabijać.

Kora milczała.

— W końcu — po długiej chwili ciszy powiedział profesor — ci krzyżowcy dobrowolnie wybierali się na wyprawę. Nikt ich siłą nie ciągnął.

— Oczywiście, że byli wciągani! Nie widział pan, jak ich obrabiano na mityngach i zebraniach, jacy tam działali agitatorzy i propagandziści w każdym soborze, w każdym klasztorze, na każdym placu. Ludzie myśleli, że jadą ku świetlanej przyszłości... Jeśli chce pan powiedzieć, że krzyżowcy wiedzieli na co się decydują, a wy, towarzysze Stalina czy Hitlera nie wiedzieliście, to ja wam nie wierzę. Niszczyliście się wzajemnie.

— Ze strachu — odparł profesor. — Nie wolno sądzić człowieka przed obliczem śmierci. A tak w ogóle, to jest to puste gadanie. Nie może książe zrozumieć żebraka, póki nie znajdzie się w jego skórze.

Kora wzruszyła ramionami. Rzeczywiście — trudno jej było zrozumieć żebraka.

— Półtora wieku temu domyślił się pan, że można w ten sposób uciec do równoległego świata?

— Tak — odpowiedział profesor.

— Ale jakim cudem? Przecież nawet w moich czasach tam, w Simeizie, pracuje cały instytut naukowy, który usiłuje zrozumieć, jak to się dzieje.

— Jeśli jesteś fachowcem i naszło cię natchnienie, to można dokonać przełomu w nauce.

— Jabłko upadło na Newtona.

— Tak, zabrakło tylko ostatniego punktu. Teoretycznie istnienie przejścia między równoległymi światami można było wyliczyć nawet na poziomie fizyki teoretycznej połowy dwudziestego wieku. Newton nie miał aparatury, Einstein już mógłby dość do takiego wniosku.

— Pan doszedł?

— Nie tylko doszedłem, ale wyprowadziłem też wnioski...



Na dole, przy płocie, przechwycił ich nieznany, nowo przybyły oficer, który rozdarł się na profesora i groził rozstrzelaniem — widocznie sam nie znał dokładnie ani swojej funkcji, ani stopnia swobody przybyszy — diabli ich wiedzą — może lepiej trzymać towarzystwo w piwnicy albo, na odwrót, nie zwracać na nich uwagi? Ostatni jednak wariant nie mógł zadowolić żadnego wojskowego i został odrzucony z definicji, a winnych, mimo sprzeciwu profesora i żądania widzenia z samym pułkownikiem Raj–Rają, zapędzili do więzienia.

Pod parterowym barakiem, gdzie mieszkali przybysze z Ziemi, znajdował się schron przeciwlotniczy, dokładnie odtwarzający nadziemną część budowli. Zamiast jadalni był tam pokój z żelaznymi drzwiami, kamienną podłogą i niskimi pryzkami. Jedyna słaba żarówka pod sufitem oświetlała jeszcze jednego, mieszkańca podziemi — okazał się nim Pokrewski. Na kości policzkowej rotmistrza widniał siniec, rękaw szlafroka był oderwany i trzymał się tylko na kilku nitkach, włosy miał w nieładzie i dzikie spojrzenie.

— Co się panu stało? — rzuciła się do rotmistrza Kora.

— Bili pana?

— Bili — przytaknął rotmistrz. — I zostałem pozbawiony możliwości ponownego odejścia.

— A kto panu pozwolił na taki stosunek do siebie? — oburzył się profesor. — Jesteśmy poddanymi innego globu, i oni nie mają prawa...

— Oni wzięli prawo w swoje ręce — z goryczą zakrzyknął Pokrewski i, rzuciwszy się na pryzkę, zakrył głowę rękami.

— Ale mimo wszystko powinien pan opowiedzieć nam, co się wydarzyło. Obiecuję, że nie pozwolę, by winni tego incydentu pozostali bezkarni — nalegał profesor.

— Tym bardziej — dodała Kora — że za nami stoi Ziemia i cała Federacja Galaktyczna, w tym komisarz Milodar. A ten nie zna się na żartach.

— Jaka znowu federacja — zawołał rotmistrz — za mną nic nie stoi! Widziałem, jak ostatni parowiec wziął kurs na Sambu! Wrangel nas porzucił...

— Proszę odpowiedzieć — powiedział Eduard Oskarowicz tonem, jakiemu nie można było nie podporządkować się.

— Rano widziałem... — Głuchy głos rotmistrza z trudem wydobywał się ze szczeliny między siennikiem i wargami. — Przez całą noc jej nie było... a rano wyszła z jego apartamentów!

— Poproszę — rzekł profesor — by używał pan, w miarę możliwości, imion postaci. Pan wie coś, czego my nie wiemy. Ale nie dzieli się pan z nami wiedzą.

— Boże! — zawołał rotmistrz i usiadł na pryzcy. — Czy to nie jasne? Księżniczka Parra wyszła rano z pokoju pułkownika Raj–Raji. Jak gdyby nigdy nic!

— Bo może i nie było nic? — ostrożnie podsunął Eduard Oskarowicz.

— Było! O, gdyby pan widział, jaki uśmiech błąkał się po jej rozpustnych ustach!

— A pan? — zapytała Kora.

— Rzuciłem się, żeby ją zabić!

— Ale nie zabił pan?

— Ręka mi się nie podniosła.

— A ona? — zapytała Kora, która tę scenę widziała w nieco komicznych barwach, ale powstrzymywała się, by nie skrzywdzić zakochanego Pokrewskiego.

— Ona śmiała się! Niczym królowa szemachańska. Czytała pani o niej?

— Przerabiałam. W dzieciństwie — z dumą oświadczyła Kora. — Napisał to pewien poeta z Azerbejdżanu.

Profesor zerknął na Korę, nieco pochyliwszy głowę, i gdyby dziewczyna zobaczyła w tym

momencie jego spojrzenie, to zdziwiłaby się widząc w nim tyle smutku. Profesor myślał o swoich odległych potomkach; najwidoczniej, w drodze do wysokiej cywilizacji musieli jednak ponieść pewne ofiary.

— To napisał Puszkina! — zakrzyknął rotmistrz, na chwilę zapomniawszy nawet o swoim oburzeniu. — Nie może być, by uważała go pani za poetę z Azerbejdżanu!

— Przepraszam — powiedziała Kora, nie chcąc wstępować w spór historyczny. — Co się działo dalej?

— Proszę mi wybaczyć, ale skoro pani uważa Puszkina za azerskiego poetę, to ja nie mogę kontynuować.

— Nigdy tego nie powiedziałam! — krzyknęła oburzona Kora. — Poetą azerskim był Nizami, urodzony w Giandży w 1141 roku, gdzie również zmarł na rękach swojej połowieckiej żony, wykupionej przezeń z niewoli w 1189 roku. Bajka o szemachańskiej królowej, mieszkającej jakoby w graniczącym z Giandżą Szemachu, była odkryta wśród rękopisów biblioteki w Madrycie dziesięć lat później. Nieznany poemat Nizamiiego albo Nezamiiego wywołał sensację wśród specjalistów i zwykłych miłośników poezji, ponieważ odkrył przed ludzkością nowe płaszczyzny talentu wielkiego azerskiego poety. Jeśli chce pan, to mogę zadeklamować kilka dwuwierszy z tego arcydzieła, ale proszę pamiętać, że nie jestem mocna w arabskim, a w tym języku była napisana „Szemachańska królowa”, i moja wymowa na pewno będzie kulawa...

Widząc oszołomienie na twarzy profesora Kora poczuła się moralnie usatysfakcjonowana, po raz — zapewne — pierwszy od przybycia do równoległego świata. I przysięgła sobie, że nikomu, nawet na torturach, nie przyzna się, że wygłoszony przez nią tekst przepisała na ubiegłorocznym egzaminie z literatury ze ściągą, i jeszcze nie zdążyła go po prostu zapomnieć.

Rotmistrz Pokrewski usiadł na pryczy. Własny ból zbladł przed niewidzianym dotychczas talentem dziewczyny. Ale Kora szybko przywróciła go do rzeczywistości.

— Proszę kontynuować, rotmistrzu — powiedziała.

— Proszę opowiadać.

— A co tam opowiadać — machnął ręką Pokrewski.

— Rzuciłem się na pułkownika Raj–Raję, żeby wyzwąć go na pojedynek na dowolny rodzaj broni — w końcu jestem do śmierci przyzwyczajony.

— A pułkownik?

— Pułkownik wyszedł i wulgarnymi słowami zażądał, bym poszedł precz. Wtedy uniosłem kij i zawołałem: „Broń się pan!”

— A on?

— A on nic nie odpowiedział, ponieważ z tych samych drzwi wypadła pani koleżanka Ninela.

— Z tych samych drzwi?

— A jakże. Wydawała z siebie niezrozumiałe dźwięki, wypadła i naskoczyła na mnie jak wściekła furia, wyrwała mi kij i zaczęła mnie tłuc, twierdząc, że nie pozwoli skrzywdzić swego ukochanego. Następnie przybiegły pielęgniarki i przyniosły mnie tutaj... w takim oto stanie. Ale przecież nie mogłem podnieść ręki na kobietę, nawet jeśli jest pospolitą chamką!

— Tajemnicza to historia — powiedział Kałnin — ale wydaje mi się, że nie tak tragiczna, jak się panu wydała.

O ile pułkownik nie zabawiał się z dwoma paniami jednocześnie.

— Och, tylko nie to! — zakrzyknął rotmistrz i ścisnął rękoma skronie, jakby głowa pękała mu z niewyobrażalnego bólu.

— No to między nimi doszło do czegoś całkowicie niewinnego — oświadczyła Kora. — Dlatego

Ninela tak się na pana rozzłościła.

— Nie — twardo rzekł kapitan. — Tam działo się coś strasznego.

— Usiłuję pana przekonać — powiedział profesor — że księżniczka zmarła pięćset lat temu, że pan zginął półtora wieku temu, a z tu obecnych tylko Kora jest istotą realną i żywą. A my jesteśmy jedynie widmami, fantomami.

— Bzdura — mruknął rotmistrz. Ale nie słyhać było przekonania w jego głosie. — Istnieje tylko ten dzień i ta chwila.

Za okienkiem krzyczeli do siebie wartownicy.

— Co na obiad? — zawołał bliższy, a drugi odpowiedział coś niewyraźnie.

Rotmistrz milczał leżąc na pryczy. Profesor przemierzał celę po przekątnej. Kora zamyśliła się — usiłowała przekonać siebie, że to, co się tu dzieje, jest czymś prawdziwym, realnym, że to nie sen. Ale trudno jej było siebie przekonać, ponieważ pamięć Kory, jak i pamięć Pokrewskiego, odmawiała przeniesienia się do rzeczywistości. Pozostawiony przez nich świat był zbyt bliski i bardziej realny od tych baraków, zaduchu i na pewno od furii rotmistrza z powodu zdrady średniowiecznej gockiej księżniczki.

— A podsumowując — powiedział nagle trochę nie na temat profesor, stojąc pod ścianą ze wzrokiem utkwionym w zakratowanym okienku — coś mi się jednak tu nie podoba. Generalicja coś zaplanowała. Garbuj ma rację, że knują. Zwróć uwagę — nie byli tak naprawdę zaniepokojeni, w jaki czas trafią ludzie podczas powrotu na Ziemię — a przecież to powinna być sprawa kluczowa dla ich planów. Jeśli zdecydowali się na lokalną inwazję w celu porwania maszyn bojowych i technologii, to mimo że jest to plan naiwny, oznacza, że przewidzieli sposób obejścia niebezpieczeństwa odwetu. Ale jak?

— Może to tylko pułapka, gra, może wcale nie zamierzają podbijać naszego świata, bo wiedzą, że mogą stracić swój?

Kora odczuwała przyjemność z faktu, że może dyskutować jak równa z profesorem, a ten nie stara się dostosować do jej poziomu.

— Ciekawe — rzekł na to Eduard Oskarowicz. — A niby dlaczego?

— A dlatego — odezwał się dość niespodziewanie rotmistrz — że im nie jest potrzebna wojna, w której mogą ponieść porażkę, a tylko dziarskie przygotowania do niej. Potrzebują obrazu, wyobrażenia wroga. Słyszeliście coś o tym?

— Rozumiem, co chce pan powiedzieć, rotmistrzu — zgodził się Kałnin. — Zafundujemy sobie takie przygotowania do wojny, że sama wojna już nie będzie nam potrzebna. W hałasie i zamieszaniu posadzimy w obozach wszystkich buntowników i przy okazji pożremy z musztardą pana prezydenta.

— Ciekawe — odezwała się Kora — czy prezydent rozważał taki wariant?

— Mnie bardziej interesuje, czy rozważał go Garbuj. Bo jeśli on to rozumie, to może przekona prezydenta — powiedział Kałnin.

Szczęknął rygiel, drzwi otworzyły się, stał w nich pułkownik Raj–Raji.

— Wychodzić — rozkazał. — Czas na obiad.

Rotmistrz Pokrewski odwrócił się do ściany.

— Wszyscy wychodzą — polecił pułkownik. — Pana, rotmistrzu też to dotyczy. Ale jeśli jeszcze pan nalega na pojedynek ze mną, to nie mam nic przeciwko. Tylko skończę dzisiejsze sprawy i po kolacji możemy spotkać się na plaży.

— Nie żartuje pan? — Pokrewski poderwał się na równe nogi.

— Ja w ogóle nie mam poczucia humoru — odpowiedział pułkownik. — Ale dla powszechnej jasności chciałbym zakomunikować panu, że dzisiejszego ranka w moim pokoju dwie kobiety, znane

panu kobiety, doprowadzały do porządku mój mundur, zniszczony niemal doszczętnie wczoraj, kiedy trafiłem do betonowej pułapki. Mówię to nie po to, by się usprawiedliwiać, a żeby dotarło to do pewnych nerwowych osób. Księżniczka natomiast jest zbyt czarna i brudna, by mnie skusiła, a przy tym ni cholery nie rozumie po rosyjsku.

— Łże pan — powiedział rotmistrz.

— A ja sądziłem, że w pańskiej armii ogólnie przyjęte były zasady uprzejmości między oficerami. Tak więc pan, rotmistrzu, zostaje pozbawiony obiadu z powodu niewłaściwego zachowania się w stosunku do starszego stopniem.

Pokrewski wykonał ruch w kierunku drzwi — po pierwsze, był głodny, po drugie, zrozumiał, że zachowuje się niezbyt właściwie. Ale duma kazała, mu zostać w miejscu. Tak więc stał — wysoka postać w niebieskim podartym szlafroku. I taki w celi pozostał.

W sercu pułkownika nie znalazła, się nawet krztyna litości. Kiedy weszli na piętro powiedział:

— Pokrewski chciał i mógł mnie zabić. Zachował się fatalnie w stosunku do mnie, choć mnie się zrobiło go żal — co mi szkodziło zastrzelić go na miejscu? Kto by mnie osądził? Chyba że pan, profesorze?

— Ja tak — zgodził się profesor.

W stołówce czekali już pozostali przybysze. Mała grupka ludzi z Ziemi, całkowicie różnych i obcych dla siebie.

Żurba zahuczał:

— Gdzie to wy sobie spacerujecie, proszę państwa, jeśli można wiedzieć?

— Koro, masz z tyłu na sukience trawę — krzyknęła Ninela.

Wycięła w szlafroku głęboki dekol i odcięła rękawy — wyszła z tego koszmarna sukienka, ale przynajmniej odpowiadała klimatowi i demonstrowała bezczelnie piersi wywiadowczyń.

Kora posłusznie zaczęła otrzepywać sukienkę z tyłu, rozległ się rechot Żurby, zawtórowała mu Ninela. Misza Hofman uśmiechnął się krzywo. Księżniczka Parra przysunęła do siebie miskę i bez pomocy łyżki zaczęła z niej pić zupę. Księżniczka miała wspaniałą apetyt.

Przy wtórze śmiechu Kora doszła do stołu i zajęła swoje miejsce. Pielęgniarki wyposażyły przybyłych w miski z grochówką. Pułkownik, który miał kaprys spożycia posiłku z jeńcami, zamiast miski otrzymał wielki porcelanowy talerz, a do zupy dołączono wkładkę w postaci kawałka boczku. Cóż, on tu był gospodarzem.

— Dzisiaj zaczniemy — powiedział Raj–Raji, opróżniwszy talerz — pakować się i do domu.

Potem podał talerz po dokładkę.

Ponieważ wszyscy rozumieli, że pułkownik usiadł do wspólnego stołu w jakimś celu, to nikt nie przepuścił jego słów. A milczenie odebrano jako zaproszenie do zadawania pytań.

— Powrót na ochotnika? — zapytał Eduard Oskarowicz.

— Całkowicie dobrowolny. Chętni do pozostania u nas mogą pozostać.

Pułkownik uśmiechnął się szeroko i bezmyślnie — wyszedł z tego grymas, przeznaczony chyba specjalnie dla profesora.

— Czy ktoś może zagwarantować, że wrócimy żywi? — zapytał inżynier Wiewołod.

— A jakież tu mogą być gwarancje? — zdziwił się pułkownik.

— Trafiłem tu — powiedział inżynier — ponieważ miałem wypadek w powietrzu. Mój ornitopter połamał się. Jak rozumiem, podczas upadku ku ziemi, zostałem przechwycony przez waszą aparaturę i wylądowałem na miękkim zboczu obok obozu. Jeśli przeniesiecie mnie do punktu, gdzie miał miejsce wypadek, to ja z tego punktu upadnę na głazy i zabiję się. Nie mam na to ochoty.

— Może najpierw spróbowalibyście z królikami? — zapytał zadumany Żurba.

— Po co? — zapytał pułkownik.

Udawał, że nie rozumiał pytania.

— Królika nie szkoda.

— A was, to myślicie, że szkoda? — zdziwił się Raj–Raji. — Dlaczego niby mam was żałować?

— Dlatego, że wśród ludzi istnieje coś takiego jak humanizm — powiedziała Ninela. — Tak nas uczy partia. Nie jesteśmy królikami, my — brzmi dumnie.

— Przesłuchiwałeś was i waszych towarzyszy — pułkownik uniósł do ust talerz i wypił resztę polewki. Potem dokończył: — I zrozumieliśmy, że ten wasz humanizm złamanego gorsza nie jest wart. W odróżnieniu od królików mordowaliście siebie milionami. Nie macie więc co gadać o litości.

— Wszystko pan poplątał — rozżłościła się Ninela. — Niszczyliśmy wrogów w toku historycznej sprawiedliwości. Tak klasowych, jak i agresorów zewnętrznych.

— No i my właśnie zniszczymy was w toku sprawiedliwości. Czy ja muszę myśleć o waszym humanizmie, skoro waszym kosztem mogę uczynić życie moich ludzi bardziej sytym i lepszym? Proszę mi odpowiedzieć.

— Nie ma pan prawa zadawać takiego pytania — powiedziała Ninela. Grapefruity jej piersi niebezpiecznie zafalowały, i pułkownik znieruchomiał zaczarowany tym widokiem, albowiem górne połówki tych owoców pływały w niebieskim dekolcie, jak w stawie. — Ponieważ nasze heroiczne życie jest nie mniej drogie, niż życie pana współpracowników.

Ninela poprawiła szlafrok, ale tak niezręcznie, że prawa pierś obnażyła się całkowicie, co spowodowało atak kaszlu pułkownika.

— Dobrze — powiedział po chwili pułkownik Raj–Raji — nasza sprawa to wojna, jak nam każą, tak strzelamy. Niech uczeni badają, dowództwo decyduje, a my poczekamy na ich mądre decyzje. Co dziś mamy według planu?

Pułkownik wyjął notes, otworzył go na odpowiedniej stronie i przez jakąś chwilę poruszał ustami, przetrawiając sens wypisanych tam słów.

— Jasne — powiedział w końcu i zatrzasnął notes. — Najpierw robimy badania medyczne dotyczące seksualnej zgodności naszych przybyszy. Wszyscy idą pod prysznic, tam zostawiacie odzież i resztę dnia macie spędzić nago w sali gimnastycznej.

— Obawiam się, że to kiepski program — w pełnej osłupienia ciszy wykrztusił Eduard Oskarowicz. — Jeśli zapyta pan Garbuję, albo pułkownika Leja, to ci wyrażą swoje niezadowolenie.

— Nic na to nie mogę poradzić. — Pułkownik zerwał się na równe nogi i zaczął krzyczeć, jakby wzywał do ataku: — Co ja mogę zrobić, skoro rozkazów przychodzą dziesiątki, dowódców jest tysiąc razy więcej niż was, a za wszystko ja odpowiadam! Garbuj i jego ludzie żądają, byśmy przeprowadzali badania i przesłuchania. Moi szefowie chcą przygotowania was do akcji dywersyjnych! A ja się miotam jak mysz w imadle! Na mnie się wszyscy wyładowują. Co wy sobie myślicie, że mi odpowiada wasze bieganie na golasa i grupowy seks po kątach? Rozbierać mi się według planu!

— Panie pułkowniku, apeluję do pańskiego rozsądku! — rozżłościł się Eduard Oskarowicz.

— Dobra. Zapiszemy, że test się odbył. Ci uczeni niedługo już będą tu rządzić. Wszyscy wolni. A pani, Ninelo, proszę zostać na rozmowę.

— No masz, tego jeszcze brakowało! — zawołała Ninela z taką rozkoszą w głosie, że Żurba rzucił:

— Ech, zaordynowałbym ci z dziesiątek różg!

— Lepiej cicho bądź, bo sam je zaliczysz — odparowała Ninela.



Drugą połowę dnia wypełniły zaskakujące wydarzenia.

Ale najpierw nic nie zapowiadało zmian. Może poza tym, że upał stopniowo przechodził w duchotę, taką przedburzową. Na niebie gęstniały obłoki, chwilami słońce wynajdowało w nich wyłom i wtedy paliło gorącym zmęczone ciała ludzi, ale zaraz potem zasnuwały je ciemniejsze chmury i już gdzieś odzywał się grzmot, gdzieś bardzo daleko nad morzem, jakby tam, za horyzontem rozgorzała bitwa morska.

Ruchy ludzi stawały się wolne, każdy krok prowadził do zadyszki, potu i dzwonienia w uszach. Tym dziwniejszy był pośpiech, z jakim przecięli podwórze dwaj pułkownicy, a za nimi dwaj lekarze: bladolicy doktor Krelij i inny, nieznajomy, z niewielkim sakwożadem, przybyły chyba niedawno. Wszyscy znikli w budynku administracyjnym. Na minutę znowu zapadła nieruchoma cisza, w oddali zaburczał grzmot. Z baraku wyszedł Eduard Oskarowicz. Nie zauważywszy stojącej z boku Kory, udając, że spaceruje, skierował się ku znanym już Korze krzewom, kryjącym ścieżkę. Korę kusilo, żeby pójść za profesorem, ale na myśl, że przyjdzie jej znowu wdrapywać się na zbocze przez kłujące krzewy, poczucie obowiązku cichutko zwinęło się w kłębek i znieruchomiło gdzieś w jej wnętrzu, w nadziei, że nikt go nie zauważy.

— Idzie burza! — powiedział ktoś tak nieoczekiwanie, że dziewczyna drgnęła.

To był inżynier. Zdjął szlafrok i został w długich pasiastych spodenkach. Miał gładkie opalone ciało z płaskim twardym brzuchem, bez grama tłuszczu. Kora z przyjemnością patrzyła na niego. Inżynier trzymał w ręku długi prosty pręt, który oczyścił z kory.

— Patrz — powiedział — nie potrafię się powstrzymać. Ciągle zbieram materiały do swojego modelu. Głupie to, prawda?

— Wcale nie — powiedziała Kora wpatrując się w zbocze góry. Miała wrażenie, że widzi, jak wspina się po ścieżce niemłody i niezgrabny Kałnin.

— Wydaje mi się, że jeśli zbuduję ornitopter i wzbiję się w powietrze, to uda mi się odlecieć z tego przekłętego kraju. Żeby tylko móc wznieść się odpowiednio wysoko.

— Wysoko to zaczynają latać myśliwce. Może nie są specjalnie szybkie, ale na ciebie to wystarczy.

— Wiem — zgodził się inżynier. — Ale i tak chciałbym polatać. A ty jak sądzisz — uda się nam stąd wyrwać?

— Myślałeś o tym?

— Cały czas o tym marzę. Wpadliśmy w jakieś średniowiecze. Najpierw myślałem, że oni szukają możliwości kontaktu, że rozumieją, jakie wielkie odkrycie wpadło w ich ręce. Chyba przez cały tydzień tak się łudziłem... Ale w końcu zrozumiałem, że trafiłem w stado pawianów, że one mają swoje interesy, a ja swoje, ludzkie. Wiesz, czego one chcą? One chcą podbić Ziemię. W ich pawianich główkach nie może zmieścić się fakt, że małpiszony nie mogą zawojować Ziemi ludzi, ponieważ nie potrafią mówić.

— W tej chwili oni mają inny pomysł — odpowiedziała Kora. — Pomysł na złodziejski wypad — wpaść, ukraść, zwiać.

— Rozumiesz więc, że ktoś musi przejść do nas, wrócić i powiedzieć, że tę furtkę należy przymknąć.

— A reszta zostanie tu zatrzaśnięta?

— Ale kto nas tu zatrzaśnie? — zdenerwował się inżynier. — Oczywiście, że najpierw nas stąd wyciągną.

Inżynier był zbudowany prosto i racjonalnie. Miał silnie rozwinięte poczucie sprawiedliwości, chciał by zatriumfowała, a potem pragnął wrócić do swojego ornitoptera. Pewnie dobrze jest mieć takiego męża. Na pewno będzie żonę kochał i bronił, będzie spacerował z dziećmi i naprawiał w domu sprzęty, a na daczynie wszystkie włączniki i tostery. Potem żona od niego ucieknie.

— Najważniejsza rzecz to nawiązać jak najszybciej kontakt z naszą Ziemią, ktoś musi się tam przedrzeć i uprzedzić, bo ci tu naprawdę wykręcą coś durnego. Ale jak to zrobić?

— Pewnie trzeba znowu skoczyć ze skały — podzieliła się przypuszczeniem Kora.

— Nie śpiesz się — powstrzymał ją Wsiewołod. — To zbyt ryzykowne. Ale pomyślę nad tym. Trzeba zbadać to miejsce...

Odszedł mamrocząc coś pod nosem, zapomniawszy o Korze. Ale po dwudziestu krokach zatrzymał się i odwróciwszy się głośno oświadczył:

— Ale my jesteśmy głupi, Koro! Tam, gdzie się pojawiliśmy nie ma przecież żadnej skały! Skała jest tylko na naszej Ziemi.

— Co to oznacza? — zapytała Kora.

— To oznacza — powiedział inżynier — że jeśli stąd jest wyjście do nas, to jest ono zbudowane zupełnie inaczej. Ale jak — muszę się domyślić. W końcu jestem inżynierem.

Kiedy inżynier odszedł, Kora zaczęła wpatrywać się w krzewy na zboczu. Ale nie zobaczyła profesora. Widocznie dobrze się ukrył.

Na placu pojawił się znowu Misza Hofman. Tym razem maszerował szybko i, mijając Korę, rzucił w przelocie:

— Jeśli coś mi się stanie, to musisz tu zostać możliwie długo. Nie próbuj sama stąd uciec, nawet jeśli będą cię namawiać. Ty musisz dowiedzieć się naprawdę wszystkiego...

Żeby móc powiedzieć wszystko, Misza przykucnął i udawał, że zawiązuje sznurówkę na państwowym bucie.

— Wzywają mnie do lekarzy. Nie ufają mi. Ale ja będę dalej rznął debila.

Ze stołówki wybiegła pielęgniarka.

— Ach, tu jest pan, Hofman! — huknęła basem z wyrzutem. — Przecież doktor na pana czeka. Czy tak trudno to zrozumieć?

— Nie chcę iść do doktora — tępym głosem oświadczył Misza, oczy miał szkliste, w kąciu ust pojawiła się ślina.

Pielęgniarka chwyciła go za łokieć i powlokła do budynku administracyjnego.

„Biedy Misiek — pomyślała Kora”.

Nie wiedziała jeszcze jak to się skończy, ale bała się o niego.

Zrobiło się ciemniej. Zwarta, niemal nieprzenikliwa dla promieni słonecznych chmura ciężko przewaliła się przez ścianę gór i, przyspieszając, pomknęła po zboczu ku morzu. Popychała przed sobą ścianę powietrza, ta z kolei porywała z ziemi i tworzyła chmury pyłu, gałązek, liści i nawet drobnych kamyczków.

Kora miała wrażenie, że w budynku administracyjnym rozległ się krzyk.



Ale w tej samej chwili wszystkie dźwięki zostały pochłonięte przez długi warkotliwy grzmot, wywołany przez błyskawice, które jeszcze narazić nie dotarły do szczytu góry i tylko oświetlały chmurę ognistymi błyskami.

Jak musi się czuć profesor tam, w górach? A co będzie, jeśli się zgubi?

Dziwne, jak zmieniają się stosunki ludzkie. Trzy dni temu rywalizowała z Weroniką o serce inżyniera Wsiewołoda Toja. Teraz on jest tu, obok, i sam się skłania ku niej. I nie ma rywalki. Ale nie, inżynier stał się nieinteresującym obiektem — był tylko towarzyszem spędzania wolnego czasu w cichym spokojnym miejscu, był romantycznym dodatkiem do ornitoptera i ucieleśnieniem ryzyka...

I okazało się nagle, że znacznie bardziej interesujący jest okularnik profesor z połowy ubiegłego wieku, który dawno temu powinien leć w grobie. Z profesorem nie porozmawiała na tematy osobiste, inne sprawy były ważniejsze. Nawet zapomniała zapytać jak profesor znalazł się tu — naprawdę wyliczył sobie drogę, czy żartuje tylko? Profesor również nie zwracał jakiejś szczególnej uwagi na Korę — był po prostu cudowny.

Z powodu szumu wiatru i szelestu pyłu Kora nie zauważyła w pierwszej chwili, że przez bramę wjechał, właściwie wpadł, samochód, coś jak jeep, niebieski z zielonym dachem.

Taranując zderzakiem piach i gałązki, jeep pędził w kierunku budynku administracyjnego. Błyskawica, oderwawszy się od nieba, huknęła w ziemię obok jeepa, jakby przyroda nie była zadowolona z jego pojawienia się. Samochód podskoczył, ale nie stanął, zakręcił dopiero przy wejściu do budynku i tam zatrzymał się. Wyskoczył z niego generał Lej. Poryw wiatru natychmiast zerwał mu z głowy czapkę, generał pobiegł za nią.

Czapka z daszkiem poleciała w kierunku Kory, nie pozostało jej więc nic innego, jak włączyć się do pościgu.

— Dziękuję — powiedział generał, wpatrując się przenikliwymi jasnymi oczami w kolana Kory. Ta wyprostowała się i cofnęła o krok. — Ty jesteś z tych?...

— Tak, jestem z Ziemi — powiedziała Kora.

— Aha, przypominam sobie! — powiedział generał. — Widziałem cię w labiryncie.

Z bliska był jeszcze bardziej żołądacki. Krepy, podobny do goryla, jego mocne ręce zwisały niemal do kolan. Niskie czoło przykrywała grzywka, ale patrzące z głębokich oczodołów oczy były mądre i żywe, takie zdarzają się również małpom.

Stali naprzeciwko siebie — generał ustępował Korze wzrostem, ale był tak szeroki i pewny siebie, że Kora czuła się jak trzcinka naprzeciw pnia drzewa.

— No i jak? — zapytał generał, starając się przekrzyczeć szum wiatru. — Chcesz do domu?

— Nie wiem — odpowiedziała Kora. — Jeśli to nie jest niebezpieczne, to chcę.

— A czego się boisz?

— Że się rozbiję — odpowiedziała szczerze Kora. — Doleciałam do połowy przepaści, a jak mnie wyślecie z powrotem, to niewykluczone, że przelecę resztę drogi.

Generał nic nie odpowiedział, nacisnął furażerkę mocniej na głowę, a w tym momencie słońce dostało ostatnią tego dnia szansę błysnięcia w szczelinie z wątego kozucha chmur. Wykorzystało tę szansę i cienki promień zdołał dotrzeć do ziemi i paść na znaczek na czapce generała, znaczek przedstawiający pięść w dębowym wieńcu — godło gwardyjskiego pułku, otrzymane przezeń w stuletnią rocznicę rozpędzenia niepokornych tubylców w górach Todrej Niwilej.

Lej skierował się do budynku administracyjnego, twardo stąpając po ziemi krzywymi nogami kawalerzysty.

— Kiedy będziecie nas przerzucali z powrotem? — zawołała za nim Kora.

Generał zatrzymał się dopiero po kilku krokach. Ale jednak zatrzymał się i odwrócił.

— Po kolei — powiedział. — Z powodu niewiadomej co do miejsca przybycia.

Kora skinęła głową.

— Zaczniemy dziś od pana Hofmana, podejrzanego o szpiegostwo — oświadczył generał i wszedł pod daszek nad wejściem do budynku. Więcej już się nie odwracał.

To oznacza, że Misza jest w tej chwili przygotowywany do powrotu. Ale skąd taki zaskakujący pośpiech? Trzeba odszukać profesora. Ten może coś wiedzieć.

Wpadła do jadalni i chwyciła szlafrok pozostawiony tam przez inżyniera. Niech posłuży jako parasol.

I przekonawszy się, że nikt jej nie widzi, a żołnierz przy bramie ukrył się w budce, przygięta, pobiegła do dziury w płocie i początku ścieżki. I trzy minuty później była już bezpieczna na zarośniętym szczelnie krzewami zboczu.

Kora już straciła nadzieję na odszukanie profesora. Wdrapała się już niemal do połowy wysokości zbocza, do miejsca, gdzie ścieżka rozdwajała się i zaczynała od niej prowadzić wąska ścieżynka do willi „Raduga”.

Wiatr uderzał porywami, i z góry dobrze było widać jak nad morzem wściekają się dwie wielkie trąby powietrzne, leciutko dotykając wody giętkimi palcami.

Deszcz zaczął padać, wzbił pył w powietrze, ale zaraz ustał, jakby jeszcze nie miał odpowiedniego zapasu sił.

I w tym momencie Kora zobaczyła Kałnina. Stał na ścieżce, przywierając plecami do przysadzistej górskiej sosny, dlatego stał się widoczny dopiero wtedy, gdy podeszło się zupełnie blisko.

— Eduardzie Oskarowiczu! — zawołała Kora.

Profesor odwrócił się, w okularach odbiły się niebieskie błyskawice.

— Kto to? Czego chcecie?

Poznał Korę.

— Ale mnie pani wystraszyła — powiedział, a potem uśmiechnął się.

— Już się bałam, że pana nie znajdę — powiedziała Kora.

— Czy coś się stało?

— Przyjechał generał Lej.

— Po co? — zapytał profesor i zaraz dodał: — Skąd masz wiedzieć...

— Rozmawiałam z nim — wyjaśniła Kora. — Powiedział mi, że jutro wysyłają nas do domu. Ale nie wszystkich naraz, tylko po kolei. Jako pierwszy idzie Misza Hofman.

— Jesteś pewna?

— Całkowicie. Ponieważ kilka minut przed przylotem generała Raj–Raji i dwaj lekarze zaprowadzili Misze do budynku administracyjnego.

— Może to jakieś kolejne badanie?

— Przecież słyszał pan, że dziś pułkownik zrezygnował z badań!

— Oni mają coś do Hofmana. Uważają, że mógł tu być przysłany umyślnie.

— Jaka jest przyczyna tej nieufności?

— To bardzo proste — odpowiedział profesor, przywierając do pnia olbrzymiego pnia, by uniknąć wielkich kropel zaczynającego padać deszczu. — Garbuj ma urządzenie, pozwalające obserwować, co się dzieje z tamtej strony... na Ziemi. Jak rozumiem, obserwatorzy odnotowali spotkania Hofmana z postronnymi ludźmi.

— A kim są ci postronni?

— To wszystko jest bardzo proste, Koro. Na przykład wiedzą, że ty i Wsiewołod przyjechaliście tam na wypoczynek i nawet to, że na skałę trafiliście przypadkowo i nie pierwszego dnia, zresztą upadek inżyniera był naturalny. To nie są tacy durnie, jak ci się wydaje.

— Wcale mi się tak nie wydaje — zaprzeczyła Kora.

— Może chcą czegoś dowiedzieć się od Hofmana?

— Niczego dobrego nam to nie przyniesie.

— Dlaczego?

— Dlatego — odparł Kałnin — że nie mogę zrozumieć, dlaczego niby oni, mając takie plany związane z Ziemią, nagle mieliby zrezygnować z nich, zapomnieć o wszystkim, i wysłać nas do domu.

— Czy to znaczy, że nie ufamy im? — zapytała Kora.

— Oczywiście, że nie ufamy.

— A pan tu na kogoś czeka?.. Może pan nie mówić, jeśli pan nie chce.

— Raczej nie masz wielkiego wyboru co do domysłów — uśmiechnął się profesor.

— To będzie sam Garbuj?

— Masz rację — przyznał profesor. — Obiecał, że przyjedzie tu około pierwszej. Już prawie druga, a jego ciągle nie ma.

— Może jest śledzony?

— Wszystko możliwe. Ale wolałbym, żeby się nie spóźniał.

— Pan go dobrze zna, prawda?

— Dobrze.

— To może sobie pójdę?

— Idź, dziewczyno — powiedział profesor. — Są rzeczy, o których lepiej żebyś nie wiedziała. I nie chcę, by Garbuj zaczął coś podejrzewać.

Kora nie sprzeczała się. Szybkim krokiem pomaszzerowała z powrotem, mając nadzieję, że zdąży do obozu przed wiszącą nad głową ulewą. Szlafrok zostawiła profesorowi.

Po krótkiej, pełnej nieufności pauzie, kiedy nic się nie poruszało — ani listek, ani gałązka, nawet owad, kiedy wszystko znieruchomiało, nawet fale zamarły na morzu, lunęła prawdziwa ulewa. Nareszcie!

Kora ledwo zdążyła wbiec na plac, ale przez sto metrów biegu zdążyła przemoknąć do suchej nitki. Wpadła do jadalni.

Przy oknie stał rotmistrz Pokrewski.

— Najlepsza pora, by wyskoczyć na grzyby! — powiedział.

Kora przemilczała docinek. Myślała o profesorze, wyrzucała sobie, że zostawiła go samego w lesie. Garbuj nie przyjdzie w taką pogodę.

— Nie ma pani czegoś do jedzenia? — zapytał rotmistrz.

Kora przypomniała sobie, że rotmistrz został pozbawiony posiłku za nieuprzejme zachowanie wobec pułkownika. Na jego twarzy zachowały się ślady ataku Nineli.

Przyznała z żalem, że nie ma nic i zaoferowała się, że skoczy do kuchni, ale w progu stała jedna z tych wrednych pielęgniarek, którym oberwało się wczoraj, nie można było liczyć na współczucie z ich strony. Pokrewski też to rozumiał. Ale pojawiła się nagle księżniczka; podeszła do rotmistrza i podała mu kawałek chleba.

Jakież to dziwne — nie mają wspólnego języka, rotmistrz rano niemal pobił tę piękność z minionej epoki, a teraz ona sama, bo przecież rotmistrz nie poprosiłby jej o nic, domyśliła się, że jest głodny.

— Nie potrzebuję — mruknął Pokrewski, wciąż jeszcze zagniewany na księżniczkę.

— Proszę przestać, kornecie — powiedziała Kora.

— Jestem rotmistrem.

— A ja myślałam, że korneci to tacy młodzi i bardzo wrażliwi kursanci.

— Dobra. — Pokrewski zmusił się do uśmiechu, chwycił kromkę chleba z rąk księżniczki, a ta przyglądała się jak je, starając się czynić to bez pośpiechu.

— Czy Misza Hofman nie wrócił? — zapytała Kora.

— Skąd? — Pokrewski wyraźnie nic nie wiedział.

— Zaprowadzili go do bloku administracyjnego.

Ulewa chłostała szyby okien, na zewnątrz nie było nic widać — Kora tylko domyślała się stojącej w pobliżu drzwi do budynku administracyjnego sylwetki jeepa generała Leja. To znaczyło, że generał ciągle jeszcze tu jest. Co on tam robi? Przeczekuje ulewę? Zresztą — czemu nie, może po prostu przeczekuje?

I nagle Kora zobaczyła, a właściwie domyśliła się, jak otworzyły się drzwi do budynku i wyskoczył stamtąd, walcząc z wiatrem i deszczem, jakiś człowiek w nisko nasuniętej na czoło furazerce. Przysadzisty i barczysty — generał Lej.

Za nim wybiegł pułkownik Raj–Raji i wytargał parasol, którym usiłował osłonić generała, ale parasol został w jednej chwili złamany i wyszarpięty z jego ręki. Póki walczył z nim, generał, przytrzymując na głowie czapkę, wpadł przez przewidująco otwarte przez kierowcę drzwi do samochodu. Pułkownik podbiegł do nich, ale wóz ruszył z miejsca i, ochlapawszy i tak mokrego już pułkownika dodatkowo błotem spod kół, odjechał.

Musiało wydarzyć się coś nadzwyczajnego, skoro zmusiło generała, by wybiegł z domu w taką ulewę!

Pułkownik myknął z powrotem pod dach. Bezgłośnie dla widzów zatrzęsnęły się drzwi.

— Mimo wszystko, mają mocno rozwinięte poczucie obowiązku — powiedziała Ninela, zbliżając się od tyłu.

— To akurat wiemy! — filozoficznie zauważył Pokrewski.

— Jestem przez to pokrzywdzona — szepnęła na ucho Korze Ninela. — Akurat żeśmy się z Rajeczkiem urządzili, jak wpakował się ten żołdak.

Ciekawe, że w jej oczach Lej też jest żołdakiem.

— Usłyszałaś może coś? — zapytał Kora.

— Nie. Od razu mnie przepędzili.

— Widziałaś tam może Miszę Hofmana?

— Nie, byliśmy w innym pokoju.

— Ale słyszałaś?

— Coś się tam działo. Nawet słyszałam jak krzyknął, ale potem już nic więcej nie mówił.

Przyszedł Żurba, przeżuwał suchar, gdzieś zachomikowany.

Wyładowawszy pierwszą złość deszcz walił gęsto, z ukosa, niemal równoległe do ziemi, ale już nie tak wściekle. Więc kiedy od strony lasu pojawiła się sylwetka profesora, Kora od razu go dojrzała.

— Musimy znaleźć coś suchego — powiedziała. — Może się przeziębic.

— Co, ciekawam, zmusiło go do spaceru w taką pogodę poza obóz? — głośno zastanawiała się Ninela.

— A co ci do tego? — warknęła Kora.

— My tu jesteśmy wspólnotą ziemskich mieszkańców — odpowiedział za Ninelę Żurba. — I jako tacy winniśmy przeciwstawiać się zakusom obcych, czy to trudno zrozumieć?

— Łatwo.

— A kiedy niektórzy z nas, nie informując władz, wyruszają w ulewnym deszczu na spacer do lasu, to taki fakt wywołuje we mnie podejrzenie.

Profesor wszedł zataczając się z lekka, powitały go okrzyki: „Gdzie pan był?”, „Przydałaby się szklanka wódki”...

Profesor powiedział, że idzie do siebie. Na jego czole rozsiadł się wyraźny mars.

Co oznaczało, że Garbuj nie pojawił się.

— Odprowadzę pana — powiedziała Kora i poprowadziła profesora pod rękę. Nikt nie sprzeciwił się jej prawu do spaceru z przemokniętym profesorem.

— Zaraz sobie pójdę — powiedziała Kora wprowadziwszy Kałnina do jego pokoiku. — Nie przyszedł?

— Co oznacza, że nie dzieje się nic szczególnego — odparł profesor. — A to już jest pocieszające. A co tu się dzieje?

— Nie wypuścili Miszy. Generał Lej dopiero co odjechał. Nawet deszczu się nie wystraszył.

— Dziwne, tutaj prowadzi niebezpieczna podczas deszczu droga.

— Coś się dzieje.

— Czuję to całym ciałem — potwierdził profesor. — No dobra, proszę iść, odnotuję pani długą nieobecność, zaczną się plotki.

„Jakie plotki? — chciała zapytać Kora. — O panu i o mnie?”

Ale, oczywiście, nic nie powiedziała.

Pułkownik Raj–Raji nie pojawił się na kolacji. Kasza była niedosolona, zamiast miętowej herbaty, którą tu serwowano trzy razy dziennie, rozdano jakąś brunatną ciecz, widocznie kawę dla biednych przybyszy.

Potem pojawił się jakiś oficer — pomocnik pułkownika Raj–Raji, przyniósł przepisane na maszynie protokoły przesłuchań jeńców, żeby przeczytali i podpisali. Zadawane im pytania były standardowe, dlatego, nawet po skompletowaniu wszystkich odpowiedzi, nie dałoby się opracować jakiejś jednej obiektywnej opinii o historii Ziemi czy panujących na niej stosunków. Wiadomości przypominały komunikat o tym, że parowóz wypuszcza parę, gwizdże i jedzie po szynach. Ale jak działa kocioł parowy, za skarby świata z tych papierów nie wynikało.

— Jeśli oni chcą wpaść do nas, żeby ukraść samolot albo armatę — powiedział Wsiewołod — to będą mogli wbijać nimi co najwyżej duże gwoździe, albo tłuc olbrzymie orzechy. Rozumiesz?

— Rozumiem — potwierdziła Kora, która sama doszła do podobnego wniosku po przeczytaniu protokołów. — Ale i tak nie uważam ich za całkowitych idiotów. Oni na coś liczą. Na zdrajców?

— Zdrajcy pojawiają się z reguły wtedy, kiedy twoja strona przeciwstawia się silnemu przeciwnikowi. Kiedy grozi jej porażka lub są ludzie niezadowoleni z rządów. Kiedy zdrajcę można kupić, bo jest za co. A tu?

— Strach — powiedział rotmistrz Pokrewski.

Pokrewski czytał swój protokół, odfajkowując na marginesie niektóre miejsca. Potem zaczął wykreślać całe linijki.

— Może nie tak ostro? — powiedział Żurba. — To w końcu oficjalny dokument. Władze mogą na tej podstawie dojść do nieprzychylnych dla nas wniosków.

— O, taki Włas Fotjewicz mógłby ze strachu stać się zdrajcą — zemścił się Pokrewski.

— Nie — powiedziała Ninela, która pochłaniała drugą miszkę kaszy, przeznaczoną pewnie dla Miszy Hofmana. — Włas Fotjewicz ze strachu nikogo by nie zdradził. Tylko na polecenie z góry.

— Właśnie — przytaknął Żurba. — Rozkaz z góry zawsze wykonam.

— To jest właśnie strach — zauważył Eduard Oskarowicz. — Tyle że przekształcony w odruch bezwarunkowy.

— Też mi akademik Pawłow — prychnęła Ninela. Widocznie w swoim czasie czytała wszystkie artykuły prasowe o naszych priorytetach w dziedzinie odruchów warunkowych.

Oficer zebrał protokoły, nawet nie zerknąwszy do nich. Żurba był rozczarowany.

— To nic — pocieszył siebie — potem ktoś zobaczy i wyciągnie odpowiednie wnioski.

Deszcz jakby trochę ustawał. Po prostu lał teraz miarowo, jakby chciał rozciągnąć przyjemność na kilka lat.

— Jak w Makondo — powiedziała Kora podchodząc do okna.

— Ale tam było gorąco — rzucił inżynier, też zaliczył Marqueza.

Pozostali nie zrozumieli o czym mowa. Byli starsi od kolumbijskiego pisarza Marqueza.

Wszedł pułkownik Raj–Raji. Wszedł szybko, natknął się na stół i znieruchomiał, wystukując palcami nerwowy werbel na jego brzegu.

— Cisza! — rozkazał. — Ważny komunikat!

Wszyscy podeszli bliżej. Twarze były poważne i zdenerwowane — sądząc z miny pułkownika nie należało oczekiwać niczego przyjemnego.

— Olbrzymia tragedia dosięgła nasze państwo, naszą ojczyznę — powiedział bardzo wyraźnie, niczym lektor, pułkownik. — Dziś, w drodze z urlopu do stolicy, samolot naszego niezwykle szanowanego prezydenta miał awarię i rozbił się w górach. Szczegóły wydarzenia są ustalane przez rządową komisję. Wraz z prezydentem zginęli członkowie jego świty. Do czasu wyborów nowego prezydenta, które odbędą się za miesiąc, dla uniknięcia bałaganu i separatystycznych wystąpień w regionach mniejszościowych, władzę przejął nadzwyczajny komitet, w skład którego wchodzi dowódca sił zbrojnych generał Lej, szef służby bezpieczeństwa państwowego, generał korpusu Graj, a także pani Kufetti ar Rej, zarządca autonomicznego regionu Rej–kolja.

Kora popatrzyła na profesora. Zbladł wyraźnie.

— A Garbuj? — zawołał. — Czy też tam był?

— Radca Garbuj na razie żyje — wyszczerzył kły pułkownik.

Pozostali słuchali uważnie, starając się zrozumieć czy to wydarzenie ma związek z ich losem, i kiedy pułkownik skończył odczytywanie komunikatu, Żurba zapytał:

— Dlaczego nie pojechał pociągiem?

Nie otrzymał, rzecz jasna, odpowiedzi.

— Czyżby samolot trafił w burzowy front? — zadał pytanie inżynier.

— Mamy nadzieję, że nie był to akt dywersji — odparł pułkownik.

— Odpowiedni ludzie dotrą do prawdy — powiedziała Ninela. — To ich zadanie. Nasza sprawa — nie mieszać się.

Kora przypomniała sobie uśmiezek generała Leja. Teraz już nikt nie przeszkodzi mu w agresji na Ziemię — nieważne, jak idiotyczną wydawała się ta akcja, i do jakich ofiar doprowadzi!

— Musimy napisać list! — zawołała nagle Ninela.

— Jaki list? — zdziwił się pułkownik.

— Notę kondolencyjną, jak się należy w takich wypadkach. Przecież tu nie ma jeszcze naszego konsulatu, więc to my powinniśmy wziąć na siebie jego funkcje. Tylko nie mamy odpowiedniego papieru. Każę pan wydać nam dobry papier, pułkowniku?

— Czy wyście powariowali, czy jak? — rozdarł się nagle pułkownik. Uderzył pięścią w stół. — Nic nie rozumiecie?

— Co mamy rozumieć? — zapytał Pokrewski. — Niby co?

— Że władza przeszła w ręce armii. Do władzy nareszcie doszły zdrowe siły narodu. Wystarczy tego odgrywania drugorzędnych ról przez naszą armię, która zbierała okruchy ze stołów sprzedajnych polityków! Mamy zamiar zaprowadzić porządek.

— Łącznie z Ziemią? — zapytała Kora.

— Łącznie z Ziemią. Jakies pytania?

— A jak będziecie nas zwracać? — zapytał inżynier.

— Przecież jeszcze dzisiaj obiecywaliście.

— Jak tylko otrzymam instrukcje z centrum, powiadomię was o podjętych decyzjach. Są jeszcze pytania? Bo muszę odejść.

— Ja! Ja chcę zapytać: gdzie jest Hofman? Gdzie zaginął? — zapytała Kora.

— Przybysz Hofman przechodzi specjalne badania na okoliczność powrotu na Ziemię.



— I wróci tutaj?

— Kiedy skończą się testy. Są jeszcze inne pytania?

Więcej pytań nie było.

Profesor Kałnin stał pułkownikowi na drodze.

— Chciałbym skontaktować się z kolegą Garbujem. Czy mogę do niego zadzwonić?

— Nie wolno — odparł pułkownik.

— Dlaczego? Czy jest chory?

— Póki nie zakończy się śledztwo dotyczące okoliczności śmierci naszego ukochanego prezydenta, będzie trzymany pod strażą, ponieważ znajdował się w liczbie tych, którzy jako ostatni widzieli prezydenta przed odlotem z willi „Raduga”.

Pułkownik gwałtownie odsunął profesora i wykonał coś niezwykle zaskakującego: podszedł do wysokiego postumentu, na którym ustawione było popiersie prezydenta, przechylił je na siebie, i — odchylony pod ciężarem do tyłu — wyniósł z jadalni.

Kora przypominała sobie gruzowisko posagów i popiersi przy górskiej drodze. Teraz powstanie nowe.

Nie od razu odezwały się głosy. Ale potem zrobiło się gwarnie, hałaśliwie i bez sensu.

— To spisek!

— Zabili swojego własnego prezydenta! Jak to się może odbić na naszych losach?

— Proszę nie gadać bzdur! Dlaczego niby mieliby mordować prezydenta? Przecież widzieliście jaka była burza — kto mu kazał latać w taką pogodę?

— Ale czy nas wypuszczą?

— Teraz mogą wypuścić.

— A może właśnie na odwrót — właśnie teraz nie wypuszczą?

— Niewygodnie jest buntować się w niebieskich pikowanych fartuchach bez guzików — powiedział Eduard Oskarowicz.

— Bzdury! — obruszył się nagle Pokrewski. — Mam mundur. Nie zamierzam wracać w szlafroku.

— Muszę iść — powiedziała Kora do profesora. — Trzeba znaleźć Miszę Hofmana. Obawiam się, że oni w jakiś sposób go skrzywdzą.

— Ale tam tak leje... — bąknął zmieszany profesor, jakby sam nie wrócił dopiero co ze zbocza góry.

— Proszę mi powiedzieć, jak mogę się przedostać do budynku administracyjnego? Nie chcę, żeby mnie schwytali.

— Przykro mi, ale ja zawsze wchodziłem tam przez drzwi — odpowiedział profesor.

— Koro, kochanie — powiedziała Ninela. — Jeśli chcesz, to ci powiem.

— A wiesz?

— No tak, bo jak szłam od pułkownika, to on mnie wyprowadził, bo nie chce sobie psuć reputacji.

— Nie gadaj bzdur, Ninelo! — powstrzymał ją Żurba. — Rozpustnico rodu ludzkiego. Wsadzę cię jeszcze do ciemnicy!

— O Boże, jak ja mam was wszystkich dosyć! — jęknął Pokrewski.

Podeszła księżniczka, Pokrewski wsłuchał się w jej szczebiot. Kora pomyślała: jak jej wyjaśnić, że nadszedł czas, by umyła głowę? Dzikie czasy, dzikie obyczaje! Najpewniej, księżniczka nie wytrzyma sytuacji nerwowo.

— Nie pójdę teraz — oświadczyła Ninela. — Niech się ściemni i skończy deszcz. Wtedy ci

pokażę, jak można się tam przedostać.

Profesor zaczął kaszlać. Kaszel był suchy, niedobry. Kora poszła do kuchni. Pielęgniarki pochłaniały kurę, pachniała bardzo kusząco. Na Korę nie zwróciły najmniejszej uwagi; ta postawiła na piecu garnek, zagotowała wodę. Przez ten czas nikt nie ruszył się z jadalni, wszyscy czekali na rozwój wypadków. Śmierć prezydenta była w końcu jakoś sprzęgnięta z ich własnym losem, na pewno, to rozumieli wszyscy. Rozumieli też, że sami nic nie mogą zrobić. Kiedy Kora przyszła z gorącą wodą, Ninela perorowała — głośno i agresywnie, pewnie chcąc zagłuszyć własny strach:

— Jestem przekonana, że nas nie porzucą, nie zostawią. Ojczyzna nigdy nie pozostawia w kłopotach swoich bohaterów. Weźmy, na przykład, epopeję papaninowców<sup>\*</sup>, których posadzono na krze. Jak dziś pamiętam zachwyty całego kraju, kiedy zdjęto ich z takiego kawałeczka lodu, że nie było gdzie nawet nóżki postawić...

Kora podeszła do okna, za oknem nieśmiało zapadał zmrok.

— Proszę iść się przespać — powiedział profesor.

— A pan?

— Boję się przegapić wiadomość od Garbujaja. Może kogoś przyśle. Jestem zaniepokojony jego losem.

Kora poszła do siebie, położyła się i wkrótce zasnęła, spokojnie i głęboko; dobrze jest mieć dwadzieścia lat.

Obudziła się raptownie, jakby ktoś ją trącił. Za oknem było ciemno. Smętnie szumiał deszczyk.

Kora wstała, strofując się w duchu, że przespała tyle czasu i pobiegła do stołówki. Była pusta, jeśli nie liczyć inżyniera, który coś szkicował na papierze z własnymi zeznaniami, których nie zwrócił oficerowi.

— Coś się działo, kiedy mnie nie było? — zapytała Kora.

— Głupie pytanie. Poszłaś sobie o piątej, a teraz jest dziesiąta. Radia nie mamy, gazet nie dają. Wszyscy siedzą w celach, czekają na kolację, ale czy kolacja będzie — śmiem wątpić, ponieważ siostrzyczki się nie pojawiły.

— Trudno, zaparzymy herbatę, a potem pokażesz mi, jak przedostać się do spiżarni.

— To haniebne — powiedział inżynier i natychmiast pogрузzył się w projektowaniu kolejnego ornitoptera.

Kora poszła do Nineli. Na szczęście ta nie spała, tylko rozkładała pasjans z własnoręcznie wykonanych kart.

— Włas Fotjewicz mi narysował — wyjaśniła. — Teraz śpi, ale pożyczył mi karty. Ubiegłej nocy rżnęli w preferansę z Pokrewskim i inżynierem. Możesz sobie wyobrazić — białogwardyjska swołocz, policmajster i twój przyjaciel z komunistycznej przyszłości. To mi dopiero towarzystwo!

— Nie mamy komunistycznej przyszłości, eksperyment się nie udał, bitwa o urodzaj została przegrana.

— Dobra, dobra, już to od Miszki Hofmana słyszałam. Zanim go zdemaskowali. A on ciągle tylko z łapami się pchał.

— A w komunizmie nie pchaliby się z łapami?

— W komunizmie wszystko by było inaczej, tam bym nie odmawiała nikomu, bo wszyscy ludzie są przyjaciółmi i braćmi oraz siostrami.

Ninela miała, jak się okazało, poczucie humoru i wyglądało, że porażka komunizmu nie przyniosła jakiegoś szczególnego uszczerbku jej psychice. Chociaż diabli wiedzą, kiedy ta kobieta jest szczerą, a kiedy udaje.

— Obiecywałaś zaprowadzić mnie do Miszy Hofmana.

— A to był twój kochaś?

— Nie gadaj głupot. Po prostu jestem niespokojna o niego.

— A moim zdaniem nie warto się o niego niepokoić — poradziła Ninela. — Jeśli w drodze powrotnej trafi do nas, to nasi już się nim zajmą.

— Idziemy?

— Deszcz pada.

— Nie zdążysz zmoknąć poruczniku bezpieczeństwa — powiedziała Kora.

Ninela zeszywniała.

— Skąd masz takie dane?

— Z twojej ankiety — skłamała Kora, która nigdy nie potrafiłaby wytłumaczyć, dlaczego obdarzyła Ninelę takim, a nie innym stopniem. Coś w jej duszy podpowiedziało... potem przypomniała sobie: półwysep Kola, kolej żelazna, tamtejszy dowódca — porucznik bezpieczeństwa...

— Nie mogłaś widzieć mojej ankiety... — warknęła Ninela i natychmiast zapytała: — To znaczy, że wszystkie dane osobowe przechowano do waszych czasów, a wy przygotowaliście operację?

— Idziesz czy nie?

— Idę, idę, czego krzyczysz? A stopień mam sierżanta, do porucznika jeszcze się nie dochrapałam.

Ninela rzeczywiście szybko i łatwo przeprowadziła Korę pod otwarte drzwi na tyłach budynku administracyjnego. Drzwi prowadziły do piwnicy, do zsypu, skąd na piętro prowadziły schody. Tu się rozstały — Ninela nie chciała ryzykować.

W korytarzu, dzielącym budynek na dwie połowy, plafony świeciły raczej symbolicznie. W odgałęzieniach było całkowicie ciemno.

Zresztą, to akurat sprzyjało Korze. Misza był trzymany w piwnicy, Kora od razu domyśliła się gdzie to jest, ponieważ wejście do niej przegradzało biurko, przy którym spała muskularna siostrzyczka ułożywszy głowę na skrzyżowanych rękach. Chrapała przy tym basem.

Za plecami pielęgniarki znajdowały się szklane drzwi. Kora otworzyła je.

Odnalazła Miszę w ślepej odnodze piwnicznego korytarza. Boks od korytarza oddzielała szklana komora. W boksie Miszy paliła się lampa bez abażuru, co powodowało, że pomieszczenie wyglądało jakby odbywał się tam remont.

Misza siedział na wgniezionej pryczy na szarym kocu, miał skrzyżowane nogi i kiwał się miarowo.

Kora spróbowała przedostać się do niego, ale te drzwi były zamknięte.

Cicho zastukała w szkło. Misza uniósł głowę, zdziwił się, potem ucieszył.

Chciał podbiec do szklanej ściany, ale nie dał rady — zgiął się we troje, chwycił za brzuch. Na twarzy pojawił się grymas bólu.

— Co ci? — zapytała Kora. — Zatrueś się?

Misza podszedł do okrągłego, przesłoniętego gęstą siatką otworu w drzwiach.

— Nie, nie zatruełem się — powiedział. — Oni mi wstrzyknęli jakieś świństwo, a teraz obserwują, jak się zwijam.

— Po co? Przecież to absurd?

— Z nimi to nic nie wiadomo. Przypomnij sobie labirynt, przypomnij sobie inne idiotyczne i okrutne testy. Ach, ciebie wtedy jeszcze nie było!

— Myślisz, że to jakieś badanie? Jeszcze jeden test?

— A co innego?

I zwymiotował. Na czworakach rzucił się do wiadra, stojącego w kącie pokoju. Opadł na kolana, założył rękę za plecy i gestem przepędził dziewczynę.

Za plecami Kory przez sen zaczęła mamrotać pielęgniarka.

Kora znieruchomiała.

— Przyjdę tu jeszcze — powiedziała do komunikatora. — Nie martw się.

Ale Misza chyba jej nie słyszał.

Kora na palcach przemknęła obok pielęgniarki, już niemal obudzonej, ale, na szczęście, niechętnie zegnającej się ze snem.

Dalsza droga do piwnicy i na zewnątrz minęła bez przygód.

Kora biegła do swojego baraku. Test? Badanie? Po co komu takie badanie?

Tak właśnie zapytała leżącego już w swoim łóżku profesora.

— Otruli go! Na pewno go otruli! I wie pan, co sobie pomyślałam? Że pewnie teraz, kiedy zacznie się bałagan ze zmianą władzy, postanowili się nas pozbyć! Nie ma człowieka, nie ma problemu.

— Dlaczego?

— Przecież też się boją. Sądząc z protokołów przesłuchań, mają pewne pojęcie o tym, że nasza cywilizacja prześcignęła ich i to bardzo... bardzo. Tak więc boksować się z nami, to jak boksować się z parowozem.

— Oni tak nie myślą — powiedział Kałnin.

— Ale dlaczego?

— Muszę się zobaczyć z Garbujem. Jeśli żyje, to na pewno coś wie.

— Idę z panem — oświadczyła Kora.

— Po co?

— Powiem pańskiemu Garbujowi, że na Miszy Hofmanie wykonują jakieś eksperymenty! On musi ich powstrzymać. A jeśli nie, to niech pomoże mi wrócić.

— Obawiam się, że to wszystko już nie leży w jego możliwościach.

— Najpierw mnie pan zapewnia, że jest wynalazcą tego systemu...

— Ale prezydenta zabito! A bez prezydenta, Garbuj jest tylko cieniem siebie samego.

— A my jesteśmy królikami doświadczalnymi?

Profesor odpowiedział enigmatycznie:

— Jestem tu, bo nie chciałem być królikiem doświadczalnym, a tym bardziej martwym królikiem.

— Skoro tak, to przynajmniej jest pan żywy.

— Na razie żywy.

Kora wyjrzała przez okno. Deszcz ciągle padał. Było ciemno, choć oko wykol, wiatr nadlatywał falami i przyginał do ziemi cienkie gałęzie krzewów pod płotem z drutu kolczastego. Płot oświetlały reflektory — obóz z dziesięcioma bezsilnymi i bezradnymi przybyszami był starannie chroniony. Chociaż, tak naprawdę, to uciec stąd mogłoby nawet dziecko.

— Jest ciemno i leje — powiedział profesor, jakby do siebie. — Ale jeśli do rana deszcz się skończy, to przejdę się do willi.

Do pokoju bez pukania zajrzała Ninela i powiedziała:

— Szybko chodźcie do jadalni! Szybko, mówię! Pułkownik przekaże komunikat nadzwyczajny!

Zatupała ciężkimi nogami po korytarzu.

— Musimy iść. — Eduard Oskarowicz z trudem wstał z łóżka.

— Proszę wziąć koc i owinąć się nim — poradziła Kora. — A może w ogóle niech pan nie wychodzi z łóżka?

— Nie, za bardzo jestem ciekawski — sprzeciwił się Kałnin. — A w kocu wyglądam jakoś tak po senatorsku.

Wszyscy pozostali byli już w stołówce. Pułkownik stał przy szczycie stołu.

— No nareszcie — powiedział uśmiechnąwszy się wrednie na widok spóźnialskich. — Dziękuję, że zaszczyliciliście nas swoją obecnością.

— To granda! — powiedziała głośno Ninela. — Ludzie się starają, a ci — zero uwagi.

Pułkownik postukał w stół małą piąstką, odrzucił do tyłu małą wąsatą głowę i zaczął, jakby rozpoczynając uroczyste przemówienie podczas jubileuszu:

— Cieszę się, że mogę wam powiedzieć, że dopiero co zakończyło się posiedzenie

Nadzwyczajnego Komitetu Tymczasowego. Dyskutowanych było wiele problemów, z dziedziny ekonomiki i polityki, oraz spraw militarnych. Utworzony został przejściowy rząd, w skład którego weszło wielu znanych dowódców. Konkretnie, postanowiono zamknąć, jako ekonomicznie nieuzasadniony, a politycznie nawet szkodliwy, projekt profesora Garbujaja dotyczący kontaktów ze światem paralelnym. Rozumiecie mnie?

— Nie, nie rozumiemy — powiedział Pokrewski.

— Będziecie odesłani z powrotem. W najbliższym czasie. Nie mamy pieniędzy na pozbawione perspektyw kierunki w nauce.

— Chcecie odesłać ludzi nie sprawdzwszy najpierw, co się z nimi stanie? — zapytał Kałnin.

Pułkownik dobrodusznie rozłożył ręce.

— Nie docenia nas pan, profesorze — powiedział. — Jest ochotnik, Michaił Hofman. Jeśli przekonamy się, że znalazł się w dzisiejszym dniu, to będzie to oznaczało, że przepowiednie Garbujaja się sprawdziły. Wtedy polecicie i wy. Jasne?

Wcale nie wszystko było jasne. Przybysze zaczęli oblegać pułkownika, ale ten gwałtownie odwrócił się i opuścił salę. Kora nie zdążyła wykrzyczeć swoich pytań — co się dzieje z Miszą i czy można go zobaczyć.

Ale wiedziała, że dotrze do niego jeszcze przed wyprawą z profesorem do Garbujaja. A jeśli będzie z nim źle — spróbuje mu pomóc. Jeszcze nie wiedziała jak, ale się postara. Przecież musi być jakieś wyjście nawet dla doświadczalnych królików.

Dwie minuty po wyjściu pułkownika — nawet jeńcy nie zdążyli jeszcze skomentować sytuacji — weszły dwie pielęgniarki z wielką skrzynią. Grzmotnęły nią o podłogę, a jedna z nich warknęła basem:

— Dzielcie się, to wasze.

Poszły do kuchni i stamtąd zerkały, jak przybysze ruszyli do otwartej skrzyni, jakby była bombą. Potem nagle księżniczka zaczęła szczebiotać po swojemu i rozplakała się! Ciemną małą łapką wyciągnęła ze sterty szmat i przedmiotów wypełniających skrzynię, długi strój z cekinami — wyciągała go, odchodząc od skrzyni, i Pokrewski musiał przyjść jej z pomocą, uwalniając brzeg drugiej szaty z zaplątanych weń butów, należących, jak się okazało, do inżyniera.

— Ludzie! — wrzasnął ten uradowany. — Barbarzyńcy zwrócili nam ubrania!

I dopiero wtedy wszyscy zrozumieli, że miejscowi nie żartują i naprawdę postanowili wypuścić przybyszy do domu — bo po co w innym celu zwracaliby odzież, obuwie i inne rzeczy, posiadane przez gości w chwili przemieszczenia.

— Mój surdut! — ryczał Żurba, odpychając Korę. — Muszę sprawdzić!

Zagłębił się w skrzyni, wyrzucając stamtąd rzeczy — w poszukiwaniu surduta; wyglądał strasznie w tym swoim zapale, i sile użytej do wykopalisk. Ale z tej działalności inni mieli korzyści — Włas Fotjewicz nie dopuścił, by wszyscy rzucili się jednocześnie do skrzyni i zablokowali się wzajemnie. Wylatujące z niej suknie, pończochy, pantofle, torby natychmiast odnajdywały swoich właścicieli — w końcu nie było tu tłumu. I kiedy w końcu wszystko, co wyrzucił Żurba zostało podzielone, a on sam znalazł swój bezcenny surdut i pasiaste spodnie, okazało się, że w skrzyni są jeszcze rzeczy Miszy Hofmana. Wzięła je Kora, jakby spadkobierczyni Hofmana, i nikt nie oponował.

Odepchnąwszy pielęgniarkę Żurba poszedł do kuchni, a siostrzyczka nie sprzeciwiała się. W kuchni zaczął głośno wyśpiewywać ludową pieśń, nieznaną Korze z zajęć w szkole: „Ech, pełny jest kuferek mój, mam jedwab, mam złotogłów!”

„Co za szczęście, żeście wymarli — pomyślała Kora — zanim się urodziłam. Wracajcie wy lepiej do siebie!”

Część towarzystwa pognęła do swoich pokoi, żeby się przebrać w ciszy i spokoju, inni śpieszyli się i przebierali od razu w stołówce. Inżynier, na przykład, wcale się nie krępował. Natomiast księżniczka zabrała stertę swojej odzieży — a nie było jej mało — do swojej norki.

Ale w ten czy inny sposób, każdy śpieszył się pozbyć poniżającego aresztanckiego odzienia i szarej więziennej bielizny. Szlafrok nie był jeszcze tak obrzydliwy godzinę temu, kiedy wszyscy byli równi w poniżeniu i nie było z niego wyjścia. A teraz znowu byli różni, jakby już ich wypuszczono na wolność.

Kora przebrała się w swoim pokoju. Nie miała wiele do przebierania. Szczególnie, że nie zwrócono jej wszystkiego — wiele rzeczy zostało ukradzionych. Co prawda, została jej kurtka Miszy Hofmana — nie będzie miał nic przeciwko temu, że nałoży ją podczas nocnej i porannej wyprawy, które jeszcze ją czekają. Tak więc, jak na razie, Kora wyglądała jak kobieta w wieku i o statusie studenckim, wypoczywająca w Simeizie — odzież na granicy ryzyka seksualnego, ale nie dalej.

Przebrana i ze zdziwieniem przejrzawszy się w lustrze — przez te trzy dni tak dalece odwykła od siebie, że nie od razu siebie poznała — Kora zrozumiała, że nie chce i nie może być sama w pokoju; chciała nawet pójść do profesora, ale nogi same poniosły ją do jadalni. Nie tylko ją.

— Ziemianie i Ziemianki!.. — tak określił ich inżynier Wsiewołod Toj.

Miał na sobie proste ubranie, takie dla fachowego wynalazcy ornitopterów, jacy wzbijają się w powietrze nad zboczami Aj–Petri: wszystko na nim było elastyczne, ciasno przylegające, bawełniane, wełniane, z bulkami, ale przy ciele — człowiek ptak!

Pokrewski zmienił się zewnętrznie i od razu odmieniło się jego zachowanie. Miał na sobie czarny mundur, na lewym rękawie wyhaftowano tarczę z czaszką, pod nią miał złote szewrony, na piersi — srebrny krzyżyk Jerzego. Mundur nie był nowy, w jednym miejscu nadpruty, na kolanie czarne spodnie przetarły się. Czapki kapitan nie miał — zgubił, ale pagony zostały, tyle że bez gwiazdek. Ale najważniejsze, że zmieniła się postawa.

Wszedł, odziany w surdut i pasiaste spodnie, Żurba — z radosnym okrzykiem na ustach:

— Znalazłem! A nie chcieli najpierw oddawać! Oszuści!

Trzymał w ręku wielki czarny portfel ze złotym monogramem.

— Tam się nosiło pieniądze? — zapytała Kora.

— Mało co zostało. — Żurba od razu przycichł.

— No to schowaj — poradziła Ninela. Jej ubranie było proste, prymitywne nawet: krótka spódnica, przycięte poniżej kolan skórzane buty, bluza mundurowa bez żadnych dystynkcji, ale ściągnięta żołnierskim pasem. Zaczesała wałek z włosów nad czołem, rozczesła loki i chyba w sumie najbardziej ze wszystkich się zmieniła.

Pozostali przybyli do stołówki, przyglądali się sobie z zainteresowaniem — kręcili głowami niemal jak widzowie na tenisowym meczu.

Żurba podszedł do stołu i, wyjąwszy portfel, zaczął wyjmować z niego asygnaty, rozkładać je na stole i wpatrywać się w nie, jakby to było słodkie, od dawna pożądane czytadło.

Profesor przybył jako jeden z ostatnich. Niemal się nie zmienił. Szlafrok zamienił na starutki garnitur, zużyty, taki domowy, w którym lubił pracować w swoim gabinecie.

Kora go zadziwiła.

— To się będzie nosiło za sto lat?

— A dlaczego pan pyta? — zmieszana się Kora. — Nieładne?

— Nie, co też pani! Każda epoka ma swoje gusta. Tylko jak na mnie... nieco za odważne.

— Nie mogę wpłynąć na modę.

— Bo i nie chcesz! — odezwał się znad stołu Żurba nie podnosząc głowy od swoich papierków.

Wszystko zauważał i nie wszystko aprobował.

Jako ostatnia przysła księżniczka Gotów. Pokrewski oczekiwał jej, wpatrywał się w drzwi, nawet przysuwał nieznacznie do nich, ale coś go powstrzymywało od pójścia po nią.

Jej pojawienie się zaanonsował zdziwiony okrzyk pielęgniarki — ochrona zobaczyła księżniczkę idącą po korytarzu.

Weszła powoli — widocznie chciała, by wszyscy dobrze się jej przyjrzeni.

Musiała wycierpieć więcej niż inni — mała brudna Cyganka, nie rozumiejąca ani słowa, a mająca tylko jednego obrońcę — okaleczonego, zeszpeconego straszliwą blizną, nerwowego i chudego białogwardzistę, o którym księżniczka nie wiedziała, że jest białogwardzistą — nie znała go wcale i nie rozumiała zbytnio, ale ten się o nią troszczył i nawet bronił.

Księżniczka zatrzymała się w progu i znieruchomiła, jakby nie mając odwagi wejść, gdzie obok pustego podrapanego drewnianego stołu stali zgrupowani wszyscy przybysze, wszyscy od niej wyżsi, hałaśliwi, rozmowni, wszyscy złączeni znajomością języka — nieszczęśnicy, skradzeni swoim czasem, ale nie tak samotni, jak ta smagła dziewczyna.

Pewnie podświadomie, zbytnio przecież była oddalona od reszty i od myśli o zemście — ale uczesała swoje twarde, czarne, wcześniej zwinięte w niedbały węzeł włosy, rozpuściła je na ramionach spod złotego diademu, z boku którego zwisały ciężkie, wymyślne, duże na dłoń, wisiory. Teraz jej twarz, jakby w złotym obramowaniu, wchłaniała część światła emitowanego przez złoto i drogocenne kamienie. Jakimś złotym pudrem czy farbą księżniczka Parra musnęła powieki i nawet rzęsy, srebrem wargi i stała się istotą sztuczną, dziełem jubilera. Oblicze księżniczki jakby wynurzało się ze złotej czary, z kołnierza, przechodzącego następnie w wąską w ramionach, rozszerzającą się niczym stożek suknię ze złotogłowiu, w kolorze bzu, bogato połyskującą wschodnim roślinnym wzorem. Palce księżniczki zdobiły liczne pierścienie, ale przenikliwe spojrzenie Kory natychmiast wychwyciło, że żałoby spod paznokci nie zdążyła usunąć. Albo nie domyśliła się, że powinna.

— Księżniczko... wasza wysokość — bąknął Pokrewski robiąc krok w kierunku księżniczki i stukając obcasami.

Biedak nie wiedział, jakiego użyć tonu, do jakiej płaszczyzny sprowadzić teraz stosunki między sobą i swoją nieszczęsną ukochaną.

Księżniczka odwróciła się do Kory, jakby ją pytała, co czynić dalej, kiedy ucichnie gwar zachwyconych i zadziwionych głosów. Kora zrozumiała, że Parra oczekiwała innej reakcji, innego zachowania ludzi. Dopiero co wszyscy byli nie ludźmi, a niebieskimi szlafrokami, to znaczy niewolnikami i bydłem. A nagle okazało się, że każdy ma swoje odzienie, swoje zachowanie, własne maniery. Księżniczka wyglądała na biedną dziewczuszkę, której kupiono prawdziwą sukienkę i prawdziwe pantofelki, a ta, włożywszy nowe rzeczy, wybiegła na podwórko, gdzie okazało się, że wszyscy dostali nowe buty — może nie tak wspaniałe, ale zupełnie nowe.

— Niech to licho — powiedział rotmistrz.

— Chyba ją uprowadzę — powiedział inżynier, i nie wiadomo było czy to żart, czy zamiar szczyry.

A Żurba oderwał się od swoich papierków i powiedział:

— Czego tylko tu nie ma. Diabelskie sztuczki!

Nie był zadowolony z widoku. To nie mieściło się w jego światopoglądzie.

W końcu księżniczka zdecydowała, że sytuacja nie zmieniła się aż tak, by zrezygnować z towarzystwa Pokrewskiego. I zrobiła krok w jego kierunku, a to jakby wyłączyło uwagę obecnych. Wszyscy powrócili do swoich spraw. Ludzie zaczęli przygotowywać się do powrotu, jakby znajdowali się w pokoju hotelowym — tyle że nikt nie nabył żadnych pamiątek.



Skrajem ucha Kora usłyszała, jak Ninela, podchodząc do Żurby, mówi:

— To jak, Własie Fotjewiczu, wracamy?

— Wracamy, jeśli to nie żarty — odparł zapytany.

— A co robisz teraz?

— To, co widzisz — odpowiedział policmajster. — Piszę sprawozdanie. Krótkie takie. Tak rozumiem, że burmistrz, pan Dumbadze, poprosi potem o pełne sprawozdanie.

Ninela przycupnęła na krześle obok Kałnina.

— Jakby co, potwierdzisz, towarzyszu Kałnin, żeśmy miana komunisty nie zhańbili, co?

Ninela zamilkła, jakby z góry oceniając możliwą odpowiedź.

— Bo co? — uśmiechnął się Eduard Oskarowicz.

— Masz powody do niepokoju?

— Jak mam to rozumieć?

— Zdarzają się tacy ludzie, którzy moralnie upadli w oczach towarzyszy, albo oddawali się cudzoziemcowi. Zdarza się...

— Co też wy, Eduardzie Oskarowiczu! — wystraszyła się Ninela. — Kto niby upadł moralnie?

— Nie ja wszcząłem tę rozmowę.

— Posłuchajcie, Kałnin — zmieniła taktykę Ninela — czy warto byśmy się wrogo do siebie odnosili, skoro może to tylko ucieszyć naszych wrogów?

I rzuciła wyraziste spojrzenie w stronę księżniczki i jej białogwardzisty — widocznych jak na dłoni wrogów klasowych.

— Będę u siebie — powiedział cicho profesor do Kory.

— Pani mnie obudzi, czy ja panią?

— Cała nadzieja w panu — powiedziała Kora. — Ja jestem wielkim śpiochem.

— A nie odczuwa pani niepokoju?

— Odczuwam, ale czy z tego powodu można stracić sen?

Kałnin roześmiał się.

— A wie pani z czego się cieszę? — zapytał.

— Bo wkrótce będzie pan w domu!

— Ależ nie, nie to! Ja akurat najmniej śpieszę się do domu.

I dopiero teraz Kora uświadomiła sobie, że nigdy nawet nie zapytała: jak żył profesor, gdzie był wcześniej, czy ma rodzinę, dzieci? Niedobrze — niby tak długo już się znają... I nagle złapała się na logicznym błędzie: przecież zna profesora dopiero od trzech dni. I kontaktowała się z nim przez te dni nie tak znowu często.

— W marynarce znalazłem, zapasowe okulary. Kiedy tu przechodziłem, wziąłem ze sobą okulary.

W tym momencie Kora nie zwróciła uwagi na dziwne słowa profesora, ale kiedy wróciła już do swojego pokoju, kiedy czekała aż wszyscy zasną i będzie mogła przemknąć się do Miszy Hofmana, zamyśliła się, przypomniawszy sobie słowa Eduarda Oskarowicza. Co to mogło znaczyć? Jakby z góry wiedział, dokąd się przeniesie i że będą mu potrzebne zapasowe okulary... I obawiał się, że tu nie znajdzie dla siebie innych szkieł. Dziwne... W pięćdziesiątym roku nie mógł przepowiedzieć własnego przejścia tu — czy nawet zrozumieć istoty świata paralelnego. Nie mógł i już. W tamtych czasach, jak w ciągu kolejnych dziesięcioleci, pojęcie to istniało tylko w umysłach fantastów i satyryków.

Nawet to i lepiej, że deszcz padał — nie tak mocny — przez to mrok zgęstniał jeszcze bardziej i wartownicy na wieży przy bramie nic nie widzieli. No i na dodatek barak zasłaniał im widok.

Było już po północy — w baraku wszyscy spali. Tylko przechodząc obok pokoju Pokrewskiego usłyszała Kora głośny szybki szept i jęk rozkoszy. Musieli więc być tam razem. No i chwala Bogu — kto wie czy dożyjemy do jutrzejszego dnia?

Dlaczego ta myśl zakiełkowała w umyśle Kory? Wcześniej tak nie myślała.

Reflektor poruszył się — może wartownik na wieży zaczął coś podejrzewać albo usłyszał chłupot wody, kiedy Kora wdepnęła w kałużę. Przykucnęła, pewnie trzeba było skoczyć w cień ściany baraku, ale Kora tylko przycupnęła. Promień reflektora szczęśliwie ją ominął.

Potem, przygięta, dotarła do budynku administracyjnego. Ale drzwi, ujawnione przez Ninełę, teraz były zamknięte — widocznie tej nocy nie przewidywano pojawienia się dochodzących kochanek. Kora wpadła w rozpacz: jeśli wszystkie okna na parterze są pozamykane, to nie ma żadnych szans na wejście do budynku. Szła wzdłuż ściany i usiłowała otworzyć każde okno po kolei. Raz musiała znowu kucnąć i przywrzeć do ściany, gdy światło reflektora musnęło jej sukienkę, ale osłonił ją krzew róż.

Nie wiadomo już które — dziesiąte czy dwudzieste okno, kiedy już straciła nadzieję, a kierował nią tylko zawzięty upór, nagle poddało się. Co prawda, rozpaczliwie zaskrzypiało.

Kora weszła przez balkon.

Drzwi do pokoju, a było tu tylko biurko i metalowe szafy wzdłuż ścian, były zamknięte na zasuwę. Kora wyszła na korytarz i sprawdziła numer pokoju — 16. Jak nie zapamięta, będzie się tu miotać do białego świtu.

Ale w pokoju, w którym Kora ostatnio widziała Miszę, Hofmana nie było. Pomieszczenie było puste.

Kora zaczęła sprawdzać pokój po pokoju trzypiętrowego budynku. Przemierzała puste, głuche korytarze, skąpo oświetlone mętnymi lampami spod sufitu. Budynek, nie taki znowu duży z zewnątrz, podczas nocnej eskapady rozrósł się i stał się budowlą niemal bez końca. Niektóre pokoje były pozamykane, i Kora stała pod nimi, albo wołając Miszę szeptem, albo wsłuchując się w ludzkie oddechy. I szła dalej, a z każdym krokiem potęgowała się jej rozpacz, ponieważ coraz mocniejszą stawała się pewność, że klucz do tajemnicy, do tego, co się ma jutro stać, miał jej przekazać Misza. A on posiadał wiedzę o sekrecie, stając się jednocześnie ofiarą jakiegoś strasznego knowania.

Ale Misza mógł być stąd wywieziony — przecież nie pilnowała wyjścia z budynku. Mało kto mógł tu być przez cały wieczór i kawałek nocy.

Ze dwa razy Kora musiała zamierać i nawet ukrywać się.

Na piętrze był posterunek — tu widocznie mieściły się pokoje dowództwa. Kora omal nie wpadła na wartownika, na szczęście ten chrapał przytulony do ściany i nie obudził się, gdy podeszła. Kora postanowiła, że ten odcinek korytarza zostawi sobie na koniec, gdyby gdzie indziej nie znalazła

Miszy — tu, w korytarzu dowódczym raczej nie mogło być pokoju Miszy. Tu wszystkie pomieszczenia miały drzwi obite skórą, z przytwierdzonymi czarnymi tabliczkami.

Przy drugim spotkaniu musiała ukryć się w toalecie przed dwoma, wykonującymi obchód, pielęgniarkami.

Kora nie od razu znalazła schody do piwnicy. Drzwi do niej prowadzące były małe i dziewczyna dwukrotnie mijała je, zanim w końcu dostrzegła w panującym tu koszarnianym półmroku.

Kora trąciła nie rzucające się w oczy, pomalowane na bury kolor drzwi i po betonowych stopniach zeszła na dół, gdzie panowała wilgoć, ale było więcej światła. Pachniało tu środkami dezynfekującymi i jakimiś lekarstwami. I Kora od razu zrozumiała, że jest na właściwym tropie.

Po kilku krokach po piwnicznym korytarzu zatrzymała się przed drzwiami, zamkniętymi na szczęście od zewnątrz. Można było iść dalej, ale nie można było wyjść. Za drzwiami korytarz był biały, ścianki wyłożone białymi kafelkami.

Potem natknęła się na jeszcze jedne drzwi — właściwie nie drzwi, a przegrodę z nietłukącego szkła, na której rytmicznie pojawiał się napis: „Niebezpieczeństwo! Śmiertelne niebezpieczeństwo! Ani kroku dalej!”

Misza tu jest, zrozumiała Kora. Nie podporządkowała się napisowi, przekręciła koło sterowe, którym zamykane były wewnętrzne drzwi. Natychmiast odezwał się alarm, w piwnicy rozległ się dzwonek, zapaliło się czerwone światło. Kora szybko weszła do środka — jeśli ją tu zaraz znajdą, to nie będzie miała gdzie się ukryć. Przed nią były jeszcze jedne szklane drzwi, niemal całe zamazane białą farbą, tylko na poziomie oczu zostawiono przezroczysty kawałeczek — przypominało to szczelinę w archaicznym czołgu.

Kora zatrzymała się przed tymi drzwiami. Za nimi widać było jasno oświetlony pokój bez okien, ślepy koniec piwnicznego korytarza. Stała tam prycza, zasłana szarym kocem. Misza leżał na kocu, odwrócony do Kory plecami.

Zastukała w przegrodę. Misza nie poruszał się, jego bezruch był przerażający.

I nagle Kora zobaczyła, że na podłodze tuż przy drzwiach leży kartka papieru w linie, oderwana z jakiegoś formularza albo wyrwana z zeszytu. Na niej widniał nierówny, zlewający się, wykonany burą farbą, której plamy zostały też na podłodze, napis: „ZARAŻONY BADALI WIRUSA ZAGRAŻA WAM ZIEMI”.

Na więcej Hofmanowi nie starczyło sił. Kora zrozumiała, że napisał to własną krwią. Potem mógł już tylko wleźć na pryczę, podkurczyć nogi i odwrócić się do ściany.

I wtedy Kora zrozumiała, że Misza jest nieprzytomny, a najprawdopodobniej — martwy, i że nie uda jej się poruszyć go krzykiem.

Ale nie mogła też odejść. Misza jest w niebezpieczeństwie. Jak może zmusić wartowników, by pomogli mu, dali, na przykład, jakieś lekarstwo... O jakim wirusie ostrzegął Misza? Trzeba koniecznie dotrzeć do telefonu, zawołać pułkownika, wezwać ich dowództwo — muszą przecież ratować człowieka.

Potem Kora pytała komisarza Milodara czy Misza był telepatą. Milodar wykręcał się od odpowiedzi, twierdząc, że telepatia w ogóle nie istnieje, że to wymysł kuglarzy, ale doktor Vanessa, podczas jednej z wizyt u Kory, powiedziała jej, że telepatia, jako atawizm, jako system łączności, pomagający ludziom pierwotnym w przeżyciu, z całą pewnością istniała. I że u niektórych ludzi te zdolności mogą budzić się w chwili szczególnego zagrożenia. Widocznie to właśnie stało się z Miszą Hofmanem, który, umierając w szklanym podziemnym boksie, nie tylko przeczuł, że Kora przyjdzie i przeczyta jego epistołę, ale i to, co było dlań najgorszym: nie będzie wiedziała, jakiego trudu i bólu musiał doświadczyć, by napisać tę notkę, zawierającą straszliwy domysł, tyczący jego własnej

śmierci i śmierci wszystkich ludzi...

W chwili, kiedy Kora rzuciła się do odwrotu, chcąc budzić wszystkich, alarmować strażników, wzywać pomocy, nie myślała o tym, że swoimi działaniami może zniweczyć ostatni heroiczny czyn Hofmana. I, wyczuwając takie niebezpieczeństwo, Hofman zdołał tylko posłać za nią swoją ostatnią myśl:

STÓJ! NIE MÓW NICZEGO MORDERCOM! TO ŚMIERĆ DLA WSZYSTKICH! POWIADOM... KOMISARZA!

Może słowa nie były dokładnie te, albo niezupełnie te właśnie, ale ich sens unieruchomił Korę.

Misza zakazał wzywania pomocy, i to był rozkaz. Kora nie mogła się mu nie podporządkować — tak wielka była moc sygnału wysłanego przez umysł Miszy Hofmana, który w tym momencie zmarł.

Kora patrzyła na niego przyciskając pięść do ust.

— Wybacz, Misza — powiedziała w końcu. Zrozumiała, że Misza nie żyje i że teraz wszystko zależy od niej, od tego, czy uda jej się uciec z piwnicy i budynku nie zwracając na siebie uwagi, tak, by pułkownik nie domyślił się, co zobaczyła. Najważniejsze to dotrzeć do profesora Kałnina, on jej pomoże...

Na szczęście dźwięk alarmu, rozbrzmiewający w piwnicy, nie zaniepokoił strażników. A może po prostu nie chcieli schodzić na dół, może wiedzieli o wirusie?

Kora na palcach wróciła na parter.

Korytarz, ledwo oświetlony słabiutkimi żarówkami, ginął w półmroku. Do otwartego okna było już niedaleko. Ale akurat wtedy, gdy zbliżała się do drzwi pokoju z otwartym oknem, na schodach rozległy się kroki ludzi w ciężkich butach. Kora w ostatniej chwili zdążyła wpaść do pokoju i bezszelestnie przymknąć za sobą drzwi. Kroki rozbrzmiały obok. Dwaj ludzie rozmawiali cicho, nie chcąc budzić innych. Pewnie pielęgniarki.

Kora wyskoczyła przez okno. Deszcz ustał, i już nawet pierwsze, najodważniejsze cykady, krótkimi frazami próbowały, czy nie przeziębily swych drogocennych instrumentów muzycznych. Trawa była mokra.

Żeby przesadnie nie ryzykować Kora ukryła się za krzewem, rosnącym przy budynku, rozejrzała się. Reflektor świecił w stronę bramy, nikt na Korę nie czekał.

Poszła wzdłuż budynku tak długo, aż zrównała się z rogiem baraku. Teraz ten budynek osłaniał ją, i można było śmiało biec do swojego pokoiku. Ale zamiast tego Kora zatrzymała się i dobrą minutę po prostu czekała, zmagając się ze straszliwym zmęczeniem — nogi po prostu odmówiły wykonania choćby jednego kroku.

Nagle zupełnie obok rozległ się głośny szept.

Kobięcy głos powiedział:

— Może byś tak ręce trzymał przy sobie, Własie Fotjewiczu. Jak nie będziesz mnie szanował to zobaczysz — wrócimy, a ja od razu przedsięwzięmę kroki. Za mną stoi taka siła, że padniesz!

— Nie gadaj bzdur, kruszynko moja. Kto ich tu wie, tych miejscowych. Może akurat u mnie wylądujemy, zastanów się. Wtedy ja też będę mógł ci surowość okazać. Ja tam waszych rewolucjonistów, socjalistów, nie cierpię okrutnie. Szubienica za wami płacze.

— Ostrożnie, Własie, oj powiadam ci — ostrożnie! Nie wiesz ilu my takich, jak ty, na tamten świat żeśmy odprowadzili!

— A za co niby?

— A za to, że swoje obowiązki zbyt gorliwie wykonywali.

— No i durniście! — rozżłościł się policmajster. — Jesteśmy dla was najważniejszymi specjalistami. W każdej sprawie najważniejsi są specjaliści. Bo to ponabieracie dzieci kucharek, a

ci wam całe państwo rozkradną.

— Własie!

— Co Własie? Już pięćdziesiąt lat, jak się tak zwę.

— Gdzie mnie, Własie, łaskoczesz?!

— A ja nie ciebie łaskoczę, a przyszłą siłę policyjną, zmianę warty w pionie ochrony porządku i prawa.

— Nie żartuj sobie!.. Aj, łaskocze!

— To dopiero początek, będzie lepiej!

— Nie wolno, jesteśmy z punktu widzenia klasowego elementami sobie wrogimi.

— Będiesz się sprzeciwiała, to napiszę do twoich przełożonych, że w rozpuście byłaś z zagranicznym pułkownikiem. Twoje szefostwo, jak rozumiem, nie znosi takich rzeczy.

— Ciszej! Milcz! Dobra, dam ci, dam... Tylko nie tu, pod krzakiem. Przecież nie jesteśmy jakimiś studentami gołymi — jesteśmy pracownikami organów sprawiedliwości.

— No właśnie! Chodźmy tedy do mnie, pogadamy, podyskutujemy.

Dwa ciemne cienie, połączone objęciami w jedno, podniosły się spod krzaka i udając czworonoga udały się, całując w biegu, do baraku.

Kora ruszyła za nimi.

Wszystko się poplątało, i ludzie, i wydarzenia...

Profesor śpi teraz. Nie warto mu przeszkadzać.

Kora rozumiała, że raczej nie uda się uratować Miszy czy pomóc mu. Ale nie można też było siedzieć ze złożonymi rękami. I chociaż było jeszcze za wcześnie na spacer po zasnutych mrokiem górach, zdecydowała się i zapukała do drzwi profesora.

Na szczęście Kałnin nie zamierzał spać.

Siedział na pryczy ze skrzyżowanymi chudymi nogami. Błysk jego okularów powitał Korę, profesor powiedział:

— Siadaj. Byłaś u Hofmana?

— Jak się pan domyślił?

— Zglądałem do ciebie, ale nie zastałem. Wyszło mi, że poszłaś do Hofmana. Co u niego?

— Bardzo się boję — przyznała Kora.

I opowiedziała, co widziała. Przekazała treść listu Miszy.

— Jak w gotyckiej powieści — powiedział profesor. — A tak mało było szans, że ty pierwsza zobaczysz list.

— Kazał mi uciekać. Proszę nie myśleć, że się wystraszyłam! Chciałam wezwać pomoc, żeby podali mi lekarstwa albo coś zrobili! Nie wyobraża pan sobie, jakie to uczucie — widzieć coś takiego i nie móc nic zrobić. Ale on mi zabronił. Tu, w głowie, bez słów...

— Wierzę ci, dziecko — powiedział Eduard Oskarowicz. — Jeśli postąpiłabyś inaczej, znalazłabyś się w tej samej piwnicy, co Misza. Hofman i tak byłby martwy i tajemnica zostałaby zachowana. Teraz natomiast mamy szansę. Bo wcześniej nie mieliśmy żadnej...

— Musimy iść!

— Dokąd?

— Powiedział pan, że możemy porozmawiać z Garbujem. Że on może przyjdzie do lasu...

— Nie zaprzeczam swoim słowom, Koro. Pójdziemy do lasu mając nadzieję, że odnajdziemy Garbuję, zgoda. Ale nie teraz. Nawet nie mamy latarki.

— Może jak pójdziemy wolno...

Zamilkła — sama zrozumiała, że mówi głupio i naiwnie. Co można o tej porze zdziałać w

ciemnym i mokrym lesie? Kogo tam będą szukać?

— Do willi „Raduga” nie uda nam się dotrzeć — powiedział profesor. — A Garbuj nie będzie całą noc stał i czekał na nas. W ogóle nie mam pojęcia, gdzie jest i czy żyje. Tak samo nie mamy sposobu na zgłębienie tajemnicy Hofmana... W każdym wypadku musimy czekać na świt.

— Czy tu nie ma telefonów?

— Jest łączność telegraficzna. W niektórych elementach różnimy się między sobą.

— No to idę do siebie? — Korą wstrząsnął dreszcz.

— Jeśli boisz się być sama w pokoju, zostań tutaj. Śpij na pryczy, ja się urządzę na podłodze.

— Dziękuję — powiedziała Kora. — Ale pójdę jednak do siebie... — Milczała chwilę. —

Ciągle mi się wydaje, że mogłam coś dla Miszy zrobić.

— Zrobimy dla niego znaczenie więcej, jeśli zrozumiemy jego ostrzeżenie i skorzystamy z niego.

— Dobrze. To idę do siebie.

— Idź. I postaraj się zasnąć. Jutro czeka nas ciężki dzień.

Kałnin zastukał do drzwi pokoju Kory o piątej rano. Jeszcze nawet nie zaczęło świtać — dopiero błękitniało niebo. Zastukał kostkami palców, a Kora obudziła się natychmiast, chociaż spała tylko dwie godziny. Pamiętała, że bała się zasnąć, to znaczy — bała się, że będą jej się śniły koszmary.

Profesor miał na sobie marynarkę, zapiętą na wszystkie guziki, szyję owinał ręcznikiem. Widząc pytanie w oczach Kory powiedział:

— Może nieelegancko, ale przynajmniej gardło nie będzie bolało.

Kiedy zaś wyszli z baraku, dodał szeptem:

— Pewnie śmiesz panią, że myślę o gardle w takiej chwili. Ale nie chciałbym się rozchorować wtedy, kiedy zaczynają się przygody.

Mówił to całkowicie poważnie, Kora jednak nie była pewna — mówi to serio i oczekuje przygód, czy dodaje jej otuchy.

Nie padało, ale przy ziemi unosiła się mgła. W gęstym jeszcze mroku wydawała się zwarta jak jasnoszara wata, i, zrobiwszy kilka kroków przed siebie. Kora weszła w nią do pasa.

— To nic — szepnęła bardziej, żeby przekonać siebie niż Eduarda Oskarowicza — wkrótce świt, a teraz nawet lepiej, że jest mgła, łatwiej będzie wymknąć się z obozu.

— O ile nie połamiemy nóg — racjonalnie zauważył profesor Kałnin.

Nie połamali nóg i nawet łatwo odnaleźli dziurę w siatce. A gdy tylko zaczęli wspinać się po zboczu, od razu wydostali się z morza mgły. Zaczęło świtać. Jakby witając zwycięstwo profesora i Kory nad siłami przyrody, wyrwały się ze snu i zaczęły śpiewać ptaki, obudzony chyba ich śpiewem świeży wiaterek przyniósł lekki szelest liści; co prawda miało to i swoje złe strony: z drzew spadały krople wody i niemal wszystkie celowały za kołnierz.

Kiedy zbliżyli się do rozwidlenia było już całkiem jasno, przedmioty, dotąd nakreślone za pomocą różnych odcieni szarości, stały się różnokolorowe, nawet niebo zbłękitniało.

Wybrali wąską ścieżkę, prowadzącą do „Radugi”, ale nie zaczęli nawet schodzić do willi, ponieważ czujna Kora nagle znieruchomiała: w poranne odgłosy lasu wdarł się obcy dźwięk.

Kora uniosła rękę, profesor posłusznie znieruchomiał.

Starając się nie stawać na gałązki, Kora weszła w las i wyjrzała na otwierającą się dosłownie po kilku krokach polanę, a tam, pod sklepieniem potężnego dębu, zwinięty w kłębek, spał mężczyzna, przykryty płaszczem, i chrapał tak donośnie, że płaszcz ten przy każdym oddechu wydymał się, jak nadmuchiwany balon.

— O Boże — odezwał się ze zgrozą profesor. — Ten stary dureń na pewno się przeziębi.

Przeciął polanę, a Kora nie odważyła się go powstrzymać.

Eduard Oskarowicz pochylił się nad śpiącym, potrząsnął go za ramię.

Ten obudził się natychmiast, jakby wcale nie spał, a czekał tylko na dotknięcie. Usiadł. Kora poznała Garbuję.

Szef projektu okrył się płaszczem, niczym muzułmanka chustą, a jego okrągła różowa dziecienna

twarz wyglądała odpowiednio — na kobiecą.

Eduard Oskarowicz nie wyglądał na zdziwionego z powodu tego spotkania. Poczekał aż Garbuj podniesie się i zatrząsie od zgromadzonego w ciele zimna, przeczekał serię mrugnięć i przecieranie oczu, i dopiero potem zapytał:

— Długo na nas czekasz?

— Uciekłem — oświadczył Garbuj. — Pewnie zaraz się połapią i zaczną mnie szukać. Może nawet z psami. A ty, jak zwykle, gdzieś sobie wypoczywasz.

— Czekałem na ciebie wieczorem. Kora może to potwierdzić.

— Niepotrzebnie wprowadzasz w to obce osoby — zmarszczył czoło rozpieszczony chłopczyk.

— To nie podlega dyskusji. Kora bardziej się przyda niż ja. Zwłaszcza teraz.

— Problem pożytku jest aktualnie bardziej abstrakcyjny. Ty, na przykład, usiłujesz udowodnić, że jesteś niepotrzebny w najbardziej nieodpowiedniej chwili.

— Nie sprzecajmy się teraz o to — zaproponował Eduard Oskarowicz, ale, jak wyczuła Kora, nie z powodu spolegliwego charakteru, tylko dlatego, że chwila była naprawdę krytyczna.

— Nie zamierzam się spierać — odpowiedział Garbuj.

Stał na szeroko rozstawionych pulchnych krótkich nogach, malowniczo owinięty płaszczem, na wzór późnych rzymskich imperatorów, niepewnych, czy poprą ich zbuntowane legiony. Wilgotne pierścionki rudawych włosów otaczały jego różową łysinkę niczym nimb, a ta łysinka, choć to może i dziwne, wyglądała jakoś rozczulająco i dziecinnie.

— Czego się boisz? — zapytał Eduard Oskarowicz.

— Sądzę, że wojskowi postanowili się mnie pozbyć — odpowiedział Garbuj. — Do dziś trzymałem się na powierzchni podtrzymywany tylko przez spryt i siłę prezydenta. Byłem mu potrzebny do utrzymania władzy, i byłem zagrożeniem dla kompleksu militarnego. Teraz, kiedy zamordowali prezydenta...

— Zamordowali?

— Sprokurowali wypadek lotniczy. Wiem to dobrze, miałem rozmowę z jego adiutantem. Uprzedził mnie, że będę następny.

— Chcieli cię zabić?

Gruby Garbuj podskakiwał na jednej nodze, żeby się trochę rozgrzać.

— Przecież boją się mnie. Ale to nie znaczy, że nie zabijają. Ale nijak nie potrafili uzgodnić jak to uczynić, żeby nie połączono śmierci prezydenta z moją. Póki się zastanawiali — uciekłem. Dzisiejszej nocy.

Kora zrobiła kilka kroków w kierunku morza, połyskującego przez gałęzie drzew. Na dole widać było willę „Raduga”. Stały przy niej dwa samochody wojskowe, siedzieli w nich żołnierze, z tej odległości przypominali ołowianych żołnierzyków.

— Już się zbierają do czynu — powiedziała Kora.

Profesor zbliżył się do niej.

— Wcześniej się zbudzili. Pewnie zauważyli, że zwiął. Mają psy?

— Och, nie wiem — odpowiedział Garbuj.

— Byłeś pilnowany?

— Nie, sądzą, że niczego nie podejrzewam.

— Aha, znaczy to, że chcą cię zabić, to tylko twoje przypuszczenie?

— Pewnie, a ci żołnierze to też mój wymysł?

— Może po prostu są zaniepokojeni, że zaginął szef projektu?

— Nie pleć bzdur, Edik — machnął ręką Garbuj.



— Jestem całkowicie poważny. Jestem pewien na dwieście procent, że w tej chwili nic ci nie grozi.

— Skąd ta pewność?

Samochody jeden za drugim ruszyły w stronę boiska. Nad morzem, na wschodzie niebo zaczęło złocić się na powitanie słońca.

— Wiesz, że wojskowi zamierzają natychmiast, albo w najbliższym czasie wysłać nas wszystkich, na Ziemię?

— Bzdura! Taka sama jak ich pomysł, żeby wysłać tam oddział komandosów po łupy. To są zabawy dla dzieci.

— No to posłuchaj, co ci opowie Kora. Dwukrotnie w ciągu ostatniej doby rozmawiała z Hofmanem. Wiesz, kto to jest.

— Znam wszystkich. I co takiego przekazał pani, moja miła? — zapytał Garbuj.

Dziwne, ale nie dawało się odgadnąć jego wieku. Policzki baniaste, na tłustym obliczu ani jednej zmarszczki, a jednocześnie wydawał się być starszym człowiekiem.

— Hofman nie żyje — powiedziała Kora, — Dlatego tak się śpieszyliśmy, żeby się z panem zobaczyć.

— Umarł? Co się z nim stało? Dlaczego ja nic o tym nie wiem? — Chłopczyk rozzłościł się, na chwilę zapomniał, że stoją przed nim nie podwładni mu medycy, a przybysze z równoległego świata.

— Opowiedz mu wszystko — poprosił Korę profesor.

— Wszystko?

— Wszystko i to szczegółowo, i nie marnuj czasu...

Kora odnotowała w pamięci, że profesor przeszedł z nią na „ty”, i stało się to jakoś zwyczajnie i naturalnie. Widząc, że Kora jeszcze się waha, poirytowany Kałnin dodał:

— Masz innych współników? Może zbawców i ratowników? Czy też wolisz zwrócić się do pułkownika Raj–Raji?

Wtedy Kora opowiedziała Garbujowi o swoich dwu wizytach u Miszy Hofmana, o notatce sporządzonej krwią. Kątem oka obserwowała willę „Raduga” i przerwała opowieść widząc, że wychodzą z niej dwaj medycy w fartuchach, w towarzystwie oficerów. Oficerowie nieśli za nimi walizeczki. Samochód, do którego wsiedli, podobnie jak dwa pierwsze jeepy, wziął kurs na obóz.

— Teraz się połapią: a gdzie jest nasz ukochany szef projektu? — rzekł Kałnin, jak się wydało Korze, z lekką drwiną.

— Milcz!

— Bo na razie jeszcze troszczą się o twój sen — przecież bez ciebie operacja powrotu uciekinierów do ojczyzny może się nie udać. Czy może przygotowałeś swoich następców?

— Długo bym jeszcze musiał takich szkolić — powiedział Garbuj i odwrócił się do Kory. — Proszę opowiadać dalej. Znaczą, uznała pani, że Hofman jest martwy...

Dokończenie opowieści zajęło Korze niecałe pięć minut. Dwukrotnie musiała przekazać ostatnie myśli Hofmana, te, które wychwyciła bez dźwięku.

Słońce już zawisło nad morzem i świeciło prosto w oczy. Ptaki rozświergotały się, jak na mityngu. Kora pomyślała, że Misza ciągle pewnie leży tam, chociaż, być może, ci medycy, co to pojechali do obozu, teraz właśnie krzątają się wokół niego, usiłując wyjaśnić przyczynę śmierci.

— Nie rozumiem jednego — powiedział Garbuj. Ale nie zdołał dokończyć swojej myśli, ponieważ przerwał mu Eduard Oskarowicz:

— Nie rozumiesz po co otruli Hofmana?!

— Właśnie, zupełnie nie wiem dlaczego?

— A ja widzę dwa powody — powiedział Eduard Oskarowicz. — Pierwszy jest prosty, sam się powinieneś domyślić: chcieli sprawdzić, czy reakcja ludzkiego organizmu, mam na myśli ziemski organizm, nie różni się od reakcji na pewnego wirusa aborygena.

— Nie było mowy o żadnych śmiertelnych wirusach — powiedział gruby chłopiec. — A drugi powód?

— Drugi — to przekonanie, które wyszło od ciebie, mój aniele, że Misza Hofman jest przysłanym tu agentem z przyszłości.

— Bali się go?

— Uznali, że lepiej poświęcić jego, niż mnie czy Korę.

— Eksperyment się udał.

Garbuj odwrócił się do Kory.

— Kiedy, mówiła pani, zrobili mu zastrzyk?

— Wczoraj już był chory.

— Jakiś nader skuteczny wirus. My takiego raczej nie przerabialiśmy.

— Nie mogliście przerabiać — rzucił Kałnin. — W tym celu trzeba by było wybrać inny wydział.

— Czyli tylko jedna doba na okres inkubacji i druga na właściwą chorobę. Co tu gadać — niezłe.

Kora przenosiła wzrok z jednego uczonego na drugiego, ale nie do końca udawało się jej nadać za tokiem ich szybkiej wymiany myśli.

— Ale wojna bakteriologiczna zależy od tak wielu czynników, że ufać w jej skuteczność, w to, że zniszczy ludność całego globu... to głupota. Albo przynajmniej zdeorganizuje jej obronę, wierzyć w to raczej się nie powinno.

— Nie wiemy, jak żywotny jest ten wirus — powiedział Kałnin. — Nie wiemy jak szybko się rozprzestrzenia. Jeszcze nic nie wiemy, a tylko ty możesz się wszystkiego dowiedzieć.

— Czy poważnie proponujesz mi, żebym wrócił?

— Bo nawet tam, gdzie nie przejdzie piechota — rzucił zagadkowo Kałnin, ale Garbuj podchwycił i dokończył:

*Gdzie ugrzęźnie czołg przed atakiem,  
Nawet tam, gdzie pancerny stanie wóz,  
Tam przelecisz swym stalowym ptakiem!*

— Może pani dokończyć? — zapytał Garbuj Korę.

Kompletnie bez powodu poweselał, odmłodniał.

— Nie pamiętam takiego wiersza — powiedziała Kora.

— Nasz odległy potomek — powiedział Garbuj — nie pamięta takiego wiersza. I nawet nie wie, że to nie wiersz, a pieśń bojowa. Uważasz więc, Edik, że powinienem wrócić?

— Gdybyś nie nawarzył tego piwa — powiedział Kałnin — to nie byłoby i tego niebezpieczeństwa.

— Tylko mi nie mów, że mnie ostrzegałeś.

— Bo ostrzegałem cię — poważnie odparł Kałnin. — Ale ty nie mogłeś mnie posłuchać.

— Nie mogłem — zgodził się Garbuj. — Dobra, a nie rozwałą mnie od razu na podejściu?

— Wiesz, że nie rozwałą. Chociaż potem, kiedy wszystko się ułoży, rozwałą na pewno. Jak i twego ukochanego prezydenta.

— Lepiej byś pomilczał, Edik. Prezydent był oświeconym człowiekiem.

— Szczególnie jak się nie pamięta, po jakich trupach doszedł do władzy.

— To było dwadzieścia lat temu.

— Czyli co — przeterminowanie?

Kora przyglądała się dwóm leciwym chłopcom, wypominającym sobie jakieś stare dziecinne grzeszki.

— No to idę — powiedział Garbuj. — Opowiedz Korze wszystko, co wiesz. Albo nie opowiadaj. Jesteś wolnym ptakiem.

— Nie jestem ptakiem, jestem krukiem — powiedział Kałnin.

— Jesteś pewien, że mam wracać?

— Ja myślę o czymś innym. — Kałnin zdjął okulary, przecierał je chusteczką do nosa, mrużąc oczy jak krótkowidz patrzył na Garbuję. — Myślę nad tym, jakie powinno być właściwe zachowanie moje i Kory.

— Powinniście zachowywać się tak, by niszczyć ich plany i nie pozwolić im się tego domyślić.

— Dziękuję za celną radę — uśmiechnął się Eduard Oskarowicz.

— Wracajcie do domu i czekajcie na rozwój wydarzeń — ciągnął Garbuj. — A jak tylko będziecie mi do czegoś potrzebni — przybywajcie z odsieczą. Mam nadzieję, że rozumiecie — zostałem zupełnie sam.

— A co oni zamierzają teraz robić? — zapytał profesor.

— Niestety, wiem nie więcej niż ty. — Gruby chłopczyk zaczął się śpieszyć. — Posłuchaj, Edik, nie chcę, by oni się połapali, że jestem nieobecny. Już siódma.

— Słusznie — zgodził się Kałnin. — Ale jednak odpowiedz mi, jak oni zamierzają zrealizować swoją groźbę? Jak będą przesyłali wirusa na Ziemię?

Garbuj pochylił głowę, i spode łba wpatrywał się w Kałnina, jakby go zobaczył pierwszy raz w życiu.

— Więc nie wiesz?

— Nie wiem.

— I nie masz żadnych podejrzeń?

— Mam podejrzenia.

— Podziel się nimi z nami.

— A ty nie wiesz?

— Ja wiem na pewno.

— No to jak?

— Zadajmy to pytanie dziewczynie.

— Jakie pytanie? — zapytała Kora. Podczas tego pojedynku na słowa zgubiła istotę kłótni.

— W jaki sposób zamierzamy podbić Ziemię, skoro jesteśmy znacznie bardziej zacofanym światem niż Ziemia? I nie mamy do dyspozycji wiele czasu.

— Ale macie do dyspozycji wirusa — przypomniała Kora.

— No właśnie!

— Należy przenieść wirus na Ziemię.

— Jak?

— Wraz z nosicielem. Z jakimś chorym zwierzęciem...

— Albo?

— Albo z człowiekiem!

— Amen — powiedział Garbuj zwracając się do Kałnina. — Z ust dziecięcia płynie prawda. Jeśli mieliśmy jeszcze jakieś wątpliwości, to się rozwiały. Zараżamy wirusem naszych przybyszy...

— Dlatego wczoraj zwrócono nam nasze ubrania — wtrąciła się Kora.

— Zwrócili ubrania? — Garbuj nie wiedział o tym, nie zauważył tego.

— Tak, zwrócili ubrania i powiedzieli, że czas na nas.

— Do diabła, ale jak chcą was zarazić? — zastanawiał się głośno Garbuj.

— Istnieje wiele sposobów na to — odparł Kałnin. — Zależą one od tego, jaką drogą następuje zakażenie. Tak więc ty musisz przekonać ich, że niczego się nie domyślasz, i postaraj się dowiedzieć, jaką drogą przenosi się ten wirus.

— Tak — zgodził się Garbuj — masz rację, Ediku. Mogą go podać w jedzeniu, za pośrednictwem systemu wentylacyjnego...

— Ale tak, żeby sami się nie zarazili.

— Nie wyważajcie otwartych drzwi — powiedziała Kora.

— Misza Hofman dostał zastrzyk. Zaprowadzą nas jednego po drugim do piwnicy i zrobią zastrzyki. Potem będziemy mieli kilka godzin na okres inkubacji, i wtedy przerzucą nas do domu. I jeśli mają rację, to na Ziemi zapanuje chaos...

— No to idź już — powiedział Kałnin.

— A wy co będziecie robić? — zapytał Garbuj Edika.

— Wiem tylko jedno — powiedział profesor — że do obozu nie możemy na razie wracać.

— A co z pozostałymi? — zapytała Kora. — Chyba powinniśmy ich uprzedzić.

— Powiedz mi, o czym ich uprzedzisz? — zapytał Kałnin.

— Żeby uważali na zakażenie wirusem.

— Ale przecież dopóki Wiktor nie powie nam, jakie są drogi rozprzestrzeniania i przekazywania wirusa, nie wiemy, przed czym mamy ostrzegać. Czego mają nie robić? Nie jeść? Nie oddychać? Nie pozwalać robić sobie iniekcji? Jak się ratować?

— Czy to znaczy, że niech sobie giną, a my będziemy żyli?

— Jeśli wy będziecie żywi — Garbuj wyprzedził profesora, zabierającego się do dyskusji z Korą — to będziecie mogli pomóc pozostałym. Martwi zaś nie będziecie nikomu potrzebni, poza generałem Lejem, dla którego jesteście tylko źródłem śmiertelnej infekcji.

— No to co mamy robić? — zawołała Kora.

— Zostańcie tu i czekajcie na wiadomości ode mnie — powiedział Garbuj.

— Może niezupełnie tak — sprecyzował profesor Kałnin. — Przejdziemy się ze trzysta metrów w stronę, skąd widać obóz i baraki. Ważnie jest nie spuszczać obozu z oczu. Może zobaczymy coś ciekawego.

— Dobrze — zgodził się Garbuj.

— No to z Bogiem — pożegnał go Kałnin. — Wracaj możliwie szybko.

— Postaram się — rzucił Garbuj i odszedł szybkim krokiem.

Patrzyli za nim, jak znika, w zieleni.

— Jakbym oglądała film — powiedziała Kora, kiedy Garbuj zniknął im z oczu. — Czy Garbuj to jego prawdziwe nazwisko?

— Nie — powiedział Eduard Oskarowicz. — Nazywa się Garbuz. Ale kiedy stał się tu fiszą, jego nazwisko otrzymało miejscowe brzmienie.

— Pan się z nim uczył? — domyśliła się Kora.

— Chciałabyś wiedzieć, jak to się wszystko odbyło naprawdę? — zapytał profesor.

— Oczywiście!

— Mam nadzieję, że wystarczy nam czasu na opowieść w wersji skróconej — odpowiedział Kałnin. — Ale chodźmy na tę ścieżkę, skąd możemy obserwować obóz.

— No to proszę zaczynać, już teraz.

— Dobrze.

Ruszyli w kierunku obozu. Dzień już rozkwitł, wypełnił się śpiewem ptaków, wesołym wiatrem i ukośnie bijącymi przez gałęzie promieniami słońca. Nisko nad głowami przeleciał jeden śmigłowiec, za nim drugi.

— Znowu przyleciała generalicja? — zapytała Kora.

Ale profesor nic nie odpowiedział aż do chwili, kiedy ścieżka nie wyprowadziła ich na to miejsce zbrocza, skąd można było widzieć morze. Stąd zobaczyli, że na boisku obok willi „Raduga” stoi kilka śmigłowców, a żołnierze wyładowują worki i skrzynie. Nieco dalej inna grupa żołnierzy montowała coś przypominającego wielki moździerz. Żołnierzy było sporo, a od strony morza w kierunku willi zmierzał jeszcze oddział marynarzy w szarych mundurach z błękitnymi kołnierzami o falistych brzegach, w celu podkreślenia morskiego charakteru munduru.

— Oni tam zbierają całą armię — powiedziała Kora.

— Jesteś spostrzegawcza! — zauważył profesor. — Ale po co?

— Jestem niemal pewna, że chcą wysłać do nas tych ludzi. To by oznaczało, że nie obawiają się wirusa? Że mają szczepionkę?

— Może masz rację. Miejmy nadzieję, że Wiktor dowie się tego.

— Wiktor Garbuz?

— Wiktor Filipowicz Garbuz, rówieśnik Października.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że urodził się w 1917 roku. Czasami zadziwia mnie twoja niewiedza w tak zwyczajnych i oczywistych rzeczach.

— A powinnam wiedzieć, co to jest rówieśnik Października?

— Pewnie nie. Ale pamiętasz, co to Thermidor czy idy marcowe?

— W idy marcowe zabito Juliusza Cezara. Czytałam o tym w powieści Thorntona Wildera.

— To współczesna powieść?

— Nie, została napisana w pańskich czasach. Może nawet znał pan tego pisarza?

— Nie, nie sędzę. Obawiam się, że jeśli był to obywatel amerykański i niespecjalnie progresywny, to nie tłumaczono go na nasz język.

— Czyżby pisarze dzielili się na progresywnych i agresywnych?

— Nie pleć bzdur! — obruszył się profesor. — Pisarze mogą być postępowi albo reakcyjni!.. Zresztą, nie słuchaj mnie, bo wygląda że rozmawiamy w różnych językach.

— Czy to źle?

— Dla mnie wspaniale. Dla Garbuza — nie wiem. A dla Nineli pewnie tragedia. Tak więc wszyscy, albo niemal wszyscy, są gotowi wrócić do swoich czasów. A dla mnie czterdziesty dziewiąty rok to śmierć.

Wyszli na dróżkę prowadzącą do obozu, i profesor Kałnin zaczął opowiadać o tym, jak fizycy Kałnin i Garbuz znaleźli się w paralelnym świecie.

Wędrówka do obozu zajęła 10 minut, ale to wystarczyło, by profesor opowiedział Korze zadziwiającą historię.

Eduard Oskarowicz Kałnin i Wiktor Filipowicz Garbuz byli rówieśnikami Października. Obaj byli chłopcami z rodzin podejrzanych społecznie: Garbuz wywodził się z małoruskich mieszczan, a Kałnin miał za rodziców Łotyszów. Obaj chłopcy pasjonowali się matematyką i udało im się zdać na Uniwersytet Petersburski i ukończyć go pod koniec lat trzydziestych. Po czym rozstali się — Garbuz osiadł w Charkowie, na Ukrainie, Kałnin pracował zaś u słynnego profesora Joffe w Piterze. Obaj byli zadowoleni z życia, ponieważ mogli zajmować się ukochaną pracą, a ci, co mieli ich pilnować, nie mieli o ich pracy bladego pojęcia.

— Podczas wojny nie wysłano nas na front, byliśmy chronieni przed poborem — mówił profesor, a Kora miała przed oczami jakieś małe grupki żołnierzy, którzy wszędzie chodzili za nimi i chronili, ale przed kim i przed czym? Poza tym — wojna, co to tak naprawdę jest? I która — pierwsza, druga czy trzecia światowa? Z dat wynikałoby, że to ta, kiedy tyran Hitler zajął połowę Rosji a tyran Stalin przepędził go.

— Po wojnie spotkaliśmy się i zaprzyjaźniliśmy w skrzynce pocztowej, w Symferopolu. Tu zaczyna się właściwa opowieść, a skrzynka pocztowa oznacza, że pracowaliśmy w szczególnym, utajnionym wojskowym obiekcie, nie mającym nawet nazwy i adresu. Tylko numer skrzynki pocztowej.

— Dziękuję za wyjaśnienia — powiedziała Kora. — Boże, jakże to odległe od naszej epoki!

I jak dziwne było to uczucie — rozumienie życzeń i uczuć ludzi, których życie zakończyło się niby dawno temu, a tak naprawdę wpływało na los Kory i całej Ziemi.

— Najpierw idea świata równoległego była czystą zwariowaną matematyczną abstrakcją. Tak samo łatwo było udowodnić jego istnienie, jak i zanegować. Nasi koledzy sztychli z nas, ale dla nas z Garbuzem była to gra intelektualna. A z czasem ta gra podbudowana została coraz mocniejszymi podstawami matematycznymi. Zaczęliśmy wierzyć w teoretyczną możliwość świata równoległego i nawet zaczęliśmy pisać pracę o nim...

Wyszli na osłoniętą krzewami polankę, znajdującą się wysoko nad obozem. Stąd do płotu było ze sto metrów i jeszcze dwieście do baraku.

Przez listowie widać było, że przed budynkiem administracyjnym stoją dwa jeepy. Z baraku wyszedł inżynier Toj. Za nim maszerował lekarz w rzeźnickim fartuchu. Poranne powietrze było czyste i świeże — widoczność wspaniała. Inżynier skierował się do budynku administracyjnego, który w świetle poranka wcale nie wyglądał jakoś specjalnie złowieszczo, i trudno było sobie nawet wyobrazić, że gdzieś tam w piwnicy, leży martwy Misza Hofman.

— Zaczekajmy na Garbuję tutaj — zaproponowała Kora.

— Dobrze, stąd świetnie widać — zgodził się profesor. I kontynuował opowieść: — Witia pierwszy domyślił się, że za naszymi wzorami może kryć się fizyczna realność. Świat równoległy nie

tylko istnieje, ale styka się z Ziemią i nawet w pewnym sensie wpływa na jej pole grawitacyjne. A po roku pracy udało nam się nawet wyliczyć ten punkt styku światów. Usiłowaliśmy podzielić się naszym odkryciem z kolegami, ale nasze odkrycie okazało się tak wielkie, i tak zaskakujące nawet dla nas — bo idąc na wiewiórki natknęliśmy się na niedźwiedzia — że nikt nas serio nie potraktował. Nawet mówiono o nas, że jesteśmy nie z tego świata. Śmieszne, prawda?

— Czy ja wiem?

— Mówisz tak, bo boisz się pomylić? Że powiem coś nie śmiesznego, a ty się roześmiejesz?

— Nie, nie obawiam się tego.

Kora patrzyła na obóz i czuła, że lepiej by jej było, gdyby znajdowała się tam, niezależnie od tego, co ją czeka.

— Wytrzymaj jeszcze trochę — domyślił się jej stanu Kałnin. — Garbuz wkrótce przyjdzie.

— A przyjdzie?

— Musimy mieć taką nadzieję. Nadzieja czyni nas silniejszymi.

— I pan mi to mówi?

— Właśnie ja. Pozwolisz, że dokończę opowieść?

— Przepraszam.

Na dole, w obozie, nic się nie działo. Korze wydawało się, że słyszy pobrzękiwanie misek w kuchni — ale to musiał być wytwór fantazji — do śniadania mieli jeszcze godzinę. I pewnie nikt się jeszcze nie zorientował w ich nieobecności.

— Jakkolwiek sprawdzaliśmy nasze obliczenia — a pamiętaj, że nie mieliśmy nawet najprostszej maszyny liczącej — ciągle wychodziło nam, że w okolicy południowego wybrzeża Krymu jest punkt styku światów. I jeśli dokładnie go określimy, to mamy szansę nawiązania łączności z tym światem, który, naszym zdaniem, powinien w dużej części odpowiadać naszemu, ale też być jednocześnie innym. Nie wyobrażasz sobie, co to jest radość z wielkiego odkrycia! Znajdowaliśmy się w euforii. Napisaliśmy artykuł do czasopisma, usiłowaliśmy przekazać istotę odkrycia naszym kolegom, ale ci zaczęli nas unikać. Nie wiadomo, jak by się to wszystko skończyło, ale Wychucholew usłyszał o wszystkim od Larasy.

— Kim jest Wychucholew?

— Drugi mąż Larasy, a ta była byłą żoną Garbuza. Odeszła od niego do Wychucholewa, a ten pojął to wszystko tak, że drugi świat jest światem imperializmu, a my chcemy do niego uciec.

— Po co? — zapytała Kora.

— Wiadomo.

— Nie wiadomo!

— Wszyscy chcieli uciec!

— Dokąd?

— O panie! — jęknął Kałnin ze zdziwieniem i jakąś wesołością. — Czy ty nie wiesz, że Ziemia dzieliła się na dwa światy — na świat gnijącego kapitalizmu i na świat zwycięskiego socjalizmu.

— Zwycięskiego w jakim znaczeniu? Kogo zwyciężył?

— Większej ignorantki niż ty, Koro, w dwudziestym wieku nie spotkałem — oświadczył profesor. — Nie wiesz, jaki stopień miał ochotnik bezpieki Wychucholew, nie wiesz, że świat triumfującego socjalizmu trzeba było stale bronić przed światem rozpadającego się kapitalizmu, który tak przyjemnie gnił... Ale myśmy to wszystko wiedzieli.

— Postanowiliście uciekać?

— W tym momencie jeszcze niczego nie zdecydowaliśmy, ponieważ nie wiedzieliśmy czym tak naprawdę dysponujemy. Ale rozumieliśmy jedno: kończył się czterdziesty dziewiąty rok, a wiara we

wszechmoc i świętość reżimu zaczęła pękać i kruszyć się. Motorem był, oczywiście, Wiktor. On miał bardziej zdecydowany charakter niż ja. Znaleźliśmy się więc w punkcie, który wyliczyliśmy. Mieliśmy ze sobą przyrządy, zbudowane własnoręcznie, określiliśmy punkt styczny, posiłkując się również miejscowymi legendami... Ptasia Twierdza, ptasia skała... Wiesz przecież.

— Oczywiście.

— Ty przecież też znalazłaś się tu świadomie?

Kora skinęła głową.

— Spędziliśmy tam około dwóch tygodni... Nie wiadomo po co Wiktor zadzwonił do pracy. A tam zdziwienie: czyżby nas jeszcze nie aresztowano? Przecież wszyscy znajomi już siedzą! Wiktor zadzwonił do Larysy, a ta zaczęła żądać w rozmowie, żeby oddał się w ręce organów ścigania. Wiktor zrozumiał, że była żona ostrzega go, jak tylko może. Nie wiedzieliśmy, kiedy po nas przyjdą — najprawdopodobniej w ciągu najbliższych godzin, nie wracaliśmy więc nawet do wynajmowanego pokoju, wzięliśmy tylko aparaturę i obliczenia... I rzuciliśmy się do ucieczki.

— Skoczyliście z urwiska?

— Po co? — zdziwił się Kałnin. — Wiedzieliśmy, jak można z niego zejść. Tam jest taki punkt, na występie urwiska, gdzie znajduje się styk... Nie, nie jesteśmy samobójcami.

— I przeszliście?

— I znaleźliśmy się na brzegu. Ani jednej znajomej twarzy dookoła. Pamiętam, że Wiktor powiedział: „Lepsza pustynia tu, niż gułag u nas. Gorzej nie będzie...”

Inżynier Toj wracał z budynku biurowego. Szedł sobie spokojnie rozmawiając z lekarzem, żołnierz maszerował za nimi. Idylla — inżynier w swoim letnim ubranku. Słońce grzało już niemal na całego. Co prawda, było jeszcze dość wcześnie — nigdy wcześniej o takiej porze nie budzono ich i nie prowadzono na badania... A może pokazali mu Hofmana? Tylko po co?

— Może on... już... — powiedziała Kora.

— Poczekajmy, czy poprowadzą tam następnego.

— No to proszę opowiadać, co było dalej — poprosiła Kora.

— Wkrótce spotkaliśmy miejscowego komendanta... A po kilku kolejnych dniach zrozumieliśmy, że tutejszy świat ma wiele wspólnego z naszym. Najpierw, kiedy urządzaliśmy się tu, nie wiedzieliśmy, że trwa walka o nas, o nasze odkrycie i o władzę nad Ziemią...

— Dlaczego oni pretendują do władzy nad Ziemią?

— To jest kontynuacja ich walki wewnętrznej.

— Ale powiedział pan, że nie chcecie w tym uczestniczyć.

— Co ty powiesz? A nie pomyślałaś, że byliśmy uciekinierami, że przynieśliśmy odkrycie i chcieliśmy, żeby nas nie wtrącono do więzienia i nie zabito jako obcych i wrogów. Dali nam laboratorium w willi „Raduga”, udało nam się przy pomocy miejscowych inżynierów zbudować aparaturę, pozwalającą na obserwację tego odcinka Ziemi, gdzie światy stykają się.

— Oni widzą Ziemię?

— Oczywiście. Jeśli zrobi się pierwszy krok, to następne przychodzą łatwiej. Zbudowaliśmy cywilizowane przejście. Teraz nie trzeba skakać w przepaść, żeby się tu znaleźć. Wystarczy otworzyć drzwi.

Na dole z baraku wyprowadzono Ninelę. Kobieta była zaspana, senna, aż chwiała się na nogach. Nie dali jej czasu, by ubrała się do końca i uczesała. Lekarz popychał ją, Ninela odpychała jego ręce i kłóciła się — tyle że poszczególne słowa nie docierały tu zagłuszone ptasimi trelami.

— Poprowadzili ją! — zawołała Kora. — Czy grozi jej to samo?

Profesor chwycił ją za rękaw.



— Jak chcesz jej pomóc?

— Uprzedzę ją.

— O czym?

— Ale nie można tak... czekać...

— Najmądrzejsze w tej sytuacji to czekać. Jedyne nasze szansa — czekać! — Głos profesora stwardniał. Jakby jego ustami zaczął przemawiać inny człowiek.

Ninela opierając się weszła do budynku biurowego. Minęły dwie czy trzy minuty. Kałnin milczał. Kora przerwała ciszę.

— Proszę skończyć — powiedziała. — Dlaczego się pokłóciliście?

— Pewnego pięknego dnia zrozumiałem, że wszystko, co się tu dzieje jest złe. Że budujemy przejście między światami, że montujemy obserwację naszej Ziemi i powoli zaczynamy otrzymywać...

— Pewnie dlatego, że jesteście uczonymi, a uczeni dokonują wielu strasznych rzeczy, byle tylko zaspokoić własną ciekawość.

— Gdzie usłyszałaś takie sformułowanie?

— Sama wymyśliłam.

Profesor oderwał gałązkę z pnia niskiej sosny i zaczął nią opędzać się od namolnej osy.

— Nie, nie masz racji... Wolelibyśmy być słynnymi ludźmi u siebie. Ale nie mieliśmy szczęścia. Urodziliśmy się i mieszkaliśmy w takich czasach, kiedy wielkie odkrycia mogły zniszczyć i otoczenie i samego odkrywcę. I proszę nie przesadzać z naszą świadomością, Koro. My się wystraszyliśmy, że nas aresztują i rozstrzelają za to, czego wcale robić nie zamierzaliśmy.

— No i to jest właśnie dla mnie całkowicie niezrozumiałe! — przyznała Kora.

— Wiele rzeczy u nas było niezrozumiałych dla normalnego człowieka. Może gdyby okoliczności ułożyły się inaczej, to właśnie ten glob stałby się polem walki. Wszystko ułożyłoby się na odwrót.

— Dziwne!

— Żyjesz w świecie, który, jak mniemam, ma już za sobą chorobę samozagłady. A ja żyłem w świecie, gdzie jeden wariat mógł nacisnąć guzik, a wrogie armie wyłukłyby nie tylko siebie wzajemnie, ale i wszystkich pokojowo nastawionych ludzi.

— Dobrze, że do tego nie doszło!

— Ale z nami stało się coś innego. — Profesor wygrał z osą, ta, pobrzękując z wyraźnym żalem, zaczęła krążyć nad Korą. — Ja i mój przyjaciel Wiktor, nieoczekiwanie dla siebie, wpadliśmy w inne tarapaty. Wyobrażasz sobie — przechodzimy tu, żeby trochę odetchnąć, znaleźć przystań... A wpadamy w sytuację wypisz—wymaluj taką, od której uciekliśmy. Oczywiście, nie dokładnie taką samą, ale wystarczająco nieprzyjemną. Co prawda, w tutejszym kierownictwie też było kilku świątłych ludzi, którzy woleli nam wierzyć. Pierwszym z nich był nieboszczyk prezydent.

— Myśli pan, że został zabity?

— Bardzo możliwe. Zginął dokładnie wtedy, kiedy stał się ostatnią przeszkodą na drodze generała Leja do władzy.

— A co postanowił prezydent?

— Prezydent uznał, że wiedza i informacja są najważniejszym orężem naszych czasów. I miał rację. Uznał, że sama dziura między światami, nawet jeśli istnieje, nic mu nie da. A zanim się nią posłużymy, należy dobrze przemyśleć, jak ją można wykorzystać.

— Miał rację — oceniła Kora. — To samo bym zrobiła na jego miejscu.

— Ty nie masz takich możliwości. W sumie tak: utajniono nas, dokładnie jak na Ziemi. Następnie na całym wybrzeżu ustawiono posterunki, willa „Raduga” stała się ośrodkiem badawczym, a my

dostaliśmy po trzypokojowe cele z widokiem na morze, specjalny przydział wyżywienia i ubrania...

— Jak to?

— Żartuję. Skąd masz wiedzieć, co to jest? Wracam do opowieści. Nasze badania szły dobrze, znaleźliśmy tu sprawnych wykonawców i niemal przyjaciół... Ale nie dostrzegliśmy tej obrzydliwej i nieuniknionej chyba chwili, kiedy naszym projektem zainteresowali się wojskowi. A im dalej, tym było gorzej. A kiedy dojrzał w nich przecudowny pomysł odsunięcia od władzy prezydenta i przejęcia władzy, nasz projekt „Ziemia-2” stał się głównym celem w tej walce politycznej. Prezydent miał ten atut na wszelkie okazje, a wojskowi chcieli go przejąć, by po napaści na Ziemię hurtem rozwiązać wszystkie swoje problemy. Oczywiście upraszcam i nie wszystko mogę wyjaśnić... Ale najważniejsze jest to, że pewnego dnia obudziłem się i zrozumiałem, że więcej się w to bawić nie będę. Miałem przecież dość tej zabawy w domu. Nie chciałem stać po stronie tych, co zamierzają mordować moich rodaków, nieważne — dobrych, złych, ale rodaków. Ludzi, cokolwiek by o nich mówić! Powiedziałem to wszystko Witii Garbuzowi. Ale okazało się, że on nie widzi tego tak jak ja — uważa, że jeśli wszystko dobrze się skończy, to oni z prezydentem stopniowo załatwią sojusz dwóch światów, a jeśli nawet jakoś przyjdzie walnąć w naszą ojczyznę, to trudno, sama sobie na to zasłużyła.

— Znowu pan umyślnie przesadza?

— Trochę tak. Istota rzeczy polega na tym, że Witia wystraszył się ponownego konfliktu z władzą, drugiego upadku z obłoków na ziemię. Wystraszył się, że postawią go pod ścianą miejscowi herosi. Jak w tej bajeczce, co to kołacz woła: „Ja od babci uciekłem, od dziadka uciekłem, a od ciebie, lisie, tym bardziej ucieknę!” I nie udało mu się, rzecz jasna. Misza zaczął mnie przekonywać, a jeszcze bardziej — siebie, że siły pokoju zwyciężą, że militaryści z nosami na kwintę wpełzną do swoich nor... A ja nawet już z nim nie dyskutowałem. Odmówiłem pracy nad projektem i koniec. Może trochę za późno, ale odmówiłem!

— To nie było łatwe...

— Oczywiście, że nie! Ale w sumie jestem bardziej lub mniej żywy, we wspólnym baraku z obietnicą zachowania tajemnicy. Żebra już mi się zrosły, sińce znikły. Dezerterzy z frontu nauki i walki nigdzie nie są szczególnie lubiani.

Uśmiechał się. Ale bardzo smutny był to uśmiech.

— Rozumiem — powiedziała Kora,

— Co rozumiesz?

— Wiele rzeczy teraz rozumiem.

— W twoim głosie rozbrzmiewa osąd.

— Nic nie rozbrzmiewa w moim głosie. Patrzą na obóz.

Ninela była prowadzona z powrotem. Szła spokojnie i nie wyklócała się.

— Jak dawno tu pan służy? — zapytała Kora.

— No i czy nie mówiłem, że mnie osądzasz?

— Nie przeżyłam tego, co pan tu przeżył. Ale mam pytanie, czy na pewno możemy ufać Garbuzowi?

— No, nie jest głupcem. Po śmierci prezydenta zrozumiał, że w każdej chwili mogą go odstawić na boczny tor. A jak uznają, że już sobie bez niego poradzą — natychmiast poszukają dla niego gałęzi.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

— Służymy tu... trzeci rok.

— A na Ziemi minęło sto pięćdziesiąt lat.

— Natura nie jest do końca zdefiniowana.

Profesor zerknął na zegarek.

— Zgłodniał pan — zapytała Kora.

Ona sama była straszliwie głodna.

— Jakoś zapomniałem o tym — odparł profesor.

— Mimo wszystko dokonaliście wspaniałego odkrycia — powiedziała Kora. — Niech pan sobie wyobrazi — minęło sto pięćdziesiąt lat, a waszego odkrycia nikt nie powtórzył. Przecież to zadziwiające!

— Dziękuję.

— Jeśli dotrzemy na Ziemię, to macie z Garbuzem nagrodę Nobla w kieszeni.

— A to jeszcze taka nagroda istnieje?

— Pewnie, i jest bardzo ceniona.

— Powiem to Garbuzowi. I przekażę, że pewna sprytna dziewczynka z dwudziestego pierwszego wieku bardzo nalega na to, żeby nie niszczył Akademii Nauk, która przydziela nagrody Nobla, i w ogóle — ludności naszej planety, bo nie będzie miał kto wręczyć mu nagrody.

Kora roześmiała się:

— Spryciarz z pana!

Przez ptasią wrzawę dotarł do nich odgłos gongu wzywającego na śniadanie.

Wiktor Filipowicz Garbuz pojawił się w chwili, kiedy uznali, że już nie przyjdzie na spotkanie. Już po tym, jak w obozie stało się wiadome, że para przybyszy uciekła. Z góry dobrze było widać, jak przeszukiwano cały teren, potem kilku żołnierzy zaczęło przeszukiwać krzaki obok płotu, ale nie wchodzili wyżej na zbocze: albo nie było takiego rozkazu, albo czegoś się obawiali. Ale jasne było, że poszukiwania na tym się nie skończą — i jeśli Garbuz się nie pojawi, to przyjdzie im uciekać w góry albo poddać się.

Garbuz pędził po dróżce, jakby to pędziło stado bawołów.

Sapał, łamał stopami kruchy chrust, mamrotał coś pod nosem, a kiedy Kałnin zawołał go, aż jęknął zaskoczony i wpadł na drzewo.

— Aleś mnie wystraszył — oświadczył. — Nie możecie ciszej krzyżeć? Mogą nas usłyszeć. — Jego koszula była mokra od potu i krzywo zapięta marszczyła się okropnie.

— Jeśli chcieli usłyszeć, to już usłyszeli. A ciebie nie śledzą?

— Nie przyprowadziłem ogona — powiedział Garbuz, przypomniawszy sobie te słowa z jakiejś archaicznej powieści o rewolucjonistach.

— No to opowiadaj, bo mamy mało czasu.

— Dlaczego?

— Bo już nas szukają. Widzisz tamtych żołnierzy?

— Ciekawe — powiedział Garbuz. — Jesteście pewni, że to właśnie was szukają?

— Nawet teraz jesteś egocentryczny — uśmiechnął się profesor. — Nie dopuszczasz do siebie myśli, że ktoś poza tobą może się cieszyć wzmożoną uwagą otoczenia. Powiedz w końcu, czego się dowiedziałeś.

Garbuz przygładził dłonią kędziorki nad skroniami.

— W sumie, masz rację — wykrztusił z widocznym trudem. To burzyło resztki zapór, jakie zbudował między sobą, wielkim uczonym, i rzeczywistością. — To są bydlęta bez sumienia.

— Bardzo mi miło — powiedział Kałnin. — Już dawno miałem honor ci to powiedzieć. Dlatego ja siedzę w baraku, a ty jesteś na górze.

— Gdybym nie został na górze, to kto by wam pomógł? — zapytał Garbuz.

— Znakomicie potrafi obrócić na swoją korzyść każdą sytuację — powiedział Kałnin do Kory.

— Nie uważam za celowe wplątywanie kobiet i dzieci w nasze sprawy — obraził się Garbuz. Aż poczerwieniał z oburzenia. — Robiłem wszystko, co mogłem, i nawet więcej, żeby ratować ludzi. I wybaczyć, proszę, ale ryzykuję swoim życiem.

— Obawiam się, że pozostali też ryzykują — odparł profesor. — Ale ty decydowałeś się na to świadomie, a pozostali stali się ofiarami, niczego, tak naprawdę, nie rozumiejąc.

— A ty co, masz do dyspozycji wieczność? — zapytał Garbuz.

— Nie mam do dyspozycji niczego. Czego się dowiedziałeś?

— Moje najgorsze obawy potwierdziły się — powiedział Garbuz i pociągnął nosem, dokładnie

jak urażony chłopczyk. — Ten bydlak, generał Lej, praktycznie przechwycił władzę w kraju. Ale istnieje poważna opozycja, również w kręgach armii. Już nawiązuję z nimi kontakt. I mam nadzieję, że uda nam się go utracić.

— Ależ Witia, to nie twoja gra! Jakież z ciebie, do licha, polityk?

— Nie przesadzaj, przez trzy lata znajdowałem się w elicie tego państwa. I nieźle mi pewne rzeczy wychodziły.

— Zapomnij, Witia, o tym, zapomnij! — usiłował sprowadzić go na ziemię profesor. — Byłeś mocny, kiedy za twoimi plecami stał silny prezydent.

— Nie zapominaj, że w tym kraju pozostały zdrowe siły, które nie dopuszczą do awantury w postaci najazdu na Ziemię.

— Nie wiem, gdzie w tej chwili czają się te twoje siły, najpewniej w stolicy albo nawet w stołecznym więzieniu. Ale lepiej popatrz sobie na dół, widzisz ile tu wojska? A jak sądzisz, po co? Na mecz piłki nożnej?

— Możemy przyjąć — musiał przyznać Garbuz — że to w celu zachowania szczególnej ostrożności oraz ochrony obozu...

— Sam w to nie wierzysz.

Garbuz przycupnął na pniu powalonego drzewa. Kiedy profesor powtórzył pytanie o wirusa nie od razu odpowiedział.

— To prawda — oświadczył w końcu. — Przenosi się wyłącznie w okresie aktywnym. To znaczy, kiedy człowiek jest już chory. W okresie inkubacji jest niegroźny. Okres inkubacyjny to doba albo nieco mniej, różnice są indywidualne... Choroba zabija człowieka w ciągu dwu dni. Symptomy...

— Poczekaj. O symptomach pogadamy za chwilę — przerwał mu profesor. — Znacznie ważniejsze są w tej chwili sposoby zarażenia ludzi.

— Hofman dostał zastrzyk.

— Właśnie to należało udowodnić! — Wydawało się, że Eduard Oskarowicz ucieszył się z tej wiadomości. — To znaczy, że wprowadzają roztwór z wirusem do krwiobiegu, a człowiek staje się nosicielem choroby...

— Gdy tylko kończy się okres inkubacyjny. To znaczy po dwudziestu czterech godzinach.

— No to wszystko jasne! — profesor walnął pięścią w pień sosny. — A ja sobie głowę łamię dlaczego inżynier wracając z budynku administracyjnego, gdzie wszczepili mu wirusa, medyk szedł sobie obok niego, był całkowicie spokojny... i żołnierzy nikt nie ewakuował z obozu.

— Myślisz, że już zaczęli? — zdziwił się Garbuz. — Niemożliwe! Dali mi słowo, że cała operacja jest wyznaczona na jutro. Sam generał Lej dał mi słowo.

— Nie może być! Sam osobiście?! I cóż takiego ci powiedział? — zakpił z kolegi profesor Kałnin.

— Obiecał mi, że zbierze się Rada Państwa i zaprosi mnie na swoje obrady. W Radzie Państwa mam swoich sojuszników. Prawdziwych! I tam możemy powalczyć! Bez żadnych wirusów...

— Za późno — rzucił Kałnin. — Zrozum, chłopie, za późno!

— Ale przecież przerzutem ludzi na Ziemię kieruję ja. Jak oni, na miłość boską, zamierzają obejść się beze mnie?

— Bo pewnie sądzą, że zrobisz wszystko co należy.

— Wiesz co, może nie spierajmy się tu i teraz? — jęknął Garbuz. Kora pomyślała, że wyjątkowo ma rację. — Co proponujesz, żebyś zrobił?

— Zepsuj urządzenie do przejścia — powiedział profesor.

— Nie bądź naiwny. Po pierwsze, nie jestem tam sam. Ich technicy i specjaliści znają to urządzenie lepiej ode mnie.

— Ale musisz coś zrobić! — nalegał Kałnin.

— Jak wygląda to urządzenie? — zapytała Kora.

— Teraz nie czas na oprowadzanie wycieczek.

— Coś innego przyszło mi do głowy — powiedziała Kora.

— Czy może pan wysłać do naszego świata coś poza człowiekiem?

— A co na przykład?.. Czy czujecie, jak tu gorąco? W lesie wcale gorąco nie było. Ranek jeszcze się nie skończył, od gór wiał chłodny wiaterek.

— Obawiam się, że Kora wcale nie jest tą osobą, jaką udaje — powiedział profesor.

— A kogo, pana zdaniem, udaje?

— Naiwną, wypoczywającą na wybrzeżu studentkę — powiedział Garbuz. — Tak przynajmniej sądzi generał Graj.

Kora uniosła rękę, powstrzymując szykującego się do monologu Kałnina.

— Do panów wiadomości — powiedziała — jestem nienawistnym wam pracownikiem bezpieczeństwa. Co prawda nie jestem jeszcze etatowym agentem. Może dlatego wasi mocodawcy uznali mnie za głupiutką kurkę.

— To się tak musiało skończyć — powiedział zrezygnowany Garbuz.

— Nie można siedzieć na dwóch krzesłach — powiedział Kałnin.

O Korze obaj uczeni jakby zapomnieli. Ta, zdenerwowana, tupnęła nogą.

— Proszę przestać się kłócić! Powiedzcie, czy za pomocą tego urządzenia można przekazać wiadomość na Ziemię?

Garbuz milczał, a Kałnin odpowiedział:

— W zasadzie nie ma w tym nic niemożliwego. Nasza aparatura jest praktycznie oknem na Ziemię, ustawionym w punkcie styku. Przenosiliśmy już przecież pewne przedmioty... zwierzęta i ptaki... i obserwowaliśmy je — przejście nie jest niebezpieczne.

— No to prześlijcie tam liścik — powiedziała Kora.

— Jaki list? — zapytał profesor.

— Powinny w nim być takie dane: dziś wieczorem lub jutro rano za Ziemię trafi ośmiu ludzi, zarażonych śmiertelnie niebezpiecznym wirusem dwudniowej dżumy. Proszę załatwić izolację wszystkich przybyłych... Adresat — komisarz Interpolu Milodar lub Ksenia Romanowa.

Fizycy uważnie wysłuchali monologu Kory, potem Garbuz powiedział:

— Równie dobrze można by wysłać notatkę z prośbą o natychmiastowe rozstrzelanie nas wszystkich.

— Cóż, może tak właśnie będzie — powiedział Kałnin.

— Przy tym nie mogę nawet winić pani szefa, Koro. On też ponosi ogromną odpowiedzialność.

— No to ja zostaję tutaj — powiedział Garbuz. — Przynajmniej mnie nie rozstrzelają.

— Ciebie, jak sądzę, nawet nie zarażą wirusem — zauważył Kałnin. — Jesteś dla nich ważniejszy jako kolaborator.

— Nie rzucaj wyzwiskami, Edik! Uciekłeś tu ze mną razem i zaczynaliśmy też razem.

— Ale kiedy zrozumiałem, czym może to grozić Ziemi — dałem sobie spokój...

— Umyłeś ręce, Piłacie dwudziestego wieku!

— A co jeszcze mogłem zrobić?

— Może zostawmy na razie rozliczenie? — zapytała Kora. — Lepiej niech pan powie, czy prześle wiadomość?

— Nie wiem — powiedział Garbuz. — Tylko w przypadku, jeśli nie jestem podejrzany. W tym celu muszę szybko wracać. A do was mam prośbę: zostańcie na razie tutaj, nie chcę, żeby wam wszczepili wirusa.

— A co potem? Będziemy się wałęsali po górach?

— Przynajmniej... może wszystko się uda i nie zostaniecie królikami doświadczalnymi.

Garbuz mówił z trudem, w ciągu kilku minut straszliwie zbladł na twarzy.

— Nie — powiedziała Kora. — Zdecydowałam się. Nie będę czekała nie wiadomo na co. Idę do reszty jeńców.

— Ale po co? Po co?

— Żeby być z nimi... — Kora nie wiedziała jak ma wytłumaczyć Garbuzowi, dlaczego chce pozostać z resztą. Pomoc nadeszła z nieoczekiwanej strony.

— Dziewczyna dobrze rozumuje — rozległ się niski, niemal grobowy głos. Obramowany sosnowymi gałęziami, z pistoletem w dłoni, stał generał Lej. — Każdy musi wybrać swoją stronę. A ja najbardziej nie znoszę mózgowców, którzy miotają się między nami i wami, żeby tylko zdobyć więcej punktów w tej konkurencji. To się zawsze źle kończy, radco Garbuj.

— Pan mnie śledził?

— Oczywiście!

— Złożę skargę do Rady Państwa!

— Proszę bardzo! — wyszczerzył się generał Lej. Wyglądało, że jest z siebie bardzo zadowolony — stał na tle wyrwy w drzewach, dwaj żołnierze o krok za nim — ręce pod boki, nogi w oficerkach szeroko rozstawione, kaszkiet, nasunięty na czoło, krył grzywkę. — A w tym czasie za twoimi plecami będzie stał sanitariusz ze strzykawką w rękę. Rozumiesz? Jak tylko zaczniesz się wydurniać, zrobi ci taki mały zastrzyk... i nie będzie już miał kto jeździć do Rady Państwa i skarżyć się na swojego dobroczyńcę. Kapujesz, mózgowiarzu?

— To ci się nie uda! — wrzasnął w odpowiedzi Garbuz, zapominając o realiach. — Nie uda się! Uczciwi ludzie dowiedzą się o tym, co tu szykujecie!

— Jeśli nawet, to ciebie nie będzie w ich gronie. Ty już w tym czasie zdechniesz... Co prawda, może nawet nie tu, a w swojej ojczyźnie. Ja tak widzę tę scenę: biegną do ciebie bliscy i rodzina, a ty do nich krzyczysz: jestem śmiertelnie niebezpieczny — zastrzelcie mnie, nie zbliżajcie się, ratujcie się sami! Wyobrażasz sobie taki widoczek?

— Nie zamierzam dłużej z panem rozmawiać! — odciął Garbuz.

— I nie musisz — odpowiedział generał. — Wybacz, że własnoręcznie cię nakryłem — postanowiłem przypomnieć sobie te fajne czasy, kiedy byłem pułkowym zwiadowcą. Dziękuję, że naprowadziłeś mnie na Kałnina i tę kruszynkę.

Ostatnie słowa dotyczyły Kory.

— Ma pan coś do powiedzenia? — zapytał generał Kałnina.

— Nie.

— Tak myślałem. No to musimy się rozdzielić. Radcę państwowego Garbuję z szacunkiem zapraszam ze sobą, czas szykować aparaturę do desantu. Jak sami rozumiecie — wypuszczamy was po to, byście porozmawiali ze swoimi władzami, opowiedzieli im, w jakim potężnym i pokój miłującym państwie gościliście, i jak miłościwie się do was odnosiliśmy. Rozumiecie? Idźcie do obozu. Czekają tam na was lekarze.

— Po co nam lekarze? — szybko zapytała Kora, która zaczęła podejrzewać, że generał Lej nie słyszał całej ich rozmowy z Garbuzem i nie domyśla się, że wiedzą już wszystko o dwudniowej dżumie.

— Zbadają was, zrobią szczepienia, żebyście czegoś nie zawlekli do swojej ojczyzny. Postępujemy jak należy w przodującym państwie — nie żałujemy wydatków. No, idźcie już, to jest pierwszy krok nowego rządu — rządu humanizmu.

— Dziękujemy — powiedziała Kora.

Z tęsknotą popatrzyła na gęste krzaki na obrzeżu polanki, ale natychmiast pozbyła się wątpliwości — na ucieczkę nie miała szans. Poza tym — co to jej da?

— No to idziemy, idziemy — huknął na nią żołnierz i popchnął w plecy kolbą karabinu.

Kora z profesorem ruszyli w dół nie oglądając się.



Kałnin był tak załamany, że milczał kiedy weszli na teren obozu. Tam żołnierz przekazał go oczekującemu przy płocie pułkownikowi Raj–Raji, który zupełnie nie zwrócił uwagi na Korę, ale profesora poprowadził sam, jak ważnego gościa. Zresztą — znał profesora od dawna...

Przez jakiś czas Kora zastanawiała się nad swoim losem w komórce baraku, za zamkniętymi drzwiami. Potem zajrzała do niej pielęgniarka. Jej kitel był ubłocony, siostra nie kryła złości.

— Wyłaż! — rzuciła.

Kora miała nadzieję, że zobaczy kogoś w drodze z baraku przez plac. Ale było pusto. Tylko od strony morza dochodziły jakieś odgłosy — musiał tam maszerować oddział żołnierzy. Wysoko po niebie leciał samolot wojskowy... Zaczynał doskwierać upał, a Kora na dodatek była strasznie głodna — teraz, kiedy podniecenie z powodu spotkania z Garbuzem, a potem generałem Lejem opadło, młody organizm żądał pokarmu.

Ale nie chciała o nic prosić niechlujnej ubrudzonej pielęgniarki, a innych normalnych ludzi na placu nie było.

Dopiero w budynku administracyjnym zobaczyła jakiegoś medyka. Ten zapytał ją o nazwisko i wpisał je do zeszytu, niczym sekretarka podczas wizyty u dentysty.

— Został jeden — powiedział do pielęgniarki.

— Sam pułkownik go przyprowadzi, tak powiedział — rzuciła siostra.

Oczywiście, mowa była o profesorze.

Byle nie do piwnicy, błagała w myślach pielęgniarkę Kora. Byle nie do piwnicy, gdzie był Misza!

Jakby to coś zmieniało.

Zaprowadzono ją na dół, do piwnicy, i Kora nawet nie bardzo mogła opowiedzieć, co się z nią działo w tym czasie — zupełnie jakby zasnęła i straciła kontakt z rzeczywistością. Rozumiała, że jeśli zaraz zostanie jej wstrzyknięty wirus, to pewnie jest skazana na śmierć, długą i w cierpieniu, a jednocześnie było jej niemal wszystko jedno, co z nią zrobią. Będzie, co ma być... Przecież to wszystko i tak jej się tylko wydaje, to jest jak kino, w którym nieszczęścia przydarzają się tylko aktorom, a ona wszak jest widzem.

Zaprowadzono ją do szklanej przegrody, pod którą była w nocy. Ale dalej skierowano nie na wprost korytarzem, a w prawo. Tam już czekał bladolicy doktor Krelij — jakże mogła o nim zapomnieć!

— Jakże mi miło — powiedział lekarz. — Dawno pani nie widziałem.

— Tego drugiego lekarza zabito — powiedziała Kora, wcale nie zamierzając urazić Krelija, tylko stwierdzając fakt. — Jego zabito, a pan żyje? Pana też zabiją, ponieważ za dużo pan wie.

— Nie gadaj bzdur — rzucił doktor. — Nikt nikogo nie zabija. Takie rzeczy zdarzają się w przygodowych filmach. Mojemu koledze przydarzył się nieszczęśliwy wypadek.

— Nie, zabił go sadysta pułkownik — powiedziała Kora. — Sama to widziałam.

— Nieprawda, nie mogła pani widzieć! I proszę przestać opowiadać takie bzdury! Pani mi przeszkadza.

— W czym?

— W badaniu. Czy nie wie pani, że dziś wracacie do swojego świata, co jest humanistyczną akcją naszego rządu?

— Humanitarną akcją — poprawiła go odruchowo Kora.

— U nas się mówi humanistyczną! — obruszył się doktor.

Zaraz doprowadzę go do białej gorączki, a wtedy on odmówi wykonywania mi zastrzyku. Ale nie było to takie proste.

— Proszę podwinąć rękaw sukienki — polecił doktor. — Muszę zmierzyć pani ciśnienie.

— Nie trzeba — powiedziała Kora.

— Przeszkadza mi pani w pracy!

— A Misza Hofman umarł w sąsiednim boksie. Badał pan później jego ciało?

— Co pani gada? Pani zwariowała!

— Czy wśród pańskich pacjentów był dziś Michaił Hofman?

— Michaił Hofman zmarł na febrę kilka dni temu. Nie ja go prowadziłem, tylko doktor Błaj.

— Właśnie. Któremu udało się zginąć jeszcze przed swoim pacjentem.

— Orwat, odmawiam badania pani!

— Mogę więc odejść?

— Na wszystkie cztery strony świata! — Doktor był zmieszany i zły.

Kora, czując niewiarygodną ulgę, wyszła na korytarz, gdzie zderzyła się z pułkownikiem Raj-Rają.

— A pani co tu robi? — zapytał. — Dlaczego sama?

— Byłam na zabiegu u doktora Krelija — powiedziała Kora. — Zrobił mi zastrzyk i zwolnił...

— Tak — pułkownik nie promieniał ufnością, ale zwolnił Korę: — No to proszę iść...

Kora zaczęła wchodzić po schodach, czując na plecach spojrzenie pułkownika.

— Orwat, stać! — rozkazał po kilku krokach.

Kora, jakby oczekując tego okrzyku, skoczyła do przodu. Pułkownik głośno roześmiał się.

Na szczycie schodów stała pielęgniarka w brudnym rzeźniczym fartuchu.

— A może coś mi powiesz, dziewczyno — powiedział pułkownik kładąc długopalcą dłoń na ramieniu Kory i mocno zaciskając na nim palce. — Może pokażesz miejsce iniekcji?

— W rękę — powiedziała Kora.

— Pokaż to miejsce!

Kora wahała się krócej niż sekundę. Pułkownik rzucił tylko okiem na gładką skórę w zgięciu łokcia i powiedział:

— Tak myślałem.

Doktor Krelij jakby wyczuł coś niedobrego, uchylił drzwi i wysunął głowę na korytarz.

— Co się dzieje? — zapytał. — O co chodzi?

— Zapomniał pan zrobić zastrzyk tej młodej damie?

— A jak mogłem go zrobić — odegrał oburzenie doktor — skoro mi uciekła? Właśnie wychodziłem zawołać strażę.

— No to proszę robić ten zastrzyk!

— Pani Orwat, zapraszam — śpiewnie zamodulował doktor. Głos mu drżał, nie panował nad nim... — Musimy zrobić zastrzyk profilaktyczny, proszę o pani piękną rączkę.

Już nie był bladolicy, tylko mroczny, niczym chmura gradowa — za chwilę pęknie ze strachu.

— Nie! — zaczęła szarpać się Kora. Ale za późno się zdecydowała — pułkownik był przygotowany na taką reakcję.

— Wiedziałaś! — ryknął. — Wiedziałaś, przyznaj się!

— Nic nie wiedziałam!

Pułkownik zwałił się na Korę, przycisnął ją do stołu. Śmierdziało od niego czosnkiem i potem. Doktor napełniał strzykawkę i mamrotał:

— Proszę tylko mocno trzymać, mocno... żeby igły nie złamał!

— Nie ucieknie mi — odpowiedział pułkownik. — Możesz łamać.

Wyraźnie sprawiało mu przyjemność przyciskanie Kory do stołu; dziewczynie zaczęło brakować powietrza... Poczowała igłę w ciele — czuła jak trucizna rozchodzi się po całym jej ciele, poddała się... Była gotowa na śmierć...

— No i już — powiedział doktor. — Już po wszystkim.

— Aż mi żal cię puszczać — powiedział pułkownik. — Ale muszę. Będę musiał poszukać sobie innej.

Poszedł w kąt pokoju.

Kora wstała, zachwiała się. Stała trzymając się ręką brzegu stołu.

— Ile przerobiłeś? — zapytał pułkownik.

— Ona była siódma.

— Wszyscy dostali zastrzyk?

— Oczywiście, że tak, pułkowniku.

— Może tak, jak ta Orwat?

— Ona była wyjątkiem. Ale przecież usiłowałem ją schwytać.

— Widziałem, jak usiłowałaś.

— Co pan robi? Nie ma pan prawa...

Kora odwróciła się słysząc ciche odgłosy wystrzałów. Pociski wbiły doktora w ścianę, posypało się szkło z przeszklonej szafki z lekarstwami. Doktor ciągle nie chciał umierać — usiłował się podnieść, dookoła było już pełno krwi. Korę zemdlilo, wybiegła z pokoju — właściwie wydawało się jej, że biegnie — wypadła na korytarz, i tam zwymiotowała. Za nią, wkładając pistolet do kabury, wyszedł pułkownik i powiedział tak, jakby mowa była o sadzeniu kapusty:

— Zrobił wszystko, co do niego należało. I tak musiałbym go sprzątnąć. Nie możemy zostawić świadków, nie mamy prawa do tego przed historią.

Na znak pułkownika pielęgniarka zeszła na dół do piwnicy, chwyciła Korę za łokieć i wyprowadziła na górę.

Tym razem Korę przyprowadzono do stołówki baraku. Zobaczyła w niej wściekłego kapitana Pokrewskiego, z sińcem pod okiem i podrapanym policzkiem — piękny dodatek do blizny. Kapitan miotał się po całym pomieszczeniu.

— Urowadzili ją! Ale dobiore się do nich!

— Do nikogo się pan nie dobierze — przemawiał doń inżynier.

Ninela też tu była, ale — co dziwne — brakowało Żurby.

Okazało się, że jego też poprowadzono na „przygotowanie”.

— Zbadali cię? — zapytała Ninela.

— Zbadali.

— I zastrzyk zrobili?

Co robić? Oto chwila, kiedy należy się zdecydować — mówić prawdę, czy nie.

Kora nie zdążyła otworzyć ust, jak Pokrewski rzucił inne pytanie:

— Czy to możliwe, że każdy wróci do swoich czasów? Nie zobaczę więcej Parry?

— Obawiam się, że sprawy wyglądają gorzej niż sądzicie — powiedziała Kora.

— Ciekawe, co jeszcze może być gorsze? — rzucił inżynier.

— Wiecie, że Misza Hofman nie żyje? — zapytała Kora.

— A ty skąd to wiesz? — zapytała Ninela.

— Widziałam.

— Słabo go znałam — powiedziała Ninela. — Zachorował czy co?

— Dostał taki sam zastrzyk, jak i my.

— Jaki znowu zastrzyk? — zainteresował się Pokrewski.

— Ten, co dostaliśmy wszyscy.

— Ja też — dodał inżynier.

— I ja. Szczepionka przeciwko tężcowi — powiedziała Ninela.

— To jest jakiś straszliwy wirus — oświadczyła Kora.

— Staliśmy się narzędziem, bronią. Bronią, którą chcą zarazić całą Ziemię — my umrzemy, a z nami miliardy ludzi, a wtedy oni zajmą nasze miasta.

— No, przesadziłaś trochę! — oburzyła się Ninela.

— Co tu za kit ludziom wciskasz? Dobrze znam pułkownika, możesz mi wierzyć, że przemawiał do mnie takimi czułymi słowami... Czy jednocześnie mógłby ukryć przede mną takie rzeczy?

— Ten twój pułkownik przed chwilą zastrzelił doktora Krelija, żeby ten się nie wygadał...

— Zastrzelił swojego?

— On nie ma swoich.

— Posłuchaj, Koro — rozeźliła się Ninela, przez co jej biust zafalował nerwowo. — Przestań nas tu kiwać. Nie wiem, co ty masz tu załatwić i komu się wysługujesz, ale ja w każdym sądzie potwierdzę, że od miejscowych towarzyszy zaznałam tylko dobra i że w pierwszej nadającej się do

tego chwili wysłali mnie oni do ojczyzny.

Pokrewski czekał aż Ninela zakończy tę filipikę, a potem zapytał:

— Oni naprawdę chcą opanować Ziemię?

— Pozbawić ją krwi — powiedziała Kora. — Zniszczyć możliwie dużo ludzi, zdeorganizować, żebyśmy nie mogli się sprzeciwić.

— Kim są ci my? — Profesor wszedł do sali z pytaniem na ustach. Nie zdążył nawet jeszcze spuścić rękawa koszuli, marynarki w ogóle nie miał. Przyciskał do zgięcia łokcia wacik.

— Ludzie. Kto panu zrobił zastrzyk? — zapytała Kora.

— Nieznany mi lekarz. W budynku administracyjnym Najpierw zawieźli mnie do willi „Raduga”, zaproponowali pracę przy przerzucie wojska na Ziemię. Muszą rozszerzyć okno, a nie bardzo mogą liczyć na mojego przyjaciela. On jest w fatalnym stanie. Ma dusznicę bolesną...

Do nikogo poza Korą nie dotarł prawdziwy sens tych słów.

Ale Kora wiedziała na pewno, że profesor Kałnin odmówił współpracy, i dlatego dołączył do grona skazańców.

— Profesorze — zwrócił się do Kałnina Toj. — Kora mówi, że wszczepiono nam śmiertelnie niebezpiecznego wirusa. Czy to prawda?

— Niestety, tak się mają sprawy.

— Kłamiecie! — wrzasnęła Ninela.

Była śmiertelnie przestraszona i krzycząc tak próbowała odczynić urok, sprawić, żeby jej lęk się nie sprawdził.

— To znaczy, że i tak przyszło umrzeć — powiedział Pokrewski. — A ja uciekałem przed śmiercią, nawet myślałem, że miłość spotkał...

— Jeszcze nie wszystko stracone — powiedziała Kora. — W moim czasie, a Wsiewołod Nikołajewicz to potwierdzi — wskazała inżyniera Toja — można dokonać ożywienia praktycznie zmarłych już ludzi. Nie macie pojęcia na jakim poziomie stoi nasza medycyna.

— Jakakolwiek jest — powiedział Kałnin — to istnieje kres jej możliwości.

— Dlatego właśnie powiedziałam wszystkim, co się tu dzieje. I mam pewną radę.

— Wiem — powiedział Pokrewski — skończyć ze sobą tu, i wtedy nie będą mieli kogo wysłać. Ja się zgadzam.

— Może to i efektowny pomysł — odparła Kora — ale musi pan uwzględnić, że dwoje zarażonych, Parra i Żurba, już znajdują się pewnie na Ziemi. Niczego nie wiedzą. Każdy ich krok zwiększa zagrożenie.

— No to co mamy robić? — zapytał inżynier.

— Myślę, że każdy z nas powinien pamiętać: jeśli znajdzie się w naszych czasach...

— A to na dwoje babka wróżyła — warknęła szyderczo Ninela.

— ... to musicie powiedzieć od razu tym, kogo spotkacie, że jesteście chorzy zakaźnie. I zażądać aby natychmiast przeniesiono was do szpitala.

— A tam z miejsca nas rozstrzelają — wtrąciła Ninela.

— Wątpię — powiedział inżynier. — Mogę potwierdzić, że powitanie będzie raczej ciepłe...

— Nie wiem, czy nas oczekują — powiedziała Kora.

— Dlatego od nas zależy jak szybko zostaniemy odizolowani.

— Dość już mam tej izolacji! — zawołała Ninela. — Lepiej tu zostanę. Pułkownik mnie kocha.

— Właśnie tego nie radzę — odezwała się na to Kora.

— Jesteś dla pułkownika śmiertelnie niebezpieczną osobą. Na razie, podczas pierwszej doby, nie tak znowu niebezpieczna, ale potem będziesz dosłownie tryskała zarazą.

— Kiedy to się stanie? — zawyła przerażona Ninela.

— Sądźmy, że jutro rano.

— Mamy dużo czasu w zapasie — powiedział profesor.

— To mnie niepokoi.

— Dlaczego? — zdziwiła się Kora.

— No bo pomyśl — po co będą wysyłali nas na Ziemię, skoro podejrzewają, że możemy domyślić się wszystkiego, a wtedy plany wezmą w łeb.

— Niby dlaczego mieliby nas podejrzewać? Przecież nikt nam nie powiedział o wirusie?

— A, to znaczy, że kłamałaś? — ucieszyła się Ninela.

— To wszystko lipa? Przyznaj się?

— Nie, to święta prawda.

Pułkownik Raj–Raji stanął w drzwiach.

— Dobrze, że postanowiłem posłuchać, o czym sobie rozmawiacie. Omal nie pokrzyżowała nam pani planów.

— Niby dlaczego? — zapytał Pokrewski.

— Bo naprawdę sądziliśmy, że niczego się nie domyślacie. Natomiast w tej sytuacji wy od razu się poddacie, a oni natychmiast was rozstrzelają, a ciała spalą. Nie zdołamy zrealizować naszych planów.

— Przecież mówiłam! — rozdarła się Ninela.

— Tylko się do mnie nie zbliżaj — ostrzegł ją pułkownik. — Masz taki żywiołowy organizm, że może już nawet zarażasz.

— Kochany mój, co ty pleciesz?

— Odejdź, bo strzelam!

Ninela cofnęła się i zaczęła szlochać.

— To co w takim razie będziemy robić? — zapytał profesor.

— Gdyby to ode mnie zależało — powiedział pułkownik — to rozstrzelałbym was na miejscu i to od razu. Ale szefostwo może mieć inny punkt widzenia. Tak więc zostawiam was, a my się naradzimy.

— Proszę poczekać! — zawołała Kora do odchodzącego pułkownika. — Czy nie moglibyśmy czegoś zjeść?

— Przecież było śniadanie?

— Ja i profesor nie jedliśmy!

— Proszę sobie poszukać czegoś w kuchni, nie jest zamknięta.

Pułkownik machnął ręką i wyszedł ze stołówki.

— No i proszę — powiedział inżynier — tacy niby dorośli, a beztroscy jak dzieci. Teraz nie daję wam ani jednej szansy ze stu.

— Obawiam się, że ma pan rację — zgodziła się Kora. — Jesteśmy śladami, które trzeba zniszczyć.

— Nie — zaproponowała Ninela. — Rajczuś coś wymyśli. Nie macie pojęcia, jaki on jest mądry. Nie będzie nas mordował, bo on mnie kocha.

— My cię zamordujemy — powiedział Pokrewski. — I tak sobie myślę, że im prędzej tym lepiej.

Kora poszła do kuchni. Leżało tam na stole kilka bochenków chleba, w pojemniku była woda.

Kora postawiła na kuchence baniak udający czajnik. Znalazła pudełeczko z jakimiś ziołami. Z jadalni dobiegał gwar rozmów, ale Kora ich nie słuchała. Była zmęczona i chciało jej się spać.

A kiedy napili się herbaty, Kora położyła się na ławeczce w jadalni i zasnęła.



Obudziło ją pojawienie się w jadalni obcych ludzi — przez przymknięte powieki widziała, jak żołnierze wyprowadzają ziemskich przybyszy — nie brutalnie, a rzeczowo i obojętnie. A ponieważ nie było w tym nic strasznego, a i czasu minęło sporo — za oknem zapadł zmrok i głód był dominującym po przebudzeniu uczuciem — wszyscy mieli dość czekania i po prostu ludzie zegnali się i wychodzili.

— Może: na razie? — zapytał Pokrewski.

— Jakby co, to nie złościę się na mnie — powiedziała Ninela — chociaż jesteście mi klasowo obcym elementem.

— Zależy gdzie się spotkamy — obojętnie rzucił Pokrewski. — Albo ty mnie pod ścianę, albo ja ciebie.

Nikt już nie mówił o śmierci, chorobie, wirusie — jakby to był tylko wymysł Kory.

Kora usiadła na ławce — ledwo powstrzymała się od krzyku, bo strasznie ścierpła jej noga — i powiedziała:

— Jak tylko zobaczycie ludzi ostrzegajcie, żeby się nie zbliżali!

— Dobra — ze złością odezwała się Ninela. — Znowu kraczesz!

Oczywiście, nie chcą nawet o tym myśleć!

— Która godzina? — zapytała Kora, jakby nie miała na ręku zegarka.

— Siódma — odpowiedział profesor.

On też był w grupie tych wyprowadzanych. Inżynier pożegnał się z Korą i profesorem i powiedział z krzywym uśmiechem:

— Do zobaczenia.

— Przecież pan wie, że nic strasznego się nie stanie — powiedziała Kora.

— Obawiam się, że nie wysyłają nas na Ziemię.

— Co pan mówi? — zdziwił się profesor. — Dlaczego pan tak sądzi?

Żołnierz pociągnął inżyniera za rękaw.

— Już idę — powiedział ten ugodowo — tylko dwa słowa... Skoro zrozumieli, że wiemy o wirusie i ich planie, to jaki jest sens wysłać nas na Ziemię? Po co? Żebyśmy uprzedzili o niebezpieczeństwie i zakłócili cały plan? Teraz przecież wszystko zależy od tego, dokąd nas wyślą. Jeśli to będzie gdzieś daleko od willi „Raduga”, to znaczy, że wywożą nas na rozwałkę. To logiczne. Im nie wystarczy ci, co już zostali wysłani. Ci przecież są niewinnymi jagniętami. Teraz właśnie obejmują się z rodakami.

— To tylko dwoje ludzi — powiedziała Kora, jakby to coś zmieniało.

— Dość — powiedział żołnierz. — Idziemy. Samochód czeka.

— Tak więc, na ich miejscu, ja bym nas zlikwidował albo dał możliwość spokojnego zejścia na dzumę — zakończył inżynier.

I szybko pomaszerował do wyjścia nie odwracając się, jakby już nie znał profesora ani Kory.



Ale Kora nie doceniała generała Leja.

Nie zdążyły zamknąć się drzwi za inżynierem, jak weszły dwie pielęgniarki.

— Idziemy — powiedziała pierwsza i wskazał palcem Korę.

Należało tego oczekiwać, ale rozstanie z profesorem, takie definitywne, wystraszyło Korę.

— Nie chcę — jęknęła. — Bardzo proszę, zostaniemy razem.

— Nie wolno — powiedziała siostrzyczka. — Szybko.

Pociągnęła Korę za rękę. Dziewczyna zaczęła się opierać. To było naiwne — na pomoc pierwszej przysłała druga pielęgniarka. Razem chwyciły Korę i wytaszczyły na korytarz.

— Do widzenia, Koro — powiedział Kałnin. — Ja mam ciągle nadzieję. Zawsze należy mieć nadzieję.

Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu Kora po trzech minutach znalazła się w swojej celi. Drzwi zatrzasnęły się.

Wszystkiego się spodziewała, tylko nie tego.

Usiadła na pryczy. Boże, dlaczego w takiej chwili chce się jeść?

Przecież już jutro organizmowi żadne pożywienie nie będzie potrzebne. Czy on tego nie rozumie? Korę bardzo dziwił własny żołądek. Położyła się. Czas płynął strasznie wolno i właściwie składał się z dźwięków — dochodziły z okienka pod sufitem, okratowanego i znajdującego się na poziomie gruntu.

Gdzieś daleko stąd rozległo się buczenie, pewnie syrena statku. Jakiś ptak przysiadł na chwilę na gałęzi krzewu obok kraty i wykonał dla Kory krótką arię trel. Rozległy się głosy — w oddali sprzeczali się żołnierze, bo jeden z nich nie chciał iść po koce... Ale do okna nie podchodził nikt, kto by chciał i mógł złożyć jakieś wyjaśnienia co do losów Kory.

„Pewnie — myślała Kora — powinnam teraz w pamięci widzieć całe swoje dzieciństwo, wywołać słodkie obrazy Wyspy Dzieci...” Potem przypomniała sobie tę straszną rzecz: przecież w jej organizmie żyje i rozmnaża się wirus — choroba... Oto w jej wnętrzu walą się bastiony, pękają tamy — złośliwa postronna siła wbija się w domki i świątynie, niszcząc pokojowo nastawionych mieszkańców... „Co za brednie szaleją mi po głowie? A co ma być, skoro mam dopiero dwadzieścia lat i jeszcze nie zdążyłam dobrze zacząć żyć na tym świecie, a już mnie ktoś chce zabić! Komuś potrzebna jest władza, ktoś obawia się, że zostanie bez łupu — a ja mu stoję na drodze. Dlaczego my, króliki, zawsze zawadzamy wilkom? Trzeba by się zbuntować, pokazać swoje długie przednie zębiska...” Kora zasnęła i obudziła się w środku nocy z powodu bólu głowy. Ból był tak męczący i obcy, że od razu stało się jasne: zaczęła się choroba.

Usiłowała wstać — dręczyło ją pragnienie. Ale osłabłe nogi trzymały ją z trudem. Doszła do drzwi, oparła się o nie, żeby złapać oddech, potem zaczęła walić w drzwi. Ale jej uderzenia wygłuszała izolacja z gąbki i tworzywa sztucznego.

— Pić! — krzyknęła Kora.

Ale tylko jej się wydawało, że krzyczy.

Dlaczego tak wcześniej zaczął się okres chorobowy?.. Kora powlokła się do okna — okno było otwarte. Ktoś w końcu usłyszy ją i przyjdzie. Ktoś przecież jest na zewnątrz. Przyjdzie...

I póki wlokła się do okienka, zrozumiała, że profesor miał rację: zostawili ją tu, by umarła podobnie jak Misza Hofman. Okazała się królikiem niepotrzebnym w tym doświadczeniu. Zresztą, co to za doświadczenie, skoro królik domyślił się, że jest zarażony? Lepiej niech zdycha w samotności.

— Pomocy! — krzyknęła Kora przez otwarte okienko. Na zewnątrz panowała cisza. Obóz spał.

Kora po omacku wróciła na pryczę. Jeszcze się nie poddawała, ale była już bliska rozpacz. Trzeba czekać... doczekać...

I zapadła w omdlenie.

Kolejny raz oprzytomniała z powodu gwałtownego światła, które uderzyło ją w oczy. Światło uciekło — to był promień latarki.

— Proszę ją sprawdzić, doktorze — dał się słyszeć przygłuszony głos pułkownika.

— Nie muszę sprawdzać — odpowiedział nieznajomy głos — drugie stadium.

— No to bierzcie ją.

Kora została ściągnięta z pryczy — rozumiała, że ręce ludzi, kładących ją na nosze, osłonięte są gumowymi rękawiczkami — bali się jej!

— Proszę — wyszeptwała — dajcie mi pić... rozumiecie, pić.

— Wkrótce się napijesz — odpowiedział pułkownik Raj-Raji. — Przyjedziesz do domciu, do mamusi i od razu poprosisz ją, żeby cię napoiła... No, nieście ją!

Kora poczuła, że zaczynają ją nieść, nosze kiwały się. Szli na górę... potem policzki ochłodziło nocne powietrze... niosą ją... dokąd ją niosą? Dlaczego jest tak ciemno?

— Z drogi! — krzyczał ktoś z przodu. — Odsunąć się, odsunąć! Szczególnie niebezpieczny ładunek! Do kogo mówię — na bok!

Budynek administracyjny był jasno oświetlony, światło budziło w Korze wstręt — takie ohydne białe światło!

— Proszę wyłączyć — poprosiła, ale nikt jej nie usłyszał.

Wody też nie dali? Ale coś obiecali? Obiecali, że mamcia ją napoi. A gdzie mamusia?

Korę zemdliło, marzyła o utracie przytomności, żeby nic nie słyszeć i nie czuć... Ale jak na złość ciągle była przytomna, wszystko słyszała i widziała.

Nawet udało jej się przyjrzeć tym, którzy ją nieśli — w długich do pięt błyszczących kitlach, w maskach i hełmach — ani centymetra odsłoniętego ciała.

Pułkownik, którego można było poznać tylko z powodu wzrostu i po sposobie zadzierania do góry głowy, był opakowany tak samo jak i reszta.

Korę niesiono po korytarzu na parterze. Potem nosze zostały wniesione do przestronnego jasnego pomieszczenia, pod ścianami którego znajdowały się jakieś pomiarowe i sterujące panele. To była sala przypominająca pokój dowodzenia atomowej albo wodnej elektrowni z ubiegłego wieku.

Kilku ludzi w identycznych płaszczach i maskach podeszło do noszy.

— Wszystko gotowe? — zapytał pułkownik.

Lekarz odezwał się:

— Musimy jej dać stymulator działania mięśni, bo zwali się tam na ziemię, i oni wszystko od razu rozumieją.

— A Pokrewskiemu to pomogło?

— Pokrewski był niemal zdrowy... to znaczy panował nad ciałem... my mu tylko wyłączyliśmy pamięć...

— Zuchy, zuchy! — zahuczał zbliżając się generał Lej, jego też można było zidentyfikować tylko na podstawie głosu. — Gdzie nasz radca Garbuj, który tylko czeka, kiedy mnie utracą i powieszą na pierwszej gałęzi? Gdzie jest ten nasz anioł stróż? Niech się napatrzy, co musimy z jego winy wyczyniać.

— Dlaczego z mojej winy? — Garbuz odezwał się zza szklanej przegrody, oddzielającej od sali galerię pierwszego piętra, jak reżyserkę w telewizyjnym studio.

— Boście odkryli im nasz sekret, radco. Gdyby nie to, wypuścilibyśmy ich zdrowych, żeby mogli humanitarnie zejść na łonie rodziny w domu. A teraz wypuszczamy ich na ostatnim dechu... Przecież to nie ludzie, a epicentra straszliwej zarazy. Aż boję się o Ziemię! — zarechotał.

— Proszę przestać, generale — poprosił Garbuz. — Nie mogę słuchać takich słów.

— Jakich?

— Słów zwierza nienawidzącego ludzi.

— Wie pan co, Garbuj? Jest pan tłustym chłopcem z dobrego domu, który w sumie nigdy nie dorósł. Potrafi pan załatwić dla siebie zabawki, ale nie chce pan widzieć, że dookoła umierają i głodują ludzie. Nie podoba się to panu? Z Ziemi też pan uciekł, bo liczył na cukierki. Dobrze, już je pan dostał. Proszę wysłać dziewczynę do domu. Mamy jeszcze jednego kandydata. Czeka za drzwiami... No!

— Zabijecie mnie — powiedział Garbuz.

— Sam w końcu umrzesz. Ze wstydu i nieczystego sumienia — odparł Lej. — Ja cię nawet palcem nie dotknę. Bo i po co mi to? Może nawet przydasz się w przyszłości. Wiem o tobie tyle, że sam będziesz wolał być najbardziej posłusznym radcą państwowym naszego wielkiego kraju! Zrobię cię szefem zarządu łupami! Będziesz sortował zdobycze z Ziemi — przecież świetnie się znasz na tych ziemskich pierdołach... No dobra, działaj!

— Generale...

— Nie prosz mnie o nic. I zrozum jedną prostą rzecz — nie jesteś nawet moim sojusznikiem, tylko trabantem, towarzyszem podróży. Idziemy sobie razem, potem się rozejdziemy. Zamiast zajmować się teraz humanizmem, lepiej mi pokaż, co tam się teraz u nich dzieje! U nich! Bo już tyle czasu minęło, jak wypuściliśmy pierwszych, a ty ciągle coś przede mną ukrywasz.

— Nie ukrywałem — obraził się Garbuz. — Nie mam nic do ukrycia. Ale to za wcześnie, by spodziewać się już wyników. To opinia naszych medyków. Zgodna z reakcją Hofmana. Za wcześnie, generale, przymierza się pan do prezydentury dwóch planet. Może się pan znaleźć dokładnie między nimi.

Generał wydał z siebie odgłos, jakby skierowany do uprzykrzonego komara, którego zaraz zmiażdży dłonią, ale dopiero za chwilę — teraz jeszcze patrzą humaniści.

Zastrzyk zrobiony Korze zadziałał. Poczula się nieco lepiej. O tyle, że mogła unieść głowę, kiedy na polecenie Garbuza technicy włączyli wielki ekran, wycelowany z góry, pod płaskim kątem na Simeiz, i to — jak się niemal od razu domyśliła — na ojczysty Simeiz, na Ziemi-2.

Działo się tam coś dziwnego.

Czy kręcono tam jakiś film?... Film pod tytułem „Po wojnie”. Albo „Po nalocie”... Nie wiadomo dlaczego, na ławeczce obok pomnika, leżała młoda kobieta, jej ręka zwisała bezwładnie do ziemi. Inne dwa ciała znajdowały się nieopodal, na końcu alejki. Śmigłowiec pogotowia ratunkowego stał na placyku obok, ale był pusty, nieruchomy, drzwi otwarte — nikt z nich nie wychodził, żeby pomóc chorym. W oddali na skrzyżowaniu pojawiła się jeszcze jedna karetka, miejscowa, naziemna, szybko przemknęła przez ekran i zniknęła...

Scena nie miała podkładu dźwiękowego, z głośników dochodził tylko syk.

Ten syk zagłuszył nagle triumfujący zwierzęcy ryk generała Leja:

— Mówiłem ci to, mać twoja taka i owaka. Mają niską odporność. Już tam zdychają, a my marnujemy czas!

— Nie sądziłem — wymamrotał Garbuz.

— Sądziłem — śmądziłem! Natychmiast szykować oddział awangardy! Nie marnujemy ani minuty! Słyszysz co mówię?

Ale nawet jeśli zaskoczony Garbuz słyszał, nie potrafił w niczym pomóc generałowi. Ten runął biegiem z sali kontaktowej, a Garbuz wrzasnął za nim:

— A co robić z Orwat?

— Z kim?

— Z Orwat i Kałninem? Oni są zarażeni, ale jeszcze nie wysłani!

— Zastrzel — poradził Lej.

Ale nagle w progu zatrzymał się i dodał:

— Zastrzelić zawsze zdążymy. Pilnie wyślij ich na Ziemię-2. Każdy wirus na wagę złota.

Kumaszczyk?

Generał zarechotał basem ze swojego żartu i zniknął, trzasnąwszy drzwiami.

Kora obserwowała, co się dzieje w Simeizie i zrozumiała, że tak naprawdę miał miejsce jakiś błąd w obliczeniu okresu wykluwania choroby. Okres inkubacji okazał się znacznie krótszy niż sądzono. Dlatego epidemia zastała Ziemię-2, czyli naszą Ziemię nie przygotowaną. Ale dlaczego Milodar nie podjął kroków... I nagle Kora z przerażeniem zrozumiała, że od jej przejścia mogło na Ziemi minąć diabli wiedzą ile czasu. Względność przejścia między światami, powodująca, że Hofman przenoszący się zaraz po Korze, znalazł się u celu przed nią, może powodować, że minęło tylko pięć minut... A tu — proszę, goście. Chorzy goście.

— Przepraszam — Kora rozumiała, że nie może tracić ani sekundy czasu — może rzeczywiście nas już tam wyślijcie?

— Nie radzę — odezwał się nagle Garbuz. — Znam mały sekret: my tu mamy lekarstwo na dwudniową dżumę, antidotum. Przynajmniej nie umrzecie, a tam — sami widzicie.

— Może zdołam kogoś uprzedzić, wyjaśnić, co się dzieje!

— Bzdura. Spóźniliście się.

— No to proszę powiedzieć, gdzie można zdobyć szczepionkę?

— Proszę nie opowiadać bzdur! Przecież trzeba by was było zawieźć do Instytutu na Północy... a na to musimy mieć zgodę generała Leja.

— Czyli nie może pan nam pomóc? Szczepionka jest tylko dla was?

— Możemy zaryzykować. Najpierw was ukryjemy i gdy tylko działania militarne przeniosą się na wasz świat, po kryjomu wyślemy was na Północ. Generał Lej będzie zajęty czym innym, a my wtedy...

— Ona umrze — powiedział Kałnin.

Wszedł sam, pielęgniarka go tylko podtrzymywała. Ale wyglądał — jak mówi ludowe powiedzonko: ładniejszych do grobu wkładają.

— Co? — nie dosłyszał Garbuz.

— Ja też umrę — dodał Eduard Oskarowicz. — Zresztą, ciebie to nie rusza...

— Nieprawda! Korwat może potwierdzić...

— Kora Orwat!

— Nie czepiajmy się drobiazgów. Kora może potwierdzić, że sam zaproponowałem, by tu pozostała. Jak tylko ruszy pierwsza fala ataku, przeniosę was do kliniki, gdzie mają odtrutkę na dżumę. Obiecuję!

Kora słuchała tej rozmowy, w uszach jej szumiało, nie spuszczała oczu z ekranu, na którym widoczny był Simeiz. Kamera wolno przemieszczała się, pokazując aktualnie pustą plażę, tylko nieopodal brzegu kiwał się na falach nadmuchiwany pomarańczowy materac, a na plaży leżało pasiaste prześcieradło...

Morze było puste. Nie wiadomo, jak daleko sięgnęła już epidemia. Trzeba koniecznie jak najszybciej znaleźć Milodara i wszystko mu wyjaśnić!

— Wyślijcie mnie tam! — krzyknęła. — Bydlaki, zabójcy!

— W żadnym wypadku! Nie jestem mordercą! — powiedział z dumą Garbuz, zupełnie jakby

odmówił odcięcia Korze głowy, jakby kat włożył mu do łapy topór, a on ze wstrętem go odrzucił.

— Mnie też — powiedział Kałnin. — Nie wierzę ci, Witia. Nie uda ci się załatwić dla nas kliniki, bo ciebie samego mogą tam nie wpuścić.

— Tu już przesadziłeś! — Garbuz znowu się obraził. Ciągle chciał być człowiekiem z władzą. Chciał rozdzielać bonusy.

To był spór o pietruszkę, pusty i szkodliwy; przerwał go pułkownik Raj–Raji odziany w ochronny komplet z pistoletem w długiej łapce.

— Dlaczego oni jeszcze tu są? — wrzasnął wymachując bronią. — Dlaczego nie są wykonywane rozkazy generała Leja? Sabotaż! Rozwalę!

Pistolet niedwuznacznie celował w pana radcę Garbuza, i ten zrozumiał, że nie doczeka pojawienia się jakichś silnych protektorów.

— Już przygotowuję... Sekundę...

Nosze z Korą stanęły na suwadłach, Garbuz krzątał się przy pulpicie i coś do siebie mamrotał — Kora, w przeciwieństwie do pułkownika, słyszała to mamrotanie:

— Odpowiesz mi za wszystko... Wszyscy zapłacicie. Nie myśl sobie, że jest taki samotny...

— Gotowe! — zameldowała pielęgniarka.

— Zaczął się przerzut — powiedział głośno Garbuz.

Pielęgniarka pchnęła nosze, a te, rozpędzając się, potoczyły się w dół, w kierunku otwartego okna przerzutnika.

Na mgnienie oka nieprzenikniony mrok otoczył Korę.

Leciała w nieskończoność, w nieznaną, nie spenetrowaną głębinę.

I znalazła się w swoim świecie.

Leżała nieopodal morza — słyszała jak na przybrzeżny żwir napływają fale i spełzają z powrotem, poruszając kamyczki, układając je dla następnej fali, by zaszumiała równo. Kora jakby spadła z urwiska, ale nie rozbiła się, tylko podchwycona przez silne ręce, opadła na kamyczki.

Jeśli nie liczyć równomiernego ruchu fal, panowała cisza, cisza śmierci czy może milczącego umierania. I wtedy, zrozumiałwszy, że wróciła na swoją Ziemię, ale wróciła za późno, by jej pomóc, i pewnie tylko po to, by tu umrzeć, wraz z mnóstwem niewinnych ludzi, Kora uniosła się na łokciu, usiadła i z całej siły, kalecząc dłoń, zaczęła uderzać ręką w kamienie.

— Świnie! — wrzeszczała. — Nie liczcie na żadną litość! Skorpiony opite krwią, wampiry z pagonami! Bandyty z grzywkami! Hitlerzy domorośle!

— Poczekaj — przerwał jej jakiś głos, cień człowieka padł na kamyczki przed nią. — Ładnie się wyrażasz, ale para idzie w gwizdek! Przestań mi tu histeryzować!

Głos należał do Milodara i komisarz był naprawdę bardzo zagniewany, albo tylko udawał gniew.

— Jestem winna — z trudem wykrztusiła Kora, ponieważ na widok zawisłej nad nią, trzymającej się pod boki postaci komisarza Interpolu, jakby uszło z niej powietrze i jednocześnie znikła chęć walki, ale też strach i rozpacz. Zostały tylko mdłości i senność. — Nic nie zrobiłam, komisarzu. Nawet Miszy Hofmana nie uratowałam...

— Ach, to znaczy, że potwierdzasz to? Miałem nadzieję, że ci pierwsi wysłannicy coś poplątali.

— A epidemia... Dwudniowa dżuma?

— Szkoda Miszy — powiedział komisarz. — No, wstawaj!

— Nie mogę — powiedziała Kora.

— Ja ci dam „nie mogę”! — zagroził Milodar. — Jesteś jedynym agentem, który zna rozmieszczenie tamtych pomieszczeń. Pójdiesz tam.

— Nie pójdę — odparła Kora.

Mimo skruchy i rozpacz, czuła, że jest tylko w połowie przytomna.

Obok niej stał lekarz... znajomy jakiś... Ach, widziała go cztery dni temu w piwnicy willi „Ksenia”.

— Proszę ją doprowadzić do przytomności, doktorze — powiedział Milodar.

— To niemożliwe — powiedział doktor. — Przecież pan widzi, że ledwo zipie...

— Dziękuję panu — wychrypiała Kora.

— Nie straciła poczucia humoru — zaoponował komisarz. — Czyli będzie żyć. A ja wyjaśnię panu wszystko po ludzku. Nie wiemy, co oni tam zrobili z ciałem Miszy Hofmana. Może jest w komie, może zamrozili jego zwłoki — może mózg nie został jeszcze zniszczony przez chorobę. Nie możemy zostawiać agenta na pewną śmierć, jeśli mamy choćby minimalną szansę przeniesienia jego umysłu do innego ciała.

— No to niech pan tam przetrzuci innych agentów, pogada z tamtejszymi wojskowymi, wyjaśni im, co się dzieje...

— Doktorze, sam pan nie wierzy w to, co plecie. Ile zajmie nam to czasu uwzględniając, że jesteśmy z nimi w stanie wojny, a oni uważają, że Ziemia już jest przygotowana do inwazji. Musimy odeprzeć atak, a pan mi tu mówi: „Pogadajcie z nimi! Wytłumaczcie, wyjaśnijcie!”! Bzdura, panie doktorze. Jest tylko jedna szansa — Kora Orwat!

— A jak pan to sobie wyobraża?

— Bardzo prosto. Pan doprowadza ją do stanu używalności. Przy okazji proszę jej zaaplikować antidotum na dżumę.

— Nie da rady.

— Koro — poprosił Milodar — jeśli podleczyliśmy cię teraz, zgadzasz się skoczyć tam z powrotem? Tylko się nie obawiaj, ja będę przy tobie.

— Ja się nie boję, komisarzu — powiedziała Kora. — Ja po prostu nie mogę.

— Zuch! — powiedział Milodar. — Nosze! Śmigłowiec! Flyer! Daję panu, doktorze, pięć minut. Za pięć minut odlatujemy do świata paralelnego.

— To niemożliwe — odpowiedział lekarz, jednocześnie podejmując akcję przywracania Kory do życia. Na podkładzie flyera, kiedy odbywał się przelot do bazy zarządu, Kora została wprowadzona w głęboki sen. Trzy sekundy takiego snu równały się dziesięciu minutom snu zwykłego.

Póki spała, zostało wykonane całkowite przetaczanie krwi, zregenerowano komórki szpiku kostnego i oczyszczono tkanki wewnętrzne z wirusa dwudniowej dżumy.

Kiedy doszła do siebie, przeświadczona, że spała co najmniej dziesięć godzin; głowa bolała ją nie tyle z powodu dżumy, co wyczynianych nad nią egzorcyzmów medycznych, ale ogólnie — choć słaba, czuła się gotowa do każdego rodzaju walki o sprawiedliwość.

Podniosła się i usiadła na łóżku, lekarze cofnęli się, ponieważ sami nie byli przygotowani na tak szybkie jej ozdrowienie, po piwnicach willi „Ksenia” przetoczyły się dzwonki i syreny, wzywające do Kory komisarza Milodara i najmilszą ze staruszek, Ksenię Michajłówną Romanową, również przygotowaną do ostatniej fazy operacji.

— W porządku? — Milodar wpadł do bunkra. Ubrany był dość dziwnie i — jak dla Kory — niezwykajnie. Nie będąc jeszcze etatowym pracownikiem Interpolu nie podejrzewała, że każdy agent, inspektor czy komisarz ma kilka mundurów na różne okazje. Teraz właśnie przyszło jej zobaczyć komisarza Milodara w bojowym odświętnym mundurze, przywdziewanym tylko na coroczną paradę organizacji w Centrum Galaktycznym, a symbolizującą zwycięstwo nad siłami chaosu. Od jasnoblękitnego, częściowo tylko odbijającego światło, ciasno przylegającego do ciała munduru ze wspaniałymi bufami, zdobionymi płonącymi, przelewającymi się barwami epoletami, aż do wysokiego nakrycia głowy, mającego swój pierwowzór w trójnogu Napoleona, ale przybranego białymi strusimi piórami i obficie wyhaftowanego złotą nicią, aż do ciężkich na oko wysokich butów z wpasowanymi w podeszwy wysuwanymi brzytwami, mogącymi przepiłować stalowe drzwi, do orderów i odznak, upiększających pierś komisarza, był ten mundur marzeniem żołdaka, bajką dla nienasyconego w dzieciństwie zabawami feldmarszałka i źródłem drżenia dla tego, kto aż do głębokiej starości pozostanie w duszy kapralem.

— Idziemy — powiedział Milodar do Kory. — Póki jeszcze przejście jest otwarte. My im nie przeszkadzamy. Lada moment zamierzają pchnąć przez przerzutnik swoje wojsko. Generał Lej na białym rumaku już harcuje na placu po tamtej stronie.

— A my dokąd? — słabym jeszcze głosem zapytała Kora.

— Przecież wiesz: uratować i okrutnie się zemścić! — zakrzyknął Milodar, który też nie nabawił się do syta w dzieciństwie.

— Ach... — Kora wstała i zachwiała się. Medycy podchwycili ją, a garderobiani, którzy wbiegli za Milodarem wykorzystali tę chwilę. W dwie minuty Kora została wpakowana w uniform, przypominający mundur Milodara, ustępujący mu co prawda w liczbie naszywek i błyskotek. Szczupła, ze stromymi piersiami, postać młodej agentki przykuwała powszechną uwagę.

— Koniec! — krzyknął Milodar. — Koniec! Lecimy!

— Która godzina? — zapytała Kora, ciągle jeszcze dezorientowana i zmieszana. — Ile czasu minęło?

— Od chwili, kiedy wróciłaś — siedemnaście minut. Rozumiesz więc, że mamy bardzo mało czasu.

— Osiemnaście minut? Myślałam, że jakieś dziesięć godzin.

— To efekt błyskawicznego snu — wyjaśnił doktor.

Kora nie marnowała już czasu, a tym bardziej sił na rozmowy — zrozumiała, że nie może, mimo jej niezaspokojonego życzenia walnąć się w kilkudniowy sen, musi teraz iść i spełnić rozkazy Milodara... Szczególnie, że i ona tego pragnie! Jeśli istniała choćby mała szansa na uratowanie Miszy i przywrócenia go do życia, to musi z niej skorzystać...

— Spójrz — polecił Milodar, kiedy przechodzili obok lustra.

Kora zatrzymała się, zamarła, nie mogąc pojąć, co to za bajeczne, rajske ptaki i przy tym groźne istoty patrzą na nią — przecież to Milodar i ona... Milodar pociągnął Korę:

— Tylko nie trać animuszu, kiedy już tam będziemy!

Weszli do kolejnej sali.

— Przygotuj się — powiedział Milodar.

Przed nimi stały dwa sarkofagi. Stały w pionie, na sztorc, i — ponieważ tak nigdy nie stoją — Korze skojarzyło się to miejsce z jakimś muzeum w trakcie ewakuacji.

Pokrywy sarkofagów rozchyliły się.

— No to idziemy — powiedział Milodar.

— Po co? — zapytała Kora.

— Czy ty myślisz, że udamy się tam w naturalnych postaciach, żeby jakiś porębany pułkownik mógł nas zastrzelić?

Milodar jako pierwszy wszedł do swojego sarkofagu. Korze nie pozostało nic innego, jak starając się nie chwiać na nogach uczynić to samo.

I nagle z jej ciałem stało się coś dziwnego, coś, co było tak dobrze znane Milodarowi i niektórym innym pracownikom Intergpolu, którzy zastępowali siebie podczas odpowiedzialnych i niebezpiecznych misji własnymi hologramami. Dla Kory było to oczywiście nowe doświadczenie.

Rozumiała, że coś się z nią dzieje w tym ciemnym sarkofagu.

Jakby, niczym larwa, wyłaziła ze swojego twardego kokonu i nabierała motylej lekkości ruchów i możliwość szybowania nad światem.

I kiedy pokrywa sarkofagu otworzyła się, a Kora znalazła się na ulicy przed willą „Ksenia”, to ta lekkość wydała się jej po prostu oszałamiająca.

Popatrzyła na prawo — tam z identycznego sarkofagu wyszedł równie lekki i znany jej Komisarz. Ale teraz Kora już rozumiała, skąd się brała ta lekkość ruchów komisarza — był wtedy własnym hologramem.

Czyżby i ona była hologramem?

Zapytała o to komisarza.

— Oczywiście — odparł. — Przecież cię uprzedzałem, że kocham swoje życie i mam nadzieję, że to wzajemne uczucie.



- A ja?
- Ty też.
- To znaczy, że jestem teraz hologramem?
- Oczywiście.
- A gdzie jestem?
- Pytasz o tę prostą, fizyczną, nieczystą powłokę?
- Niech pan ją nazywa jak chce. Mnie się podoba.
- Została w przechowalni.
- W sarkofagu?
- My nazywamy je trumienkami. W każdym moim gabinecie znajduje się taka trumienka.
- Czy teraz można do mnie strzelać?
- Tak!
- A czy mogę przechodzić przez mury?
- To niezbyt bezpieczne i młodym pracownikom nie zaleca się takich działań. Można stracić część swojej substancji w przeszkodzie, i tego się już nie da odtworzyć.

— A czy mogę stracić paluszek?

— Możesz nawet główkę — odpowiedział komisarz dostosowując się do tonu Kory.

— To może nie rozmawiajmy o przykrych rzeczach — powiedziała Kora. — Idziemy?

I pognali, ledwo dotykając ziemi stopami, w kierunku urwiska, gdzie znajdowało się przejście między światami i gdzie lada moment miało się zacząć gigantyczne natarcie generała Leja.

Centralna aleja Simeizu wyglądała równie przygnębiająco jak podczas podglądania jej z aparatury równoległej Ziemi. Na ławeczkach dygotali w agonii i skręcali się umierający ludzie, medycy w białych fartuchach usiłowali im pomóc, kilka karet przemknęło obok, ale całe nieszczęście polegało na tym, że i lekarze nie byli uodpornieni na dżumę i jakoś tak łatwo i szybko poddawali się chorobie.

— Boże! — zdenerwowała się Kora. — Czyżby do tej pory nie można było podjąć odpowiednich kroków?

— Bo nie chcieliśmy — odpowiedział raźnie Milodar.

— Ależ ludzie cierpią, umierają...

— To ciebie nie dotyczy, nimi zajmują się specjaliści. A ty powinnaś uratować jednego chorego, mojego pracownika.

— Mnie się to bardzo nie podoba, komisarzu — odparła Kora. — Pan dość bezczelnie dzieli świat na dwie części...

— Na moich agentów i resztę — dokończył myśl Kory Milodar. — Ale to właśnie jest prawdziwy profesjonalizm. Każdy mój agent musi wiedzieć, że dzień i noc troszczyć się o niego. I jeśli przestałem nad nim czuwać i troszczyć się o niego, to oznacza to, że agent jest już mi niepotrzebny, albo potrzebniejszy jest martwy.

Taki tupet zamknął usta Kory; umilkła i milczała aż do przerzutnika.

W miarę zbliżania się do urwiska liczba chorych i umierających, oraz leżących na ziemi ciał rosła.

— Co za koszmar! — jęknęła Kora. — Dlaczego nie są stąd wywożeni?

— Nie mamy tylu samochodów i flyerów. Powiadomiliśmy Moskwę, pomoc nadchodzi!

— Tylko żebyście nie zarazili całej Rosji! — rzuciła Kora, której strasznie żal było chorych, na dodatek nie wiedziała, czy sama już jest wyleczona ostatecznie. Ale jeszcze bardziej współczuła tym, którzy dopiero mieli zachorować.

Ominąwszy flyer pogotowia, do którego sanitariusze wciągali trupa młodej dziewczyny, Kora i Milodar znaleźli się nad przepaścią. Urwisko zmieniło wygląd. Zamiast pionowej ściany znajdowała się teraz tu starannie wykonana, kręta, ale jednak pochylnia, oplatana sznurowymi drabinkami. A samo miejsce przejścia do paralelnego świata otoczone było słupkami, żarówkami, miedzianym drutem i jakimś świecącym pasmem, nie mówiąc już o polu siłowym.

— Trzymasz się? — zapytał Milodar.

— Trzymam.

— Nie zapomnij, że jesteś hologramem i nic ci nie grozi.

— Dobrze — odpowiedziała Kora, i tak nie wszystko do końca rozumiejąc.

— No to śpieszmy się. Musimy wejść do tamtego świata przynajmniej minutę przed ich wtargnięciem tutaj. Inaczej zacnie się taka przepychanka, że trzeba będzie kogoś zastrzelić. Diabli wezmą humanizm. Ja nie wykaraskam się bez nagany, a ty pożegnasz się z pierwszym w swoim życiu dyplomem uznania od Ministra Galaktycznej Bezpieki.

Pracownicy Interpolu, przywierali do ściany urwiska, ale jednocześnie machali rękami, kiwali, mrugali i dawali inne znaki Korze i Milodarowi, akceptując ich działania i dając do zrozumienia, że wiedzą jak niebezpieczne stoi przed nimi zadanie.

Trzask! — pękła błona między światami.

Trzask! — jeszcze raz pękła za plecami Kory.

To wszedł komisarz Milodar.

Kora zacisnęła powieki. Oczekiwała wszystkiego, tylko nie tego, że stanie oko w oko, właściwie — nos w nos z białym ogierem, kierowanym przez jeźdźca ku wrotom przerzutnika.

A za jeźdźcem widniały tępe ryje transporterów opancerzonych, a jeszcze dalej widać było kolumny żołnierzy w luźnym dość szyku, wszyscy w strojach maskujących i w maskach przeciwgazowych.

Ale jeszcze bardziej pojawienie się Kory i Milodara zdziwiło i wystraszyło jeźdźca na białym koniu, w paradnym mundurze i opancerzonym hełmie, a mianowicie generała Leja: oczka malutkie i płonące jak węgielki, kości policzkowe zachodzące aż pod hełm i wyraz twarzy najbardziej bandycki z możliwych, tylko usta i nos zakryte maską.

I nagle wyraz twarzy generała zmienił się. Od strachu przeszedł do urazy, takiej dziecinnej, jaką odczuwa dzieciak, który wyciągnął rękę po cukierek i zobaczył, że znacznie silniejszy chłopiec już ten cukierek mu sprzed nosa zabiera.

— Jestem hologramem, jestem hologramem — powtórzyła Kora w myślach, zanim opanowała się i stanęła na drodze konia, a ten wybrał sobie właśnie tę chwilę, by stanąć dęba i zwalić na trawę Zdobywcę Ziemi.

To spowodowało, że natychmiast zatrzymały się rycząc silnikami czołgi i transportery, zbiła się w kupę zuchwała piechota.

A stało się to nawet nie tyle z powodu nieoczekiwanego upadku przywódcy, co przez tajemnicze i obrzydliwe dla nieuzbrojonego oka lśnienie, jakim emanowały mundury Kory i jej niskiego towarzysza.

Dla każdego żołnierza i oficera armii najeżdżającej nieznaną świat, na dodatek mającej maszerować w naciągniętej na nos masce ochronnej, wejście do przerzutnika jest strasznym przeżyciem: należy zrobić krok w nieznaną, i nawet obecność z przodu odważnego generała na białym koniu w niewystarczającym stopniu uspokajała, ponieważ każdy żołnierz wie, że generałowie zawsze jakoś potrafią wrócić do domu po wypłatę, a żołnierze zostają na obczyźnie pod mogiłnym pagórkiem, jednym na cały pluton.

Kora zatrzymała się obok generała, usiłującego — odpychając się łokciem od ziemi — wyciągnąć nogę ze strzemięcia, ale Milodar po francusku, żeby nie zrozumiał Lej, kazał jej biec do budynku administracyjnego, by wyjaśnić jak się mają sprawy z Miszą. Czy spełni się słaba nadzieja na to, że porażony wirusem spędził ostatnią dobę w głębokiej komie, przypominającej śmierć, czy też Misza zginął ostatecznie i nie uda się go ożywić?

— Biegnij tam — polecił w obcym języku Milodar. — Możesz to zrobić szybciej od wszystkich. Jeśli go znajdziesz — od razu daj mi znać.

Kora ominęła generała i potruczała do najbliższego czołgu.

Bardzo miło jest wiedzieć, że żadna armata nie jest w stanie wyrzucić ci krzywdy. Jednak, cokolwiek by o tym mówić, kiedy człowiek biegnie wprost na armatę i zagląda w jej lufę, zwątpienie w siłę hologramu czasem go nie opuszcza.

Dla żołnierzy, gotowych do podboju Ziemi, Kora była jakąś całkowicie nadnaturalną istotą. Odziana w połyskujący mundur, odbijający i jednocześnie przepuszczający światło, pędziła ku budynkowi, a jedni żołnierze pryskali na boki, inni przykucali w panice, jedna z armat już miała wystrzelić, ale znieruchomiała w oczekiwaniu — tylko z wnętrza czołgu dochodziły niewyraźne odgłosy bójki.

Tak więc, na podobieństwo noża w maśle, Kora przebiła się przez kolumnę szturmowców.

Z prawej miała długi barak, w którym spędziła wiele gorzkich, ale i pouczających chwil. W drzwiach baraku stały dwie pielęgniarki. Przykucnęły na widok Kory, nie rozumiejąc nawet, że lepiej byłoby zwać do wnętrza budynku. Kora pogroziła im pięścią, ale nie zatrzymywała się — z pielęgniarkami policzy się później.

Oto i budynek administracji.

Lśniaca postać jak z powieści fantastycznych zbliżyła się do bloku, stojący przed nim medycy i szczyry sztabowe, obserwujący z oddali początek uroczystego triumfalnego najazdu, prysnęli na boki.

Kora weszła do wnętrza.

Na szczęście wartownik przy wejściu tak się wystraszył, że nie uciekł.

— Stój! — rozkazała Kora.

Wartownik drgnął, wyciągnął się na baczność.

— Gdzie znajduje się ciało zabitego przez was... — Oczy wartownika patrzyły kompletnie bezmyślnie. — Gdzie leży zmarły?

— Melduję, że nie wiem.

— Gdzie dowództwo? No, jest tu ktoś?

— Melduję, że nie wiem.

— Gdzie jest twój dowódca?

Wartownik wskazał sufit. Słowa nie przechodziły mu przez gardło.

Kora wbiegła na piętro, pobiegła mijając pootwierane drzwi — wszędzie pusto. Nie stąd kierowano operacją podboju Ziemi. Może ciało Miszy też ewakuowano?

Usłyszała jakieś głosy. Głucho rozbrzmiały w korytarzu. Trzasnęło coś, chyba drzwi.

To tu, przy klatce schodowej. Jakiś żołnierz z kimś rozmawiał. Może to dogonił ją Milodar. Kora pobiegła z powrotem. Pusto. Wartownika też już nie było.

Ale coś nie pozwalało Korze opuścić budynku. Choćby dla spokoju sumienia powinna zejść do piwnicy, gdzie w nocy leżał martwy Misza Hofman. Może tam znajdzie jakieś ślady.

Cisza. Wszyscy są na froncie...

Kora zeszła schodami do piwnicy i pobiegła korytarzem do szklanego boksu. Poruszenia tkaniny jej munduru rzucały na ścianę różnobarwne zajaczki. Jakby zaczęło się jakieś święto.

Drzwi w boksie były uchylone, za nimi panował nieład, jakby przerwano pośpieszną ewakuację; może spenetrowali to miejsce niezręczni szabrownicy.

Druga wersja okazała się znacznie bliższa prawdzie.

Wystarczyło by Kora zrobiła krok za szklaną przegrodę, jak przed nią rozległo się szuranie, stukanie.

— Kto tu jest? — zapytała głośno Kora.

Z pomieszczenia wyskoczyły dwie pielęgniarki w żołnierskich butach i rzeźnickich fartuchach, pod którymi usiłowały ukryć toboły z szabrem.

Na widok Kory zaczęły piszczeć, podkasały długie fartuchy i rzuciły się do ucieczki, omal nie wywróciwszy Kory.

Ta nie zwracała na nie uwagi ponieważ zobaczyła, że ostatnie szklane drzwi, te prowadzące go boks, w którym umarł Hofman, były strzaskane pociskami albo młotem... Kora w pierwszej chwili nie rozumiała, co to może oznaczać — Misza nadal leżał jak i wtedy, kiedy go ostatnio widziała, ale pochylała się nad nim wysoka postać i zajęta była dziwną czynnością — ściągała ze stóp Miszy buty...

Kiedy Kora wpadła do boks, Człowiek zdejmujący obuwie, słysząc wizg szabrowniczek, odwracał się właśnie, trzymając but w dłoni.

I mimo że pułkownik Raj-Raji był w ubraniu ochronnym i masce, zasłaniającej nos i usta, Kora poznała go od pierwszego spojrzenia, on ją — chwilę później, ponieważ ona dopuszczała myśl, że może go tu spotkać, a on był przekonany, że żywej już jej nie zobaczy. Tym bardziej — we wspaniałym i chyba generalskim mundurze.

Nie potrafił odmówić sobie buta, ludzie na paralelnej Ziemi mieli lepkie ręce, pułkownik nie wypuścił z ręki buta, ale zaczął wyciągać z kabury pistolet.

— Przestań, pułkowniku — wolno powiedziała Kora, świadoma już całkowicie swej odporności na jego pociski. Na dodatek widziała jasno, że ten bydlak boi się jej śmiertelnie.

Jakaż kobieta przy spotkaniu z tak ohydny męczyzną nie lubi odczuwać swojej przewagi!

— Precz! — pisnął pułkownik, ale ten pisk spod maski niemal był nie słyszalny. Oczy, ciągle jeszcze czarne, rozpalone, przeszywające, zamgliły się, ale nijak nie potrafił rozstać się z butem i nagle, jakby przekazywał komunikat o pogodzie, wyciągając but do Kory zagadał:

— Naturalna skóra, prawdziwa! U nas takich już się nie robi!

I kiedy Kora zaskoczona tymi słowami wyciągnęła rękę, by posłusznie obmacać but, pułkownik zaczął do niej strzelać. Strzelał gęsto, z szybkością, na jaką pozwalał mu zginający się na spuście wskazujący palec.

Oczywiście, nie mógł zaszkodzić przebywającej na innej Ziemi Korze, ale pewne oddziaływanie pocisków na substancję holograficzną miało miejsce, dlatego mundur Kory i jej ciało gwałtownie nasiliły świecenie, Kora zapłonęła iskrzącym się światłem. Oślepiiony pułkownik strzelał z zaciśniętymi powiekami i przy tym wrzeszczał pod maską, jakby to nie on strzelał, a Kora go przypiekała.

Oczywiście, incydent ten nie mógł ujść uwadze komisarza Milodara, którego zatrzymały przy wejściu do obcego świata sprawy państwowe, związane z likwidacją napaści.

— Co się tam u ciebie, dziecko, dzieje? — zapytał zagłuszając huk wystrzałów i brzęk rozpadających się kolb i przyrządów.

— Rozstrzeliwuje mnie pewien miejscowy pułkownik. Sadysta i niegodziwiec.

— Po co on to robi?

— Bardzo się przestraszył, kiedy go nakryłam na okradaniu ciała Miszy.

— To znaczy, że masz go? — krzyknął radośnie Milodar. — Czy jest mocno martwy?

— Nie mogę podejść, pułkownik jeszcze nie wystrzelał wszystkich swoich nabołów — odpowiedziała Kora, którą łaskotały wystrzały. Było to fałszywe odczucie, w rzeczywistości tylko wydawało się jej, że odczuwa łaskotki.

— Biegnę do ciebie! — oświadczył komisarz. — Tylko zabiorę medyków.

Wtedy Kora, spokojna o najbliższą przyszłość, skierowała się do pułkownika, jakby chciała wziąć z jego dygocącej dłoni but, a pułkownik, wystrzelawszy wszystkie naboje, zrozpaczony zaczął walić Korę po głowie ręką pistoletu. Tego akurat nie powinien był robić — jego ręką swobodnie przechodziła przez głowę i ciało Kory, ale zawarte w niej pole elektryczne, przekazało na pułkownika część lśnienia oraz wzmocniło jego podniecenie do niewyobrażalnego poziomu, którego Kora nawet nie podejrzewała.

Z dzikim wzrokiem, tępo powtarzając:

— Zabiję! Wszystkich pozabijam! — pułkownik przyłożył rewolwer do skroni i zaczął naciskać na spust.

Kora jak zaczarowana wpatrywała się, jak po każdym trzasku bęben rewolweru przesuwają się o jedno gniazdo — a ono też jest puste, rozlega się suchy trzask, znowu obraca się bęben. A po szóstym obrocie okazało się, że w bębnie jednak zachował się jeden pocisk.

Pułkownik runął na podłogę jak długi, zwałił się na pryczę, na której leżał zwinięty w kłębek, niczym zmarznięte niemowlę, Misza Hofman.

Właśnie w tym momencie do piwnicy wbiegli dwaj medycy w pancernych strojach, z samobieżnymi noszami na poduszce powietrznej.

— Który z nich? — zapytał pierwszy z nich spod opuszczonej przysłony hełmu.

— Tego z góry zostawcie. Zapytam komisarza, czy warto go ożywiać.

— Nie uda się — skrzywił się medyk. — Przecież rozwalił sobie mózg.

— Słusznie — zgodziła się Kora. — Sprawdźcie więc Miszę Hofmana. Milodar powiedział, że według naszych badań, człowiek drugiego dnia po zakażeniu dżumą wpada w śpiączkę... Czyli, może się udać.

— Zobaczymy w domu — powiedział medyk.

Pokrywa noszy odchyliła się; manipulatory delikatnie przeniosły do wnętrza ciała Miszy.

Wszystko odbyło się błyskawicznie — pocisk noszy odfrunął, przyspieszając, a za nim pędzili medycy.

Kora popatrzyła na pułkownika Raj-Raję.

Nie wzbudzał już strachu. Maskę spadła z jego twarzy, usta rozchyliły się... Wąsiki nad górną wargą wyglądały jak przyklejone.

Kora uświadomiła sobie, że wcale nie żałuje pułkownika, chociażby dlatego, że i jemu takie uczucie było nieznanne.

Wyszła z budynku.

Póki szła po korytarzach zastanawiała się: dlaczego ci ludzie zajmowali się grabieżą? Przecież miłsze byłoby grabienie Ziemi? Ale telewizor z małym czarno-białym ekranem, stojący przy posterunku w wejściu i pokazujący szczegóły ataku na Ziemię-2, jednoznacznie ukazywał, że wielki najazd pękł z równie wielkim hukem. I pewnie pułkownik, zanim pobiegł po buty Hofmana, zdążył zobaczyć jak z konia zwałił się sam generał Lej.

Teraz ekranik pokazywał zupełnie inną i jeszcze dziwniejszą scenę.

Generał Lej siedział na składanym połowym krzeselku. Naprzeciwko niego zasiadał na bębnie hologram komisarza Milodara, choć generał Lej nie wiedział, że to hologram. I wysokie strony

dogadywały się.

Na ulicy, na stopniach budynku siedział zgarbiony profesor Garbuz. Jakimś cudem zdołał dobiec tu z willi „Raduga”.

Zobaczywszy Korę zdziwił się rzecz jasna, potem zapytał:

— Dzień dobry. Tak szybko panią wyleczono?

— Nie, jeszcze muszę długo się leczyć — odparła Kora. — Ale musiałam wrócić po Miszę Hofmana.

— Tak — powiedział Garbuz — poszaleliśmy sobie w składzie porcelany. Oto co znaczy nie wierzyć w postęp.

— Jak sędzę, do pana — powiedziała Kora — nikt nie żywi niechęci. W każdym razie my z Kałninem będziemy pana bronić.

— Nie wiem tylko, czy to wystarczy — powiedział Garbuz. — Wszystko ucichło. Sędzę, że prowadzone są pertraktacje.

— Tak, dopiero co widziałam w telewizji, że nasz komisarz już układa się z generałem Lejem.

— To znaczy, że położę łeb na pieńku — powiedział głosem skazańca Garbuz.

Dzielił się ze swoją koleżanką nieszczęściem: zleją tyłek za zgubione klucze do domu. Będą lać...

— Jeszcze się pan przyda — pocieszyła go Kora. — Wiem to na pewno. Będą się o pana bili.

— Tak pan sądzi? — W oku Garbuza błysnęła nadzieja. — No tak, przecież nie można mnie zaliczyć do zbrodniarzy wojennych?

— Chodźmy — powiedziała Kora, widząc, że do budynku zmierza jeszcze jeden jeep. — Może to maruderzy, a ja nie mogę pana obronić. Jestem przecież tylko hologramem, własną trójwymiarową kopią.

— Naprawdę? Nie wiedziałem. Jak to się robi, na jakiej zasadzie to działa?

Garbuz posłusznie pobiegł za Korą i chociaż dziewczyna nie mogła dokładnie wyjaśnić mu szczegółów rozwoju holografii na przestrzeni ostatnich wieków, to on sam wywlekał z jej bezładnej opowieści potrzebne sobie detale i pojękiwał z radości. Można było pomyśleć, że teraz rzuci wszystko i przejdzie do holografów.

I tak, kryjąc się za barakami i krzewami, dotarli do przejścia.

Było tam cicho i spokojnie, pokojowo, ale scenografia — przekonująca.

Jak okiem sięgnął do przejścia podciągały i zatrzymywały się oddziały pancerne, zmotoryzowana piechota, a nawet kawaleria. Pozbawione rozkazów jednostki zwierzały szeregi i Kora z Garbuzem ledwo przedarła się do miejsca pertraktacji Leja z Milodarem. Garbuz przywarł do Kory, a ta osłaniała go swym łśnieniem.

W końcu udało im się dotrzeć do Milodara.

Garbuz, wężchem fizyka-eksperymentatora, od razu wyczuł w Milodarze prawdziwego szefa i zachwiał się, gotów runąć na kolana. Generał Lej, wcale nie wyglądający na pobitego i poniżonego,

powiedział:

— Aha, już się podczepiłeś! Gdyby nie ty, nie cierpieliby ludzie.

— Oczywiście... — Od razu zgodził się Garbuz.

— Czy to on tu sprowadził armię? — rozzłościła się Kora, wskazując rękami wojskowe hordy

Leja.

— Sprowokował nas — szybko odpowiedział generał.



Kiedy Kora z Garbuzem przeszli do naszego świata, spotkała ich tam Ksenia Michajłowna. Odmłodziła, wspaniale się czuła i odrobiła swoje lekcje — okazało się, że nawet zapoznała się z pewnymi pracami Garbuza. Ten topniał powoli, wyzbywał się wielkiego strachu.

Ksenia Michajłowna poprowadziła ich do przychodni pod willą „Ksenia”, gdzie dochodzili do siebie jeńcy paralelnego świata.

Żadnych trupów, umierających, agonii, pogotowia i innych koszmarów zarażonego świata nie było nigdzie po drodze widać.

— A gdzie... — zaczęła Kora, ale staruszka uśmiechnęła się i odpowiedziała:

— Lepiej ci to wszystko wyjaśni Milodar. Ale zasada naszego działania polegała na tym, by nie zawieść oczekiwań agresora. Jeśli ten zobaczy to, co chce zobaczyć i oczekuje, to jest moralnie rozbrojony. Nie dochodzi do żadnych nieoczekiwanych i niepożądanych incydentów. Nie potrzebowaliśmy ich. Musieliśmy więc wykonać inscenizację pod tytułem „Wielka epidemia”...

— Nie było tak naprawdę epidemii? — Korę już męczyło dziwienie się wszystkimu.

— No coś ty? Ze zwykłym wirusem mielibyśmy sobie nie poradzić? To było znacznie łatwiejsze niż pokonać panikę, czy sparaliżować działanie tysięcy uzbrojonych gwardzistów generała Leja.

— Po co więc...

Babcia miała zwyczaj nie wysłuchiwanie do końca pytań, i odpowiadania na nie:

— Ważny był indywidualny szok. Ktoś chciał wjechać na Ziemię na białym koniu i potem stać jako posag na placu. Należało więc strącić go z tego konia. Dlatego ty i Milodar ubrani jesteście niczym choinki noworoczne.

— Ach tak — zmieszła się Kora. — Ciągle jeszcze się nie przebrałam.

— Jeszcze się przebierzesz — obiecała Ksenia Michajłowna. — Ale najpierw odwiedzimy byłych jeńców.

Jeńcy, bardziej lub mniej już przytomni, stłoczyli się w obszernej piwnicy willi „Ksenia”, którą zmieniono w rodzaj szpitala dla uprzywilejowanych pacjentów.

Kałnin rzucił się do Garbuza.

— Witia, jak się cieszę! — krzyknął wysokim głosem. — Tak się bałem, że zginiesz w tym bałaganie! Chcesz herbaty? Tu jest prawdziwa, cejłońska. Nie masz pojęcia jak dobra!

Włosy wykapanej i odświeżonej, może po raz pierwszy w życiu, księżniczki były tak bujne, że z ich ogromu widać było tylko nosek i błyszczące oczy. Miała matowo-białą, szlachetną cerę.

— Obiecali mi zlikwidować tę szramę — oświadczył Pokrewski nie wypuszczając z ręki dłoni księżniczki. Widok Kory go nie speszył, widać księżniczka dla niego lśniła znacznie mocniej.

Ninela dziwiła się umiarkowanie. Dopytywała się i to bardzo namolnie, kiedy stąd będzie można odjechać. Nie wiadomo dlaczego celem, do którego bardzo chciała dotrzeć, był mały domek ciotki w Gelendżyku.

I nagle Kora uświadomiła sobie: wszystko, co mówiła ta kobieta o swojej służbie, o śmierci —

było kłamstwem czystej wody. Dlatego przez cały czas wydaje się jej, że gdzieś dookoła czai się sędzia albo śledczy, czeka na nią przez wszystkie te lata, i teraz będzie mógł powiedzieć:

— A teraz, znana jałtańska złodziejko i wywłoko Ninelo, pozwól do sukki. Czeka na cię Waniński port i pokład statku ponurego.

Tylko Żurba był niezadowolony.

Siedział przy stole, pisał prośbę na ręce prezydenta, a chodziło mu w niej o zagwarantowanie mu powrotu do wspaniałych czasów imperatora i jałtańskiego burmistrza Dumbadze, jak również o zwrot majątku i odpowiedzialnego stanowiska według stanu na rok 1907.

Inżynier Wsiewołod Toj już chciał wracać do starego towarzystwa. Kora poprosiła by poczekał aż ona rozmówi się z Milodarem i odzyska ludzki wygląd.

Właśnie wyszła z sarkofagu odzyskawszy własne ciało, gdy pojawił się komisarz.

Milodar był zadowolony, zacierał dłonie, między którymi przeskakiwały małe błyskawice.

— Skończyła się wojna? — zapytała Kora, zdejmując z siebie wspaniałe uniform.

— Oczywiście — odpowiedział Milodar. — Co było do udowodnienia. Przeprowadziliśmy z babcią niezłą operację.

— A co oni zrobią z generałem Lejem i generałem Grajem?

— A skąd mam wiedzieć?

— Jak to? Nie wsadzili ich do więzienia? Nie rozstrzelano? Przecież to mordercy!

— To są działacze państwowi, i nie naszą sprawą jest mieszać się do ich spraw wewnętrznych!

— Ale oni się wmieszali!

— Po pierwsze, oni są jeszcze dzicy. Po drugie, nie zdążyli zaszkodzić.

— Zdążyli.

— Trochę zaszkodzili — zgodził się Milodar.

— A Misza?

— Co Misza? Wszystko w porządku. Misza jest w komie! Wyprowadzą go z niej jutro albo pojutrze. W Moskwie. Jest szansa, że będzie niemal całkowicie odtworzony...

Milodar starał się nie patrzeć Korze w oczy, zrozumiała, że z Misza sprawy nie stoją tak dobrze, jak przedstawia to komisarz.

— Cieszę się z jednego — powiedziała Kora.

— Z czego?

— Że zabiłam pułkownika Raj–Raję

— To niemożliwe! — krzyknął Milodar. — Byłaś hologramem. Nie mogłaś...

— Wystraszyłam go, sprowokowałam...

— No, to było niepotrzebne. Moi agenci powinni być ponad takie głupie uczucia. Jak nauczał pewien mój stary poprzednik: „Czekista winien mieć zimne ręce i gorące serce.”

— Kto to powiedział?

— Chyba Savanarola — niepewnie odpowiedział Milodar.

— Nie, Dzierżyński — powiedział lepiej wykształcona Kora. — Ale nawet on miał na myśli nie ręce, a głowę. Głowę.

— Właśnie — natychmiast zgodził się Milodar.

Przeszedł się po pokoju, obrzucił uważnym spojrzeniem znawcy figurę Kory i powiedział:

— Idź pod prysznic, wkładaj swoje ubranie i dołącz do tego swojego wypoczywającego towarzystwa. A przed końcem wakacji masz zapamiętać wszystko, co się wydarzyło.

— A po wakacjach?

— Po wakacjach naprawdę o tym zapomnisz.

Przed wyjściem z pokoju Kora zapytała:

— A co będzie z nimi? — Miała na myśli jeńców.

— Najprawdopodobniej tu zostaną. Żadna machina czasu nie działa na przestrzeni półtora wieku, żeby cofnąć Żurbę do jego czasów. Nic to, zrobimy go policjantem na jakiejś zacofanej planecie. Będzie zadowolony. Ninela też sobie znajdzie miejsce... może nie na Ziemi, ale znajdzie. A pozostali to betka.

— Garbuz też?

— I on, i Kałnin zdecydowali, że zostają. Mimo, że generał Lej obiecał Garbuzowi złote góry, ten rozumie, jak ryzykowne jest życie Giordano Bruno. Na rzymskim dworze również.

Inżynier Wsiewołod Toj czekał na Korę przy wyjściu z willi „Raduga”. Na jego obliczu widniała udręka.

— Każda minuta wydaje mi się wiecznością — oświadczył. — Mój asystent ma przywieźć mi z Moskwy hiperlekkie materiały.

Poszli pieszo w kierunku morza, mając nadzieję, że tam będzie reszta towarzystwa.

— Wiesz — powiedziała Kora — generał Lej nie będzie w żaden sposób ukarany.

— To logiczne — odparł Toj. — Dla nas lepszy jest wystraszony sąsiad, niż głupek.

W tym momencie zobaczyli, że przed nimi niewielką grupką, wloką się ich przyjaciele.

— Hej! — zawołała Kora. — Poczekajcie! Nie dogonimy was!

Ci zatrzymali się przerywając marsz z kawiarni na plażę.

— Boże! — krzyknęła Weronika rzucając się do Kory. — Jak mi było bez ciebie źle! Nie uwierzysz!

Przy tym potrafiła znacząco popatrywać na inżyniera Wsiewołoda Toja.

— Jak tam było w Jałcie? — zapytał myśliwy Grant.

Zielona Klomdididi przywierała do niego. Patrzyła na Korę czule i ta zrozumiała nagle, że Klomdididi cieszy się z jej powrotu.

Poeci Karik i Walik zażądali, by wszyscy wysłuchali fraszki, którą przygotowywali przez całą noc, w nadziei na powrót królowej balu.

— Oczywiście, że jest pani naszą królową balu — oświadczył myśliwy. — Przywódczyni stada. Było nam bardzo smutno, że zatrzymano panią w Jałcie.

— W jakiej Jałcie? — nie rozumiała Kora. Co oni plotą? Przecież widzieli, jak spadła ze skały..

— Ksenia Michajłowna nam wszystko wyjaśniła — powiedział poeta Karik. — Jak podmuch wiatru rzucił cię w morze, jak wyłowił cię jej przyjaciel w szalupie i odwiózł do Jałty, by wyleczyć z szoku. I dziękujemy za pozdrowienia i winogrona, które nam wczoraj przysłałaś.

— Oczywiście — dziękujemy, dziękujemy, dziękujemy! — rozległo się dookoła.

— A ja... — zaczął inżynier Toj. Potem machnął ręką. — Tak więc byliśmy, Koro, w tej samej łódce.

W tym momencie zobaczył na dróżce swojego asystenta, opierającego się o pęk metalowych prętów — bazę jutrzejszego ornitoptera; inżynier wielkimi krokami runął przed siebie, ku rozczarowaniu Weroniki, która właśnie zamierzała uwiesić mu się na szyi.

...Mając słowo Wsiewołoda, że wkrótce dołączy do nich, towarzystwo poszło się kąpać.

Woda tego dnia była ciepła, morze spokojne, a wiatr umiarkowany.

---

\* przypis tłum.: Papanin Iwan Dmitrijewicz (1894–1986), rosyjski badacz Arktyki, kontradmirał. Kierował rosyjską stacją arktyczną (od 1932) i pierwszą dryfującą na krze lodowej stacją badawczą — *Biegun Północny I* (1937–1938).